

Pozory

Coulter Catherine



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER

POZORY

Rozdział 1

Nowy Jork, 17 stycznia 1989

- Pani Carleton, czy uważa pani, że zeznania doktora Huntera pozwolą jej się wymigać?
- Bez komentarza - rzucił gniewnie Rod Samuels.
- To jak, pani Carleton, myśli pani, że sąd uwierzy psychoanalitikowi?
- Nie ma to jak odpowiedni świadek na podporządku.
- Prokurator okręgowy jest wściekły, pani Carleton. A co pan o tym sądzi, panie Samuels? Jaki będzie werdykt?

- Niewinna, to oczywiste - powiedział Rod Samuels. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Elizabeth nie odzywała się, patrzyła tylko przed siebie, świadoma mocnego uścisku dłoni Roda, prowadzącego ją do limuzyny. Srebrnego Rolls-Royce'a jej męża. Timothy był z niej taki dumny. - *I co o tym myślisz, Elizabeth? Tylko dotknij tapicerki. To dopiero coś, prawda? Nawet stary sknera Drake by to zaaprobował.*

- Czy prokurator ma rację, panie Samuels? Przekupił pan tego człowieka?
- Co zrobi Elizabeth X, jeśli zostanie uniewinniona? - krzyknął inny reporter.
- Wyda wszystkie pieniądze swego zmarłego męża, oto co zrobi!

Elizabeth X. Elizabeth Xavier Carleton. Jacy ci reporterzy sprytni i błyskotliwi. Przez ostatnie sześć miesięcy była osławioną Elizabeth X. Poczwała, że Rod wzmacnia uścisk. Niemal na niego wpadła, kiedy zatrzymał się raptownie, aby odsunąć na bok reportera.

Drzwi limuzyny były otwarte, a Drake stał obok z zaciśniętymi w gniewnym grymasie ustami i twarzą zmienioną w zastygłą maskę. Co go tak rozgniewało? Niespodziewane pojawienie się świadka? Niekończące się nękanie ze strony mediów?

Rod wepchnął ją do samochodu i szybko usiadł obok niej, chwytając za klamkę.

- Bez komentarza! - krzyknął w kierunku tłumu reporterów, szukając drugą dłonią przycisku zamykającego okno. Jednak szyby regulowane były elektrycznie i nie dało się ich zamknąć przy zgaszonym silniku.

Zatrzasnął drzwi. Rozległ się wrzask. Przyciął rękaw reporterowi. Rod zaklął, otworzył drzwi ponownie i uwolnił mężczyznę. Elizabeth przyglądała się, jak Drake szybko przeciska się przez tłum, okrąża samochód i zajmuje miejsce od strony kierowcy.

Nagle oślepiło ją światło flesza, a po nim kilka kolejnych błysków.

Opuściła głowę.

Ile to już razy Rod wykrzykiwał swoje „bez komentarza”? Ile razy oślepiaty ją flesze? Komu jeszcze mogło na niej zależeć? Ciekawe, dlaczego i tym razem Rod nie miał im nic do powiedzenia. *Ponieważ sądzi, że to ty zamordowałaś Timothy'ego, oto dlaczego.*

- Wszystko w porządku, Elizabeth? Skinęła głową.
- Już prawie po wszystkim - powiedział, wzdychając z ulgą, i opadł na miękkie oparcie, pokryte

szarą skórą. - Nie podnoś głowy. Są kamery. Wkrótce będzie po wszystkim - powtórzył. - Nieważne, do jakich sztuczek ucieknie się Moretti, i tak nie zdoła złamać Huntera.

Czy rzeczywiście było po wszystkim? Nadal bardzo wyraźnie widziała pociemniałą z gniewu i niedowierzania twarz Anthony'ego Morettiego, przysłuchującego się zeznaniom świadka obrony. Ambitny prokurator okręgowy Nowego Jorku od początku osobiście prowadził tę sprawę i nie miał zamiaru jej przegrać.

Dopóki nie pojawił się ów niespodziewany świadek.

Dopóki Christian Hunter, zeznający w sposób nie tylko spokojny, ale tak lakoniczny, iż zakrawało to wręcz na zuchwałość, nie zrobił z niego głupca.

- Jak brzmi pańskie nazwisko? - zapytał Rod Samuels.

- Christian Hunter.

- Czym się pan zajmuje?

- Posiadam tytuł doktora.

- Gdzie pan był wieczorem dziesiątego lipca ubiegłego roku?

- Spacerowałem w dzielnicy Village, sam, od, mniej więcej, ósmej wieczór.

- A po dziewiątej, doktorze Hunter?

- Wstąpiłem do baru „Latający Księżyc” na ulicy Greenwich i pozostałem w nim do północy.

- Widział pan tam oskarżoną?

- Tak, proszę pana, widziałem. Zagadnąłem ją, zafundowałem jej drinka - daiquiri - i rozmawialiśmy do północy. Potem odprowadziłem ją do taksówki.

- Czy po tym wieczorze widział się pan jeszcze z oskarżoną, doktorze Hunter? Albo rozmawiał z nią?

- Nie.

- Jest pan pewny, że to właśnie z oskarżoną, panią Elizabeth Carleton, spędził pan wówczas wieczór?

- Jestem o tym przekonany.

- I nie myli się pan co do godziny?

- Absolutnie nie.

- Doktorze Hunter, sześć miesięcy to sporo czasu. Jak pan może być tak pewny, że zdarzyło się to właśnie dziesiątego lipca?

- Byłem bardzo przejęty tym, że poznałem panią Carleton - odparł Christian Hunter. - Jestem jej wielbicielem od kilku lat. Dla mnie to było niczym poznanie prezydenta.

- Dziękuję panu, doktorze. Panie Moretti, świadek jest pański.

Anthony Moretti przez chwilę uważnie przyglądał się mężczyźnie stojącemu za barierką dla świadków. Początkowo zamierza! po prostu spojrzeć wymownie w stronę ławy przysięgłych, wzruszyć ramionami i demonstracyjnie zrezygnować z zadawania pytań temu beczelnie kłamiącemu bufonowi. Ale teraz już wiedział, że nie wolno mu tak tego zostawić. Hunter wydawał się niewzruszony, prawie znudzony i widać było, że doskonale nad sobą panuje. Kim on w ogóle jest? Do licha, to niesprawiedliwe, że prokuratura musi przekazywać każdy strzęp informacji obronie, ta zaś może sobie pozwolić na tego rodzaju chwyt. Natychmiast się jednak opanował. To była oczywista zmowa. Ktoś przekupił Huntera. Lecz on rozprawi się z doktorkiem, udowodni, że jest oszustem. Ta suka trafi do więzienia, a on osobiście ją tam odwiezie.

Podszedł, nie śpiesząc się, do miejsca dla świadków, przystanął i przez chwilę nie spuszczał

wzroku z Huntera. Za sobą słyszał szmer podnieconych głosów.

- Jaka jest pańska specjalizacja, doktorze Hunter?

- Jestem psychologiem.

- Rozumiem. A zatem nie jest pan prawdziwym lekarzem? Nie kończył pan akademii medycznej?

- Nie, nie kończyłem. - Odchrząknął. - Zrobiłem doktorat na Harvardzie.

To jakaś cholerna imitacja, jakiś przeklęty psychoanalityk.

- Rozumiem. I co takiego pan leczy?

- Co tylko przejdzie przez moje drzwi. Śmiech.

Moretti zachował spokój. Odczekał, aż gwar zupełnie ucichnie.

- Czy leczy pan wielu kłamców - patologicznych kłamców?

- Nigdy się nimi nie zajmowałem, panie Moretti. Nie leczy się własnych przyjaciół.

Znowu śmiech, tym razem znacznie głośniejszy. *Śliski wygadany cwaniak.*

- A dlaczegoż to, doktorze Hunter, nie pojawił się pan, kiedy pani Carleton została aresztowana?

- Byłem w Grecji. Wróciłem zaledwie przed tygodniem. Nie miałem pojęcia, co wydarzyło się podczas mojej nieobecności.

- A co porabiał pan w Grecji?

- Trzymałem za rękę moją siostrę, kiedy rodziła trzyipółkilogramowego chłopaka, a potem rozwodziła się z mężem.

Śmiech. Podczas całego procesu fakt, że rozprawa była dostępna dla publiczności, działał na korzyść Morettiego, lecz teraz sprawy przybrały inny obrót.

Moretti przygryzł wargę. Czuł podniecenie i radość, emanujące od Roda Samuela. Przeklęty bękart. Czuł napięcie przy stole prokuratorskim, słyszał, jak jego współpracownicy szeleszczą papierami.

I widział, jak sędziowie przysięgli, cała dwunastka, pochylają się do przodu, by nie uronić ani jednego słowa. Moretti uważnie przyjrzał się swoim paznokciom. Na kciuku oderwany fragment skórki tworzył brzydki zadziór.

- Czy nie powiedziałby pan - zapytał, nie podnosząc wzroku - że sześć miesięcy to raczej długi okres na trzymanie za rączkę i pozostawienie praktyki bez opieki?

- Nie zna pan mojej siostry.

Znowu ten śmiech. Sędzia trzy razy zastukał głośno młotkiem.

- Nie czytuje pan gazet, doktorze Hunter?

- Nie, kiedy jestem za oceanem.

- Jednak wydawałoby się, że człowiek wykształcony, psycholog, będzie starał się być na bieżąco z wydarzeniami, prawda? A to szczególne wydarzenie opisywały gazety na całym świecie.

Christian Hunter pochylił się nieco do przodu.

- Właśnie dlatego wróciłem, panie Moretti. Moja siostra napomknęła coś o procesie i rozpoznałem panią Carleton na zdjęciu w gazecie.

- Rozumiem - powiedział Moretti z jawnym niedowierzaniem w głosie. - Nie chce pan być odpowiedzialny za to, że uznają tę biedną niewinną kobietę za morderczynię?

- Zgadza się, panie Moretti.

Moretti wbił wzrok w świadka. Umilkł, wyprostował się, spojrzął na doktora z pogardą.

- Ile zapłacono panu za to, by wrócił pan do Nowego Jorku, doktorze?

- Sprzeciw!

Sędzia Olney zmarszczył brwi.

- Nie wolno panu dręczyć świadka, panie Moretti.

- Ale, wysoki sędzie...

- Chciałbym odpowiedzieć, wysoki sędzie - powiedział Christian Hunter.

Olney spochmurniał. Jeżeli ten człowiek został przekupiony, co uważał za bardzo prawdopodobne, to doskonale sobie radzi. Jeżeli Hunter chce sam ukręcić sznur na własną szyję, to proszę bardzo. Lepsze to, niż pozwolić, aby Moretti wypruł mu bebechy.

- Kiedy już skończę składać zeznania, z przyjemnością umożliwię panu Morettiemu wgląd w moje finanse i pozwolę mu porozmawiać z moim księgowym. Nie potrzebuję pieniędzy. Mam ich wystarczająco dużo. Nie da się mnie przekupić.

Szmer rozmów jeszcze się nasilił. Olney ponownie uderzył w stół młotkiem. Był tak pewny, tak przekonany, że ta blada młoda kobieta jest winna. Na pewno. Lecz teraz...

W tej właśnie chwili Moretti uświadomił sobie, że to musi być ten Christian Hunter. Christian Westford Hunter - psycholog, a jakże, lecz taki, który nie musi robić nic innego, jak tylko bekać po posiłku przygotowanym dla niego przez osobistego francuskiego kucharza.

Cholera. Nienawidził tych zadowolonych z siebie, bogatych dupków. Psycholog, też mi coś. W jego przypadku to było tylko hobby, nic więcej. Najwidoczniej stara! się uratować skórę tej kobiecie. Ale dlaczego?

Nie zamierzał jednak ustąpić ani teraz, ani w przyszłości. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, postara się uzyskać odroczenie. Do licha, sędzia wiedział, że dziwka jest winna.

- A dlaczegoż to pani Carleton nie powiedziała, że spędziła ten wieczór z panem? - zapytał zwodniczo znudzonym tonem.

- Nie mam bladego pojęcia - odparł Hunter, zerkając na Elizabeth. - Nie znała mojego nazwiska, tylko imię. Być może sądziła, że nikt jej nie uwierzy.

- Wysoki sędzie - powiedział Moretti - proszę pouczyć świadka, by ograniczał się do krótkich odpowiedzi.

- Pańskie pytanie, panie Moretti - powiedział sędzia Olney - nie wymagało prostego „tak” lub „nie”.

- Czy wiedział pan, że pani Carleton nawet nie wspomniała o tym, że była z panem w barze? Na to chyba może pan odpowiedzieć „tak” lub „nie”?

- Nie.

- Czy nie uważa pan tego za dziwne, doktorze Hunter? Christian Hunter w milczeniu wpatrywał się w prokuratora.

- Czy nie uważa pan tego za dziwne? - powtórzył Moretti, uderzając pięścią w barierkę otaczającą podium dla świadków.

- No cóż - odparł Hunter. - Jako psycholog wiele razy zetknąłem się z blokadą pamięci wywołaną szokiem. To swego rodzaju mechanizm obronny, rozumie pan.

- Chce pan powiedzieć, że pani Carleton wyparła z pamięci fakt, iż zamordowała swego męża?

- Sprzeciw! Prokurator przeinacza znaczenie słów świadka.

- Podtrzymany.

- A zatem, doktorze Hunter, oskarżona wyparła z pamięci wspomnienie spotkania z panem? Przypadek jakże wygodnej amnezji?

- Uważam, że to prawdopodobne. Odniosłem wówczas wrażenie, że pani Carleton jest mocno

zdenerwowana. Oczywiście, nie wiedziała, że jestem psychologiem i...

- Chciał ją pan poderwać? Pójść z nią do łóżka?

- Sprzeciw, wysoki sędzie!

- Podtrzymany.

- A czy nie przyszło panu na myśl - oczywiście w ostatnim tygodniu - że była zdenerwowana, ponieważ planowała zamordowanie męża?

Rod Samuels nawet się nie odezwał. Christian Hunter uśmiechnął się.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, panie Moretti. Z tego, co zrozumiałem, morderstwo zostało popełnione, kiedy pani Carleton przebywała ze mną w barze. A planowanie czegokolwiek nie jest chyba przestępstwem. Gdyby było inaczej, nasz system sądowniczy pewnie by się załamał.

- Czy jako psycholog nie uważa pan, że zamordowanie kogoś za pomocą szpikulca do lodu - przepraszam, srebrnego szpikulca - bardziej pasuje do kobiety niż do mężczyzny?

- Nie miałem dotąd do czynienia z mordercami, przynajmniej o ile mi wiadomo. Pańska opinia na ten temat będzie z pewnością bardziej miarodajna niż moja.

- Jak pan uważa, doktorze Hunter, czy ktoś z baru rozpozna panią Carleton? I potwierdzi pańską bajeczkę... to znaczy, opowieść?

Christian Hunter wzruszył ramionami. Był to bardzo elegancki gest, którym odsyłał Morettiego tam, gdzie jego miejsce - poza obręb ludzkiej rasy.

- Będziecie musieli to sprawdzić - powiedział. - Ale, szczerze mówiąc, wątpię, by ktoś ją rozpoznał. W barze było ciemno, i to ja przyniosłem drinki do stolika. Siedzieliśmy w łoży o wysokich ściankach.

- Czy w barze było bardzo ciemno?

- Dość jasno, bym dostrzegł plombę w jej trzonowym zębie.

Moretti bil głową o mur. Rod Samuels zdawał sobie z tego sprawę. Elizabeth Carleton nie zeznawała w procesie, więc nie mógł jej przepytac na okoliczność spotkania z Hunterem. Sędziowie przysięgli także to widzieli. Wierzyli Hunterowi. Mieli to wypisane na twarzach. Rod Samuels odnalazł pod stołem dłoń Elizabeth i uścisnął ją. Była bezwładna i zimna jak lód.

Nie powiedział jej o Hunterze.

Moretti spróbował ponownie.

- Czy jest pan pewny, doktorze Hunter, że to z oskarżoną, Elizabeth X, Elizabeth Xavier Carleton - spędził pan wieczór?

- Jestem pewny.

- Dlaczego? Jak może pan być pewny, skoro w barze było tak ciemno? Poza tym wielu ludzi ma plomby w zębach trzonowych.

Hunter nie zdradzał ani śladu zmieszania. Jego pociągła twarz nie wyrażała niczego. A kiedy przemówił, w jego głosie nie czuło się wątpliwości.

- Ona jest piękną, interesującą kobietą, w mroku czy w świetle. Zaczęliśmy rozmawiać. To wszystko.

- A jak pan sądzi, dlaczego ta piękna, interesująca, zameżna kobieta była w barze sama?

- Nie mam pojęcia.

Do diabła z tobą, przeklęty sukinsynu z Ivy League! Moretti czuł, że się poci. Przegrywał i nic nie mógł na to poradzić. Mimo to spróbował raz jeszcze.

- Nie zapytał jej pan?

- Nie. Rozmawialiśmy o życiu zawodowym pani Carleton. Byłem na wszystkich jej występach w Carnegie Hall. Jest naprawdę dobra, a ja, tak się składa, uwielbiam Bacha.

- Czy wiedział pan, że jej mąż miał sześćdziesiąt cztery lata?

- Nie. Rozmawialiśmy tylko o muzyce.

Elizabeth zamknęła oczy. Limuzyna włączyła się do ruchu na Czterdziestej Drugiej, a potem skierowała ku dzielnicy willowej. Kobieta trochę się zdziwiła, kiedy Drake skręcił w stronę East Side. Nie była w nastroju do podziwiania widoków. Przywołała obraz Christiana Huntera. Nigdy go nie zapomni. Wysoki, szczupły, o intensywnie niebieskich oczach i wrażliwej inteligentnej twarzy, nieco może zbyt pociągłej. Mężczyzna w typie angielskiego profesora, odzianego w tweedy. Esteta, który z rzadka brudzi sobie ręce sprawami tego świata. Lecz to nie była prawda. Psycholog dostrzega wiele, może nawet zbyt wiele. No i doskonale poradził sobie z Morettim, nie wysilając się przy tym zbyt.

Nigdy dotąd go nie widziała.

Kim on jest? I czego chce?

Poczuła, że Rod znowu ujmuje ją pod ramię. Drake minął park i przeciął Piątą Aleję przy Siedemdziesiątej czwartej. Zerknęła na muzeum Metropolitan. Jak zwykle, przy wejściu kłębiły się tłumy.

Kiedy skręcili na wschód i wjechali w Madison, a potem skierowali się ku Osiemdziesiątej piątej, ruch niemal zamarł. Otoczenie było spokojne, ulice wysadzone drzewami, domy piękne i stare. Drake wjechał miękko na podjazd. Przed laty były tu dwie odrębne rezydencje, lecz teraz nikt by się tego nie domyślił. Okna na drugim piętrze wyglądały identycznie jak te poniżej, a wschodnie wejście zostało zamurowane i ukryte za gęstwiną krzaków.

Kiedy Drake pomagał jej wydostać się z samochodu, spojrzała w górę. Kochała ten dom. Miał mansardowy dach, którego widok zawsze wywoływał uśmiech na jej twarzy, ponieważ tak bardzo przypominał jej lata spędzone w Paryżu. Okna na drugim i czwartym piętrze wyposażono w wąskie balkony, otoczone żeliwną barierką.

Z zewnątrz budynek wydawał się skromny. Pasował do otoczenia. Nikt by nie zgadł, że mieszkał tu jeden z najbogatszych ludzi na świecie.

Elizabeth minęła Roda i weszła do westybuli. Znajdował się wewnątrz domu, urzędował w nim odzwierny. Gallagher podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- Witaj, Liam - pozdrowił go Rod Samuels.

- Słyszałem w radio o świadku, pani Carleton - powiedział Liam, podekscytowany. - I odetchnąłem z ulgą.

- Dziękuję ci, Liam.

Czy tylko on wierzył w jej niewinność?

Rod podprowadził ją do bogato zdobionej windy z lat dwudziestych, którą Timothy przeniósł tutaj ze starego, wyburzanego budynku przy Wall Street. Winda postękiwała i zgrzytała, dokładnie tak, jak chciał Timothy. Ileż to razy uśmiechał się i zacierał dłonie, kiedy stary mechanizm odmawiał posłuszeństwa i zatrzymywali się między piętrami.

- Dziękuję ci, Rod.

Wzdrygnął się. Odezwała się do niego po raz pierwszy, od kiedy opuścili budynek sądu.

- Już prawie po wszystkim, Elizabeth. Zostaniesz uniewinniona. Moretti może uzyskać tygodniowe odroczenie - lub nawet miesięczne - lecz to i tak niczego nie zmieni. Nie zdoła podważyć

zeznań Huntera. W przyszłym tygodniu o tej porze będziemy świętowali.

Elizabeth rozciągnęła palce w mimowolnym ćwiczeniu, które wykonywała przy każdej okazji, od kiedy skończyła pięć lat.

- Naprawdę? - spytała.

Winda zwolniła i zatrzymała się. Rod otworzył drzwiczki z kutego żelaza i czekał, aż Elizabeth wyjdzie do holu.

- Jestem zmęczony - przyznał, pocierając kark. - Kiedy Moretti wreszcie się podda, chyba zostanę w łóżku przez tydzień.

Jakże dalekie wydawały jej się teraz wszystkie te przyziemne sprawy. Wiedziała, że podczas jazdy zachowała się nieuprzejmie, więc spróbowała to naprawić.

- Wejdz, proszę. Wiem, że przepadasz za martini przyrządzonym przez Kogiego.

- Tak, chętnie się napiję. W przyszłym tygodniu o tej porze będziemy pili szampana, Elizabeth.

Nie odezwała się. Do salonu wszedł Japończyk, który sięgał Elizabeth zaledwie do brody. Miał na sobie biały żakiet i czarne spodnie, a jego zadbany wąsik błyszczał z daleka. Uśmiechał się szeroko.

- Pani Elizabeth, panie Samuels, witam państwa. Bardzo się cieszę.

- Dziękuję, Kogi. Pan Samuels z pewnością chętnie napiłby się twojego słynnego martini.

- Oczywiście, proszę pani.

Zręcznie odebrał od niej płaszcz, torebkę i rękawiczki, a potem pomógł rozebrać się Samuelowi. Kogi służył u Timothy'ego przez ostatnie piętnaście lat. Teraz został z osobą, którą oskarżono o zamordowanie jego pana. Nigdy nie skomentował tego nawet słowem, a Elizabeth nie odważyła się go zapytać, co sądzi o procesie i śmierci Timothy'ego.

- Proszę, usiądźcie państwo - powiedział Japończyk.

Rod usadowił się na sofie w kolorze bladego złota. Elizabeth kręciła się po pokoju, wypełnionym arcydziełami współczesnego rzeźbiarstwa. Większość i czwartym piętrze wyposażono w wąskie balkony, otoczone żeliwną barierką.

Z zewnątrz budynek wydawał się skromny. Pasował do otoczenia. Nikt by nie zgadł, że mieszkał tu jeden z najbogatszych ludzi na świecie.

Elizabeth minęła Roda i weszła do westybulu. Znajdował się wewnątrz domu, urzędował w nim odzwierny. Gallagher podniósł wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- Witaj, Liam - pozdrowił go Rod Samuels.

- Słyszałem w radio o świadku, pani Carleton - powiedział Liam, podekscytowany. - I odetchnąłem z ulgą.

- Dziękuję ci, Liam.

Czy tylko on wierzył w jej niewinność?

Rod doprowadził ją do bogato zdobionej windy z lat dwudziestych, którą Timothy przeniósł tutaj ze starego, wyburzanego budynku przy Wall Street. Winda postękiwała i zgrzytała, dokładnie tak, jak chciał Timothy. Ileż to razy uśmiechał się i zacierał dłonie, kiedy stary mechanizm odmawiał posłuszeństwa i zatrzymywali się między piętrami.

- Dziękuję ci, Rod.

Wzdrygnął się. Odezwała się do niego po raz pierwszy, od kiedy opuścili budynek sądu.

- Już prawie po wszystkim, Elizabeth. Zostaniesz uniewinniona. Moretti może uzyskać tygodniowe odroczenie - lub nawet miesięczne - lecz to i tak niczego nie zmieni. Nie zdoła podważyć

zeczna Huntera. W przyszłym tygodniu o tej porze będziemy świętowali.

Elizabeth rozciągnęła palce w mimowolnym ćwiczeniu, które wykonywała przy każdej okazji, od kiedy skończyła pięć lat.

- Naprawdę? - spytała.

Winda zwolniła i zatrzymała się. Rod otworzył drzwiczki z kutego żelaza i czekał, aż Elizabeth wyjdzie do holu.

- Jestem zmęczony - przyznał, pocierając kark. - Kiedy Moretti wreszcie się podda, chyba zostanę w łóżku przez tydzień.

Jakże dalekie wydawały jej się teraz wszystkie te przyziemne sprawy. Wiedziała, że podczas jazdy zachowała się nieuprzejmie, więc spróbowała to naprawić.

- Wejdz, proszę. Wiem, że przepadasz za martini przyrządzonym przez Kogiego.

- Tak, chętnie się napiję. W przyszłym tygodniu o tej porze będziemy pili szampana, Elizabeth.

Nie odezwała się. Do salonu wszedł Japończyk, który sięgał Elizabeth zaledwie do brody. Miał na sobie biały żakiet i czarne spodnie, a jego zadbany wąsik błyszczał z daleka. Uśmiechał się szeroko.

- Pani Elizabeth, panie Samuels, witam państwa. Bardzo się cieszę.

- Dziękuję, Kogi. Pan Samuels z pewnością chętnie napiłby się twojego słynnego martini.

- Oczywiście, proszę pani.

Zręcznie odebrał od niej płaszcz, torebkę i rękawiczki, a potem pomógł rozebrać się Samuelowi. Kogi służył u Timothy'ego przez ostatnie piętnaście lat. Teraz został z osobą, którą oskarżono o zamordowanie jego pana. Nigdy nie skomentował tego nawet słowem, a Elizabeth nie odważyła się go zapytać, co sądzi o procesie i śmierci Timothy'ego.

- Proszę, usiądźcie państwo - powiedział Japończyk.

Rod usadowił się na sofie w kolorze bladego złota. Elizabeth kręciła się po pokoju, wypełnionym arcydziełami współczesnego rzeźbiarstwa. Większość rzeźb przedstawiała nagie kobiety i mężczyzn wyobrażonych w marmurze lub brązie. Jedna postać kobieca nadnaturalnej wielkości spoczywała przed oknem. Było tu kilka dzieł Rodina, a także sześciometrowy dywan z Tabrizu, utrzymany w kolorach bladego błękitu i brzoskwini. Resztę podłogi pokrywała gruba biała wykładzina.

Wszystko bardzo kosztowne i bardzo eleganckie.

Elizabeth nie zastanawiała się nad wystrojem wnętrza. Było jej to obojętne. Pobiegnęła spojrzeniem ku fortepianowi Steinwaya, ustawionemu w odległym kącie pokoju, pod rzędem wysokich okien. Timothy kupił go jej w prezencie ślubnym, trzy lata temu. Na ścianie obok fortepianu wisiały trzy niewielkie obrazy Picassa.

Elizabeth podeszła do pianina. Usiadła i zaczęła grać. Koncert Włoski Bacha. Uwielbiała tonację F - elegancką i wyrafinowaną.

Bach jest taki czysty i przewidywalny, rozmyślała, grając. Każdy wygrany akord prowadzi do następnego, a potem następnego, stanowiąc część regularnego wzoru.

Nie otworzyła oczu, dopóki nie przeszła do drugiej części utworu. Nie mogła jej zagrać. Była zbyt niepokojąca i przesycona smutkiem. Przywoływała zbyt wiele bolesnych wspomnień.

- Chciałabyś się czegoś napić, Elizabeth? Zamrugwała, spoglądając na Roda, który stał teraz obok fortepianu. O czym on myśli, zastanawiała się. Zawsze jest taki chłodny, spokojny i opanowany, a jego ciemne oczy nie zdradzają niczego.

- Może kieliszek *chablis*? Kącikiem oka dostrzegła zbliżającego się Japończyka, który niósł na

tacy kieliszek jej ulubionego wina. Uśmiechnęła się.

- Zapomniałem już, jak pięknie potrafisz grać - powiedział Rod, sącząc swoje doskonałe martini. Oczywiście Timothy zawsze żądał wszystkiego, co najlepsze, nieważne, czy dotyczyło to drinków, służących czy adwokatów. Z których jeden właśnie wybronił jego żonę przed wyrokiem skazującym za morderstwo. Nie będziesz już grać, Elizabeth?

- Druga część zawsze wprawia mnie w smutny nastrój - odparła.

Wstała i wygładziła ciemnoniebieską spódnicę.

Przyglądał się, jak przyjmuje od Kogiego kryształowy kieliszek z winem. Miała piękne dłonie o długich, smukłych palcach. Dość silne, aby wbić srebrny szpikulec... Gdyby tylko Moretti wiedział, że Elizabeth nie pija żadnego alkoholu poza winem... Nigdy nie tknęłaby *daiquiri*.

Zastanawiał się, o czym ona myśli. Zajmowało go to dość często, nie tylko podczas ostatnich siedmiu miesięcy, ale od kiedy tylko ją poznał, jeszcze przed jej ślubem z Timothyem. Zawsze mu się wymykała, uciekała w muzykę i obojętne milczenie.

- Rod, kim jest ten Christian Hunter? Spodziewał się, że zapyta o to o wiele wcześniej.

Lecz Elizabeth była inna. Zawsze nią pogardzał, nie tylko za odmienność - na litość Boską, była muzykiem - ale i za ten jej spokój, opanowanie oraz bezwzględność.

Bo ona z pewnością jest bezwzględna. Timothy był stracony, gdy tylko ją zobaczył i usłyszał, jak gra to niepokojące preludium Chopina w Carnegie Hall.

Rod pragnął ją nienawidzić. Pragnął wierzyć, że jest winna. Pragnął... Przesunął dłonią po siwych włosach. Nie chodziło o to, że była piękna i seksowna, absolutnie nie, albo że była kobietą, która kusila mężczyzn jednoznacznymi obietnicami. Przeciwnie, była chłodna, pełna rezerwy i powściągliwa. Ciekawe, czy w ogóle lubiła seks. Z pewnością nie z sześćdziesięcioletnim Timothyem. Lecz teraz był tu on, Rod, zaledwie pięćdziesięcioletni, w porównaniu z Timothyem młody. Nigdy nie dała mu do zrozumienia, że mógłby być dla niej kimś innym niż tylko przyjacielem, a i to niezbyt bliskim.

Uświadomił sobie, że Elizabeth czeka na odpowiedź i przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, o co go pytała. Ach tak, chciała wiedzieć, kim jest Christian Hunter.

- Nie wiesz, kim on jest? - spytał, obserwując ją uważnie.

Elizabeth odwróciła się, by spojrzeć na ulicę. Przez dłuższą chwilę milczała. Nawet jej ciało trwało w absolutnym bezruchu. Jak taka spokojna kobieta mogłaby popełnić morderstwo z zimną krwią? Mimo to uważał, że jest winna.

- Pierwszy raz zobaczyłam go dziś w sądzie - powiedziała Elizabeth. - Ale z pewnością już o tym wiesz, Rod. Gdzie go znalazłeś?

- Czy to prawda, Elizabeth?

Nie chciał usłyszeć prawdy. Uświadomił to sobie nagle. Chciał nadal się nią opiekować, tak jak przez kilka ostatnich miesięcy. Chciał...

- Z pewnością dobrze wiesz, że nigdy w życiu nie widziałam Christiana Huntera.

Odwróciła się, przyglądając go spojrzeniem intensywnie zielonych oczu. Timothy, bez pamięci zakochany w tej zagadkowej kobiecie, mawiał, że są to oczy natchnionej artystki.

Rod wzruszył ramionami.

- To on mnie odszukał, a potem opowiedział swoją historyjkę. Przemaglowałem go i uznałem, że da sobie radę w sądzie. To najbardziej wiarygodny świadek, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nadal stała przy oknie.

- On cię ocalił, Elizabeth. Nie wiem... a właściwie, wiem. Gdyby nie jego zeznanie, na resztę życia wylądowałabyś w więzieniu.

Aż nazbyt dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Sędziowie przysięgli nie kryli podejrzliwości, z jaką zwykli ludzie na ogół odnoszą się do bogaczy.

- Tak - powiedziała po chwili. - Wiem o tym. Oznajmił Morettiemu, że jest bogaty. Czy to nie dziwne, że jemu od razu uwierzyli, chociaż nie chcieli uwierzyć mnie? Czego on chce, Rod?

- Nie wiem. Jesteś bardzo bogata, Elizabeth. - Umilkł, lecz tylko na chwilę. - Oczywiście na tym nie koniec. Rodzina, dobrze o tym wiesz, będzie się starała obalić testament. Na razie udawało mi się ich powstrzymać z uwagi na proces. Ale teraz - gdy tylko sąd cię uniewinni - natychmiast rozpoczną walkę. Nie sądz, że zmienią do ciebie stosunek, choćbyś została oczyszczona z zarzutów.

Elizabeth wypuściła z dłoni skraj delikatnej jedwabnej zasłony.

- Nie obchodzi mnie to i doskonale o tym wiesz, Rod. Nigdy nie zależało mi na pieniądzach. Do tej pory powinieneś być już to sobie uświadomić.

Samuels milczał. Spojrzała na niego.

- Nie, chyba nadal tego nie wiesz - powiedziała powoli, z namysłem. - Nikt nie wierzy, że jestem niewinna, prawda?

- Elizabeth... - zaczął.

- Lepiej nic nie mów.

Nie była głupia ani ślepa. Dostrzegła jego niepewność i zrozumiała jej przyczynę.

- Nie, ty nadal nie zdajesz sobie z tego sprawy - powiedziała, wzdychając głęboko. - A teraz czeka nas kolejna bitwa, czy tak?

- Tak - powiedział po prostu. - Czy zamierzasz się w nią zaangażować, Elizabeth?

Nie odpowiedziała natychmiast. Jak teraz powinnam postąpić, Timothy? - zastanawiała się. - Mam walczyć z twoją rodziną? Z twoimi braćmi? Z twoimi synami i córkami? I, na miłość boską, z twoją matką?

- Skąd wytrzasnąłeś tego Huntera?

Jej lodowaty ton sprawił, że cały zeszywniał.

- Już ci mówiłem, sam do mnie przyszedł.

- Powinieneś być skonsultować się ze mną.

Tak, powinienem był, ale przecież nie protestowałaś, prawda? Pozwoliłaś, żeby opowiedział swoją historijkę i nie pisnęłaś ani słowa.

- Chyba tak. - Dopił martini. - Moretti nie zdoła podważyć jego zeznań.

- Prawdopodobnie. Ale, Rod, jakiej zapłaty zażąda od nas Hunter? Czego on tak naprawdę chce?

- Nie wiem, Elizabeth. Po prostu nie mam pojęcia.

Rozdział 2

Nowy Jork, 24 stycznia 1989

Elizabeth wpatrywała się w czarne litery tytułu w *Post*: ELIZABETH X OCALONA PRZEZ NIESPODZIEWANEGO ŚWIADKA.

Rod Samuels miał rację. Moretti nie zdołał podważyć zeznań Christiana Huntera. To doktor Hunter go pognębił: nigdy nie zmęczony, nie mylący faktów - nawet po czterech godzinach męczącego przesłuchania.

Spojrzała na Roda i w jego ciemnych oczach dostrzegła błysk triumfu. Triumfu z powodu wygranej i pogięcia Morettiego, którego uważał za cwaniaka bez wykształcenia. Rod zacierał ręce. Uciekli przedstawicielom mediów, zgromadzonym w budynku sądu, a potem Gallagher bardzo sprawnie zamknął drzwi domu reporterom przed nosem.

- Facet był po prostu wspaniały, prawda? - powiedział Rod, przyjmując z rąk promieniejącego Kogiego kieliszek szampana *Veuve Cliquot*.

- Owszem - zgodziła się Elizabeth. - Myślałam, że Moretti go zabije, taki był wściekły.

Rod przyjrzał się jej uważnie. Zawsze patrzył na nią w ten sposób, starając się dostrzec w jej zachowaniu choćby ślad tego, co działo się w jej głowie, ponieważ głos Elizabeth nigdy niczego nie zdradzał.

- Uzgodnienie werdyktu zajęło przysięgłym zaledwie godzinę.

- Owszem - powtórzyła.

- Moretti nie mógł znaleźć żadnego haka na Huntera. Nawet ten idiotyczny raport z Urzędu Skarbowego obrócił się przeciwko niemu.

Ciekawe, kiedy Hunter zapragnie się ze mną spotkać - zastanawiała się tymczasem Elizabeth.

- Wiedziałaś, że tak się stanie - powiedziała. - Ty także okazałaś się bardzo inteligentny. Powiedziałaś sędziom, że ciebie Urząd Skarbowy sprawdza od piętnastu lat i zapytałaś, ilu z nich było przesłuchiwanym przez urzędników podatkowych. Ryzykowałeś!

- Nie tak bardzo, Elizabeth. Wiedziałem, że trzech z nich byli przepytani.

Przez chwilę w milczeniu podziwiała błyskotliwość swego prawnika.

- Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się przegrać, Rod? Uśmiechnął się.

- Owszem, była żona oskubała mnie do czysta.

- Tym razem obyło się bez niespodzianek?

- Oczywiście. Uzgodniłem wszystko z Hunterem, nawet męczyłem go tak, jak potem Moretti w sądzie. Barman w barze w Village znał Huntera, który jest tam stałym klientem. Zeznał, że to bardzo prawdopodobne, iż byłaś z nim wówczas w łoży.

- Czego on chce, Rod?

- Mówiłem ci już, że nie wiem. Nic na ten temat nie wspominał. I nigdy nie przyznał, nawet przede mną, że jego zeznanie nie było prawdziwe. Wręcz przeciwnie. Czy to możliwe, by on miał

rację? Czy mogłaś wyrzucić z pamięci cały tamten wieczór, nie wyłączając spotkania z Hunterem?

- Nie.

- Może czułaś się winna, że byłaś w barze, gdy mordowano twojego męża? Przeżyłaś szok.

- Nie - powtórzyła. - Niczego nie wyrzuciłam z pamięci. Chciałabym, aby tak było.

Uświadomiła sobie, że Rod rozpaczliwie pragnie, by rzeczywiście wydarzenia tamtego wieczoru zatarły się w jej pamięci. Czy to dla niego aż tak ważne - uwierzyć, że jest niewinna?

- Już po wszystkim, Elizabeth - powiedział. - Mówiłem ci, że tak będzie.

- Tak, mówiłeś.

Ale czy naprawdę było po wszystkim? Zamknęła oczy i przypomniała sobie tę straszną chwilę, kiedy wróciła sama do domu i znalazła Timothy'ego. Leżał na podłodze gabinetu, a z jego piersi sterczała kryta skórą rączka srebrnego szpikulca do lodu. Sprytna, bezużyteczna zabawka - Timothy uwielbiał gadżety. Tym posłużono się tylko raz - by zabić.

Oczywiście dotknęła szpikulca, próbując wyciągnąć go z piersi męża. Gdy okazało się, że to nie takie proste, zdała sobie sprawę, iż Timothy nie żyje. Lecz jego twarz, jego ręce, nadal były ciepłe...

- I tak dysponowali jedynie dowodami, które w każdej sprawie byłyby uznane za poszlakowe - powiedział Rod.

Moretti w swojej mowie końcowej bez przerwy rozwodził się nad dowodami, wbijając sędziom do głów, że Elizabeth X miała motyw i sposobność, oraz że to jej odciski znajdowały się na srebrnym szpikulcu. Przeciwno oskarżonej świadczyły także zeznania krewnych ofiary - wszystkie bez wyjątku niezycliwe.

- Już nigdy nie zostaniesz oskarżona o zamordowanie Timothy'ego, Elizabeth.

Szkoda, że nie mogła się roześmiać. Albo rozplakać. Czuła jedynie pustkę. Raz jeszcze usiadła do fortepianu i zagrała preludium Chopina, które tak lubił jej mąż. Było bardzo krótkie, zaledwie jedna stroniczka, w tonacji C. Barry Manilou posłużył się tym utworem, pisząc jedną ze swoich popularniejszych piosenek, i teraz ilekroć to grała, w jej głowie rozbrzmiewały słowa piosenki.

Skończyła, położyła palce delikatnie na klawiszach, lecz nie podniosła oczu.

- Chciałabym wrócić na trasę koncertową. Rod nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

- Na razie to chyba nie najlepszy pomysł. Zbyt wielu ludzi mogłoby...

- Zachować się nieuprzejmie? Podle? Uważasz, że rodzina Timothy'ego przybyłaby gromadnie na koncert, aby obrzucić mnie jajami?

- To możliwe. Prawdopodobne. Prawie pewne.

- Timothy nie zamierzał się ze mną rozwieść, Rod.

- Jak twierdził Moretti? Wiem o tym, Elizabeth. Zamilkł na chwilę i wyjął papierosa z połączanej papierośnicy. Zapalił go, zaciągnął się głęboko i, przybierając ton rozważnego prawnika, powiedział:

- Jednak widywał się z inną kobietą. Jest młodsza od ciebie. Ma chyba ze dwadzieścia pięć lat i także jest artystką. Malarką.

Mówiąc to, przyglądał się jej uważnie. Twarz Elizabeth nie zdradzała żadnych uczuć.

- Naprawdę, Rod? - spytała. - Jesteś pewny? Więc dlaczego prokurator tego nie ujawnił?

- Potrafię być przekonujący, Elizabeth.

- Spłaciłeś ją?

- Tak, oczywiście. On nie zamierzał rozwodzić się z tobą. Ten romans nie ma związku ze sprawą.

Czekał. Jak to możliwe, aby nie chciała poznać imienia rywalki? Dowiedzieć się, co się z nią

stało. Jednak Elizabeth powiedziała tylko:

- Wiesz, Moretti miał rację. Timothy zamierzał zmienić testament.

- Nie, nie zamierzał. Mylisz się, Elizabeth. Doskonale wiesz, że synowie bardzo go rozczarowali. Bradley to wąż, gładki i śliski po wierzchu, ale nie zaufałbym mu nawet na tyle, by dać mu do zaparkowania samochód. Co zaś się tyczy Trenta, to zadufany w sobie świętoszek, który powinien zostać mnichem. To oczywiście wina Timothy'ego, i Laurette. Nigdy nie pozwolili chłopcom... pójść własną drogą. Czy wiesz, że jedyny żaloszny akt buntu, na jaki zdobył się Trent, polegał na przyłączeniu się do pewnej sekty? Timothy bardzo szybko położył temu kres. Wszyscy oni to głupcy, że tak paskudnie cię traktowali.

Uśmiechnęła się.

- Przynajmniej ty zawsze byłeś konsekwentny, Rod.

- Nie uda im się obalić testamentu. Timothy bardzo rozsądnie postąpił, zostawiając im odpowiednie sumy, nie jakieś grosze, co potraktowaliby jako obrazę. Ty odziedziczysz większość majątku, to znaczy przedsiębiorstwa, krajowe i międzynarodowe, zrzeszone pod egidą ACI. Władza i odpowiedzialność, jakie się z tym wiążą, są olbrzymie.

Powtórzyła mu to, co powtarzała już wielokrotnie:

- Jestem muzykiem. Nic nie wiem o interesach. I jestem kobietą. Nawet w moim świecie kobiety nadal są dyskryminowane. W świecie interesów zostałabym zniszczona, zrujnowana bez cienia litości i bez żadnego wysiłku.

- Nie, jeśli otoczysz się batalionem mężczyzn, którzy wiedzą, co robić. Już ich znalazłem, Elizabeth. Pozostaną wobec ciebie lojalni i będą cię chronić. Od śmierci Timothy'ego Bradley, a zwłaszcza jego wuj, starali się zmniejszyć twoją potencjalną władzę. To Laurette trzyma wodze. Lecz ten stan rzeczy musi ulec zmianie, i to bardzo szybko.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak Michael Carleton mógłby maczać palce w licznych przedsięwzięciach Timothy'ego. Jest niemal równie bogaty, jak jego brat.

- Można wiele zarzucić Michaelowi, ale nie brak inteligencji. Posiada też nieskończony zasób energii i wrodzony talent do... no cóż, do wszystkiego. To dosyć dziwne, że nie wyzwolił się spod władzy matki. Laurette nie pozwoli żadnemu z nich się wymknąć, nigdy, dopóki żyje.

- Timothy zawsze powtarzał, że ster powinny trzymać silne dłonie. Nie te - dodała, patrząc na swoje szczupłe ręce. - Ani nie kilka tuzinów silnych dłoni.

- Więc będziesz musiała wszystkiego się nauczyć, prawda? Nie możesz podzielić ACI.

Zmarszczyła brwi, znużona jego uporem, jego niezachwianym przekonaniem, że ma rację.

- Czy nadal uważasz, że jestem winna, Rod?

Pytanie padło zniemacka i zastało Roda nieprzygotowanym, toteż jego twarz natychmiast zdradziła, co myślał.

- Elizabeth... Potrząsnęła głową.

- Nie zabiłam go, Rod. To prawda, że miałam po temu okazję, ale nie motyw - widzisz, zamierałam go opuścić. Nie wspominałam ci o tym wcześniej, ponieważ... no cóż, moje postanowienie nie miało związku ze sprawą, a i Moretti jakoś na to nie wpadł.

Wpatrywał się w nią intensywnie.

- Dlaczego? - zapytał w końcu.

- Wiem, że mi nie uwierzysz, ale nie kłamię. Ja... no cóż, nie mogłam już tego znieść. Timothy zachowywał się coraz bardziej dziwnie, prawdę mówiąc, grubiańsko. Lecz która kobieta

zrezygnowałaby dobrowolnie z takiego bogactwa? Po prostu rzuciła wszystko i poszła sobie? O tym właśnie teraz myślisz, prawda, Rod?

Grubiańsko? Co on jej zrobił?

- Więc kto zamordował Timothy'ego? - zapytał.

- Nie wiem. Zadawałam sobie to pytanie setki razy. Nie setki, tysiące.

Chciał jej wierzyć. Boże, pragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego.

- Czy Timothy wiedział, że chcesz go opuścić?

- Nie, nie sędzę. Właśnie o tym myślałam w ciągu tych godzin, które spędziłam samotnie, spacerując tamtej nocy. Nikt nie wiedział.

- Do licha, powinnaś była mi powiedzieć!

- Dlaczego? Ty nie powiedziałaś mi o Hunterze. Jej twarz mówiła mu także, iż była przekonana, że i tak by jej nie uwierzył.

- Miałem powód. Bałem się, że powiesz lub zrobisz coś, co narazi na szwank nasze wysiłki.

- To nie wygląda ani trochę tak, jak w powieściach o Perrym Masonie, prawda, Rod?

Ten przebłysk humoru bardzo go ucieszył. Minęło już wiele czasu od chwili, kiedy widział ją rozbawioną.

Czy naprawdę była niewinna?

Przyjął następny kieliszek szampana z rąk Kogiego, zawsze obecnego Kogiego, który nie stanął przy swoim pracodawcy w noc morderstwa. Nie było w tym jednak niczego niezwykłego. Pokoje dla służby znajdują się na trzecim piętrze. Nikt z nich niczego nie słyszał, nawet skrzypnięcia windy. A Gallagher zszedł z posterunku, żeby pójść do delikatesów. Stary nawyk. Każdy, kto obserwowałby go dzień lub dwa, mógłby się o tym przekonać. Rod potrząsnął głową, dziwiąc się samemu sobie. To już nie miało znaczenia. Elizabeth jest wolna.

Dopił szampana.

- W poniedziałek, Elizabeth - powiedział. - W poniedziałek w moim biurze zbierze się cały klan. Ty też musisz być obecna.

Przymknęła powieki. Oczami wyobraźni zobaczyła przepelnione nienawiścią twarze Carletonów.

- Czy twoje biuro jest wystarczająco duże? - spytała. - Mogą przywlec ze sobą armatę.

Uśmiechnął się.

- Nie sędzę. Będziemy w sali konferencyjnej. Niech Drake cię przywiezie. Jeśli w pobliżu pojawiają się reporterzy, już on potrafi się ich pozbyć. Spotkanie zaczyna się o dziesiątej.

W pokoju zapadło milczenie. Chciał ją zapewnić, że zrobi, co tylko w jego mocy, by jej nie skrzywdzono, lecz właśnie wtedy powiedziała:

- Mam zamiar wszystko im zostawić.

- Nie! - krzyknął i zamarł.

- Ale dlaczego, Rod? Nie są moją rodziną, nigdy mnie nie zaakceptowali. Nienawidzą mnie. Uważają, że zamordowałam Timothy'ego.

- Tylko bez wielkodusznych gestów, Elizabeth. Nawet coś takiego nie ochroni cię przed atakami prasy, nienawiścią Carletonów czy potępieniem z ich strony.

Przyglądał się, jak Liz ćwiczy palce, wykonując mimowolne gesty, które fascynowały go tak, jak na początku fascynowały Timothy'ego.

- Jedno z nich musiało go zabić. Nikt inny nie miał motywu. No i powiedziałaś, że Timothy nie wspominał im, iż ma zamiar zmienić na moją korzyść testament.

- Być może masz rację. Lecz oni wszyscy przedstawili niepodważalne alibi, wiesz o tym.

Jednak czy któreś z nich nie mogło wynająć zabójcy?

Znowu to robi. Do licha, nie jest Paulem Drake'em, nie pracuje dla Perry'ego Masona. Wszystko skończone. Musi dać sobie z tym spokój, tak, jak zrobiła to Elizabeth.

- Owszem - powiedziała - wiem o tym. Próbowала się uśmiechnąć, lecz okazało się to zbyt bolesne.

- Przemyślę sobie wszystko jeszcze raz, Rod. Zobaczymy się w poniedziałek rano.

*

Budynek konsorcjum Abercrombie-Carleton, szesnastopiętrowy przedwojenny wieżowiec, położony przy skrzyżowaniu Park Avenue i Trzydziestej Szóstej, bardzo podobał się Laurette Carleton. Za każdym razem, gdy spoglądała na olbrzymie pseudodoryckie kolumny sięgające drugiego piętra i ich mniejsze, nie tak pretensjonalne odpowiedniki między piętrem dziesiątym a jedenastym, uśmiechała się do siebie. Minęło już tyle czasu, od kiedy ona i Timothy bez końca ślęczeli nad planami. Jej pierworodny, choć tak wówczas młody, był już bardzo twórczy. Kiedy George, szofer, pomagał wydostać się swej chlebodawczyni z białego cadillaca Carletonów, Laurette spochmurniała nieco, spoglądając wzdłuż poczerńiałej od spalin fasady.

- Ten budynek potrzebuje nowej twarzy - zażartowała, a George lekko skinął głową.

- Jak większość z nas - dodała pod nosem.

Na parterze znajdował się olbrzymi hol z sześcioma windami. Sufit był ozdobiony rzeźbami włoskich rzemieślników, którzy przybyli do Ameryki w latach trzydziestych i czterdziestych. Zdobienia siedziby Carletonów wydawały się bardziej wyszukane niż te w budynku Woolwortha, przynajmniej zdaniem Laurette. Podłogi z włoskiego marmuru lśniły, jak zawsze w poniedziałki rano.

Wsiadła do prywatnej windy, która miała ją zawieźć na szesnaste piętro. Gdy przechodziła, mężczyźni i kobiety przerywali pracę, by ją powitać. Jeden z asystentów Bradleya wprowadził ją do sali konferencyjnej.

Siadając za stołem, uświadomiła sobie, jak bardzo czuje się zmęczona, od kiedy sąd orzekł niewinność Elizabeth. Pragnęła, by synowa wylądowała w więzieniu na resztę życia, lecz odmówiono jej tej pociechy. Powoli przesunęła palcami po gładkim starym mahoniu i wsłuchiwała się w narastający szmer rozmów, prowadzonych przez znajdujących się w sali krewnych. Tak naprawdę wcale nie była ich ciekawa, ponieważ знаła już wszystkie argumenty. Przysłuchiwała się temu od tak dawna, że teraz mogłaby przemówić do każdego z nich jego własnymi słowami. Głos Michaela wzniósł się ponad inne. Mówił w sposób bardziej zrównoważony, lecz też dawało się wyczuć gniew.

Jak na mężczyznę pięćdziesięciosześcioletniego prezentuje się zupełnie dobrze, pomyślała. Wiedziała, że formę zawdzięcza codziennym ćwiczeniom w prywatnej sali gimnastycznej. Wyglądał jak jego ojciec, Mason Douglas Carleton - grubokościsty, o szerokiej twarzy, a jednak przystojny ze swymi jasnoniebieskimi oczami i mocną linią szczęki. Ma dobre zęby, pomyślała. Zamknęła oczy, pozwalając, by przeniknął ją znany ból. Timothy nie miał tak dobrych zębów, lecz, oczywiście, był od Michaela starszy o całe osiem lat.

- Ta kobieta wkrótce tu będzie - powiedział Michael. - I żeby żadne z was nie miało wątpliwości: Rod Samuels nadał będzie ją ochraniał, tak jak przekupił świadka. Jednak musimy obalić ten przeklęty testament.

Ramsey Denebar, mężczyzna w wieku Michaela, znany ze swych umiejętności adwokat, nie odezwał się i polerował grube szkła okularów, mocno zaciskając przy tym wargi.

Laurette doskonale wiedziała, co myślał. W ciągu ostatnich trzydziestu lat poznała jego drobne nawyki. Nie wierzył, by udało im się obalić testament.

Laurette pożałowała przelotnie, że to nie Boże Narodzenie i że jej krewni nie zebrali się w domu rodzinnym na Long Island, by zdecydować, na które przyjęcie się udać lub ile grzanego wina wypić przed obiadem.

Brad i Trent, dwaj synowie Timothy'ego, sprzeczali się po cichu. Catherine, jej piękna wnuczka i jedyna córka Timothy'ego, zaledwie dwudziestotrzyletnia, lecz równie agresywna i przebiegła, jak każdy z jej męskich krewnych, studiowała swój doskonały manikiur.

Zbiera siły, pomyślała babka. Nie chce marnować ich na kłótnie z rodziną. Trzeci syn Laurette, William, rozmawiał z Ramseyem na temat wyprawy jachtem do Australii. Drogi William, którego nie obchodziło imperium Carletonów i który myślał tylko o własnych przyjemnościach. Być może postępował słusznie.

Za nic nie przyznałaby, nawet przed samą sobą, że urodziła nieudacznika, czarną owcę. Ciekawe, dlaczego w ogóle zdecydował się przyjść, pomyślała.

- Uważam, że wszyscy powinniście ze mną popłynąć - mówił właśnie William. - Miesiąc z dala od głównianego Nowego Jorku, pośród oceanu...

- Zamknij się, Will - wtrącił Michael, spoglądając na brata spod zmarszczonych brwi. - W przeciwieństwie do ciebie trzymają nas tu obowiązki. Nie wolno dopuścić, by ta kobieta ulotniła się z fortuną Carletonów.

William uniósł kruczoczarne brwi.

- Ta kobieta była żoną Timothy'ego. On nigdy nie uważał swego majątku za fortunę Carletonów, to zawsze była jego fortuna. I po prostu zostawił ją swojej żonie.

- Uważasz, że powinniśmy mu na to pozwolić? Przecież ona musiała wywierać na niego wpływ, i to niemały.

- Tak, wuju Michaelu - powiedziała Callierine - a potem go zamordowała.

- Sugerowałbym - powiedział Ramsey łagodnym tonem - byś zachowała dla siebie co bardziej obelżywe opinie. To nam nie pomoże. Elizabeth Carleton została niewinniona, wiesz o tym. Wolałbym nie angażować się w proces o zniesławienie.

- Co zatem proponujesz, Ramsey? Jak powinniśmy postąpić? Pochylić głowy i pozwolić, by postawiła na swoim?

- Prawdopodobnie możemy zawrzeć układ - odparł Ramsey. - Wątpię, by Samuels okazał się nierozsądny.

Odwrócił się od Catherine i zaczął przekładać papiery, leżące przed nim na stole.

- Popieram - powiedział William Carleton, rzucając starszemu bratu wyzywające spojrzenie. - Żyj i daj żyć innym. Wystarczy tego dla wszystkich do końca życia.

Michael nigdy nie potrafił zignorować tego rodzaju spojrzenia i Laurette spostrzegła, że twarz syna oblewa się szkarłatem. Z pewnością nadużywa solarium, pomyślała. Jego skóra wygląda na bardziej spaloną słońcem niż skóra Williama. Tylko słowa się zmieniają, rozmyślała dalej, obserwując, jak Michael otwiera usta niczym ryba. William drażnił się ze starszym bratem, od kiedy nauczył się mówić.

A potem do sali wszedł Rod Samuels z Elizabeth u boku. Ta kobieta ma styl, pomyślała Laurette, przyglądając się, jak Elizabeth zajmuje miejsce po prawej stronie Roda. I nie ma to nic wspólnego z bardzo kosztownym strojem. To Timothy zmusił ją, by ubierała się w drogie ciuchy. Elegancka

apaszka od Hermesa, w kolorze jaskrawego błękitu, przełamująca wystudiowaną powagę kostiumu z szarej wełny, zaprojektowanego przez Armaniego. Wąską talię Elizabeth podkreślał szeroki, czarny skórzany pasek. Laurette spojrzała na twarz synowej i dostrzegła spokój, obojętność oraz rezerwę, które tak pociągały Timothy'ego. A teraz Timothy nie żyje. Serce Laurette przyśpieszyło.

- Widzę, że wszyscy już są - powiedział Samuels. - Ramsey - dodał, skinąwszy głową koledze i okazjonalnemu przeciwnikowi, którego znał od dwudziestu lat. - Dobrze wyglądasz, Laurette.

- Dziękuję - odparta, spoglądając znów na bladą, opanowaną twarz Elizabeth. - Zostałaś niewinniona, Elizabeth. Możemy więc załatwić sprawę testamentu. Ufam, że okażesz się rozsądna.

Elizabeth spojrzała na teściową. Timothy powiedział kiedyś, że jego matka nie zmieniła się w ostatnim dwudziestoleciu. I pewnie była to prawda. W wieku osiemdziesięciu trzech lat Laurette nadal szczyciła się władczą i królewską postawą, była silna i pewna siebie. Jej białe włosy pozostały gęste, u jasna cera przypominała nieskazitelny pergamin. W jej obecności Elizabeth zawsze czuła się jak siódme dziecko stróża.

Oni wszyscy, pomyślała, spoglądając przez stół na gromadę Carletonów, oni wszyscy są tacy pewni siebie, może z wyjątkiem Williama, któremu po prostu na tym nie zależy.

- 1 co, Elizabeth?

Głos Laurette brzmiał ostro, lecz Rod mówi! spokojnie:

- Jak wszyscy dobrze wiecie, Timothy pozostawił gros swego majątku trzeciej żonie, Elizabeth Xavier Carleton. Żadnemu z was nic stała się krzywda, nie zostaliście też poniżeni warunkami testamentu.

Brad Carleton, najstarszy syn Timothy'ego, wyprostował się na krześle.

- Chyba żartujesz, Samuels! Ta... kobieta nie zasługuje nawet na ćwierć centa z jego majątku! Co więcej, nie ma pojęcia o interesach, nie mówiąc już o prowadzeniu imperium ojca. Ona wszystko zniszczy. Bóg jeden wie, że kobiety...

- Ależ, mój chłopcze - powiedział William uspokajającym tonem, spoglądając znacząco na bratanka - z pewnością nie chcesz kontynuować tego tematu.

Uśmiechnął się łobuzersko do Elizabeth.

- Gratulacje, moja droga. Ciężka próba dobiegła wreszcie końca.

- Wuju Williamie - powiedział ostro Trent Carleton - to wszystko niezbyt cię obchodzi, prawda? W końcu nie jesteś prawdziwym spadkobiercą. Zgadza się z Bradem. Nie wolno dopuścić, by ta kobieta roztrwoniła fortunę ojca i zmarnowała owoc pracy całego jego życia.

- Wątpię, czy trzystu osobom udałoby się tego dokonać, choćby przez całe swoje życie niczym innym się nie zajmowali - powiedział Rod.

- Drogi chłopcze - kontynuował William jak gdyby nigdy nic - twój szanowny ojciec zostawił mi milion dolarów. To chyba czyni ze mnie spadkobiercę.

Laurette zmarszczyła lekko brwi. Zachowywali się żenująco. Jeszcze kilka tego typu wypowiedzi, a Elizabeth zatnie się w uporze. Odchrząknęła, i ten jakże zwyczajny odgłos, podobnie jak setki razy w przeszłości, sprawił, że wszystkie twarze odwróciły się natychmiast ku matce rodu.

- Elizabeth - powiedziała niskim głosem - zgadzam się z Williamem. Twoja próba dobiegła końca.

Jednak problem majątku Timothy'ego pozostał. Jesteśmy jego rodziną. Troszczymy się o to, co stanie się z imperium Carletonów. Michael, Brad i Trent są doskonale zaznajomieni z interesami konsorcjum. Ty nie. Nie wiesz nic o prowadzeniu interesów, prawda? Ciekawe, czy ona

rzeczywiście chce, bym jej odpowiedziała, pomyślała Elizabeth. Postanowiła pójść na kompromis. Skinęła głową. To była prawda. Nie знаła się na prowadzeniu interesów.

- Sama widzisz - powiedziała Laurette, obdarzając Elizabeth jednym ze swoich wystudiuowanych uśmiechów. - Proponuję, abyś po prostu wyszła z rodziny, lecz, oczywiście, nie tak, jak do niej weszłaś. Sądzę, że suma, powiedzmy, dziesięciu milionów dolarów będzie wystarczającą gratyfikacją za trzy lata z Timothyem.

Rod Samuels roześmiał się. Nawet Ramsey Denebar wydawał się zdumiony. To była obraza. Elizabeth już miała powiedzieć Laurette, że może sobie zatrzymać swoje dziesięć milionów, byle tylko ona, Elizabeth, nie musiała już nigdy więcej oglądać nikogo z tej rodziny, lecz poczuła, jak Rod nakrywa pod stołem jej dłoń swoją.

On zna mnie zbyt dobrze, pomyślała.

- Ależ, Laurette - zabrał głos - chyba nie mówisz poważnie. Nawet nie będziemy się nad tym zastanawiali. Zapewne zdałaś już sobie sprawę, że testamentu nie da się obalić. Jednakże...

Teraz albo nigdy, pomyślała Elizabeth. Ich nienawiść nadciągała falami, które zdawały się tak materialne, że miała ochotę się cofnąć.

- Chyba powinnam coś powiedzieć, Rod. Laurette, twoja propozycja... no cóż, nie tego oczekiwałam. Nawet nie będę się zastanawiać, czy powinnam przyjąć dziesięć milionów z majątku Timothy'ego. Prawdę mówiąc, nie zamierzam...

Catherine Carleton przerwała jej, wstając z wdziękiem ze swego miejsca.

- Ty podła, zła kobieto! Poślubiłaś mojego ojca dla pieniędzy, panoszyłaś się przez trzy lata, a potem zamordowałaś go, kiedy się przekonał, jaką jesteś dziwką! Wszyscy wiemy, że przekupiłaś tego człowieka, aby zeznawał na twoją korzyść. Nie jesteś warta ani centa z majątku ojca!

Elizabeth nawet nie drgnęła, a wyraz jej twarzy nie zmienił się.

- Nie zabiłam twojego ojca - powiedziała w końcu spokojnie.

- Ty zakłamana suko! Pozbyłaś się jego dziecka, tak go nienawidziłaś, nie chciałaś marnować sobie życia!

- Dość tego - oświadczył Ramsey Denebar stanowczo.

Wiedział, co zamierza Elizabeth, ale gwałtowny wybuch gniewu Catherine zaskoczył go całkowicie. Ciekawe, co teraz robi Elizabeth, pomyślał, uważnie się jej przyglądając.

- Powtarzam, Catherine: nie zabiłam twego ojca - powiedziała Elizabeth, tym razem bardziej stanowczo. - Zapominasz o faktach. Poroniłam dziecko. Celowo udajesz ślepa.

Rod Samuels zaczerpnął głęboko powietrza. Poczul, że Elizabeth wysuwa dłoń z jego dłoni, czuł emanujące z jej ciała napięcie. Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko przyglądał się w milczeniu, jak jego klientka wstaje z krzesła, spogląda po kolei na każdego członka rodziny, a potem mówi spokojnym, obojętnym tonem:

- Nie mam zamiaru zostawić ani grosza więcej z majątku Timothy'ego nikomu z was.

Wszyscy jesteście chciwi, zachłanni i pozbawieni uczuć. Nie obalicie testamentu. Nie pozwolę wam.

Jeśli choć spróbujecie, nie zawaham się użyć środków Timothy'ego, by was pokonać. A jeśli, jakimś cudem, uda wam się obalić testament, postaram się, aby nie było czego dzielić. Życzę miłego dnia.

Odwróciła się i wyszła powoli, cicho zamykając za sobą drzwi. Oparła się o nie. Z sali dobiegał gwar podniesionych głosów, lecz ona była już po drugiej stronie. Próbując przezwyciężyć mdłości,

spojrzała w stronę toalety.

- Dobrze się pani czuje?

Zmartwiony głos Millicent Stacy pomógł jej się pozbierać. Skinęła głową. Napotkała spojrzenie starszej kobiety i wyczytała w jej oczach sympatię, co już samo w sobie stanowiło niespotykane zjawisko, które bardzo ją zaskoczyło.

- Tak - powiedziała. - Już wszystko dobrze.

- Może weszłaby pani do gabinetu pana Carletona? Przyniosę pani szklanę wody.

Elizabeth tak właśnie zrobiła. Przyjęła wodę od pani Stacy, która była od dwudziestu dwóch lat osobistą sekretarką Timothy'ego. Po chwili kobieta zostawiła ją samą.

Elizabeth przysiadła na sofie z miękkiej szarej skóry, zastanawiając się, co też najlepszego zrobiła. Mniej więcej po trzydziestu minutach odnalazł ją tam Rod Samuels. Wygląda na mocno zszokowaną - pomyślał.

- Wspaniale się spisałaś, Elizabeth - powiedział. - Jestem z ciebie dumny. Timothy także byłby.

- Jestem głupia - odparła. - Wiesz, że miałam zamiar oddać im wszystko. - Skinął głową, a ona mówiła dalej: - Ależ ze mnie idiotka, że pozwoliłam Catherine się sprowokować.

- Lecz tama pękła, prawdą? Nie odwołasz tego, co powiedziałaś?

A widząc, że spogląda na niego niezdecydowana, dodał szybko:

- Nalegam, byś jak najszybciej sporządziła testament, w którym zostawiasz cały majątek różnym fundacjom i organizacjom dobroczynnym.

Oczy Elizabeth rozszerzyły się.

- Daj spokój, Rod, to śmieszne! Chyba nie wierzysz, że będą próbowali mnie zabić?

Rod milczał przez dłuższą chwilę, a potem powiedział cicho:

- Nie zabiłaś Timothy'ego. Ktoś jednak to zrobił. Jeżeli mordercą był jeden z członków rodziny, to co pozwala ci sądzić, że jesteś nietykalna?

Zamknęła oczy. Jej świat legł w gruzach dziesiątego lipca, a potem kompletnie oszalał. Do tej pory była bezradna, lecz teraz koniec z tym. Spojrzała na adwokata, uniosła do góry brodę i powiedziała:

- Przygotuj testament.

- Dobrze. I możesz być pewna, że się postaram, by każdy członek rodziny Carletonów, nawet nieletnie wnuki i zwierzęta domowe, znały jego postanowienia.

- To wszystko jeden wielki obłąd - powiedziała, odchylając głowę na oparcie sofy. - Włącz do testamentu jako beneficjenta siebie, Rod. Nie sądzę, abyś próbował mnie sprzątnąć.

- Nie bądź taka pewna - powiedział. - Czy nie wspomniałem ci, że była żona oskubała mnie do czysta?

Otworzyła oczy i pochyliła się w przód.

- Jesteś takim wspaniałym przyjacielem. Doceniam to. I naprawdę gorąco ci dziękuję, że ocaliłeś mi życie.

Miał ochotę powiedzieć jej, że to wyłącznie Christianowi Hunterowi powinna dziękować, lecz zmilczał. Otworzył ręcznie robioną skórzaną walizeczkę i podał Elizabeth wypchaną kopertę.

- Cóż to takiego?

- Wyjeżdżasz, Elizabeth. W środku są bilety do Paryża. Zostań tam przez trzy tygodnie i baw się dobrze. Oczywiście, w odpowiednim hotelu. Zamówiłem ci pokój w „George V”.

- Paryż - powtórzyła.

- Czas się pozbierać. Trzeba ci odpoczynku. Wyjeżdżasz jutro.

Ściskając mocno w dłoni bilety, zapytała z powątpiewaniem:

- Ale czy nie wspominałeś, że wszystko się wali? I że synowie Timothy'ego próbują przejąć kontrolę?

- Trzy tygodnie nie uczynią większej różnicy. Zawarłem z nimi układ, Elizabeth. Musiałem. Ramsey nie jest głupcem.

Po prostu spozrzała na niego, czekając i prezentując ten swój nieobecny, pełen rezerwy sposób bycia.

- Brad pozostanie na stanowisku dyrektora generalnego ACI. Trent przejmie spółki komputerowe z Krzemowej Doliny. Lecz obaj, Elizabeth, będą odpowiadali przed tobą. Ty będziesz ich szefem. Rozumiesz?

- Tak - powiedziała. - Rozumiem.

- Doskonale. A teraz, moja droga, wróć do domu i zajmij się pakowaniem.

Wyglądała na niezdecydowaną i Rod po prostu czekał. Pomyślała o swoim nauczycielu fortepianu, Claudzie Bouchecie, i jego macierzyńskiej z wyglądu i zachowania żonie, Marcie. A także o wszystkich mansardowych dachach, które wkrótce zobaczy. Uśmiechnęła się. Cieszyła ją ta perspektywa. Paryż.

41

Wspaniałe miejsce, by... By co? Odzyskać siły? Uśmiechnęła się ponownie.

- Tak, Rod. Dziękuję ci.

Patrzył, jak wychodzi, z uniesioną wysoko głową i wyprostowanymi ramionami. Była inteligentna, i to bardzo. Ale czy potrafiła wystarczająco szybko się uczyć? Poświęcić się temu? Zatrzasnął walizczkę i rozejrzał się po gabinecie. Mógłby się założyć, iż Elizabeth nie przyszło wcale do głowy, że już wkrótce będzie musiała zasiąść za tym biurkiem, biurkiem Timothy'ego.

I znowu, po raz kolejny od chwili, gdy w zeszłym tygodniu zdecydował, że jej uwierzy, zaczął się zastanawiać, kto też naprawdę zabił Timothy'ego.

Rozdział 3

Uśmiechnęła się do siebie, wspominając słowa Timothy'ego. Powiedział wówczas:

- Paryż sprawia, że czuję się podniecony. Zaczekaj, aż zobaczysz wannę w naszym apartamencie w hotelu „George V”.

...Straciła dziecko wkrótce po tym, jak wrócili z Paryża...

Potrząsnęła głową. Nie będzie o tym teraz myślała. Limuzyna sunęła miękko z lotniska Orly, wioząc ją w kierunku miasta. Niebo było zachmurzone, a powietrze chłodne i wilgotne.

Monsieur Malieau podszedł do niej przy stanowisku celników, skrupulatnie się wylegitymował dokumentem ACI i przeprowadził ją szybko przez cło. Elizabeth nie zapytała, kim on jest. Nie chciała wiedzieć, jeszcze nie teraz. Odprowadził ją do limuzyny, a potem pożegnał skinieniem głowy.

Kiedy samochód zjechał miękko z Champs Elysees i skręcił w Avenue George V, po lewej pojawił się budynek hotelu. Jego wieżyczki i fasada wydawały się równie szare jak pogoda tego popołudnia. Odczuwała całą sobą dostojne piękno, jakim emanował budynek, i napawała się tym, dopóki nie zobaczyła gromady fotoreporterów i dziennikarzy, biegnących ku limuzynie. Usłyszała, jak jeden z mężczyzn krzyczy:

- Elizabeth X! *Elle est ici!*

Zamknęła oczy, lecz tylko na chwilę, a potem powiedziała stanowczo do kierowcy:

- Jedź dalej. Szybko! *Allez!*

Auto wyminęło tłum biegnących za nimi reporterów. Skąd wiedzieli? Rod by im nie powiedział. *Monsieur* Malieau, oczywiście.

- Dokąd życzy pani sobie jechać, *madame*? - zapytał doskonałą angielszczyzną kierowca.

Elizabeth znowu zagłębiła się w myślach. Byle dalej od siebie, od bólu i cierpienia.

- *Madame*? Zamrugwała.

- Czy może pan polecić mi jakiś hotelik, może na lewym brzegu? Coś niedużego.

Dostrzegła taksujące spojrzenie młodzieńca i zdała sobie sprawę, iż zapewne natychmiast gdy ją odwiezie, powiadomi o miejscu jej pobytu reporterów. Ile franków mogli zapłacić mu za taką informację?

Nie odezwała się jednak, po prostu czekała.

- Avenue Bosquet, *madame* - powiedział w końcu. Jest tam mały prywatny hotel „La Petite Mer”.

- W porządku, proszę mnie tam zawieźć.

Kiedy wysiadła, a samochód odjechał, natychmiast przywołała kolejną taksówkę.

Po chwili znalazła się na Rue St. Andre des Arts w niewielkim hotelu, którego konsjerżka, *madame* LeBanu, wydawała się bardziej zainteresowana złą pogodą niż kolejną amerykańską turystką. Uniosła nieco brwi, bo nagle zobaczyła walizki od Louisa Vuittona, ale nie odezwała się.

- Będzie tu pani sama, *madame!* - spytała, mocno akcentując angielskie słowa.

- Zupełnie sama - potwierdziła Elizabeth, udając się za konsjerżką do windy.

Pokój na drugim piętrze był mały i czysty, a z okien roztaczał się widok na mansardowe dachy i kominy budynku naprzeciw. W pokoju znajdowała się też niewielka staromodna łazienka, z rodzaju tych, które wydają się czarujące, dopóki nie trzeba z nich skorzystać.

Elizabeth była kompletnie wyczerpana. Powiesiła ubrania w szafie, a potem opadła na wąskie łóżko, przykryła się bladożółtym pledem z kordonką i zapadła w sen. Spała do dziesiątej wieczór.

Kiedy wieczorem wyszła z pokoju, by coś przekąsić, o mało nie wezwała taksówki, aby pojechać do „Les Deux Magots”. Pokiwała z politowaniem głową. To była jedna z ulubionych kawiarni Timothy’ego i z pewnością zastałaby w niej ludzi, którzy mogliby ją rozpoznać. Pragnęła zachować anonimowość. Deszcz przestał już padać i ulice zapełniły się studentami Sorbony, śmiejącymi się, obejmującymi, całującymi i jedzącymi hamburgery. Tylko ona była sama.

Znalazła małą kafejkę w pobliżu Sekwany, na ulicy de la Renaissance. Usiadła tak, by widzieć zjawiskowe wieżyczki Notre Dame.

Kiedy wróciła do hotelu i, odurzona winem, padła na wąskie łóżko, było już po północy.

Następnego dnia posłusznie zadzwoniła do Roda.

- To gdzie się zatrzymałaś?

Powiedziała mu, gdzie i dlaczego, a on prychnął, zdegustowany:

- Przypuszczam, że to musiał być Malieau. Postaram się, aby ten mały sukinsyn za to oberwał.

W końcu to tylko podwładny, pomyślała Elizabeth. Nie czuła współczucia. Rod co najmniej trzy razy powtórzył jej, by dobrze się bawiła. Na tym skończyli rozmowę.

Przez trzy dni snuła się bez celu po Paryżu, a potem zadzwoniła do Claude’a i Marty. Zaprosili ją na kolację na następny wieczór.

Claude miał krótkie serdelkowate palce i Elizabeth nie mogła się nadziwić, jak tak małe „artystyczne” ręce mogą pieścić klawisze fortepianu z równie doskonałym efektem. Dobiegał już sześćdziesiątki. Oczy miał czarne niczym węgiel, a włosy gęste i siwe. Życzliwy zazwyczaj wyraz twarzy Francuza zmieniał się tylko wtedy, kiedy udzielał wskazówek swoim uczniom, czyli kretynom, jak zwykł ich nazywać. W swoim czasie dotyczyło to także Elizabeth.

Marta Bouchet była równie krągła jak mąż, lecz wyższa. Miała ostry język i złote serce.

Dom Bouchetów znajdował się w pobliżu Lasku Bulońskiego, oddalony nieco od drogi i ukryty w cieniu potężnych klonów.

Oby tylko nie wspomnieli o procesie, pomyślała Elizabeth.

Na miejscu spostrzegła, że okna dwukondygnacyjnego budynku są jaskrawo oświetlone, a na podjeździe parkuje co najmniej tuzin samochodów. Zastanawiała się, czy nie umknąć. Mogłaby zadzwonić i wymówić się bólem głowy. Jednak nie zdecydowała się wystarczająco szybko. Marta we własnej osobie pojawiła się w świetle frontowych drzwi i zawołała ją po imieniu.

Elizabeth zapłaciła taksówkarzowi i już po chwili znalazła się w uścisku silnych ramion pani Bouchet. Załapała ją powódź czułych francuskich słówek, a uściskomal nie zmiażdżył jej żeber.

- To tylko małe przyjęcie na twoją cześć - powiedziała Marta.

Poklepała Elizabeth po policzku i wciągnęła do środka, gdzie pomogła jej zdjąć płaszcz, a potem popchnęła ją w objęcia Claude’a.

Elizabeth zobaczyła pokój pełen ludzi.

- Nie martw się, moja droga - powiedział Claude, widząc jej konsternację. - Nikt z nich nie ośmieli się sprawić ci przykrości.

Roześmiał się.

- Jednak muzycy, moja droga, nie mają zwyczaju zaprzętać sobie głowy sprawami tego świata. Co innego, gdybyś zarznęła sonatę Mozarta...

Zarżnięty. Zakłuty srebrnym szpikulcem do lodu.

Elizabeth starała się zapanować nad wyrazem twarzy, ponieważ Claude wpatrywał się w nią wprost rozpromieniony. Udało jej się uśmiechnąć, ale był to uśmiech słaby i niepewny. Ku zdumieniu Elizabeth przedstawiono ją jako *madame* Xavier, bardzo utalentowaną amerykańską pianistkę. Widziała, jak rysy obecnych zmieniają się pod wpływem domysłów i skojarzeń. Oczywiście nie wszyscy goście byli Francuzami. Claude szczyił się, że potrafi ściągnąć do domu utalentowanych „kretynów” z każdej części świata.

Ostatni gość, do którego doprowadziła ją Marta, był Amerykaninem. Elizabeth wiedziała o tym, zanim otworzył usta. Otaczała go aura pewności siebie.

Spróbowała się wycofać, desperacko pragnęła odejść, lecz uścisk Marty był niczym imadło.

- To zaś, droga Elizabeth, jest Rowen Chalmers, bankier z Bostonu. Człowiek z realnego świata.

Elizabeth czekała na błysk rozpoznania i pogardliwej niechęci w jego oczach, albo na jakikolwiek przejaw nieposkromionej ciekawości, wobec której tak trudno było zachować obojętność. Jednak on uśmiechnął się tylko i ujął jej dłoń.

- Bardzo mi miło - powiedział głębokim głosem. - Oczywiście, słyszałem, jak pani gra. To była wielka przyjemność, słuchać panią.

- Dziękuję. A co pan tu robi? Czy jest pan pianistą, jak inni?

Spostrzegła, że jest przystojny.

- Mam talent jedynie do podziwiania. Napije się pani szampana?

Skinęła głową. Czekala. Marta uśmiechnęła się do niej szeroko i zostawiła ją w towarzystwie rodaka.

- Proszę mówić mi Rowe - powiedział i podał jej kieliszek.

Lecz ona w ogóle nie miała ochoty się do niego odzywać. Miała ochotę wyjść.

- Śliczna sukienka. Kupiła ją pani w Paryżu?

- Nie. Givenchy eksportuje swoje wyroby do Nowego Jorku.

Beżowa sukienka z kaszmiru, zapinana wysoko pod szyją, z długimi rękawami, była tradycyjna, lecz bardzo szykowna i Timothy, sam nieskończenie elegancki, nalegał, by ją kupiła.

Sączyła szampan, wpatrując się w unoszące się ku górze kieliszka bąbelki.

Głęboki głos Chalmersa wyrwał ją z zamyślenia.

- Jak przypuszczam, Marta i Claude nie uprzedzili pani o tym małym przyjęciu na pani cześć.

- Nie.

- Szkoda. Jednak nie może się pani ukrywać w nieskończoność.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała i odwróciła się, by odejść.

Zdążyła zrobić zaledwie dwa kroki, gdy poczuła, że Chalmers chwyta ją za ramię.

- Najmocniej przepraszam, pani Carleton. Nie chciałem pani obrazić. Znałem Timothy'ego i wiem, że to nie pani go zabiła. Może zaczniemy jeszcze raz?

Jednak w Elizabeth jego nadmiernie gładkie maniery wywołały jedynie niechęć.

- A dlaczego pan tak sądzi? - zapytała drwiącym tonem. - Czyż nie był dość bogaty i dość stary? Nie stanowił doskonałego celu dla młodej chciwej żony?

Chalmers nie podjął wyzwania.

- Wyrządzono pani straszną krzywdę. Przykro mi z tego powodu, ale uważam, że trzeba raz

stawić temu czoło. Potem możemy o wszystkim zapomnieć.

Choć na jej bladej twarzy nie doszukał się ani śladu zachęty, mówił dalej.

- Ja już zapomniałem. I co, zagra pani dziś dla nas? Może coś Scarlattiego?

Po kolacji, złożonej z zimnych potraw, zagrała trzy utwory Scarlattiego i aplauz słuchaczy rozgrzał jej serce. Rowen Chalmers stał w pobliżu fortepianu, nie opuszczając wzroku z twarzy artystki. Zastanawiała się, kim on jest i skąd zna Claude'a. Nie wspominając już o Timothy. Skończyła, zmęczona, i uśmiechnęła się do Claude'a, czekając na słowa nieuniknionej krytyki. Nie rozczarował jej, a ona uznała to za jeszcze bardziej rozgrzewające niż oklaski. Było tak, jakby cofnęła się w czasie o pięć lat, gdy jeszcze nie знаła Timothy'ego.

- W trzecim takcie grałaś zupełnie jak jeden z tych kretynów - powiedział Claude. - Technika masz co prawda niezłą, droga Elizabeth, ale zdecydowanie wyszłaś z wprawy. Przyjdiesz do mnie i Claude sprawi, że twoje paluszki odzyskają sprawność.

Rowen Chalmer szepnął jej do ucha:

- Ja uważam, że skopała pani siódmy takt na drugiej stronie. Zbyt wiele technicznej gimnastyki, a za mało finezji.

Roześmiała się.

- Pan i Claude powinniście porównać notatki.

- Prawdę mówiąc, byłem tak wzruszony, że chciało mi się płakać.

Wyprostowała się z dumą.

- Dziękuję panu, panie Chalmers - powiedziała spokojnie.

Zobaczyła, że Marta wymachuje ramionami w typowo francuskim geście, starając się przyciągnąć uwagę jednego ze swych gości.

- Miło mi było pana poznać - powiedziała i oddaliła się.

Claude dzwonił po taksówkę. Rowen Chalmers pochylił się do ucha Elizabeth:

- Mieszkam w pobliżu pani. Wynająłem peugeota. Całkiem niezłe się go prowadzi. Z przyjemnością panią odwiozę.

Claude przestał wybierać numer i spojrzał pytająco na kobietę.

Całkiem miły facet, pomyślała. Jednak nie chciała mieć do czynienia z nikim obcym, zwłaszcza jeśli ten ktoś był Amerykaninem. Amerykaninem, który znał Timothy'ego. Stała, niezdecydowana, przyglądając się, jak Claude odkłada słuchawkę na widelki.

- Pojedziesz ze swoim przyjacielem, tak? Chyba zobaczymy się jeszcze przed twoim wyjazdem, prawda?

Nie wiedziała, jak postąpić.

- Obiecuję, że będę traktował panią tak jak Claude - zapewnił ją Rowen Chalmers. - Mogę krytykować pani technikę i w nieskończoność wyrzekać na to, jak wykonuje pani tryle, a nawet nazywać panią kretynką, jeśli to pani odpowiada.

- Doskonale - odparła.

Nagle poczuła, że ten człowiek usiłował po prostu być uprzejmy.

- Jeżeli zechce pani pożyczyć od Claude'a jakieś nuty, mogę wymachiwać nimi pani przed nosem, wykrzykując, że nie zasługuje pani nawet na to, by polerować klawisze.

Tym razem uśmiech przyszedł jej o wiele łatwiej.

- Dziękuję - powiedziała. - Dziękuję.

Peugeot sunął ulicami niemal bezszelestnie. Elizabeth oparła głowę o skórzany zagłówek i

przymknęła powieki.

- Jak to się stało, że poznał pan Martę i Claude'a? - spytała, nie otwierając oczu.

- Jestem kimś w rodzaju wysłannika sponsorów Claude'a. Nie mogli osobiście przekazać mi pieniędzy, więc poprosili mnie, żebym zorientował się w sytuacji, oczywiście za drobną opłatą.

- Kim oni są? Być może ich znam.

- Życzą sobie pozostać anonimowi. Ja z przyjemnością przekazuję pieniądze i odbieram wyrazy wdzięczności. A czy pani też jest mecenasem sztuki? Uśmiechnęła się.

- Tak, owszem. Od trzech lat.

- Podobnie jak pani, jestem w Paryżu sam. Zostanę tu jeszcze przez dwa, trzy tygodnie. Rozwiodłem się i nie mam dzieci. Nie gwałcę kobiet, nie dręcę zwierząt i nie bekam po dobrym posiłku. Jestem zupełnie nieszkodliwy. Czy spędziłaby pani ze mną jutrzejszy dzień? Chciałbym przemknąć przez Luwr na łyżworolkach. Tak będzie znacznie szybciej i praktyczniej. Przyłączy się pani?

Elizabeth odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć. Ujrzała jedynie okryty cieniem profil.

Przystojny facet - oceniła beznamiętnie. - Pewnie w połowie drogi między trzydziestką a czterdziestką.

Wcześniej zdążyła się przyjrzeć jego dłoniom. Miał duże ręce o długich palcach. Silne i ładne.

Dlaczego nie? - pomyślała. Byłoby miło pobyć z kimś innym, porozmawiać o głupstwach, o czymś niezwiązanym z przeszłością.

- Zgoda - powiedziała w końcu. Uśmiechnął się.

- Dziękuję. Byłem pewny, że pani odmówi. Już zaczynałem sądzić, że straciłem nieco ze swego uroku.

Zesztywniała, lecz w jego ciepłym uśmiechu nie było śladu kołtuńskiego samozadowolenia.

- Albo mam szpinak między przednimi zębami.

- Nie, pańskie zęby są w porządku - powiedziała wesoło. - To gdzie się wypożycza te łyżworolki?

Elizabeth obudziła się bez uczucia ciężaru, który towarzyszył jej nieustannie przez ostatnie pół roku. Nuciała pod nosem, starając się wydusić z kranu choć trochę gorącej wody. Ubrała się w czarne spodnie od Lagerfelda i golf. Uczesała włosy w kok i przykryła je czarnym kapeluszem, dopełniając obrazu jaskrawoczerwonym kaszmirowym płaszczem. Czarne rękawiczki uzupełniły strój. Czuliła się młoda i beztroska.

Rowen Chalmers zatrzymał się w hotelu „Bristol” i właśnie tam zaprosił ją na śniadanie. Wyczuł jej rezerwę i podczas posiłku nie poruszał drażliwych tematów.

Potem pojechali taksówką do Luwru i kiedy opracowywali strategię zwiedzania Elizabeth poczuła, że jej niepewność i nieśmiałość spowodowana obcowaniem z mężczyzną, który nie jest Timothy, słabną. Chciała zobaczyć Giocondę, a on Nike z Samotraki. I, oczywiście, impresjonistów.

- Niewiele tu dzieł, które stworzyły kobiety - powiedziała Elizabeth, kiedy wędrowali przez rozległe sale.

- Berthe Morisot i Mary Cassatt - odparł, gdy dotarli do impresjonistów. - Prawdę mówiąc, próbuję kupić jeden obraz Cassatt, ale chyba nie uda mi się go zdobyć. Chyba że go ukradnę.

Spojrzała na niego, pewna, iż żartuje, lecz twarz Rowena pozostała poważna.

- Jeśli ukradniesz ten obraz, ludzie tacy jak ja nie będą mogli go podziwiać.

- Ludzie tacy jak ty, Elizabeth, mogą kazać go ukraść dla siebie.

Pieniądze Timothy'ego, pomyślała. Tyle ich jest. Potrząsnęła głową.

- Chciałabym zobaczyć grobowiec Napoleona - powiedziała.

Tak też się stało. Wydawało się zupełnie naturalne, że po wycieczce zjedzą razem kolację, a Rowe, domyślając się, iż Elizabeth pragnie uniknąć miejsc, gdzie mogłaby zostać rozpoznana, zaproponował małą restauracyjkę w pobliżu Montmartre'u.

- Dorastałam na Środkowym Zachodzie - powiedziała, zajadając się ostrygami. - Jedzenie ostryg uchodziło tam za coś grzesznego. To Claude przekonał mnie do nich, gdy przyjechałam tutaj, by się od niego uczyć. Teraz kiedy widzę ostrygę, mgła chciwości przesłania mi wzrok.

Rowe spojrział na nią znad swego talerza z cieleciną.

- Ja dorastałem w Bostonie - powiedział - i za każdym razem, kiedy widzę garnek teksańskiego *chili*, mój wzrok przesłania zarówno chciwość, jak łzy.

- Nadal mieszkasz w Bostonie?

- Częściowo. Moi rodzice tam mieszkają. Robią, co tylko się da, aby utrzymać spółki budowlane z dala od Back Bay. Przez pozostałą część roku mieszkam w Nowym Jorku. Mam tam mieszkanie.

Umówili się na następny dzień, a potem Rowe odprowadził ją do hotelu. Pocałunek, jakim obdarzył ją na pożegnanie, był chłodny i bezosobowy. Zdecydowała, że go lubi. Pozwalał jej zapomnieć.

Następnego wieczoru udali się w obchód knajpek na brzegu Sekwany. Powietrze było przejrzyste, temperatura umiarkowana, a gwiazdy błyszczące.

Ze względu na porę roku - początek lutego - nie spotkali wielu turystów, lecz pośród tych, na których się natknęli, rozpoznała wielu nowożeńców.

Kiedy zatrzymali się przy balustradzie, Rowe ujął jej dłoń w rękawicze.

- Słyszałem o twoim ojcu. Żałuję, że nigdy nie miałem okazji posłuchać, jak gra.

- Był bardzo utalentowany. To, że nie urodziłam się chłopcem, nieprzyjemnie go zaskoczyło, ale nim skończyłam trzy lata, przywykł do mojej płci i wówczas zostało przesądzone, co będę robiła w życiu.

- Kiedy umarł?

- Kiedy? Zaraz... zaraz... On i mama zginęli siedem lat temu w wypadku.

- Nie masz rodzeństwa? Przeczając potrząsnęła głową.

Rozmawiali o latach spędzonych przez nią w szkole Juilliarda, a potem o nauce u Claude'a, lecz Rowe zawsze wycofywał się, ilekroć rozmowa zahaczała o Timothy'ego.

Elizabeth dowiedziała się od swego towarzysza, że on także jest jedynakiem i pochodzi z bogatej bostońskiej rodziny z tradycjami.

- Prowadzę rodzinny interes - bank - i to, jeśli zawierzyć mojej matce, trzyma mnie z dala od kłopotów. Moja matka to istna Gorgona. Jedno jej spojrzenie sprawiłoby, że ostrygi natychmiast schowałyby się w swoich skorupkach.

Wypili do spółki butelkę *aloxecorton* w kawiarence w pobliżu hotelu Elizabeth.

- Jesteś bardzo miły - powiedziała po chwili niekrępującej ciszy.

- Wolałbym, by to aż tak cię nie dziwiło.

- I taki niewymagający - dodała. Roześmiał się.

- Och, z rozkoszą wziąłbym cię do łóżka, Elizabeth, ale są ważniejsze sprawy.

Podniosła raptownie głowę, zaszokowana swobodą, z jaką wspominał o seksie. Nie chciała, by

dostrzegł jej zmieszanie. W końcu miała już dwadzieścia osiem lat.

- Na przykład zaufanie - mówił dalej, znacznie poważniejszym tonem. - Wspólne zainteresowania, przyjaźń.

- To dziwne, żeby mężczyzna mówił coś takiego, nie uważasz?

- Wcale nie. Przynajmniej ja tak nie uważam. Co będziesz robiła, kiedy już wrócisz do domu?

- Nie jestem pewna. Mój... adwokat sądzi, że nie powinnam jeszcze wracać na trasę koncertową.

Umilkła i jej oczy lekko się zaszkliły.

- Pewnie ma rację. Ale sympatie publiczności szybko się zmieniają. Może za rok lub coś koło tego... Powinnaś dzielić się swoim talentem, nie ukrywać go.

- Dziękuję, że to powiedziałaś.

- Proszę bardzo. A może byś tu została? Żeby studiować?

- Nie, muszę zająć się imperium Timothy'ego.

- To zmartwienie jego rodziny. Co ty masz z tym wspólnego?

Spostrzegł, że jej twarz stężała, a oczy pociemniały.

- Przepraszam - powiedział szybko. - Nie chciałem być wścibski, ani cię zdenerwować.

Następnego dnia udali się na przejażdżkę brzegiem Loary, a potem zatrzymali się, by zwiedzić *Fontainebleau*. Tego wieczoru zabrał ją do *Moulin Rouge*.

Po przedstawieniu wróciła z nim do „Bristolu”, by napić się brandy. Wiedziała, co robi. Kiedy znaleźli się pod drzwiami jego pokoju, odwrócił się i powiedział:

- Nie musisz ze mną spać, Elizabeth.

Czuła się bardzo niepewnie, a jej zaufanie do siebie, jako do kobiety pożądanej, zmałało niemal do zera.

- Uważam, że jesteś piękna. Chcę się z tobą kochać, ale nie będę wywierał nacisku.

- Wiem. Nie spałam z nikim, od kiedy Timothy... na długo przed jego śmiercią.

Wyobraził ją sobie w łóżku z tym starszym i aż się skrzywił.

- Muzycy to dziwni ludzie, nie uważasz? - powiedział spokojnie. - Samotni przy swoich fortepianach, skrzypcach i tak dalej... Nie ma czasu na prawdziwy związek. Może już pora, byś przyłączyła się do zwykłych śmiertelników, Elizabeth. Uważam, że romans dobrze by ci zrobił.

Dlaczego nie, pomyślała. Jest przecież w Paryżu. Rowe to miły mężczyzna, a jego towarzystwo bardzo jej odpowiada. Rozśmiesza ją i pozwala zapomnieć o przeszłości. Wydaje się rozumieć jej rozterki. Większą część swego życia spędziła praktycznie w odosobnieniu. Trzy lata z Timothyem jeszcze tę izolację pogłębiły. Tak, pomyślała, jest dorosła i ma prawo robić, co jej się podoba. Jest przecież wolna. Ciekawe, jak by to było znowu coś czuć.

- Być może masz rację - powiedziała, próbując uśmiechnąć się do niego.

- Czy masz na sobie jedną z tych seksownych, skąpych szmatek? - zapytał nagle.

- Tak. Owszem. Jest... jest w kolorze lawendy.

- Ozdobiona koronką?

- Tak, ozdobiona koronką.

- Bardzo, ale to bardzo chciałbym ją zobaczyć - szepnął.

Rozdział 4

- Ćwiczenie czyni mistrza - powiedział, a w jego głębokim głosie dźwięczało rozbawienie.

Popieścił palcami jej ucho. - Słuchałaś tego przez całe życie, prawda?

- Tak. Ale nie w tym kontekście.

Zmusiła się, aby otworzyć oczy. Ciekawe, czy wszyscy mężczyźni chcą rozmawiać po seksie? Timothy zawsze chciał i zawsze wydawał się taki zadowolony, kiedy czuł, że stanął na wysokości zadania. Choć ona nigdy nie była pewna, jakie to było zadanie. Tak bardzo chciało jej się spać. Ciało domagało się wypoczynku, bolały ją mięśnie, o których nawet nie wiedziała, że istnieją. I wtedy zdała sobie sprawę, że jej słowa zdziwiły Rowe'a. Żrenice jego oczu rozszerzyły się, ujawniając owo zdziwienie. Usłyszała, jak mówi nienaturalnym, sztucznie obojętnym tonem:

- Najwidoczniej uwierzyłeś w tę powtarzaną do znudzenia przez prokuratora historyjkę, jakobym sypiała ze wszystkimi mężczyznami w Nowym Jorku.

Uśmiechnął się. Ten drobny przejaw humoru z jej strony sprawił, że mu ulżyło.

- No cóż, jak przypuszczam, teraz, kiedy cię poznałem i kiedy na ciebie patrzę, trudno mi uwierzyć, że mężczyźni trzymali ręce z dala od ciebie.

Przesunął dłonią wzdłuż boku Elizabeth.

- I przypuszczałeś też, że ja nie potrafię utrzymać rąk z dala od mężczyzn, prawda, Rowe? No tak, opowiadam głupstwa. Przecież właśnie się z tobą kochałam.

Nagle zachciało jej się płakać. To, co przeżyła przed chwilą, to nie był tylko seks. To było... Zamknęła oczy. Poczucie bliskości z drugim człowiekiem, czułym i troskliwym.

- Uraziłem cię swoim gadaniem, prawda? Nie odezwała się.

- Proszę, wybacz mi. Jesteś kimś bardzo szczególnym. Chyba po prostu spodziewałem się, że kobieta w twoim wieku okaże się nieco bardziej doświadczona.

- Powiedziałam ci, że nie spałam z nikim po tym, jak Timothy...

Jeśli chodzi o ścisłość, to przedtem także nie sypiała z nikim. Odsunęła od siebie tamto wspomnienie. Będzie musiała o tym zapomnieć. I prędzej czy później pewnie się jej to uda.

Wyczuła, że Rowe wzrusza ramionami.

- Tak, mówiłaś, a ja jestem cholernym głupcem. Odsunął się od niej, przewrócił na plecy i oparł głowę na złożonych dłoniach.

- Wprawiałaś mnie w zakłopotanie, Elizabeth - powiedział po chwili, wpatrując się w sufit. - Nigdy dotąd nie spotkałem kobiety podobnej do ciebie i chyba chciałem na siłę wtłoczyć cię w jakiś szablon, który potrafiłbym zrozumieć. Ale ty nie pasujesz. To znaczy, nie pasujesz do żadnego wzoru. Dla mężczyzny w moim wieku to raczej alarmujące uświadomić sobie coś takiego.

Uśmiechnęła się, czując jak napięcie ustępuje.

- Zostało ci wybaczone - powiedziała i przytuliła się do niego.

- Chyba nie jesteś jeszcze gotowa na kolejne ćwiczenia?

Nie była, lecz jego proszący, chłopięcy ton sprawił, że miała chęć dać mu to, czego pragnął.

- W porządku - powiedziała, zdziwiona, że jej słowa wywołały dreszcz, który przebiegł całe jego ciało.

Pili *tattingera* i skubali *brie*. No i ćwiczyli. Rowe wydawał się nienasycony, a Elizabeth była aż nadto chętna. Rozkoszowała się poczuciem wzajemnej bliskości, tym, że kochanek troszczy się o nią, o to, co myślała i czuła.

Pewnego razu, w hoteliku w Rheims, późno w nocy powiedziała do Rowe'a:

- Masz piękne ciało. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy...

- No cóż, Timothy miał sześćdziesiąt cztery lata - stwierdził Rowe rzeczowo. - Trudno mi sobie wyobrazić, by ktokolwiek wyglądał w tym wieku szczególnie ponętnie. Ten facet był szczęściarzem, Elizabeth, i mam nadzieję, że zdawał sobie z tego sprawę.

- Być może na początku. Rod Samuels, mój adwokat, powiedział mi, że na parę miesięcy przed śmiercią Timothy zaczął spotykać się z kobietą młodszą ode mnie, także artystką.

Rowe zeszytywniał i tak mocno zacisnął ramiona wokół jej żeber, że aż pisnęła z bólu.

Nie przywiązywała wagi do zdrady męża. W końcu to było przecież żalosne. Biedny Timothy, który nie chciał przyznać, że jest śmiertelny. I stary.

- Ona ma dwadzieścia cztery lata, nie jest dwudziestoośmioletnią staruszką, jak ja. Przypuszczam, że potrzebował nowych, ekscytujących przeżyć. No i ona zapewne jest bardzo utalentowana. Timothy'ego podniecał talent, najwidoczniej nie tylko muzyczny.

- No cóż. Wydawałoby się, że prokuratorowi okręgowemu ślinka pocieknie na samą myśl o takiej rewelacji.

- Pan Moretti o niczym nie wiedział.

- Dzięki ci, Panie, za dobrych adwokatów.

- No cóż, teraz jest już po wszystkim. Chyba w ogóle nie powinnam była o tym wspominać. Biedny Timothy.

- Nie, biedna Elizabeth. Ale teraz jesteś wolna. Zaczął ją całować.

Elizabeth nie zdawała sobie sprawy, jak jest szczęśliwa, dopóki nie nadszedł czas powrotu do Nowego Jorku. Jedli kolację w pokoju Rowe'a, w „Bristolu”. Nie lubiła kawioru, ale nie powiedziała tego.

To bieluga, Elizabeth. Napychaj się i zapomnij, że pochodzisz... skąd tam pochodzisz.

- Jesteś dziś bardzo milcząca, kochanie - zauważył, sięgając, by uścisnąć jej dłoń.

- Nie mam ochoty wracać.

- Mam nadzieję, że to ja jestem, przynajmniej częściowo, powodem.

- Tak, Rowe.

- To nie był tylko przelotny romans, Elizabeth, przynajmniej nie dla mnie.

- Ale kiedy wrócimy, będziesz bardzo zajęty. Twoje obowiązki służbowe, banki w Bostonie...

- Spędzam tyle samo czasu w Bostonie, co w Nowym Jorku. I mam zdolnych współpracowników. Kiedy jestem w Nowym Jorku, nie muszę się zamartwiać, że wiceprezesi opróżniają mi kieszenie.

- Lub kiedy jesteś w Paryżu?

- Właśnie. Mój ojciec był pracoholikiem. Bardzo się staram, by nie iść w jego ślady.

Wziął do ust następną porcję kawioru.

- Polecę z tobą do Nowego Jorku. Jak już ci mówiłem, mam tam mieszkanie na Park Avenue, w pobliżu skrzyżowania z Sześćdziesiątą Siódmą. Spodoba ci się.

- Tak - odparła. - Prawdopodobnie.

- Czeka cię mnóstwo przyjemności: twoja muzyka, przygotowania do koncertów.

Czuła, że Rowe przygląda się jej uważnie.

- Nie, jeszcze nie teraz. Mój adwokat ma rację. Ryzykowałabym, że publiczność pojawi się na koncertach nie po to, by słuchać, jak gram, ale by się na mnie gapić. Zaczekam.

- A ćwiczenia? Pod okiem Claude'a? Potrząsnęła głową.

- Niestety, poczyniłam zobowiązania. Zamierzam zrobić, co tylko będzie w mojej mocy, by przejąć ster interesów Timothy'ego.

- Chyba nie mówisz poważnie! Uniosła głowę i uśmiechnęła się leciutko.

- Nie żebym tego chciała. Powiedziałam Rodowi, że jestem muzykiem, że nie mam pojęcia o interesach.

- A zatem dlaczego? Czemu nie oddałaś rodzinie tego, co jej się należy? Nie wspominając o synach Timothy'ego.

- Prawie to zrobiłam.

- I co się wydarzyło?

Poczuła, że cała sztywnieje na wspomnienie tego okropnego zebrania w sali konferencyjnej.

- Znasz Laurette Carleton?

- Nigdy nie spotkałem tej matki rodu, ale o niej słyszałem. Musi być stara jak świat.

- Być może, lecz zachowała bystry umysł. I jest przerażająco nieugięta. Naprawdę miałam zamiar rzec się wszystkiego, dopóki nie odezwała się Catherine.

- Co takiego powiedziała?

Zorientował się, że Elizabeth nie ma ochoty w to wnikać, więc dodał szybko:

- Jeszcze trochę szampana, Elizabeth? Zapomnijmy o tej rozmowie, jeśli chcesz.

- Nie. Jesteś bardzo miły, Rowe. Znasz Catherine?

- Zetknąłem się z nią, raz. Reprezentuje klasyczny typ małej, zepsutej dziwki.

Elizabeth przez chwilę rozważała słowa Rowe'a, a potem skinęła głową.

- Pewnie masz rację, lecz ona naprawdę ma powód, by mnie nienawidzić, czemu dała wyraz podczas naszego ostatniego spotkania. Tak mnie zdenerwowała, że podjąłabym się nawet prowadzenia programu kosmicznego.

- Było aż tak źle?

- To było okropne - powiedziała cicho.

- Więc wyłącz Catherine i zostaw resztę majątku Trentowi i Bradowi.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś znał Carletonów równie dobrze jak ja.

- Carletonowie i Chalmersowie przebyli razem długą drogę. Stare pieniądze, chyba tak mówi się o naszych rodzinach. Wiesz, Newport latem... Przynajmniej niegdys. Teraz lata się nad Morze Egejskie i do St. Moritz. Prawdę mówiąc, studiowałem na Harvardzie razem z Bradem. Jest ode mnie sporo młodszy, ale skoro to Carleton...

Wzruszył ramionami.

Elizabeth przez chwilę bawiła się kawałkiem chleba. W końcu powiedziała:

- Naprawdę nie rozumiem, Rowe. Jesteś dla mnie taki miły, podczas gdy pochodzenie predestynuje cię, abys uważał mnie za parweniuszkę, za chciwe, zachłanne nic.

- Powinienem być dodać, iż uważam większość Carletonów za skończonych sukinsynów.

Usłyszała w jego głosie szczerłość i odprężyła się.

- Nie obeszloby mnie, gdybyś załatwiła ich na cacy.

- To wszystko nie jest ani trochę cacy.

- Pomogę ci, jeśli zdecydujesz się pójść tą drogą. To była bardzo wspaniałomyślna oferta, która, o ile poważnie traktował swoją obietnicę, pochłonięłaby mnóstwo jego czasu.

- Dziękuję. Pomyślę o tym. Jeżeli mam sobie poradzić i nie doprowadzić interesu do ruiny, będę potrzebowała wszelkiej pomocy, jaką tylko zdołam uzyskać.

- I ludzi, którym będziesz mogła zaufać.

- Tak - powiedziała. Uśmiechnęła się. - Czy wiesz, że nie mam pojęcia, jak nowoczesna kobieta interesu ubiera się do pracy?

- Kostiumy Christiana Diora, bez wątplenia. Albo de la Renty.

- Mówisz zupełnie jak Timothy. Kiedy pewnego razu włożyłam na siebie sukienkę, która nie pochodziła od renomowanego projektanta, o mało nie dostałam zawału.

- Nie nauczyłaś się jeszcze, jak być snobem, Elizabeth. Twoja biżuteria, na przykład, nie została kupiona u Tiffany'ego ani u Cartiera.

Przez chwilę wpatrywała się w swój nagi palec. Olbrzymi pierścień z diamentem znajdował się teraz w sejfie Carletonów.

- Chodźmy do łóżka, Elizabeth.

*

Leżała nakryta prześcieradłem, przyglądając się, jak Rowe nakłada prezerwatywę. Wziął na siebie odpowiedzialność za środki bezpieczeństwa, nawet nie wspominając jej o tym. Doceniała to, ponieważ przez krótką chwilę po tym, jak poprosił ją, by poszła z nim do łóżka, zastanawiała się gorączkowo, co powinna zrobić, aby się zabezpieczyć.

- Nie biorę pigułki już od ponad roku - powiedziała.

- I nie bierz, jeśli nie chcesz - odparł, podchodząc do łóżka.

- Moja dentystka nosi teraz rękawiczki i ciągle powtarza swoim pacjentkom, że to dlatego, aby przyzwyczyły się do obecności kondoma w ustach.

- A gdzie mieszka ta dama? Chcę dostać jej adres.

*

Elizabeth spoglądała na Roda ponad blatem stolika w „Pikowanej Żyrafie”. Stolik stał w ustronnym miejscu, skąd jednak dobrze było widać, kto przy nim siedzi. Rod machnięciem dłoni odesłał kelnera i teraz rozglądał się po sali, by stwierdzić, które spośród ważnych osób przyszły tu dzisiaj.

Powrócił spojrzeniem do Elizabeth i powiedział:

- Świetnie wyglądasz, skarbie. Prawdziwa kobieta interesu. Pewnie przez ten kostium.

- Masz przed sobą dzieło Donny Karan, Rod. Wystarczająco kosztowne, aby zaaprobował je Timothy, i całkiem wygodne.

Przesunęła palcami po białym rękawie.

- To zaś, jak mi powiedziano, jest kawaleryjski diagonal.

- Zdrowie armii - mężczyzna uniósł szklaneczkę periera.

- A teraz powiedz mi, co się tu działo.

- Doskonale. Po lunchu spotkamy się oboje z zarządem, który skompletowałem. Brad jeszcze nic o tym nie wie. Chcę puścić wszystko w ruch, nim zorientuje się, że już nie pociąga za sznurki. W ten sposób...

Wzruszył ramionami.

- Tak - powiedziała. - Rozumiem, co masz na myśli.

Znów uniósł szklaneczkę.

- Za nowego dyrektora generalnego ACI. Elizabeth uśmiechnęła się.

- Nigdy się nie przyzwyczaję do tych wariackich akronimów.

- Musisz przywyknąć przynajmniej do tego, który określa twoją pozycję w firmie. I jeszcze jedno.

Chociaż w skład rady dyrektorów wchodzi Laurette i Michael, nie masz się czym martwić. Wszyscy pozostali siedzą u nas w kieszeni, że tak powiem. Nie zrobią żadnego głupstwa.

Przez chwilę przesuwiała po talerzu małą krewetkę.

- Czy Carletonowie nieco już ochłonęli?

- Tak mi się wydaje, lecz nikt z nas nie jest teraz z nimi w dobrych stosunkach. Mam szczerą nadzieję, że zobaczę wyraz twarzy Brada, kiedy się zorientuje, jakie siły zgromadziłem. Zarabiają krocie, poza tym otrzymali udziały i liczne przywileje, ale to się opłaci, Elizabeth. Nie tylko tobie, lecz także firmie. A teraz, moja droga, mamy jeszcze kilka minut, nim będziesz musiała wejść w swoją nową rolę. Opowiedz mi o Paryżu.

Elizabeth zorientowała się, że nie ma ochoty wspominać o Rowenie Chalmersie. To wszystko było jeszcze zbyt kruche, zbyt niepewne i nowe. Miała się zobaczyć z Rowenem wieczorem. W końcu powiedziała tylko, że Claude nic się nie zmienił, a Paryż jest równie interesujący jak zazwyczaj.

Mężczyzna, pomyślał Rod. Poznała mężczyznę i przeżyła z nim romans. Pragnął powiedzieć: Brawo, Elizabeth!

- Jakież wieści od Christiana Huntera?

- Byłam za granicą. Nie kontaktował się ze mną, jeśli o to ci chodzi.

- A powiesz mi, gdy się skontaktuje?

- Prawdopodobnie tak.

- Jesteś gotowa?

Skinęła głową i wstała. Kiedy zarzucała na ramię pasek torebki, spostrzegła Catherine Carleton. Pasierbica siedziała przy stoliku w głębi, z mężczyzną, którego Elizabeth nie знаła. Przez chwilę wpatrywały się w siebie, a potem Catherine, ku zdumieniu Elizabeth, uśmiechnęła się i lekko pomachała jej dłonią.

Elizabeth poczuła skurcz strachu. Nie bądź głupia, przykazała sobie. Ona nie może cię zranić, ani teraz, ani w przyszłości.

Ciekawe, dlaczego tak nagle zeszytniała, pomyślał Rod, wychodząc za Elizabeth z restauracji.

- To ma być ta smoczyca? - zapytał Chad Walters leniwie, odprowadzając wzrokiem Elizabeth, kluczącą z wdziękiem pomiędzy stolikami.

- Tak, to właśnie jest ta mała dziwka, ta poszukiwaczka złota, która złapała w sidła mojego ojca i go zamordowała.

- Ja bym ją uniewinnił - powiedział Chad. - Ma klasę. No i jest całkiem niezłą pianistką, jak słyszałem.

- Nie ode mnie!

- Dość tej zawiści, Cathy. Skończ sałatkę i chodźmy się pieprzyć.

Oczy Catherine zabłyśły.

- Doskonale, sukinsynu, dopóki wiesz, kogo pieprzysz.

- Kochanie, zważywszy, jak przy tym hałasujesz, nie sposób się pomylić. Mam nadzieję, że

obcięłaś pazury.

- Lepiej zapomnij o tej dziwce. Jest zimna jak lód w twoim drinku.

- Oziębla dziwka - powiedział Chad charakterystycznym dla siebie, rozwlekłym tonem. - Co za ciekawa koncepcja.

Catherine westchnęła.

- To dziwne, nigdy nie przeklinam, kiedy nie ma w pobliżu ciebie. No dalej, chodźmy stąd. Jeśli choć jeden spośród przyjaciół mojej świętoszkowatej babki zobaczy mnie z tobą, ona może spróbować pozbawić mnie pensji. A to by ci się nie podobało, prawda?

- Rzeczywiście - przytaknął Chad, nie tracąc pewności siebie. - To by mi się na pewno nie spodobało, lecz, chyba wkrótce dostaniesz ten milion po tatusiu, prawda?

W tej chwili Catherine bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła uwolnić się od Waltersa. Ale nie mogła. Jeszcze nie teraz.

- Tak - powiedziała tylko. - To już z pewnością nie potrwa długo.

*

Elizabeth uwielbiała restaurację „Okna na Świat”, położoną na szczycie wieżowca World Trade Center. Noc była pogodna, a księżyc przesłaniała jedynie lekka mgiełka. No i była z Rowenem. Czowała, że napięcie zaczyna ją opuszczać. Zamówił dla niej kieliszek *chablis*, a dla siebie sok z wodą sodową.

Elizabeth zaczęła opowiadać. O Benjaminie Hallimerze, utalentowanym finansjście, i o tym, jak Rod go jej przedstawił. O Edgarze Derby, magnacie w branży systemów komputerowych i komunikacji, o Royu Siverstonie, strategu, który, jak twierdzi Rod, potrafi rozwiązywać sześć różnych problemów naraz, i o Oranie Wicksie, specjaliście do zadań specjalnych. No i, oczywiście, o Adrianie Marshu, młodym geniuszu z Harvardu, który miał być jej prawą - i lewą - ręką. Przerwała, gdy przyniesiono im posiłek. Czowała, jak znowu wzbiera w niej napięcie.

- Powiedz mi, jeśli cię znudzę, Rowe. To wszystko jest dla mnie takie nowe, lecz ci panowie są bardzo cierpliwi.

- Ani trochę mnie to nie nudzi, kochanie. Opowiedz mi o wszystkim. W końcu, co wart jest kochanek, jeżeli nie można mu się zwierzyć?

Kochanek. Jak to dziwnie brzmi. Musiała zupełnie stracić rozum, ponieważ naprawdę z nim spała. Kochanek. Jej pierwszy.

- O czym tak rozmyślasz, Elizabeth? Zaczerwieniła się lekko i potrzęsnęła głową, nie podnosząc wzroku znad wołowiny *a la* Wellington.

- A więc masz zamiar zająć się starym Bradem z pomocą tej drużyny?

- Owszem, przynajmniej takie są plany Roda. Brad nic o rym nie wie. To będzie dla niego niespodzianka. Prawdę mówiąc, w następnym tygodniu planujemy przeprowadzić niespodziewaną kontrolę jego służbowych wydatków. Rod jest przekonany, podobnie jak reszta Szóstki Wspaniałych, jak ich nazywam, że Brad robi, co tylko się da, by „okantować tę dziwkę”, czyli mnie. Dlatego wszystko trzymane jest w takiej tajemnicy.

Rowe wyciągnął rękę i zaczął bawić się palcami Elizabeth.

- Życzę wam szczęścia. Zabrzmiało to tak, jakbyś wkrótce miała doprowadzić starego Brada tam, gdzie chcesz - i to pozbawionego ostrych zębów.

- Wolalabym żyć i dać żyć innym, lecz nikt nie ufa Bradowi. Ani Michaelowi Carletonowi, młodszemu bratu Timothy'ego. To właśnie jego najbardziej się boję. Jest tak przerażająco

opanowany i pełen energii.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, Elizabeth? Ścisnęła go za rękę.

- Po prostu bądź przy mnie, a jeśli zechcesz udzielić mi kilku rad, chętnie nadstawię uszu.

- Masz nie tylko chętne uszy, ale i piękne dłonie. Dostarczono mi dziś nowy fortepian Baldwina.

Czy zagrasz dla mnie, kiedy wrócimy do domu?

Dom, pomyślała. To również brzmiało obco w jej uszach, no ale w końcu trudno, by uważała dom Timothy'ego za swój. Mieszkanie Rowe'a zajmowało całe dziewiąte piętro i pełne było osiemnastowiecznych antyków, angielskich i francuskich. Ona zaś w głębi duszy pozostała mieszkanką ze Środkowego Zachodu.

Co się wydarzy? I co chciałaby, aby się wydarzyło?

Kiedy zaczęła grać, była już prawie północ. Mechanizm nowego fortepianu Baldwina stawiał opór, lecz przełamała go, grając Gershwina, a potem Chopina. Miała na sobie koszulę Rowe'a z białego, oksfordzkiego płótna, z przypinanym kołnierzykiem. Bardzo konserwatywną w fasonie. I nic oprócz tego.

Poprowadził ją z powrotem do sypialni. Już miała zasnąć, gdy szepnął jej wprost do ucha:

- Kochanie, czy wspomniałaś o nas Rodowi? Potrząsnęła głową, wtuloną w jego ramię.

- Nie, to zbyt osobiste. Nie wchodzi w zakres naszych... naszych wzajemnych stosunków.

- Doskonale - powiedział. - Nie chciałbym dzielić się tobą z nikim. Jesteś moja, Elizabeth, tylko moja.

Wydawało jej się, iż szepnął jeszcze, że ją kocha, a potem zasnęła, przepełniona poczuciem bezpieczeństwa i przynależności.

*

Christian Hunter siedział za mahoniowym wiktoriańskim biurkiem w swojej bibliotece. W dłoni trzymał złote pióro, a przed sobą miał czysty arkusz papieru listowego. Rowen Chalmers. Coś trzeba będzie z nim zrobić. Przez chwilę wpatrywał się w kartkę, a potem zgniótł ją i wrzucił do kosza, trafiając w sam jego środek. Uśmiechnął się. W college'u grywał często w koszykówkę i, jak widać, nie stracił celności. Musi pamiętać, by przestawić kosz dalej, nawet pod samą ścianę, tak aby mógł trafić do niego z ukosa.

Nacisnął guzik swojej prywatnej linii, a potem wybrał numer, który znał na pamięć.

Słuchawkę podniósł ktoś o uderzająco szorstkim głosem.

- Tu Hunter. Proszę mówić.

I mężczyzna mówił, bardzo długo. Kiedy umilkł, Christian nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Oparł nogi o biurko.

- Doskonale - powiedział w końcu. - Kontynuuj. Zadzwoń do ciebie w czwartek.

Odłożył słuchawkę na ozdobne widelki i odchylił się na krześle, wspierając głowę na splecionych pod nią dłoniach. Kiedy usłyszał, że ktoś delikatnie puka do drzwi gabinetu, zmarszczył gniewnie brwi, lecz tylko na chwilę.

- Christian?

- Za chwilę, Susan - zawołał w odpowiedzi. Czekala na niego w sypialni, ubrana jedynie w bardzo kosztowny, brzoskwińowego koloru neglig, który dla niej kupił. Była blondynką, farbowaną oczywiście, ale to mu nie przeszkadzało, a jej tęczówki skrywały zielone szkła kontaktowe, za które także zapłacił.

Jest piękna, pomyślał, przyglądając się jej przez chwilę. Ma tylko zbyt duże piersi. Podszedł do

aparatury stereo i włączył kompakt. Pokój wypełnił się dźwiękami Trzeciego Koncertu Brandenburskiego, wykonywanego przez Amsterdamską Orkiestrę Barokową.

Poczuł, że jego członek sztywnieje i zaczął całować Susan.

- Czy nie moglibyśmy choć raz posłuchać czegoś porządnego? Na przykład Beatlesów? - zapytała, wierząc się pod nim.

- Nie, nie moglibyśmy. Masz dopiero dwadzieścia jeden lat, Susan. Beatlesi to nie twoje pokolenie.

- Więc może Bruce'a Springsteena - powiedziała, uśmiechając się do niego. Poczwała na ciele jego palce. - Na przykład „Tunel Miłości”?

Jego palce zaczęły się poruszać. Szczytowała podczas trzeciej części allegro.

Rozdział 5

Jonathan Harley czuł, że ból głowy narasta. Lewa skroń pulsowała coraz mocniej. Ból obezwładniał, zmuszając go, by siedział w bezruchu i z zamkniętymi oczami. Nigdy dotąd nie miewał napadów migreny i teraz nie potrafił się skupić. Zastanawiał się właśnie, czyby nie wezwać pani Maxwell i nic poprosić jej o przyniesienie aspiryny, kiedy usłyszał głos żony: piskliwy, rozzalony, wołający go.

Jeszcze jedna scena, jeszcze jedno starcie, z którego żadne z nich nie miało szans wyjść zwycięsko. Tyle zmian, pomyślał. Stopniowo przekształciły jego żonę w osobę, której nie znał i nie rozumiał. Przestało mu na niej zależeć już trzy lata temu, kiedy dowiedział się o włoskim żigolaku, którego poznała podczas rejsu wycieczkowego. I z którym spała. Do czego się przyznała.

- Jonathan!

Oczy piekły go i nie potrafił skupić spojrzenia. Usłyszał swój głos, obojętny i bez wyrazu z powodu narastającego bólu.

- Tutaj, Rosę.

Chwila przerwy, a potem:

- Przynieś, proszę, kilka aspiryn. Nie zrobiła tego.

- O co chodzi? - spytała, wchodząc do gabinetu, a nowa wieczorowa suknia wirowała wokół jej kostek. Blask diamentowego naszyjnika sprawił, że jeszcze bardziej rozbolały go oczy.

- Okropnie boli mnie głowa - powiedział. Roześmiała się.

- To kobieca wymówka, kochanie. Ale nie przyszedłam tutaj, by się przekonać, czy masz chęć iść do łóżka. Nie jesteś jeszcze ubrany. Banbridgesowie oczekują nas za pół godziny.

- Ja nie idę - powiedział. - Wspominałem ci o tym w zeszłym tygodniu. A także wczoraj wieczorem. Zaprosili prawie pięćdziesiąt osób, nawet nie zauważą, że mnie nie ma. Baw się dobrze, Rosę.

Nienawidziła go w tej chwili, naprawdę go nienawidziła. Traktował ją tak, jakby była natrętnym dzieckiem. Ani trochę o mnie nie dba, pomyślała.

- Będą tam moi rodzice - powiedziała ostrym tonem. - Na wypadek gdybyś zapomniał, kim oni są, Jonathanie, pozwól, że ci przypomnę: to Pillsonowie. Andrew Pillson z małżonką. Spodziewają się, że cię zobaczą.

- Pozdrów ich ode mnie.

- Łajdak!

- Proszę, Rosę, głowa mi pęka. Jeżeli chcesz się kłócić, będziesz musiała zaczekać.

- Wszystko i wszyscy zawsze na ciebie czekają, prawda? Na ciebie, sławnego Jonathana Harleya. To znaczy, sławnego teraz. Gdyby nie mój ojciec...

- Rosę, z pewnością nie chcesz się spóźnić.

- Jesteś potworem, samolubnym, przepelnionym nienawiścią potworem. Przypuszczam, że

wyjdiesz wkrótce po mnie. Ból głowy zniknie bez śladu, a twoja mała dziwka będzie z zachwytem wsłuchiwała się we wszystko, co powiesz. Kogo teraz pieprzysz, kochanie?

- Nikogo nie pieprzę, Rose.

Zwłaszcza nie Ciebie, moją żonę. I nie chcę tego z Tobą robić nigdy więcej.

- Oczywiście, nie powinnam oczekiwać uczciwej odpowiedzi. Pójdiesz dziś ze mną, Jonathanie.

Musisz. Nie upokorzysz mnie, nie tym razem.

- Nie miałem pojęcia, że kiedykolwiek Cię upokorzyłem.

- Jesteś taki opanowany, taki spokojny. Zmieniłeś się w robota pozbawionego uczuć.

- Sądziłem, że jestem potworem - powiedział i zaraz tego pożałował. Tak bardzo chciał zostać sam w pustym, cichym pokoju. Tylko on i parę tabletek aspiryny.

- ...nie zależy Ci na nikim ani na niczym, prawda? Oczywiście, poza Twoją parszywą firmą i tymi Twoimi dziewczynkami.

- Masz rację, na pewno zależy mi na Harley Electronics. Gdyby było inaczej, nie nosiłabym brylantów, Rose. Nie miałabym też pokojówki, gosposi i szofera.

Poczuł, że jego usta wykrzywają się w drwiącym uśmiechu.

- A gdybym pieprzył się na prawo i lewo, jak podejrzewasz, nie mógłbym zajmować się firmą. Padłbym z wyczerpania.

Poczuła, jak wzbiera w niej gniew. Nie sposób było trafić mu do przekonania, był zbyt wygadany, zbyt obojętny i sprawny w manipulowaniu nią.

- Więc przyznajesz, że są inne kobiety?

- Była tylko jedna, trzy lata temu, i dobrze o tym wiesz. To była z mojej strony próba rewanzu - żalosna, przyznaję.

- Czy zawsze już będziesz mi wypominał tę sprawę z Piętro?

W jej głosie usłyszał coś jakby szloch. Żeby tylko nie zaczęła histeryzować, pomyślał.

- On uważał, że jestem piękna i jedyna na świecie.

- Rose, nie chodzi tylko o Piętro. Proszę, idź na przyjęcie i baw się dobrze.

Stała nieruchomo, wpatrując się w wiszący na ścianie obraz, przedstawiający ich domek w Nantucket. Kolory były przygnione, a sceneria surowa. To dziwne, jak artyście udało się oddać grę światła. Tuż obok wisiała fotografia ich dwojga stojących na plaży, z domkiem w tle. Zdjęcie musiało zostać zrobione jakieś trzy lata temu. Jonathan miał na sobie spłowiałe dzinsy, gładką białą koszulę z podwiniętymi do łokcia rękawami i trampki. Ona zaś, ubrana w szorty i krótką bluzkę, stała bosą, a wiatr rozwiewał jej długie blond włosy. Oboje uśmiechali się radośnie. Tak dawno temu. On nadal wyglądał tak samo, pomyślała, spoglądając na męża. Czarne jak smoła włosy, oliwkowa karnacja i oczy ciemne niczym bezksiężycowa noc. Stanowili rzucającą się w oczy parę: Jonathan wysoki i bardzo szczupły, typ sportowca, biegacza, który dba o swoje ciało, i ona, drobna blondynka o bardzo jasnej cerze. Nagle poczuła, że jest o wiele starsza, niż uśmiechnięta kobieta na fotografii, choć od zrobienia zdjęcia nie upłynęło znów tak wiele czasu.

- Odejdę od Ciebie, jeśli dziś ze mną nie pójdiesz - powiedziała, nie spuszczać z niego wzroku.

- Niezły pomysł. Nie siadaj za kółkiem, jeśli zamierzasz pić.

Wiedział, co chciała mu przekazać, a ona orientowała się, że on wie. Wpatrywali się w siebie, tak sobie obcy po ośmiu latach małżeństwa. Nie byli już nawet sojusznikami. Jedynie wrogami.

Rose nie powiedziała nic więcej, po prostu odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu,

trzaskając drzwiami.

Jonathan nawet nie mrugnął. W ogóle się nie poruszył. Chyba powinien się rozwieść. I chyba nawet wiedział, że to nieuniknione, po prostu unikał myślenia o tym, nawet podczas najgorszych kłótni. Przez ostatnie trzy lata spędził w pracy więcej godzin, niż podczas całej swojej zawodowej kariery. Postępował jak tchórz i dobrze o tym wiedział. Tchórz z okropnym bólem głowy, oto kim jest. Wstał z trudem i powłókł się na poszukiwanie aspiryny.

Kiedy wreszcie poczuł się znowu jak człowiek, zdolny do tego, by zasiąść za biurkiem, dochodziła dziesiąta. Wszedł do gabinetu. Każde zajęcie jest dobre, byle nie myśleć o Rosę i groźbie, jaką rzuciła. Kiedyś to była Rosie, jego Rosie, słodka i delikatna. Dawno temu. Pomyślał o spółce, jego spółce elektronicznej, którą zbudował od podstaw. Oczywiście, ojciec Rosę pomógł mu na początku, lecz firma tak naprawdę była dziełem Jonathana, wyłącznie jego. Poświęcił jej trzynaście z trzydziestu pięciu lat swego życia. Rozwód zniszczy nie tylko jego życie, lecz także spółkę. Sprawował kontrolę nad przedsiębiorstwem, jednak ugoda rozwodowa z pewnością niekorzystnie odbije się na jego możliwościach finansowych i zmusi go do zaprzestania ekspansji, co może doprowadzić nawet do tego, że będzie musiał ograniczyć swój stan posiadania do niedających pełnego zabezpieczenia pięćdziesięciu procent udziałów. Co za nieprzyjemna myśl, zwłaszcza że jeden z jego bliskich przyjaciół, Peter Anchor, powtórzył mu niedawno plotkę, którą usłyszał od swego dobrego znajomego z Nowego Jorku. Carleton Industrie węszyło. ACI - Abercrombie-Carleton Industries. Ten do przesady zróżnicowany konglomerat firm pragnął przejąć dochodową spółkę elektroniczną o ustabilizowanej pozycji, aby dołączyła do zakładów obuwniczych, hut stali, zagranicznych hoteli, zakładów włókienniczych, wydawnictw i Bóg wie czego jeszcze. Czuł się sparaliżowany. Któż, u licha, stał na czele tej ośmiornicy? Nie wiedział, kto wchodzi w skład rady dyrektorów, nikt nie pisał na ten temat nawet słowa.

Przypomniał sobie, że młoda żona Timothy'ego Carletona została oskarżona o zamordowanie męża. Giełda natychmiast zareagowała alarmującą fluktuacją kursów, *The Wall Street Journal* spekulował bez końca, lecz oficjalnie nadal nic nie było wiadomo. Nie żeby miało to znaczenie: rodzina posiadała tyle udziałów, że mogła skierować impet firmy w którąkolwiek stronę. Rada dyrektorów nie była niczym więcej, jak tylko grupką starców, zatwierdzających decyzje członków rodziny.

To tylko plotka, nic poza tym. Znasz tę taktykę na tyle, by wiedzieć, że niekoniecznie musi być w tym coś więcej.

Synowie Carletona? Czy teraz oni objęli ster? A może brat Carletona, Michael? Nie, już raczej rodzone dzieci Timothy'ego. Jak miał na imię ten bękart, starszy syn - Brad? Tak, Brad. To niebezpieczny człowiek, bardzo niebezpieczny.

Jonathan z trudem zapanował nad niepokojem. Z górnej szuflady biurka wyjął żółty notes i metodycznie zaczął wpisywać pytania. Do końca tygodnia z pewnością zdoła uzyskać odpowiedzi. Pisał wyraźnie, a wyrazy układały się w proste linijki.

Ludzie u steru?

Słabe punkty?

Przerwał. Mógł zapisać jeszcze sto pytań, które domagały się odpowiedzi, lecz musiał wiedzieć, kto stoi na czele konglomeratu. Zwykle wszystko sprowadzało się do jednego człowieka i jego zdolności manewrowania, taktyki, strategii i dostępnych mu środków. Lecz kiedy powrócił do sporządzania listy, znów naszała go myśl o rozwodzie i o kwestiach spornych, którym będzie musiał

stawić czoło. Poczul, że ból powraca ze zdwojoną siłą. Jeszcze bardziej chory się poczul, gdy uświadomił sobie, że nie trzeba będzie rozpatrywać alimentów na dziecko. Jego trzymiesięczny syn, Alex, zmarł w łóżeczku. Jednego dnia był zdrowy, a następnego już nie żył. Po prostu niepojęte. Lekarze nazywali to zespołem nagłej śmierci łóżeczkowej.

Bardzo długo nie potrafił się z tym pogodzić. Rosę - wtedy jeszcze Rosie - nie chciała już mieć dzieci i wtedy nawet jej za to nie winił. Lecz teraz, po pięciu latach... było już za późno.

Nie utraci kontroli nad swoją firmą. Nie może. Zrobi wszystko, co tylko możliwe, by temu zapobiec.

Wszystko.

Brad Carleton siedział za biurkiem ojca i sączył kawę z delikatnej filiżanki Wedgwooda. Nikt nie powiedział ani słowa, kiedy wprowadził się do gabinetu szefa. Zamierzał w nim pozostać. Ta dziwka go stąd nie usunie, mowy nie ma.

Kiedy jego osobista sekretarka, Nan Bridges, zadzwoniła, aby powiedzieć mu, że dwaj dżentelmeni pragną się z nim zobaczyć, polecił jej, by kazała im czekać. Powoli, bardzo powoli uporządkował papiery na swoim biurku, położył na nim stopy wezwał Nan.

Uśmiechnął się do dwóch dżentelmenów, którzy weszli do pokoju, i zwlekał dobrą minutę, nim wstał.

- Panie Carleton - powiedział wyższy z dwójki. Nie wyciągnął dłoni na przywitanie. - Jestem Coy Siverston, a to jest Adrian Marsh. Przybyliśmy na polecenie dyrektora naczelnego ACI, Elizabeth Carleton. Zostaliśmy upoważnieni do przeprowadzenia kontroli pańskich wydatków służbowych w obecności zatrudnianego przez pana rewidenta ksiąg.

Brad skinął głową i powiedział:

- Rozumiem. Coś jeszcze, panowie? Coy odchrząknął, ukazując złoty ząb.

- Zakłady tekstylne Carleton, tartaki Brammer-Carleton i Spółka Produkująca Żywność Morrissey-Carleton.

- Krótko mówiąc, chcecie skontrolować księgi firm, którymi zarządzałem osobiście przed śmiercią ojca.

- Zgadza się.

- Jak domniemywam, skontaktowaliście się z dyrektorami tych firm?

- Owszem. Dziś rano. Brad tylko się uśmiechnął.

- Róbcie swoje - powiedział, odsyłając ich do diabła machnięciem dłoni.

Coy spojrział na niego, zdziwiony. Czuł, że Adrian podziela to zdziwienie. Z tego, co słyszeli, Brad powinien więc się i głośno przeklinać, a nie szczerzyć zęby.

- Doskonale - powiedział Coy na odchodnym.

Po godzinie trzy kontrolujące zespoły pracowały nad księgami wyznaczonych spółek.

W czwartek wieczorem, trzy dni później, Rod Samuels zadzwonił do Elizabeth.

- No cóż, skończyli - powiedział. - 1...?

- Wszystko w idealnym porządku. To znaczy księgi. Wygląda na to, że stary Brad stracił trochę pieniędzy, ale nie chodzi o duże sumy. Przysięgłbym...

- Powinieneś być zadowolony. Syn okradający ojca to zawsze przykry widok.

Rod milczał przez chwilę i Elizabeth przełożyła słuchawkę do drugiej ręki.

- Ale ja byłem przekonany, Elizabeth. Wiedziałem, że on kradnie. Coy powiedział mi, że Brad zachowywał się tak spokojnie i łagodnie, jakby był kalifornijskim surferem troszczącym się jedynie o

to, z jakimi falami przyjdzie mu się zmierzyć. To do niego niepodobne. To najmniej opanowany, najbardziej porywczy z Carletonów, jeśli mu się sprzeciwić. Coś tu jest nie tak. Czuję to, Elizabeth.

- Widocznie tym razem twój nos zawiódł, Rod. Być może źle oceniłeś Brada. Może...

- Bzdura.

Przez chwilę milczała.

- I co zamierzasz teraz zrobić?

- Dowiedzieć się, kto szepnął słówko temu padalcowi.

- Nawet jeśli ktoś to zrobił, co za różnica? Wydaje mi się, że powinniśmy iść naprzód, a nie starać się przyszpilić kogoś, kto i tak nie jest zbyt ważny. Lojalność chadza dziwnymi drogami, Rod. Tak się składa, że przeczytałam te trzy książki na temat prowadzenia interesów, które mi dałeś. Studiowałam je, aż rozboleły mnie oczy. Czuję się jak najgłupszy kołek w płocie. To zupełnie inny język i chociaż rozumiem słowa, nie rozumiem treści. „Zyskowna inwestycja”, „stosunek ceny akcji do zysku i do podziału na akcje”, „przepływ gotówki”. To zadziwiające. Nigdy nie słyszałam o Komisji Papierów Wartościowych. Te ich wszystkie prawa i regulacje...

Uśmiechnął się do słuchawki.

- Nie martw się o to. Nie musisz rozumieć wszystkiego, Elizabeth, przynajmniej nie od razu. Zaaranżowałem formalne spotkanie z dziennikarzami, spotkanie z zarządem i ze wszystkimi dyrektorami. Bądź spokojna i czarująca. Rzecznicy Timothy'ego - a raczej twoi - przygotowują krótkie streszczenia tego, co powinnaś powiedzieć w trakcie poszczególnych spotkań. Jeśli chodzi o mnie, będę obecny podczas spotkania z dyrektorami biur lokalnych.

To szaleństwo, pomyślała Elizabeth. Lecz posunęła się już zbyt daleko, by teraz się wycofać.

- Nie rozumiem, jak udaje ci się utrzymać wszystko w tajemnicy, Rod.

- Carletonowie nie chcą, by się dowiedziano, że już nie zarządzają ACI. Rozumiesz, Elizabeth, spodziewają się, że zrezygnujesz.

To strategia czy raczej taktyka? - pomyślała.

- Przystudiowałam strukturę organizacyjną?

- Tak, choć nie wiem, ile z tego zrozumiałam.

- Dobrze. Po prostu spróbuj zapamiętać, które nazwisko łączy się z którą funkcją, dobrze? I nie martw się, Elizabeth.

- Czy Brad tam będzie?

- Na pewno. I Michael także. Co do Williama Carletona, to właśnie przebywa w Australii i nie życzy sobie, by mu przeszkadzano. Laurette, oczywiście, też będzie obecna.

Elizabeth westchnęła.

- Elizabeth? Prasa wprost oszaleje. Przygotuj się na to. Wszystko ucichnie przed upływem miesiąca, zapewniam cię. Odrzuć wszelkie prośby o wywiad. Bądź stanowcza - nawet nie wiesz, jak przekonujący potrafią być reporterzy *Fortune*. Zgoda?

Co miała odpowiedzieć? Słowa „bez komentarza” wryły się złotymi zgłoskami w jej pamięci.

- Kiedy odbędzie się pierwsze spotkanie?

- Po południu przyślę ci twego nowego asystenta. Przejrzyj z tobą dokumenty.

- To Adrian Marsh, prawda?

- Tak. Absolwent Szkoły Biznesu Uniwersytetu Harvarda. Zaczynał w banku inwestycyjnym, a potem, pięć lat temu, przeszedł do nas. Jest żonaty, ma dwoje dzieci. Piekielnie inteligentny. Jak ci już mówiłem, to cudowne dziecko. Umie oceniać ludzi i zna wszystkie kruczki.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

- Jeżeli nie będzie ci się z nim układało, po prostu daj mi znać.

- Nie martw się.

- Jeszcze jedno: Adrian jest lojalny do szpiku kości. Pozbędziemy się zdrajców.

Zdrajców. Czują się tak, jakby trafiła do obcego kraju.

- Hmm, obiecałem Adrianowi, że jeśli odniesie sukces na tym stanowisku, zostanie wiceprezesem do spraw planowania strategicznego.

Adrian Marsh wygląda raczej jak ochroniarz niż jak asystent, pomyślała. Krępy, o oliwkowej karnacji, ciemnych oczach i kwadratowej szczęce. Mówi powoli, przeciągając samogłoski na sposób południowy.

- Odpowiadam tylko przed panią, pani Carleton - powiedział, przedstawivszy się jej. - Może mi pani zaufać. Zdaję sobie sprawę, iż może to być dla pani trudne, po tym, co pani niedawno przeszła. Znam się na wszystkim. I znam ludzi. Jeśli któraś z moich rad nie przypadnie pani do gustu, proszę mi powiedzieć. Wiem, że nie wyglądam na Adriana. Większość moich przyjaciół mówi do mnie Adman, Człowiek Od Reklamy. Odpowiem na każde pytanie. A teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie napiłbym się wody.

Ruszył ociężale do kuchni, pozostawiając Elizabeth na sofie, otoczoną stertami papierzysek i morzem dokumentów. Uśmiechnęła się do jego pleców.

Pod koniec dwugodzinnego spotkania ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nie jest wcale przestraszona. Raczej podekscytowana i o wiele bardziej pewna siebie. To była zasługa Adriana. Ani przez chwilę nie odnosił się do niej protekcyjnie. Upraszczał wyjaśnienia, a ona doceniała jego wysiłki.

- Większość dokumentacji to po prostu śmieci - mówił - przygotowane przez urzędników, którzy chcą udowodnić, że coś robią. Jak zrozumiałem, zamierza pani przyjść jutro do biura. Mój gabinet jest obok biura pani. Spędzimy nieco czasu, przeglądając akta. Jeżeli wie pani, jak dany człowiek myśli, i przestudiuje pani fragment jego dorobku, będzie pani mogła prawidłowo go ocenić. I podejmować słuszne decyzje.

Skłoniła go, by przyznał, że woli red bulla od wody - jedyne dwa napoje, jakie pijał.

- To dawny nawyk, z czasów, kiedy jeszcze grywałem w piłkę - powiedział. Obserwowała, jak jego grdyka wędruje w górę i w dół, kiedy osusza jednym haustem całą szklankę płynu.

- Jeszcze jedna sprawa, pani Carleton - powiedział od drzwi. - Chodzi o pani gabinet.

Nie rozumiała.

- Nie chcę tam niczego zmieniać - oznajmiła pośpiesznie, sądząc, iż Adrian pragnie tego właśnie się dowiedzieć.

- No cóż, będzie pani musiała - powiedział. - Widzi pani, Brad Carleton tam się wprowadził.

Poczuła, że robi jej się niedobrze.

- Dlaczego?

Bo facet ma jaja i dobrze wie, że ty ich nie masz.

- Przypuszczam, że to bez znaczenia. Chodzi jedynie o to, że to pani, *madame*, pani osobiście będzie musiała kazać mu się wynieść.

Elizabeth poczuła, że jej serce zaczyna żywiej bić. To dawał znać o sobie lęk - lęk przed nieprzyjemnymi sytuacjami, przed konfrontacją i przed tym, że zawiedzie i wyjdzie na idiotkę.

- Przez cały czas będę przy pani. Po prostu musi pani okazać stanowczość i o dziesiątej rano

będzie już po problemie.

Adrian uściśnął jej dłoń i poczuła emanującą od niego siłę.

Ktoś troszczy się o mnie, pomyślała.

Tej nocy spała doskonale, mimo że nie widziała się z Rowenem. Przebywał w Bostonie i miał wrócić do Nowego Jorku dopiero na weekend.

*

- Czego chcesz?

- Dzień dobry, Bradley - powiedziała Elizabeth spokojnie, uśmiechając się nieznacznie. Wiedziała, że on nienawidzi pełnej wersji swego imienia. Timothy w ten właśnie sposób zwracał się do syna, kiedy chciał dać mu do zrozumienia, że ten go zawiódł.

Adrian stał obok niej, odziany w trzyczęściowy ciemnoniebieski garnitur.

- Pytam ponownie: czego pani sobie życzy? A może powinienem zapytać: czego sobie życzysz, moja była macocho?

Elizabeth poczuła skurcz gniewu, jednak Adrian pozostał zupełnie spokojny. Prawdę mówiąc, wydawał się nawet rozbawiony i ani trochę nie onieśmielony. Uświadomiła sobie, że nie pozwoli jej się wycofać. Przełknęła ślinę i powiedziała:

- To teraz mój gabinet, Bradleyu. Proszę, przenieś się natychmiast z powrotem do swego dotychczasowego lokum.

- Nie.

Skuliła się wewnętrznie i Adrian natychmiast to wyczuł.

- Sugeruję, aby uczynił pan to, czego sobie życzy pani Carleton. W przeciwnym razie poczuje się zmuszony wezwać ludzi z ochrony, aby pomogli się panu spakować.

Brad spojrział na mężczyznę. Oczywiście, znał Adriana Marsha i wiedział, jaki jest bystry, choć nie wyglądał na człowieka błyskotliwego, przeciwnie, z wyglądu przypominał raczej wieśniaka. Mimo to...

Uśmiechnął się z trudem. Powoli odwrócił się i splunął na biurko. Spojrział Elizabeth prosto w oczy, wziął do rąk swoją walizeczkę i wyszedł, nie odezwawszy się już ani słowem.

Elizabeth drżała.

- Proszę, niech pani usiądzie - powiedział Adrian. Ujął łokieć pracodawczynie w swoją potężną dłoń i podprowadził ją do sofy. - Bardzo dobrze sobie pani poradziła. Naprawdę bardzo dobrze.

- Czy on zwolnił Millicent Stacy, sekretarkę Timothy'ego?

- Tak, owszem.

- A czy mogłabym ją odzyskać?

- Oczywiście. Jej dwie asystentki też by się przydały. Bez wątpienia Millicent będzie tu po lunchu, nie później.

Nadal była blada, więc przyniósł jej szklanekę wody. Jak ta nieszczęsna kobieta zdoła czymkolwiek pokierować? Nie ma o niczym pojęcia i nie posiada koniecznych umiejętności, aby poradzić sobie z wyzwaniem, jakie stwarza kierowanie takim molochem jak ACI.

Lecz jej obecność dziwnie na niego działała. Miał ochotę ją ochraniać, uczyć, mimo iż kiedy zaproponowano mu tę posadę, o mało nie zawył z rozpacz. Ale nie był głupcem. Wszystko wskazuje na to, że to on będzie w firmie szarą eminencją.

Lecz nie skrzywdzi Elizabeth. Co to, to nie.

Czuł się tak, jakby był jej ojcem. A przecież liczył sobie zaledwie trzy lata więcej.

- Już wszystko w porządku - powiedział. - Proszę to wypić i nieco się pozbierać. Mamy dziś mnóstwo roboty.

Kiedy po jakimś czasie do biura weszła Millicent Stacy, spojrzała z sympatią na swoją nową szefową, poklepała ją macierzyńskim gestem po ramieniu i powiedziała, że nie ma się czym przejmować, a Elizabeth o mało się nie rozplakała.

Rozdział 6

Elizabeth poczuła, jak pod dotykiem ugniatających jej barki mocnych dłoni Rowe'a opada z niej całe napięcie.

- Lepiej, kochanie?

Uniósł włosy Elizabeth i pocałował ją w kark. Westchnęła i odwróciła się.

- O wiele lepiej. Dziękuję, Rowe. Tęskniłam za tobą.

- Ja także - powiedział i pocałował ją w usta. Chociaż zajęło mu to bardzo dużo czasu, jakoś doprowadził ją do orgazmu, nim zajął się sobą.

Uśmiechnęła się do niego, zupełnie teraz zrelaksowana i, o dziwo, bynajmniej nie śpiąca.

- Jest pan bardzo miłym mężczyzną, panie Chalmers.

- Wiem o tym. Poleż sobie spokojnie, a ja przyniosę szampana.

Leżeli we francuskim, osiemnastowiecznym łożu z baldachimem, które podobno należało kiedyś do jednej z dam dworu Marii Antoniny. Kiedy Rowe jej o tym powiedział, Elizabeth tylko się roześmiała. Jednak on mówił poważnie, no i łoże posiadało certyfikat, poświadczający jego pochodzenie. Postawił tacę na łóżku, a potem napełnił kieliszki swym ulubionym szampanem Perrier Jouet. Podał Elizabeth krakersa i ser.

Podzielili się jego pizzamą w kolorze królewskiego błękitu: Elizabeth miała na sobie bluzę, a Rowe spodnie.

- Powiedz, jak ci minął tydzień - poprosił, karmiąc ją krakersem. - Czytałem wszystkie artykuły o tym, jak to wdowa po Timothy Carletonie przejęła zarządzanie firmą, przy pełnym poparciu zarządu, z wyjątkiem, oczywiście, obydwu starszych Carletonów. Teraz przynajmniej wszystko jest jasne i wkrótce szum wokół tej sprawy ucichnie, przekonasz się.

- To właśnie powtarza mi Adman. Niemal co godzinę.

Rowe uniósł pytająco brwi i Elizabeth głośno się roześmiała.

- Adman to Adrian Marsh, moja prawa ręka. Opowiedziała o konfrontacji z Bradem Carletonem. Rowe o mało nie wybuchnął śmiechem.

- Ależ Brad napluł na biurko swego ojca!

- A czego się spodziewałaś? Że zwinie namiot i odjedzie w kierunku zachodzącego słońca?

- Nie, ale byłam taka przerażona. Fortepian nigdy ci się nie sprzeciwi, nie tak jak ludzie, zwłaszcza ci, którzy pałają do ciebie nienawiścią.

- Ten Adrian Marsh... Ufasz mu?

- Całkowicie. Wygląda jak futbolista, mówi jak kaznodzieja z Południa, posiada bystry umysł i jest uprzejmy.

- Opowiedz mi o zebraniu z udziałem Laurette Carleton.

Elizabeth dopiła szampan, a jej twarz przybrała wyraz zamyślenia.

- To było naprawdę dziwne. Adrian, Rod, Oran, Coy, Edgar i Ben stanęli u mego boku. Czy

wspominałam ci już o Coyu Siverstonie?

Potrząsnął głową, choć o Coyu Siverstonie wiedział wszystko. To wspaniały przeciwnik i równie wspaniały sojusznik, człowiek, który obraca się w kręgach bankierów i polityków z całego niemal świata. Uznawany powszechnie za geniusza organizacji i zarządzania.

Rowe nie odzywał się, słuchając, jak Elizabeth mówi mu to, co już i tak wiedział.

- Niestety, jak poinformował mnie Rod, Coy zostanie z nami tylko przez jakiś czas. Uporządkuje sprawy, a potem odejdzie. Rod twierdzi, że ten człowiek bardziej niż cokolwiek na świecie kocha wyzwania. Nie wątpię, że kiedy tylko rzucił na mnie okiem, uznał pracę dla ACI za wyzwanie stulecia.

Uśmiechnęła się.

- Ma złoty ząb.

- Opowiedz mi o Laurette.

- Zachowała swą zwykłą królewską postawę, ale nie zachowywała się niegrzecznie. Oczywiście, traktowała mnie jak insekta, ale to nic nowego. A dokumenty były w absolutnym porządku, nie sposób było do czegokolwiek się przyczepić. Przynajmniej nie rzucała pod moim adresem oskarżeń, jakobym zamordowała jej syna.

- Zarówno ona, jak i Michael Carleton zdali sobie wreszcie sprawę, że nie zdołają powstrzymać biegu spraw. Więc chyba pomyśleli, że lepiej przyjąć z godnością to, co nieuchronne.

- Rod jest przekonany, że Laurette coś knuje - powiedziała Elizabeth pochmurniejac. - Wiesz, dziś nawet było mi jej żal. Naprawdę żal. Przeżywa wielką tragedię.

- Jeżeli to wszystko aż tak wytrąca cię z równowagi, wycofaj się. A co do starszej pani, to nie przywykła przegrywać. Nie pozwól, by zaślepilo cię współczucie. Rod może mieć rację. Ona zapewne coś kombinuje. Ciekawe, co to takiego... Udało ci się okiełznać Brada.

Potrząsnęła głową.

- Nie nudzą cię te historyjki z pola walki?

- Ani trochę - przynajmniej dopóki nie uda mi się znowu go podnieść. Bo wtedy stworzę moje własne opowieści, ze mną w roli głównej.

- A ja odegram rolę niewinnego dziewczęcia, porwanego od swego instrumentu?

- Tak, porwanego, abyś zajęła się moim instrumentem.

Opowiedziała mu o pozostałych spotkaniach, bardzo szczegółowo, a on słuchał, naprawdę jej słuchał.

- Oczywiście, Adrian nie życzy sobie, abym dyskutowała o strategii z tymi, którzy pozostali lojalni wobec innych Carletonów.

- A o jaką strategię chodzi?

- Boże, od czego tu zacząć? No cóż, nauczyłam się dzisiaj, na czym polega różnica pomiędzy fuzją a nabyciem i jak to się załatwia. Te przepisy i regulacje, wydane przez Komisję Papierów Wartościowych sprawiają, że kręci mi się w głowie. Mój zespół pragnie nabyć spółkę o nazwie Bell-Haverson. Firma nie jest prawidłowo zarządzana, tak mi powiedzieli, i dlatego znalazła się na czele listy, ich listy. Podobno zaczęliśmy już skupować udziały. Wyjaśnili mi także, iż należy zgłosić swoje zamiary Komisji po tym, kiedy nabędzie się czteropunktowe coś tam na giełdzie. Są jeszcze inne dziwne określenia, na przykład „biały książę” - używa się go wtedy, gdy jakaś firma nie chce zostać przejęta i rozgląda się za kimś, kto by ją kupił, a potem...

- Tak, wiem co to jest biały książę. Słyszałem też o szarych książętach i tak dalej.

Uśmiechnęła się.

- Stale zapominam, że ty znasz od podszewki wszystkie sprawy, które dla mnie nadal pozostają tajemnicą.

- Czy twoi doradcy uważają, że Bell-Haverson zacznie rozglądać się za białym księciem?

- Nie, planują, że wszystko odbędzie się na stopie przyjacielskiej, a zarząd tamtej firmy tylko na tym skorzysta. Najwidoczniej musimy dołączyć do stanu posiadania jakąś firmę elektroniczną o zaawansowanej technologii, a ta doskonale się do tego nadaje.

- Tak - powiedział Rowe z namysłem. - To ma sens. Spółce Bell-Haverson udało się zdobyć wiele zamówień z Ministerstwa Obrony. Tak, to rozsądne posunięcie, postarać się, by ACI włożyła stopę w kolejne drzwi.

- A zatem uważasz, że to dobry pomysł? Uśmiechnął się, słysząc niepewność w jej głosie.

Pocałował ją.

- Tak, uważam, że to dobry pomysł. A teraz, kochanie, chyba już pora, bym znów zabawił się w zdobywcę.

Elizabeth doszła do wniosku, że wzrastającą pewnością siebie, zwłaszcza w kontaktach z mediami, zawdzięcza Rodowi, Adrianowi i Rowenowi.

Czuła się szczęśliwa, po raz pierwszy od bardzo dawna. Ostatni raz czuła się tak chyba tuż po ślubie z Timothyem, choć i tego nie była teraz pewna. Wszystko stało się takie mgliste. Zaczęła myśleć o swoich współpracownikach jako o Siódemce Wspaniałych, ponieważ Rowe odgrywał coraz większą rolę także w jej życiu zawodowym. Czuła się bezpieczna i chroniona. Wiedząc, że w każdej chwili może liczyć na poradę i fachową pomoc z ich strony, zasiadła znowu do fortepianu, by ćwiczyć.

Choć była tylko figurantką, wcale jej to nie przeszkadzało. Odroczyła spotkania z prezesami i dyrektorami innych spółek ACI. Nie chciała wyjeżdżać z Nowego Jorku. Po prostu nie chciała rozstawać się z Rowe'em.

Dwunastego kwietnia ACI zgłosiła Komisji Papierów Wartościowych swój zamiar pokojowego przejęcia spółki Bell-Haverson. Tego rodzaju ofertę nazywano w branży „przetargową”. Używane tu określenie „tender” mogło też znaczyć „czułą”, co nieodmiennie śmieszyło Elizabeth.

Wszystko to przemknęło jej teraz przez myśl, uczyniwszy zaledwie drobną zmarszczkę na fali samozadowolenia.

Tak było, dopóki czternastego kwietnia Adrian nie wmaszerował do gabinetu szefowej, poczerwieniały z gniewu.

- Proszę to przeczytać - powiedział, wskazując jej zaznaczoną kolumnę w *The Wall Street Journal*.

Elizabeth przeczytała artykuł.

- Ja... nie rozumiem, Adrianie. Mówiliście, że to pokojowe przejęcie.

- Bo było. Przynajmniej tak nam się wydawało.

- Jednak udało im się znaleźć „białego księcia”?

- Tak - powiedział, niemal wypluwając to słowo. - Do licha, to niemożliwe. To jakiś obłąd. Zupełnie, jakby... cholera, możemy o tym zapomnieć!

- Nie dostaniemy tej firmy?

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Elizabeth?

Przesunął palcami po ciemnych włosach.

- Przepraszam. Nie, nie dostaniemy tej firmy. Nie warto walić głową w mur. Wszystko skończyło się, zanim w ogóle miało szansę się zacząć. Chcesz wiedzieć, kto za nich poręczył?

Elizabeth spojrzała na artykuł.

- Wspominają tu o firmie MAI. Co to za jedni?

Adrian poczuł, jak znowu zalewa go fala zwątpienia. Nakazał sobie cierpliwość. W końcu do niedawna całym jej światem była muzyka. Jak mógłby oczekiwać, że będzie wiedziała? Ale powinna wiedzieć.

- Twój szwagier, Michael Carleton, jest prezesem zarządu MAI, czyli Michael Abercrombie Investments.

- Rodowe nazwisko Laurette brzmi Abercrombie - powiedziała Elizabeth głucho. - Czy to Brad za tym stoi?

- Przypuszczam, że mógł szepnąć słówko stryjowi, ale nie powinien był o tym wiedzieć. Bardzo się staraliśmy, by wszystko zostało utrzymane w tajemnicy.

- A zatem to któryś z Sześciu Wspaniałych. Albo jeden z naszych adwokatów czy bankierów inwestycyjnych.

- Możliwe - przyznał i opadł na krzesło.

- Do licha, to dopiero cios! Może wygadała się któraś z sekretarek, choć tylko Millicent była o wszystkim poinformowana, a ona potrafi trzymać język za zębami. Nikt z nas tego nie oczekiwał. Wiesz, że starannie rozważamy wszelkie możliwości. Jednak ta sprawa zupełnie nas zaskoczyła.

- I co teraz zrobimy?

- Będziemy lizać rany, spróbujemy powstrzymać przeciek informacji, a potem sięgniemy po drugą spółkę na naszej liście.

- To znaczy?

- Jej właściciel to niejaki Jonathan Harley. Jest dobry, bardzo dobry i sam mógłby rozwinąć firmę. Największy problem w tym przypadku będzie polegał na tym, by udało nam się nabyć pakiet kontrolny akcji. Jak zrozumiałem, facet właśnie się rozwodzi i żona przejmie część jego majątku, w tym akcje firmy. Już teraz posiada blisko dziesięć procent udziałów.

- Jak szybko będziemy mogli dokonać przejęcia?

- Nie tak znów szybko. Proces rozwodowy dopiero się rozpoczął. Będziemy musieli trochę poczekać. Lecz kiedy ruszymy do akcji, będziemy działali błyskawicznie.

- To nie będzie pokojowe przejęcie?

- Z pewnością nie. I, Elizabeth, ani słowa nikomu. Nie wspominaj o tym nawet Kogiemu, Gallagherowi czy Drake'owi.

Spostrzegł, że Elizabeth znowu wygląda na wytrąconą z równowagi i bezradną. Nie widział jej takiej od kilku tygodni.

- Posłuchaj - powiedział, łagodniejąc nieco - na razie po prostu o tym zapomnij. Mamy przed sobą kilka miesięcy. Po prostu wyrzuć całą sprawę z pamięci i nie przejmuj się.

Ponieważ dokładnie tego pragnęła, zapomniała o wszystkim i pogrążyła się w muzyce Bacha, cofając się do osiemnastego stulecia, kiedy życie było prostsze i nikt nie musiał przejmować się książętami: czarnymi, białymi czy jakiegokolwiek innego koloru.

Miała swoją muzykę i Rowe'a Chalmersa.

Podpisała dokumenty, które Adrian położył przed nią na biurku. Coraz mniej czasu spędzała teraz w pięknym narożnym gabinecie i była z tego zadowolona.

Przemyśliwała o małżeństwie, domu i dzieciach. W sobotę wieczorem zapytała Rowe'a:

- Kiedy poznam twoich rodziców?

Umilkł, zaskoczony, i przez chwilę w jego oczach mignęło coś jakby strach. Lecz zanim zdążył jej odpowiedzieć, uśmiechnęła się z przymusem i powiedziała:

- W porządku, Rowe. Jeszcze zbyt wcześnie. Jestem głupia, że o tym nie pomyślałam. Dla twoich rodziców jestem nierządnicą albo kimś jeszcze gorszym. W końcu zostałam oskarżona i choć uwolniono mnie od oskarżenia, morderstwo nie zostało wyświetlone, tak jak się to zazwyczaj dzieje w serialu o Perrym Masonie.

Zaczęła oglądać powtórkę tego serialu, nadawaną codziennie w południe. Moment, kiedy w ostatnich dwóch minutach odcinka morderca odsłaniał swe prawdziwe oblicze, działał na Elizabeth niczym katharsis.

Choć w niczym nie przypominało to rzeczywistości.

Jego rodzice muszą o nich wiedzieć. W końcu reporterom nie raz udało się ich sfotografować, czytała też o sobie w szmatławych artykułach, po których lekturze chciało jej się krzyczeć, tak były niesprawiedliwe. Aby go chronić, kilka razy poprosiła członków Szóstki Wspaniałych, by jej towarzyszyli, więc gazety natychmiast okrzyknęły ją wesołą wdówką.

No i nie otrzymała żadnej, absolutnie żadnej wiadomości od Christiana Huntera. Fakt ten, miast sprawić jej ulgę, budził w niej głęboko ukryty niepokój. Zapominała o nim na parę godzin, lecz kiedy powracał, aż skręcała się ze zdenerwowania. Miała ochotę zadzwonić do Huntera, ale zbyt bała się tego, co może usłyszeć.

Zycie biegło swoim torem, a nieprzyjemności nie poruszały jej zbytnio - aż do piątkowego wieczoru.

Adrian i jego żona, Elaine, zaprosili ją na kolację, a ponieważ Rowe przebywał akurat poza miastem, zgodziła się przyjść. Elaine była niewysoką, pełną życia kobietą, która traktowała swego postawnego małżonka jak nieposłusznego szczeniaka, komenderując nim bez przerwy.

Elizabeth lubiła ją i robiła wszystko, aby żona Adriana czuła się przy niej swobodnie. Poszli do Chanterelle, małej restauracji w Soho, gdzie serwowano dania nowej kuchni francuskiej. Elizabeth jadła ostrygi z białymi truflami, a rozmowa koncentrowała się wokół życia rodzinnego Marshów i dwójki ich dzieci.

Nagle Elizabeth spostrzegła Catherine. Była z tym samym mężczyzną, co wówczas, kiedy Elizabeth spotkała się z Rodem Samuelsem w „Pikowanej Żyrafie”. Wyglądało na to, że panna Carleton i jej towarzysz się kłócą.

- Co się stało?

Odwróciła się, słysząc zaniepokojony głos Adriana. Uświadomiła sobie, że bezwiednie osunęła się nieco na krześle i uniosła do góry kieliszek, starając się zasłonić nim profil. Potrząsnęła głową i spróbowała się uśmiechnąć.

- Czy jest tu ktoś, kogo nie lubisz?

Lub raczej, kogo się boisz, sprostował w myślach Adrian, coraz bardziej zaniepokojony. Taka mała restauracyjka, z dała od utartych szlaków. Lecz Elizabeth tylko potrząsnęła głową i zadała Elaine pytanie na temat zwykłych domowych spraw.

Adrian podniósł wzrok i zobaczył Catherine Carleton. Oczywiście, znał ją ze słyszenia. Piękna, młoda, zepsuta. Choć ledwo skończyli przystawki, powiedział wesoło:

- Może byśmy już stąd poszli? Znam pewne szczególne miejsce, do którego chciałbym zabrać

dwie takie wspaniałe kobiety, jak wy, aby postawić im brandy.

On wie, pomyślała Elizabeth i uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Chwyliła torebkę i uniosła się na krzesło. Kelner dostrzegł ten ruch i pośpieszył, by jej pomóc.

Catherine była pijana. I wściekła. Chad Walters okazał się łajdakiem. Żądał coraz większych sum, a ona rozpaczliwie potrzebowała kokainy, której jej dostarczał. Narkotyk był w najlepszym gatunku, a ona nie miała kontaktów z innymi dealerami. Kątem oka spostrzegła śpieszącego ku jednemu ze stolików kelnera. A potem zobaczyła Elizabeth. Zrobiło jej się czerwono przed oczami.

Zerwała się na równe nogi i potrząsnęła głową, by zwalczyć mdłości.

- Ty zakłamana dziwko - powiedziała. Zdawało jej się, że tylko to wyszeptala, jednak Chad skarcił ją ostro:

- Zamknij się, Cathy, i siadaj. Boże, wszyscy się na nas gapią!

Lecz ona nie przestała. Nie mogła. I nawet nie miała takiego zamiaru. Podeszła do stolika, przy którym siedziała Elizabeth. Zobaczyła pobladłą twarz macochy, domyśliła się, że Elizabeth słyszała, co zostało powiedziane.

- Wiem, co mówię - kontynuowała przesadnie wysokim głosem. - Przekupiłaś tego człowieka i morderstwo uszło ci na sucho! Zrobiłaś to, wiem, że to zrobiłaś. Zabiłaś mego ojca!

W restauracji zapanowała teraz martwa cisza.

To niczym żywy obraz, pomyślała Elizabeth. Wszyscy stoimy upozowani, pozwalając się oglądać.

- Wracaj do domu, Catherine - powiedziała głośno i wyraźnie. - Najwidoczniej nie czujesz się dobrze.

- Co, droga macocho? Miałabym zostawić cię w spokoju? Z nim też sypiasz? Spojrzała kpiąco na Adriana. - A może robicie to we trójkę?

Drżała, świadoma, że posunęła się za daleko. Jednak gniew nie pozwalał jej się wycofać.

- Wiem, wiem, że to zrobiłaś. Dopilnuję, żebyś... To było wszystko, co zdołała powiedzieć, bowiem Adrian zerwał się z krzesła, chwycił ją za ramię i zatykając jej usta drugą dłonią, powlókł do drzwi. Chad pomaszerował w ślad za Adrianem.

- Nie, Elizabeth, nic nie mów. Po prostu wyjdźmy.

Elizabeth poczuła na ramieniu rękę Elaine i pozwoliła się wyprowadzić niczym bezwolne dziecko. Za sobą słyszała nasilający się gwar rozmów. To się nigdy nie skończy, nigdy. Pragnęła umrzeć. Kiedy wydostały się na zewnątrz, jej oczom ukazała się scena niczym z kiepskiego filmu.

Adrian potrząsał Catherine niczym pies kością. Chad Walters stał, przyglądając się scenie z kpiącym uśmiechem na wargach. Wokół zdążyła się już zebrać grupka gapiów.

Wkrótce pojawi się policja, pomyślała Elizabeth, i zawsze wężący za tematem paparazzi. A potem wszyscy inni.

Usłyszała, jak mówi głośnym, drżącym głosem:

- Chodźmy stąd, Adrianie. Szybko. Zostaw ją. Adrian puścił Catherine i wtedy poczuł, że jej długie paznokcie rozorywują mu policzek.

- Ty przeklęta dziwko - powiedział, odwrócił się na pięcie i podszedł szybko do żony i Elizabeth. -

Tak, chyba powinniśmy stąd zniknąć. Wszystko w porządku, Elizabeth?

- Tak. Ale Elaine... - zaczęła, odwracając się do pobladłej żony Adriana. - Bardzo mi przykro. Proszę...

Elaine nie odezwała się. Nic podobnego nigdy dotąd się jej nie przydarzyło. Na miłość boską, dorastała w Fort Worth w stanie Teksas, gdzie jej ojciec był profesorem matematyki. Jedyny raz zaistniała publicznie, kiedy wybrano ją dziewczyną miesiąca, a i to nie podczas roku szkolnego, lecz w sierpniu. Czowała się dziwnie, jakby opuściła swoje ciało i przyglądała się sobie z zewnątrz. Słyszała, że Adrian coś mówi, a po nim Elizabeth. Podniosła głowę, spojrzała prosto w oczy Elizabeth i powiedziała:

- Nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

- Elaine, to nie była wina Elizabeth!

Odrzuciła dłoń męża i pomaszerowała ulicą jak najdalej od tego wszystkiego.

Elizabeth oparła się o ceglany mur. Zorientowała się, że Adrian nie bardzo wie, co powinien teraz zrobić: pójść za żoną czy zostać z Elizabeth.

- Idź za nią, Adrianie. Znajdź mi taksówkę, a potem idź.

Uśmiechała się, dopóki Adrian nie wsadził jej do taksówki i nie podał kierowcy adresu.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał kierowca. Usłyszała akcent z Bronksu.

- Tak - powiedziała. - Doskonale. Nie opuściła domu przez trzy dni.

Opis całego zajścia znalazł się oczywiście we wszystkich gazetach, lecz Elizabeth nie chciała tego oglądać. Zresztą Kogi przykazał Gallagherowi, by trzymał gazety i reporterów z dala od ich chlebobawczyni. Sam przesłuchiwał automatyczną sekretarkę i przekazywał jedynie wiadomości od tych, którym ufał.

Rowe wrócił w czwartek z San Francisco i natychmiast przyjechał do Elizabeth. Gallagher spojrzał na niego, jakby był zbawcą świata.

Rowe pomyślał zaskoczony, że Elizabeth wygląda dzisiaj okropnie.

W milczeniu trzymał ją w objęciach. Nie płakała. Nie odzywała się. Rowe odesłał Kogiego i panią Jeffers, a potem zabrał Elizabeth do łóżka. Nie kochał się z nią, tulił, głaszcząc uspokajająco po plecach.

- Dość tego, Elizabeth - powiedział. - To Catherine jest chora, nie ty. Będiesz musiała wziąć się w garść. Jestem pewny, że zaniedbałaś interesy, no i swoją Szóstkę. Jesteś nam potrzebna, kochanie, więc zrób dobrą minę i wychodzimy. Możemy pojechać dokądkolwiek, na przykład do Elizabeth koło New Jersey. Ale wyjdziemy stąd, to pewne jak dwa razy dwa.

- Chciałabym pójść do „Hoboken” - powiedziała, i tak właśnie zrobili.

Pojechali do małej włoskiej restauracji, którą nazwali swoim „Odkryciem z Hoboken”.

Elizabeth otrzymała też oficjalne przeprosiny od Elaine, przekazane jej przez zakłopotanego Adriana.

- Powiedz Elaine, by zapomniała o wszystkim - odparła, poklepując masywne ramię swego asystenta. - Nie winię jej ani trochę. Wiem, jakie to musiało być dla niej okropne.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, uśmiechnęła się z wysiłkiem i poprosiła:

- A teraz powiedz mi, co się tu dzieło.

*

Jonathan Harley wiedział, że traci kontrolę nad firmą. Nie miał dosyć pieniędzy, aby skupować z powrotem akcje. Rozpaczliwie brakowało mu gotówki. Jego zamierzenia dotyczące ekspansji nie wyszły poza etap planowania. Rosę wyprowadziła się i Pillsonowie sprzymierzyli się przeciwko niemu, angażując wszystkie swoje siły, by zniszczyć człowieka, który chciał jedynie, aby pozostawiono go w spokoju.

Tracił na wadze i jego sekretarka, Midge, Miodousta Midge, jak ją nazywał, powiedziała w końcu:

- Wygląda pan jak podkład kolejowy. Mógłby pan położyć się pod szynami i dać się przejechać. A tak nawiasem mówiąc, ile pan waży?

Nie wiedział.

- Powiedziałabym, że jakieś siedemdziesiąt kilo, a ma pan prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Proszę to zjeść, ale już!

Co powiedziawszy, wmusiła w niego nieco chińszczyzny na wynos. A potem odbyła rozmowę z kucharką Jonathana, panią Mallson. Od tej pory na stole co wieczór pojawiała się ilość jedzenia, wystarczająca do nakarmienia pułku wojska.

Wybrał się do Bostonu, by odwiedzić kuzyna i rodzinę. Miał dość rozsądku, aby zdawać sobie sprawę, że jest w złej formie, a nie wiedząc, jak sobie z tym poradzić, znalazł trzy chętne kobiety i kochał się z nimi po kolei przez trzy noce jak szalony.

A potem obudził się pewnego ranka, zastanawiając się, gdzie, u licha, się znajduje i kim jest leżąca obok niego dziewczyna.

Jedna z kobiet, która, jak mu się zdawało, miała na imię Nancy, powiedziała, obserwując go, nagiego, wychodzącego z łazienki:

- Jesteś przystojnym mężczyzną, Jonathanie. Do tego sympatycznym i bardzo dobrym w łóżku. Ale niszczysz samego siebie. To nie jest miły widok. Idź do domu i pozbieraj się do kupy.

I rzeczywiście, zrobił to.

Midge aż pojaśniała z zadowolenia, kiedy zaprosił ją na lunch do Bookery.

- Czyżby to miał być spóźniony prezent gwiazdkowy, szefie?

- Nie - powiedział, unosząc kieliszek. - Wznoszę toast. Za Nancy.

Midge przewróciła oczami.

- To pan jest miodousty, nie ja, szefie. Kim jest ta Nancy? Jak brzmi jej nazwisko?

Jonathan tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową.

- Żebyś mnie zabiła, nie wiem! - odparł i pociągnął głęboki łyk wina. Zatarł dłonie. - Zabrałaś ze sobą notatnik, Midge?

- Na miłość boską, mieliśmy przecież jeść lunch!

- Jest wiele do zrobienia. No dobrze, zjedz swoje kalmary, choć niedobrze mi się robi, jak na to patrzę.

- A czy pan choć wie, jak brzmi moje nazwisko, szefie?

Rozdział 7

Christian Hunter nie odezwał się ani słowem - zbyt był zdziwiony.

- Powiedziała pani, że kto dzwoni, pani Hightower? - wykrztusił w końcu, zaciskając palce na słuchawce, aż zbieleły mu knykcie.

- Jakaś pani Carleton, doktorze.

Spojrzał na swoje włoskie pantofle. Na czubku tego, który miał na lewej stopie, widniała smuga brudu. Potarł noskiem buta o prawą nogawkę.

- Doktorze Hunter? Czy mam jej powiedzieć, że pan oddzwoni? Poprosić, by zostawiła wiadomość?

- Nie, porozmawiam z nią. Kiedy ma się pojawić następny pacjent i kto nim jest?

- Pan Pencini, o drugiej.

- W porządku, proszę mnie połączyć.

Głos pani Hightower brzmiał jak zwykle monotonie, najwidoczniej nie skojarzyła dzwoniącej ze słynną panią Carleton. Prawdę mówiąc, sekretarka nie przejawiała zbyt ciekawości jego wystąpieniem podczas procesu o morderstwo. Jedynie wręczając mu plik listów do podpisania, zauważyła zdawkowo:

- Przypuszczam, że wie pan, co robi. I tyle.

Christian pomyślał, że chyba traci rozum, skoro w takiej szczególnej chwili myśli akurat o statecznej, nudnej Victorii Hightower. Odchrząknął.

- Halo, tu doktor Hunter.

Elizabeth uświadomiła sobie, że nie bardzo wie, co powiedzieć. Ścisnęła kurczowo słuchawkę.

- Doktor Christian Hunter?

- Tak, pani Carleton - powiedział, czując, jak na dźwięk jej głosu zalewa go fala ciepła. Był taki łagodny, przestraszony i niepewny.

- Po prostu nie mogłam już dłużej czekać - powiedziała. - Prawdę mówiąc, odchodzę niemal od zmysłów. Muszę wiedzieć.

Zdawał sobie sprawę, że jest zbyt wcześnie. Jeszcze parę tygodni i będzie gotowy.

- Pani Carleton, jutro wieczorem wyjeżdżam do Wiednia. Kiedy wrócę, będziemy mogli się spotkać. Nie w miejscu publicznym. To by nie było rozsądne.

- Rozumiem. A zatem, u mnie w domu.

- Za dwa tygodnie od piątku?

- Tak... tak będzie dobrze.

- Przyjadę do pani o siódmej wieczorem. Do widzenia.

Tak po prostu, pomyślała Elizabeth, wpatrując się w milczącą słuchawkę. Dwa tygodnie. Przynajmniej widać koniec tej udręki. Dowie się wszystkiego. On jej powie. Ona zaś przekona się, czy ma do czynienia ze świętym, czy z grzesznikiem, z aniołem czy z diabłem. Powoli odłożyła

słuchawkę na widelki. Nagle spochmurniała. Czy on sam z własnej woli nigdy by się z nią nie skontaktował? Czyżby poruszyła coś, czego lepiej było nie tykać? Minęło już ponad siedem miesięcy. Siedem miesięcy zupełnej ciszy. Przypadkowe spotkanie z Morettim, prokuratorem okręgowym, skłoniło ją, by wreszcie zebrała się na odwagę.

Nigdy dotąd nie wyobrażała sobie, że naigrzanie się czy szyderstwo to coś innego, niż tylko trafnie dobrane wyrazy. Szyderstwa Morettiego przesycone były taką furią i pogardą, że aż budziły lęk. Natknęła się na niego, gdy była sama, przed domem towarowym Bloomingdale'a.

- Patrzcie, patrzcie - powiedział, zatrzymując się obok niej, kiedy stała, oglądając wystawę z koronkową bielizną. - Czy to nie nasza morderczyni, wolna i swobodna jak ptak?

Zamarła, odwróciła się i spojrzała prosto w jego wykrzywioną szyderstwem twarz.

- Planuje pani uwieść następnego kochanka, pani Carleton? Mężczyźni chyba się pani boją, co?

- Nie, panie Moretti - powiedziała - ani trochę. Morderca mojego męża nadal przebywa na wolności. Pan nigdy nie chciał go odnaleźć. Byłam na podorędziu, a pańskie polityczne ambicje sprawiały, że musiał pan odnieść szybki sukces.

Zobaczyła, iż żyły na jego szyi nabrzmiały z gniewu. Lecz kiedy się odezwał, jego głos, choć przesycony jadem, brzmiał łagodnie.

- Żałuję, że Samuels nie powołał pani na świadka. Złamałbym panią w pięć minut. I wszyscy przekonaliby się, jaka pani naprawdę jest. Żałosna, ot co. Ale i bogata, prawda, pani Carleton, bardzo bogata? Może pani przekupić każdego.

- Pan zaś, panie Moretti, jest zaślepionym głupcem - powiedziała, po czym oddaliła się wyprostowana dumnie, z uniesioną głową.

Jednak w środku aż skręcała się z bólu. Wtedy uświadomiła sobie jasno, że musi zadzwonić do Christiana Huntera.

- Czy coś się stało, pani Carleton?

Z trudem odwróciła się od telefonu i uśmiechnęła do Kogiego.

- Nie, nic.

Za dwa tygodnie dowiem się wszystkiego. Dwa tygodnie.

- Czy pan Rowe przychodzi dziś na kolację?

- Tak, Kogi. Mógłbyś przygotować *sushi*? On bardzo je lubi.

Następnego dnia otrzymała list. Tylko kilka linijek, napisanych bardzo starannie i nie opatrzonych podpisem. To było jak cios w żołądek.

Pani Carleton.

Proszę pojechać w czwartek wieczór do posiadłości Laurette Carleton na Long Island. Najlepiej około dwudziestej trzydzięści. Proszę nie zapowiadać wizyty, lecz obejść dom i stanąć pod oknem biblioteki, a dowie się pani, jak MAI udało się zdobyć spółkę Bell-Haverson. I wielu innych rzeczy. Jeśli jest pani mądra, nie wspomni pani o tym liście nikomu. Nikomu.

To wszystko. Gapiała się na pojedynczy arkusz papieru, a nawet potrzęsnęła nim. Zdrajca. Ale przecież wiedziała, kim on jest. Avery Ramson, człowiek stojący wysoko w hierarchii firmy, asystent Coya Siverstone'a.

Zgniotła papier, a potem rzuciła kulką o ścianę. Zamknęła oczy, pragnąc odciąć się od rzeczywistości, jednak pod powiekami natychmiast pojawiły się dręczące obrazy. Nie wytrzyma tego dłużej. Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer Adriana. Jego sekretarka, jedna z asystentek Millicent Stacy, odezwała się po drugim dzwonku.

- Janice? Mówi Elizabeth Carleton. Czy zastałam pana Marsha?

- Przykro mi, pani Carleton... zaraz, właśnie wszedł. Proszę chwileczkę poczekać.

- Elizabeth? O co chodzi?

Głos Adriana, mocny jak on sam i, podobnie jak on, przepełniony lojalnością i godny zaufania.

- Jesteś tam, Elizabeth?

- Witam, panie Adman - powiedziała. - Jak... jak się masz?

Odpowiedziała jej pełna zdumienia cisza.

- Dobrze, dziękuję - powiedział w końcu. - O co chodzi?

- Ja... to nic takiego, doprawdy. Po prostu myślałam o Averym Ramsonie.

- Dlaczego?

- To taki wstyd. Słyszałeś o tej wielkiej kampanii reklamowej dla Zakładów Żywnościowych MacKenzie-Carleton?

- Pewnie. Straciliśmy na niej ponad milion dolarów.

- To zdarzyło się już po śmierci Avery'ego.

- Tak, wiem. Lecz jeśli chodzi o kampanie tego rodzaju... bardzo trudno utrzymać je w tajemnicy.

Pomysł na tę zaś po prostu nam skradziono. To się zdarza, Elizabeth, wierz mi. Daj sobie z tym spokój.

Czy naprawdę to się tak po prostu zdarzyło? A ona ma o wszystkim zapomnieć?

- Elizabeth, powiedz mi, co się stało. Uśmiechnęła się z trudem, a potem uświadomiła sobie, że on tego nie widzi i roześmiała się głośno. Ten śmiech sprawił, że Adrian nieco się odprężył.

- Po prostu tak sobie rozmyślałam, o wielu sprawach. Wiem, że jesteś bardzo zajęty.

- Nigdy aż tak, by nie porozmawiać z szefową.

- No cóż, pozdrów ode mnie Elaine.

- Jesteś bardzo miła, Elizabeth - powiedział, najwidoczniej wspominając scenę w restauracji.

Odłożyła słuchawkę, a potem przez jakiś czas snuła się po domu. W końcu włożyła płaszcz, ukryła twarz za ciemnymi okularami i wyszła. Następne trzy godziny spędziła na spacerze. Włóczył się zupełnie jak tego wieczoru, kiedy zabito Timothy'ego, pomyślała w pewnym momencie.

Miała ochotę zadzwonić do Rowe'a. Potrzebowała go bardziej niż kiedykolwiek, lecz on przebywał w Bostonie aż do piątku. Wtedy pokaże mu list. Ale co z czwartkowym wieczorem?

Kiedy wreszcie Rowe do niej zadzwonił, była już prawie noc.

- Impreza z ewentualnymi sponsorami bardzo się przeciągnęła, kochanie. Mam nadzieję, że jeszcze nie spałaś.

Spała, lecz, oczywiście, zaprzeczyła.

- Nie, rozmyślałam o tobie. Bardzo mi cię brakuje, Rowe.

- Mnie ciebie także, Elizabeth. Jesteś jakaś przygaszona. Czy coś się stało?

Chciała mu powiedzieć, wyrzucić z siebie lęk, pozwolić, by wszystkim się zajął. Ale to był jej problem, tylko jej i wciągnięcie w to Rowe'a nie byłoby w porządku. Pewnie wściekłyby się i wynajęli grupę specjalną, aby dokonała najazdu na rezydencję Laurette.

- Nie, wszystko w porządku. Mam bilety na benefis Nowojorskich Filharmoników, na piątek wieczór.

- Świetnie. Spróbowała się roześmiać.

- Czekam niecierpliwie, Rowe.

- Piękna i gotowa?

- Jak sobie życzysz.

- Na pewno wszystko w porządku, kochanie?

- Tak, oczywiście. Do zobaczenia w piątek wieczorem, Rowe.

O drugiej w nocy zażyła dwie pigułki na sen.

Dzień wstał ponury, a w powietrzu unosiła się wilgoć, zapowiadająca rychłe nadejście deszczu. Wynajęła samochód, małego ciemnoniebieskiego mustanga. Miała nadzieję, że jednak nie zacznie padać, bo nie wiedziała, jak uruchamia się w tym modelu wycieraczki.

Na autostradzie ruch był niewielki. Rezydencja Laurette znajdowała się w Southampton. Przez chwilę zastanawiała się, jak może tam wyglądać zabezpieczenie przed włamaniem. O ile sobie przypominała, zainstalowano jedynie zwykły alarm przeciwwłamaniowy, a ten z łatwością mogła ominąć. W końcu miała tylko stanąć za szklanymi drzwiami biblioteki i podsłuchiwać. Już teraz czuła się jak przestępca. Wyobraziła sobie triumfującą minę Morettiego, gdyby przyłapano ją na myszkowaniu w posiadłości Carletonów.

Kto przysłał jej ten list? I dlaczego?

Jej życie zdawało się być niekończącym się pasmem pytań, na które nie było odpowiedzi.

Choć marzła, była jednocześnie spocona.

Przestępca. Nawet ubrała się jak złodziej, cała na czarno. Włosy splotła w warkocz i ukryła pod czarną wełnianą czapką.

Powinna była poprosić Adriana o pomoc.

Powinna była ubłagać Rowe'a, by wcześniej wrócił z Bostonu.

Rezydencja Carletonów znajdowała się już bardzo blisko.

Dom, w którym urodził się i wychował Timothy. Posiadłość liczyła piętnaście akrów doskonale zagospodarowanej ziemi, obsadzonej po obwodzie drzewami.

Elizabeth zjechała z szosy i zatrzymała samochód tuż obok kamiennego ogrodzenia, wysokiego na prawie dwa metry. Roześmiała się cicho. Oto ona: artystka, wdrapująca się na cudzy płot.

Pokonanie przeszkody zajęło jej zaledwie sekundy. Przez sobą widziała światła domu. Przestronna biblioteka, miejsce spotkań klanu, znajdowała się po wschodniej stronie głównego budynku.

Co ja tu robię? Czyżbym do reszty straciła rozum?

Szła dalej, lekko pochylona - jak złodziej.

A jeśli zostanie złapana?

Chociaż nie chciała o tym myśleć, oczami wyobraźni widziała już nagłówki: WDOVA CARLETON ARESZTOWANA ZA NIELEGALNE WTARGNIĘCIE: PROKURATOR OKRĘGOWY ŚLINI SIĘ Z RADOŚCI.

/ co niby takiego miałabym tu podsłuchać? Kogo zobaczyć?

Następnego zdrajcę? Adriana? Roda? Nie, proszę, nie. Błagam.

Przemknęła skrajem szerokiego podjazdu, na którym stały cztery samochody. Rzeczywiście szykowało się rodzinne zebranie.

Kiedy dotarła wreszcie do okien biblioteki, oddychała ciężko, nie tyle ze zmęczenia, co ze strachu. Laurette uwielbiała świeże powietrze, o każdej porze roku, toteż niektóre okna były nieco uchylone. Czyżby osoba, która napisała list, znała takie szczegóły?

Elizabeth zerknęła przez okno.

Laurette siedziała z dala od kominka, niczym królowa, na krześle z wysokim oparciem. Po jej

lewej stronie stał Michael, wyraźnie rozluźniony, z uśmiechem na ustach. Chyba zeszczupłał, pomyślała Elizabeth. No i była tam Catherine, upozowana wdzięcznie na sofie, roześmiana, w karmazynowym jedwabnym komplecie, krojem przypominającym piżamę. Brad, zgarbiony, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni, opierał się o kominek. Nagle w jej polu widzenia pojawił się kamerdyner.

Poinformował o czymś cicho Laurette. Elizabeth nie udało się rozróżnić słów.

Po co ją tu sprowadzono? Aby poznała plany Carletonów dotyczące zniszczenia firmy?

Zamarła, a serce zaczęło mocno walić jej w piersi, powolnymi, bolesnymi uderzeniami, od których robiło jej się niedobrze.

Rowe Chalmers wmaszerował do biblioteki tym swoim pewnym krokiem, który tak bardzo lubiła.

- Spóźniłeś się, skarbie - powiedziała Catherine. - Choć i tak miło widzieć chłopca na posyłki Elizabeth.

- Cicho bądź, Catherine - warknął Michael. Rowe skinął głową Laurette, lecz nie zamierzał usiąść.

Brad odsunął się od kominka.

- Jakie nowiny nam przynosisz?

Laurette przerwała synowi, mówiąc głosem dźwięcznym, wyraźnym, nawykłym do wydawania poleceń:

- Zanim przejdziemy do rzeczy, nie zaszkodziłoby zadośćuczynić regułom dobrego wychowania.

Czego się pan napije, panie Chalmers? Szkockiej? Koniaku? Wódki?

- Dziękuję, pani Carleton, niczego - powiedział Rowe.

- A zatem możemy przejść do interesów. Mój wnuk pytał, jakie ma pan dla nas nowiny.

- Żadne.

- Daj spokój, skarbie - powiedziała Catherine, prostując się na sofie. - Z pewnością po seksie nie rozmawiacie wyłącznie o ślicznych paluszkach u nóg Elizabeth.

- Mówiłem wam już, że Elizabeth praktycznie zrezygnowała z osobistego kierowania firmą.

- Mimo to z pewnością nadal dużo wie - odezwała się Laurette. - Na temat strategii, do której nie dopuszczają Brada.

- Powiedziałem wam o kampanii reklamowej.

- Jaka szkoda, że stary Avery z sobą skończył - westchnął Michael. - Straciliśmy doskonałego kozła ofiarnego.

- Z pewnością wiesz, o czym mówisz - przerwał mu Rowe. - W końcu sam go do tego popchnąłeś.

- Proszę dać temu spokój, panie Chalmers - wtrąciła Laurette swoim najbardziej władczym tonem. - To pan zażądał spotkania, nie my. Co ma pan nam do powiedzenia?

Rowe popatrzył na każdego z Carletonów po kolei. Miał ochotę ich zabić, wszystkich co do jednego.

- Wypełniłem zobowiązanie - powiedział sucho. - Chcę z tym skończyć. Pan Carleton - tu wskazał palcem na Michaela - obiecał, że będzie to możliwe.

Michael wydawał się rozbawiony.

- Doprawdy, drogi chłopcze, to nie moja wina, że twój ojczulek roztrwoni! rodzinną fortunę przez nieudolne zarządzanie i hazard. Potrzebujesz pieniędzy, aby wyciągnąć z zapaści swój bank. Tylko my mamy odpowiednie pieniądze.

Rowe spojrział na Laurette.

- Dlaczego chce pani zaszkodzić firmie swego syna? Zniszczyć to, co z takim trudem zbudował?

- Z zemsty, panie Chalmers, z zemsty zbolalej matki - powiedziała cicho Laurette. - Pragnę, by Elizabeth Xavier Carleton zrozumiała, że nie można zamordować mi syna, a potem spokojnie przeżyć resztę swych dni.

- Naprawdę uważam - odezwała się Catherine - że on przeżywa atak wyrzutów sumienia. Czy droga Elizabeth jest aż tak dobra w łóżku?

- Nie bądź wulgarna, Catherine - skarciła wnuczkę Laurette, pochmurniejąc. - Pan Chalmers będzie dostarcza! nam informacji, dopóki nie będziemy w pełni usatysfakcjonowani. Kiedy dowiemy się, jak brzmi nazwa następnej kompanii elektronicznej, którą będą próbowali przejąć, na pańskim koncju znajdzie się kolejny milion dolarów.

- Na miłość boską, Elizabeth tego nie wie! - zawołał Rowe.

- Zapytaj ją - powiedział Michael.

- Przecież mówi ci o wszystkim, prawda? - Catherine uśmiechnęła się, krzyżując nogi. - W Paryżu spisałeś się doskonale i bardzo szybko doprowadziłeś Elizabeth tam, gdzie chciałeś ją mieć. W łóżku.

- Ona nie zabiła syna pani.

Laurette przez chwilę przyglądała się twarzy Rowe'a. Rysy starszej damy ani trochę nie złagodniały.

- Czy moja wnuczka ma rację, panie Chalmers? Czy, jak to mówią, zadurzył się pan w tej kobiecie?

Rowe nie odpowiedział.

- Ona go zabiła, nie mam co do tego cienia wątpliwości - stwierdziła kategorycznie Laurette. - Być może powinien pan zachować większą czujność.

- Znasz warunki, Chalmers - wtrącił ostro Michael. - Nie próbuj się wycofać albo nas wykiwać, na przykład żeniąc się z Elizabeth. Wiesz, co się wtedy stanie.

- Potrzebujemy informacji, panie Chalmers - powiedziała spokojnie Laurette. - Tego systemu bezpieczeństwa, który wprowadził Adrian Marsh, nie da się złamać ani obejść.

- Nie udało nam się umówić go na spotkanie z najpiękniejszą dziwką w Nowym Jorku - powiedział Michael z nieukrywanym zdumieniem w głosie. - Czy ktokolwiek z was widział jego żonę?

- Ja widziałam - oznajmiła Catherine. - Myślałam, że obie z Elizabeth wyzioną ducha w tej restauracji.

- Porozmawiamy o tym później, Catherine - powiedziała chłodno Laurette. - Nie znoszę wulgarnych scen.

Catherine wdzięcznie wzruszyła ramionami.

- Kiedy wreszcie będę się mógł wycofać? - zapytał Rowe.

- Zgodnie z posiadanymi przeze mnie informacjami, które z pewnością zgodne są z prawdą, potrzeba ci jeszcze pięciu milionów. Nie możesz się teraz wycofać. Więc jak, spędzisz z Elizabeth cały weekend?

Rowe skinął głową na znak zgody.

- A zatem sugeruję, byś ostro wziął się do roboty. Wiesz, jak postępować z kobietami, masz w tym duże doświadczenie. Elizabeth z pewnością aż tak nie różni się od innych. Do licha, namów ją,

by z powrotem zajęła się interesami. I, Chalmers, będziesz pamiętał o firmie, którą się zainteresują, prawda?

Rowe przyglądał się im w milczeniu. Pięć milionów dolarów i wszystko będzie bezpieczne. On zostanie uratowany, a dobre imię jego ojca nie ucierpi.

- Jest pan roztrzęsiony, panie Chalmers - wtrąciła nagle Laurette. - O co chodzi? Tylko proszę powiedzieć mi prawdę, jeśli łaska.

- Elizabeth mnie kocha. Nie mogę dłużej wymigiwać się od małżeństwa. Wiem, że ona pragnie stałego związku i dzieci. Chce, abym się zadeklarował.

- Tak właśnie postąpił mój syn, panie Chalmers, i niech pan tylko popatrzy, do czego go to doprowadziło.

- Kłam, Chalmers - powiedział Brad. - Jesteś w tym bardzo dobry.

Rowe odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Usłyszał jeszcze, jak Michael krzyczy za nim:

- Pamiętaj o tych pięciu milionach. Zadzwoń do ciebie we wtorek wieczorem. Bądź w domu, Rowe i postaraj się mieć dla mnie informacje. Cenne informacje, albo, zapewniam cię, pożałujesz.

Zaczęło padać. Choć z nieba lały się strugi zimnej wody, Elizabeth nie poruszyła się, dopóki nie usłyszała, że Rowe odjeżdża.

Rozdział 8

- Dobry wieczór, panie Chalmers.

- Witaj, Kogi. Jak się masz?

- Dobrze, dziękuję panu - odparł Kogi, uwalniając Rowe'a od parasola. - Pani Carleton zaraz tu będzie. Napije się pan czegoś?

- Z przyjemnością wypiłbym martini. Pozostawiony samemu sobie, Rowe podszedł do okna. Nie chciało mu się wychodzić, zwłaszcza w taką deszczową pogodę, lecz Elizabeth uwielbiała symfonie.

- Dobry wieczór, Rowe.

Odwrócił się z szerokim uśmiechem na ustach - Elizabeth - powiedział i ruszył ku niej. Wyglądała pięknie, ubrana w długą białą suknię z wąskimi ramiączkami. Jej szyję otaczał szmaragdowy naszyjnik, sięgający niemal rowka między piersiami. Poczul, że jego puls przyśpiesza i wyciągnął do niej ramiona.

Elizabeth cofnęła się i stanęła z drugiej strony fortepianu.

- Jak było w Bostonie? - zapytała.

- Wilgotno i ciepło, podobnie jak tutaj, z wyjątkiem deszczu. U nas nie padało.

- Kiedy przyjechałeś?

- Jakąś godzinę temu. Wpadłem do siebie, aby się przebrać.

- Widzę - powiedziała. - Doskonale wyglądasz w smokingu, Rowe. Naprawdę wspaniale.

- Wiesz, kochanie, wcale nie musimy wychodzić. Wolałbym nie dzielić się tobą od razu po przyjeździe. Wyglądasz tak pięknie.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Ja też nie mam ochoty dziś wychodzić.

- To był długi tydzień - powiedział, posyłając jej swój szczególny uśmiech. - W dodatku spędzony z dala od ciebie.

- Kogi przygotował dla nas coś specjalnego. Mam nadzieję, że jesteś głodny?

- Może pani na to liczyć. A skoro już mowa o jedzeniu... - Zamilkł i obrzucił ją komicznie pożądlwym spojrzeniem.

- O, jest twoje martini i moje wino. Dziękuję, Kogi. Pan Rowe i ja zasiądziemy do obiadu za, powiedzmy, trzydzieści minut?

- Tak, oczywiście, pani Carleton - odparł Kogi i odmaszerował z powrotem do kuchni.

- Za nas, Elizabeth - powiedział Rowe, stukając szklaneczką o kieliszek Elizabeth.

- Tak, za ciebie i za mnie.

Elizabeth sączyła wino, obserwując kochanka. Uśmiechnęła się do niego słodko i zapytała z nadzieją, przymilnym tonem:

- Kiedy poznam twoją rodzinę, Rowe?

- Nie tak szybko, jakbym sobie tego życzył. Moi rodzice nie znoszą wilgotnej pogody, więc jutro

wyjeżdżają na Bermudy.

- Rozumiem. Jak długo ich nie będzie? Wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że kilka miesięcy. Mają w Hamilton dom.

- Nie wiedziałam, ale to bez różnicy, prawda?

- Chyba tak. Co porabiałaś, Elizabeth?

- W tym tygodniu? Postanowiłam trochę odpocząć od muzyki, więc prawie cały dzień spędziłam z Adrianem i moją Szóstką. - Westchnęła. - Brakuje mi Avery'ego. Biedny człowiek.

- Jesteś pewna, że nadal chcesz się w to bawić?

- Rod i Adrian przekonali mnie, że powinnam. I, oczywiście, musimy znaleźć kogoś na miejsce Avery'ego. Po południu przeglądaliśmy zgłoszenia kandydatów.

- Rozumiem. Chcesz dać mi tę robotę? - zapytał, a potem błyskawicznie okrążył fortepian i chwycił ją w objęcia. - Wtedy co dzień byłbym blisko ciebie i mogłabyś uganiać się za mną wokół biurka.

Pocałował ją i natychmiast spoważniał. Odsunął się nieco i spojrzał jej w oczy.

- Co się stało, Elizabeth? Przesunęła palcami po linii jego szczęki.

- Nic, chodzi tylko o to... - O co?

- Właśnie dziś zaczął mi się okres. Jęknął, a potem uśmiechnął się.

- Przez cały czas ci powtarzam, że to nie musi być przeszkodą, moja mała purytanko. - Pocałował ją znowu. - Nie bardzo masz ochotę się dziś kochać, co?

- Rzeczywiście. Przepraszam, Rowe.

- Więc, jak się domyślam, posiłek przygotowany przez Kogiego będzie musiał mi wystarczyć.

Kogi podał sałatkę cesarską, a potem pieczoną wieprzowinę z zapiekаныmi ziemniakami i zielonym groszkiem.

- A na deser mamy placek z truskawkami.

- Nie wiem doprawdy, jak udaje ci się pozostać szczupłą.

- Kogi podaje takie jedzenie tylko wtedy, kiedy mam towarzystwo. Na co dzień zadawałam się gotowaną pierśią kurczaka i odrobiną ryżu. Poza tym, jak wiesz, dużo chodzę.

- Kiedy nie ćwiczysz.

- Lub kiedy nie uczestniczę w poważnych naradach.

Nabił na widelec kawałek ziemniaka i zapytał:

- Więc czyją kandydaturę rozważacie?

- Jeden kandydat szczególnie nas interesuje. Nazywa się James Houston i, co dziwne, naprawdę mieszka w Houston w Teksasie. Jest bardzo błyskotliwy, jeśli chodzi o marketing, i przypuszczam, że przy odrobinie zachęty uda nam się go pozyskać.

- Nigdy o nim nie słyszałem - powiedział Rowe. - Gdzie on teraz pracuje?

- Chętnie zrezygnowałby z kierowania działem marketingu w Brammerson Oil. Choć ceny ropy przestały spadać, on nadal rozgląda się za innymi możliwościami, jak mawiają ludzie interesu.

- Według mnie brzmi to rozsądnie - powiedział Rowe. Odchylił się na oparcie krzesła i poklepał po brzuchu.

- Najadłem się po uszy. Szkoda, że nie mogę spalić kalorii w łóżku.

Delikatnie ujął dłoń Elizabeth i delikatnie ścisnął jej palce.

- Czy te utalentowane dłonie są ubezpieczone?

- Tak, przez Towarzystwo Ubezpieczeniowe Lloyd'a. Timothy nalegał, więc trzy lata temu

zgodziłam się na to. Co prawda wydawało mi się to raczej śmieszne.

Kogi podał kawę z ekspresu, a potem, kiedy Elizabeth dała mu znak skinieniem głowy, pozbiierał naczynia i zostawił ich samych. Elizabeth zabrała swoją filiżankę do salonu i usiadła na krześle.

- Czujesz się na tyle dobrze, by dać dziś wieczór prywatny koncert?

Skinęła głową.

Rowe odstawił filiżankę i oparł stopy na szklanym stoliku.

- Jesteś strasznie milcząca. Nie natknęłaś się chyba znowu na jakichś koszmarnych reporterów?

- Prawdę mówiąc, natknęłam się. Tyle że nie na reporterów, a na prokuratora okręgowego, Morettiego. Przed Bloomingdale'em.

Rowe wyprostował się, a jego ciało stężało z gniewu.

- Co ci ten bękart powiedział?

- Nic zbytnio różniącego się od tego, co mówił przedtem. Że jestem morderczynią, wystarczająco bogatą, aby przekupić każdego. I że jestem dziwką, a moi kochankowie powinni się pilnować, bo kiedy mi się znudzą, ich życie może być zagrożone.

- Mogłabyś go pozwać, wiesz o tym.

- Media oszalałyby z radości, gdybym to zrobiła. - Jej oczy zabłysły. - Prawdopodobnie przebiłabym każdy skandal polityczny. Być może ty, jako mój kochanek, też powinieneś zachować ostrożność.

- Przestań, Elizabeth.

Podniosła się z krzesła i podeszła do fortepianu. Zaczęła grać jazz. Rowe nigdy dotąd nie słyszał, by improwizowała.

Później, kiedy leżeli w łóżku, powiedziała mu, którą firmę elektroniczną zamierza wykupić i przejąć ACI.

- Nie mogę tego zrobić.

- Co powiedziałaś, Elizabeth?

Elizabeth wzdrygnęła się, uświadomiwszy sobie, że mówi na głos.

- To nic takiego, Adrianie. Po prostu głośno myślałam. Opowiedz mi o akcjach Cordie.

- Najdziwniejsze jest to, że ceny akcji zaczęły wariować, gdy tylko rozeszły się pogłoski o przejęciu.

- Domyślcie się, kto za tym stoi?

- Pewnie. Grupa Lauffersona.

- A jakie są powiązania między zarządem tej firmy a Michaeliem Carletonem? - zapytała cicho.

- O co ci chodzi, Elizabeth? Skąd o tym wiesz?

- Po prostu odpowiedz na moje pytanie.

- O ile wiem, żadne. Może byś mi po prostu powiedziała...

Uniosła dłoń, a kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było chłód:

- Nie, Adrianie. Musi być jakiś związek, jestem tego pewna. Proszę, każ komuś - jednej osobie lub kilku - zająć się tym i wróć do mnie po południu.

Skinął głową - nie miał wyboru. Zachowywała się inaczej, zupełnie inaczej. Dawniej zdarzało jej się być pełną rezerwy, lecz teraz było w tym coś jeszcze: zdecydowanie, determinacja. Ewidentnie coś przed nim ukrywała. Lecz co ona mogła wiedzieć o Cordie? Zdawał sobie sprawę, że nie będzie z nim rozmawiała szczerze, przynajmniej nie teraz. Dała to do zrozumienia wystarczająco jasno.

- Zadzwoń, gdy tylko czegoś się dowiem - powiedział.

- Dziś po południu, Admanie - powtórzyła.

Uśmiechnęła się słabo i skierowała ku drzwiom gabinetu Adriana. Na progu odwróciła się jeszcze i powiedziała:

- Słyszałeś może o tym człowieku, który odszedł z Brammerson Oil? Panu Houstonie?

- Oczywiście. Co z nim?

- Dowiedz się, kto go zatrudnił.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Elizabeth odwróciła się i wyszła.

James Houston. Po bliższym przyjrzeniu się wyszło na jaw, że to człowiek ograniczony, pozbawiony wizji i wyobraźni, nadający się jedynie do tego, by sprzedawać ropę. W dodatku bezlitośnie wykorzystujący personel, nie okazujący ludziom cienia zaufania i kradnący ich pomysły, by potem zgłaszać je jako własne.

O trzeciej po południu Adrian i Rod Samuels zjawili się w domu Timothy'ego, przywiezieni przez Gallaghera.

Elizabeth, odziana w kostium gimnastyczny, ćwiczyła właśnie, kierując się nagranyymi na kasetę wskazówkami Jane Fondy. Gdy weszli, uśmiechnęła się i otarła pot z czoła.

- Widzę, że przybyliście w znaczącej sile - powiedziała, wyłączając odtwarzacz. Ucisnęła im dłonie.

- Witaj Rod. Adrianie, mam nadzieję, że zebrałeś informacje, o które cię prosiłam. Wiesz, mogłeś po prostu zadzwonić.

- Nie, nie mogłem - odpowiedział Adrian.

- Elizabeth, co tu się, do cholery, dzieje?

- Siadajcie, proszę.

Sama usiadła na podłodze, krzyżując nogi w pozycji lotosu.

- Słucham.

Adrian zerknął na Roda, zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął:

- Chciałaś wiedzieć, czy istnieje powiązanie pomiędzy Grupą Lauffersona a Michaeliem Carletonem. Otóż istnieje. Prezes zarządu u Lauffersona to bliski przyjaciel Michaela. Prawdę mówiąc, Michael wyciągnął go z kłopotów finansowych, w jakie popadł pięć lat temu. Ma więc u niego dług wdzięczności, i to duży.

- A teraz Laufferson zamierza wykupić Cordie - uzupełniła Elizabeth.

- Na to wygląda - powiedział Rod. - Skąd o tym wiedziałaś, Elizabeth?

- Następny temat, proszę - zażądała i Rod zmarszczył brwi.

Jej głos brzmiał zdecydowanie, a w oczach nie było ciepła.

- Doskonale. James Houston został zatrudniony nie dalej jak wczoraj przez firmę włókienniczą z Atlanty. Zaoferowali mu krocie.

- Czy słusznie się domyślam, że ta firma należy do MAI?

- Istotnie.

Elizabeth uśmiechnęła się. Nie był to przyjemny uśmiech.

Rod wyprostował się na sofie.

- Elizabeth, ty coś wiesz.

Wstała i zarzuciła sobie ręcznik na ramiona.

- No dobrze, moi panowie, to by było na tyle. A teraz chciałabym wydać polecenie. Mieliśmy sporo kłopotów w Zakładach Stalowych Millsom. Dyrektor rwie sobie włosy z głowy, a my tracimy

pieniądze i wiarygodność wśród klientów. Wynajmij prywatnych detektywów, Adrianie. Uważam, iż szybko odkryją, że kłopoty firmy nie powstały w wyniku działalności gremlinów, prawa Murphy'ego czy niekompetencji zarządu. Carletonowie zapłacili komuś, by szerzył zamęt. Dowiedz się, kim są ci ludzie, Adrianie, i zajmij się nimi.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś założyła podsłuch na telefonie Michaela.

Choć Adrian zamierzał tylko zażartować, Elizabeth potraktowała jego słowa poważnie.

- Można tak powiedzieć. A właśnie, załóżcie podsłuch na telefonie Brada. I, Adrianie, dopilnuj proszę, aby co tydzień sprawdzano nasze aparaty.

Uśmiechnęła się, tym razem szczerze, i dodała:

- Uwielbiam oglądać filmy o McGyverze. Dowiedziałam się z nich, jak się zakłada i wykrywa podsłuch.

- Sprawdzamy nasze telefony raz w miesiącu, Elizabeth - powiedział Adrian.

- Więc odtąd będziecie robili to co tydzień. Mam nadzieję, że firma, która przeprowadza kontrolę, jest godna zaufania?

- Ja... przypuszczam, że tak.

- Proszę, upewnij się, Adrianie. - Uśmiechnęła się. - To chyba wszystko. Jutro skoro świt zjawię się biurze.

- Dlaczego? - zapytał Rod, wstając.

- Chyba już czas, abym poważnie podeszła do swoich obowiązków, nie sądzicie? Tyle się jeszcze muszę nauczyć.

*

Żadnych więcej plotek. Ani jednej. Jonathan Harley uśmiechnął się, mijając podczas joggingu dom Betsy Ross. Był bezpieczny, a jego firma wraz z nim.

Proces rozwodowy wkrótce się zakończy, i w tym właśnie sęk. Musi zgromadzić wystarczająco dużo pieniędzy, by wykupić akcje, należące teraz do Rose. Przyspieszył kroku. Skąd by tu wytrzasnąć forszę?

Czy Rose zamierza sprzedać swoje akcje, czy też będzie je trzymała, dręcząc go w nieskończoność? Spotykała się już z innym mężczyzną, bogatym lekarzem, który mógłby być jej ojcem. Andrew Pillson był ważną postacią w jej życiu. Jonathan wzruszył ramionami. To już nie jego problem. Jeszcze tydzień, i będzie wolny. W końcu.

W ciągu ostatnich miesięcy, wracając do domu z pracy, nieraz uświadamia! sobie, że to już nie jego dom, lecz Rose. Mimo to jeszcze się nie wyprowadził. Rose przebywała we Włoszech ze swoim majętnym adoratorem. Zastanawiał się, czy nie powinien pójść za ciosem i poszukać sobie mieszkania. Nie wiedział, kiedy Rose wraca, lecz gdyby po powrocie zastała go w domu, który teraz należał już tylko do niej, wyrzucenie go sprawiłoby jej nieklamana przyjemność.

Był naprawdę wolny. Nigdy dotąd w całym swoim trzydziestopięcioletnim życiu nawet nie brał pod uwagę, by spróbować seksu bez zobowiązań. Teraz pojawiło się kilka ślicznych młodych kobiet, którym mógł być wdzięczny za edukację w tej dziedzinie. Dziś wieczór spotka się z Cynthią MacBain, która nie należała do eleganckiego towarzystwa, lecz była nauczycielką tańca w miejscowym klubie fitness. To dobrze, że nie zaniedbał swego ciała. Gdyby był starszy i sflaczały, pewnie musiałby teraz intensywnie ćwiczyć, ryzykując atak serca.

Jonathan zwolnił do marszu. Czul, że przepelnia go energia i świeżo odzyskana radość życia. Nie mógł się doczekać, by znaleźć się w biurze i podokuczać trochę Midge.

- No, szefie - powiedziała radośnie sekretarka, gdy tylko minął szklane drzwi - było do pana mnóstwo telefonów.

- Służbowych czy prywatnych? Uśmiechnęła się.

- Ależ z pana diabeł wcielony. Jednych i drugich. Proszę ustalić, w jakiej kolejności mam pana łączyć, a ja przyniosę kawę.

Moje życie, pomyślał, podnosząc słuchawkę, aby zadzwonić do swego szefa produkcji, wreszcie zaczęło nabierać sensu. I to w szybkim tempie.

Wiedział już, skąd weźmie pieniądze. To żaden problem.

- Nie rozumiem tego - powiedział Michael Carleton, marszcząc czoło. - Po prostu nie rozumiem.

Laurette odłożyła ostrożnie łyżkę i skinieniem głowy odprawiła pokojówkę.

- O co chodzi? - zapytała.

- Ludzie, których wynająłem, aby... no cóż, aby zajęli się kłopotami w Millsom, po prostu odeszli. Bez słowa.

- Kiedy dowiedziałeś się o tym?

- Wczoraj po południu. Miałem ustalone spotkanie z moim informatorem.

- Więc się nie stawil?

- Nie, i nie przekazał żadnego wyjaśnienia.

- Chyba nie powinieneś się tym przejmować - powiedziała, podnosząc do ust łyżkę. Na obiad podano jej ulubioną zupę żółwiową, i nie chciała, by danie wystygło.

Michael nie znosił zupy żółwiowej. Obserwował więc tylko, jak matka je, i bawił się chlebem.

- Nie chodzi jedynie o to - odezwał się w końcu.

- Tak? - Łyżka z zupą znieruchomiała w połowie drogi między talerzem a ustami Laurette.

- Ten facet, James Houston. Zastępca dyrektora do spraw marketingu twierdzi, że nie jest ani w połowie tak błyskotliwy, jakim się wydawał. Trudno uwierzyć, by ludzie w ACI nie poznali się na nim. Mimo to chcieli go zatrudnić.

- Może jeszcze za wcześnie, by ocenić jego zdolności. Musi coś w sobie mieć. Wiesz, że ludzie stojący na czele ACI nie są głupcami.

- Tak, wiem o tym aż za dobrze - powiedział Michael, czując znajome palenie w żołądku. Przeklęty wrzód! Uśmiechnął się z przymusem. - Przynajmniej wykupywanie Cordie przebiega jak należy. To będzie dla nich cios.

- Stratedzy Elizabeth muszą być wściekli - stwierdziła Laurette pogodnie. Podniosła stojący obok łokcia dzwoneczek i zadzwoniła. Natychmiast pojawiła się służąca. W milczeniu zaczęła podawać kolejne danie.

Michael lubił kotlety jagnięce, zwłaszcza serwowane w sposób, w jaki przygotowywał je kucharz matki, z rozmarynem i odrobiną czosnku.

Laurette nie odzywała się przez jakiś czas, przyglądając się jedzącemu synowi.

- Porozmawiałyśmy sobie z Catherine - powiedziała w końcu. - Nie mam już na nią wpływu, Michaelu. Teraz, kiedy dorwała się do pieniędzy ojca, zachowuje się, jakby straciła rozum.

- Wiem. Wszystkiemu winien ten Chad Walters, z którym się spotyka. Przykro mi to mówić, mam, ale on rozprowadza narkotyki, a z tego, co słyszałem, Catherine uzależniła się od kokainy.

- Sugeruję, byś pozbył się pana Waltersa. Ja zajmę się Catherine.

Michael nie rozumiał, czemu przebiegły go ciarki. Matka ma już prawie osiemdziesiąt cztery lata, pomyślał. A mimo to... mimo to...

- Tak, mam. Chyba najlepiej będzie...

- Nie chcę znać szczegółów, Michaelu. Po prostu pozbadź się go. W tej rodzinie nie będzie więcej skandali.

- Tak, mam.

- Bradley myśli o tym, by się ożenić.

- Z kim? - spytał Michael bez większego zainteresowania.

- Z dziewczyną, którą akceptuję. Nazywa się Jennifer Henkle i jest córką senatora z Alabamy, Charlesa Henkle'a.

- Ale, na miłość boską, dlaczego? Laurette zmarszczyła brwi.

Michael zamarł. Jak tu powiedzieć matce, iż chodzą słuchy, że jej najstarszy wnuk woli mężczyzn?

- Tak czy inaczej - kontynuowała Laurette - Jennifer spędzi u nas najbliższy weekend. Będzie miała okazję poznać całą rodzinę. Myślę, że ci się spodoba. To ładna, spokojna dziewczyna z dobrej, solidnej rodziny.

- Nie jest muzykiem, co?

- To wcale nie było zabawne, Michaelu.

- Rzeczywiście - powiedział, wzdychając. - Chyba nie. Na pewno nie.

- Timothy był taki silny, wiesz o tym.

Tak, wiedział. I nienawidził go za to. Pamiętał, jak Timothy nazwał go wrednym mięczakiem. Laurette mówiła dalej, rozmarzona:

- Często bywałam na niego wściekła, kiedy mi się sprzeciwiał. A on po prostu uśmiechał się wtedy do mnie tym swoim szczególnym uśmiechem i kazał mi na powrót zająć się szydełkowaniem. Tak, to był silny mężczyzna, silny syn.

- Teraz masz mnie, mam - powiedział Michael. Laurette poklepała go delikatnie po policzku.

- Tak, rzeczywiście, mam ciebie. Doskonale zgadzamy się ze sobą. Doskonale.

Kiedy wieczorem całował na pożegnanie jej policzek, czuł łączącą ich więź. Zanim wyszedł, powiedziała jasno i wyraźnie:

- Zajmij się Chadem Waltersem, mój drogi.

Rozdział 9

Christian Hunter spojrzał na Liama Gallaghera, dostrzegł w jego oczach błysk rozpoznania i skinął głową:

- Ona mnie oczekuje. O siódmej.

- Tak, proszę pana, to znaczy, doktorze Hunter. Wiem.

Szybko zadzwonił na górę.

- Doktor Hunter jest tutaj, Kogi.

Christian przesuwiał palcami po złotym liściu, zdobiącym starą windę. Chwycił się poręczy, ponieważ kabina zakotłowała się pomiędzy piętrami. Ostentacja zawsze pozostanie ostentacją, nieważne, w jakim przebraniu, pomyślał. Uśmiechnął się, próbując zmusić się do podziwiania przeklętego urządzenia.

Na górze powitał go japoński służący, który nie mógł ważyć więcej niż pięćdziesiąt kilogramów, a i to w butach z ołowianymi podeszwami. Nie sposób było ocenić, ile ma lat. Trzydzieści? Pięćdziesiąt? W jego spojrzeniu także pojawił się błysk rozpoznania, ale i coś jeszcze, trudnego do zdefiniowania. Czujność, pomyślał Christian, obawa, że on, Christian, mógłby skrzywdzić panią Carleton. Nagle uświadomił sobie, że potrząsa głową, jakby w odpowiedzi na to spojrzenie.

Kogi wziął od niego płaszcz i skórzane rękawiczki, mówiąc:

- Dobry wieczór, doktorze.

Christian skinął głową, a potem podniósł wzrok i zamarł. Nie mógł uwierzyć, że w końcu ją widzi, przebywa z nią w jednym pomieszczeniu. Sam, albo prawie sam.

- Dobry wieczór, pani Carleton - powiedział.

Podszedł i ujął jej dłoń. Nie potrząsał nią, jak tego oczekiwała, lecz ucałował nadgarstek, wdychając zapach skóry. Elizabeth patrzyła na jego pochyloną głowę, czuła chłód palców. Delikatnie oswobodziła rękę.

- Jak tam Wiedeń? *Wiedeń!*

- Och, uroczy, jak zwykle - powiedział.

- Poleciał pan tam dla przyjemności czy na zjazd lekarzy?

- Prawdę mówiąc, z obu powodów.

- Napije się pan czegoś, doktorze Hunter?

- Proszę mówić mi Christian. Tak, chętnie wypiłbym kieliszek białego wina. Łatwo mi dogodzić, byle wino było białe i bardzo wytrawne.

Uśmiechnęła się.

- Ja też takie lubię. Białe i wytrawne. Elizabeth dała Kogiemu znak skinieniem głowy i wskazała Hunterowi sofę.

- Ma pani piękny dom, pani Carleton.

- Dziękuję - odparła spokojnie. - Wie pan, to był dom mojego męża.

Zadzwoił telefon.

Elizabeth przez chwilę wpatrywała się w aparat, modląc się w duchu, aby to nie był Rowe. Pozbyła się go na dzisiejsze popołudnie, tłumacząc, że ma spotkanie w interesach. Usłyszała, że Kogi podnosi słuchawkę. Powiedział coś cicho i rozłączył się.

- Czeka pani na telefon?

- Nie, absolutnie nie. Proszę, niech pan siada, dok... Christianie. Proszę mówić mi Elizabeth.

Spojrzała mu prosto w oczy i dodała:

- Zważywszy, że uratował mi pan życie, zwracanie się do siebie po nazwisku byłoby trochę śmieszne.

- Zgadza się - powiedział, siadając.

- Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam pana w sądzie, pomyślałam, że jest pan Anglikiem.

- Poza, z której nigdy nie udało mi się wyrosnąć. Moja matka była najmłodszą córką angielskiego barona, szlachcica. Wychowano mnie w przekonaniu, iż noszenie angielskich tweedów świadczy o dobrym guście, a prawidłowo przycięty wąs znamionuje głęboki intelekt. Palenie fajki zaś świadczy jedynie o tym, że podobnie jak wielu Amerykanów, jestem uzależniony od tytoniu. Nie przeszkadza ci to że palę, prawda?

- Ani trochę. Mój ojciec palił fajkę. Uwielbiam zapach tytoniu.

Przyglądała się rytuałowi zapalania fajki. Robił to z wdziękiem, spokojnie. Po chwili powietrze wypełniło się słodkim zapachem.

- O, jest nasze wino. Dziękuję, Kogi.

- Za twoje nowe życie, Elizabeth.

- Zawdzięczam je tobie.

Sączyła wino, zastanawiając się, co mu powiedzieć. Co powinna zrobić? Czego oczekiwać?

- Upłynęło już dużo czasu - powiedziała w końcu.

- Tak, całkiem sporo - zgodził się. - Widzę, że prasa w końcu o tobie zapomniała.

- Częściowo. To prawdziwa ulga, możesz mi wierzyć.

- Widziałem cię raz, parę miesięcy temu, w Lincoln Center. Byłaś z Rowenem Chalmersem. Frapujący mężczyzna.

Mówiąc to, bacznie przyglądał się Elizabeth. Zauważył, że jej twarz pobladła.

- Rzeczywiście - powiedziała - można by go tak określić.

- Oczywiście, znam jego rodzinę. Ojciec Rowena to swego rodzaju głupiec, lecz matka przoduje w dobroczynności i takich tam...

Elizabeth nie odezwała się.

Kogi oznajmił, że kolacja gotowa i kiedy zasiadali do stołu, opanowało ją dziwne uczucie *deja vu*, jakby znów towarzyszył jej Rowe. Tego wieczoru Kogi przyrządził krewetki po prowansalsku, tak delikatne w smaku, że rozplływały się w ustach.

- Jesteś psychologiem.

- Tak. Traktuję praktykę jako swego rodzaju hobby. Prokurator okręgowy nie mylił się co do tego.

- Masz wielu pacjentów?

- Około dwunastu, nie więcej. Ponieważ nie muszę martwić się o byt, mogę wybierać sobie pacjentów, którzy mnie interesują.

- Rozumiem.

- Teraz na przykład opiekuję się biznesmenem w średnim wieku, odnoszącym sukcesy, który pewnego dnia bez żadnego szczególnego powodu rozebrał się do rosołu i wmaszerował do gabinetu swojej szefowej, a potem usiłował ją zgwałcić.

- I co się wydarzyło?

- No cóż, kobieta była od niego wyższa i, jak się okazało, silniejsza. Zdzieliła go w głowę i powaliła na podłogę, gdzie dostał ataku serca. Zajmuję się nim już trzy miesiące. W ogóle nie pamięta tego wydarzenia.

- Wymyśliłeś to sobie! Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Nie, przysięgam, że to prawda. Oczywiście, zamówiłem dla niego komplet specjalnych szelek, tak że kiedy znów najdzie go ochota, by się rozebrać, to nim zdoła wyswobodzić się ze spodni, dawno odzyska rozum.

- A co z jego szefową?

- Także przechodzi terapię, jak podejrzewam, aby uwolnić się od poczucia winy. O mało nie zabiła tego biedaka. Lecz to nie ja się nią zajmuję. Sądzę, że zachodziłby tu swego rodzaju konflikt interesów.

- Chcesz jeszcze chleba? Kogi sam go upiekł.

- Dlaczego nie?

Ma takie piękne dłonie, pomyślała, obserwując, jak rozsmarowuje masło na kromce ciepłego pieczywa. Gdyby jego ruchy nie były pełne wdzięku, wydawałyby się wystudiowane.

- Grasz na jakimś instrumencie?

- Próbowałem, gdy byłem młodszy. Uczyłem się gry na skrzypcach i na pianinie. Niestety, mam tyle talentu, co ta solniczka. Lecz jestem jednym z twoich najzagorzalszych wielbicieli.

- Wspominałeś o tym w sądzie.

- Przynajmniej to było prawdą.

Jego słowa zabrzmiały tak, jakby przyznawał, że pogoda jest okropna, ni mniej, ni więcej.

- Opowiedz mi jeszcze o swoich pacjentach. Zrobił to. Mimo iż słuchała z szeroko otwartymi oczami, podejrzewała, że opowieść Christiana to tylko swobodna improwizacja, mająca niewiele wspólnego z prawdą.

- ...rozumiesz, córka upierała się, i to głośno, że została wykorzystana seksualnie przez ojczyma. Bardzo interesujące, zważywszy, że ojczym był impotentem, i to od lat. W końcu okazało się, że dziewczyna próbuje chronić matkę przed złośliwymi plotkami. Otóż w ich wiejskim klubie powtarzano sobie na ucho, że mąż i ojczym nie jest w stanie nic zdziałać w łóżku, a żona i matka czuła się tak upokorzona, że córka postanowiła bronić dobrego imienia ojczyma jako mężczyzny.

- I co zrobiłeś?

- W końcu udało nam się jakoś rozwiązać ten problem. Znalazłem chirurga, który wyleczył mężczyznę, i teraz ojczym, już w pełni sił, naprawdę ugania się za swoją pasierbicą.

Słuchając, jak Elizabeth się śmieje, czuł, że ogarnia go fala czułości i ciepła. Powoli odstawił filiżankę i powiedział:

- Chyba usłyszałaś już dosyć opowieści o moich pacjentach.

- No, nie wiem - odparła, spoglądając mu prosto w oczy. - Czasami unikanie pewnych tematów to jedyny sposób, aby pozostać zdrowym na umyśle.

- To prawda, ale ty chcesz znać prawdę.

- Tak, chcę.

- To bardzo proste. Wiem, że nie zabiłaś swego męża.

Zostało to powiedziane tak szczerze i po prostu, że przez chwilę tylko wpatrywała się w niego.

- Jak możesz być pewny? Zapalił fajkę, by zyskać na czasie.

- Wysłuchałem wszystkich twoich koncertów. Prowokujesz emocje. Potrafiłabyś żyć wyłącznie życiem wewnętrznym, gdybyś tylko zechciała. Zwykły człowiek chyba nie zdołałby poruszyć cię na tyle, by sprowokować głęboką nienawiść, prowadzącą do morderstwa. Prawdę mówiąc, nie sądzę, byś potrafiła zabić pajaka.

Umilkł na chwilę i possał fajkę. Elizabeth nie poruszyła się, milczała.

- Widzisz - kontynuował ostrożnie - ty nie pojmujesz, jak można odebrać komuś życie. Jest ci to tak dogłębnie obce, jak mnie zachowanie tego dżentelmena, który zdarł z siebie ubranie i próbował zgwałcić współpracowniczkę.

Elizabeth w milczeniu wpatrywała się w swoją filiżankę.

- Chyba uważasz mnie za jakąś nieludzką istotę, która poświęciła uczucia dla sztuki. Sądzisz, że to coś w moich genach uczyniło ze mnie dziwadło.

- To prawda, różnisz się od innych ludzi. Dążenie do doskonałości w jakiegokolwiek dziedzinie wymaga skupienia wszystkich sił jedynie na tym celu. Niektóre aspekty ludzkiej natury z pewnością są ci obce. Po prostu nie starczyło już na nie miejsca. Założę się, że we wczesnej młodości nie doświadczyłaś właściwych nastolatkom cierpień związanych z płcią przeciwną.

Uśmiechnęła się do niego.

- Z pewnością nie brakowało mi po temu skłonności, jednak mój ojciec okazał się silniejszy niż hormony. Chyba udało mu się mnie przekonać, że chłopców nie należy traktować zbyt poważnie.

- Czy dlatego poślubiłaś Timothy'ego Carletona? Aby zastąpić nim ojca?

Zauważył, że natychmiast zamknęła się w sobie, powiedział więc szybko:

- Wybacz mi. Nie chciałem być wścibski. To moja natura psychoanalityka domaga się, by poznać całą prawdę o ludziach, aby spróbować ich zrozumieć. Ciekawska natura, powiedziałaś, gdybyś chciała być uprzejma. Czasami przykra i trudna do zaakceptowania.

- Już dobrze. Zresztą chyba masz rację. Nigdy nie zastanawiałam się, co mną wówczas kierowało. Gdybym do zrobiła, być może nigdy bym za niego nie wyszła. Nie byłam już taka bardzo młoda, więc nie mogę zasłaniać się niedojrzałością i tym, że nie zdawałam sobie sprawy, co robię.

Kłamiesz, Elizabeth, i to psychoanalitykowi!

Spuściła wzrok, łudząc się, że Christian nie pozna się na kłamstwie. Nigdy nikomu nie powie, dlaczego wyszła za Timothy'ego.

- Ależ ty byłaś niedojrzała. Wiek nie ma tu nic do rzeczy, wiesz o tym.

- Doktorze Hun... Christianie, czy mam ci zapłacić za tę analizę?

- Jeszcze raz przepraszam.

Spokojnie napełnił fajkę i zaczął ją rozpalać, przechodząc przez to, co ojciec Elizabeth nazywał kojącym nerwy rytuałem.

- Potrzebujesz tego, by zebrać myśli?

- Słucham? Aaa, masz na myśli fajkę. Możliwe, bardzo możliwe...

- Nadal nie wiesz, czy nie zabiłam męża. To, co powiedziałeś, to tylko słowa. Piękne słowa, ale nic więcej. Nikt nie może wiedzieć, co skłania drugą osobę do tego, że postępuje tak, a nie inaczej i dopuszcza się gwałtownych czynów. Jeżeli dobrze pamiętasz proces, to wiesz, że miałam okazję zabić Timothy'ego, na broni znaleziono moje odciski palców, no i z pewnością nie brakowało mi

motywu.

- Masz na myśli pieniądze?

- To, i oczywiście uwolnienie się od koszmaru małżeństwa ze starym mężczyzną.

- Nie byłabyś aż tak głupia.

- Aby zostawić na szpikulcu odciski moich palców? Lub nie zapewnić sobie alibi na czas, kiedy go mordowano?

- A co właściwie porabiałaś tego wieczoru? Gdzie byłaś?

- Prawdę mówiąc, spacerowałam po Central Parku, wręcz prosząc się, aby mnie napadnięto. Nikt jednak nie pokusił się o to - na szczęście, czy może raczej, niestety. Zależy, jak na to patrzeć.

- Wydawało mi się, że byłaś wówczas na spotkaniu z jakimś szczególnym sponsorem.

Elizabeth uniosła głowę.

- Skąd wiesz?

- O ile sobie przypominam, wspomniano o tym podczas procesu.

- Wspominano wówczas o tylu sprawach - już zapomniałam, że było ich tak wiele. No cóż, jak się okazało, nie dotarłam na to spotkanie. Szkoda. Kiedy pomyślę, ile osób mogłoby zapewnić mi alibi... Oczywiście, prokurator okręgowy oznajmiłby wówczas, że wynajęłam kogoś, by zabił Timothy'ego.

- Nadal przepełnia cię gorycz.

- A czy z tobą nie byłoby tak samo?

- Tak, ale ja przede wszystkim pragnąłbym wyrównać rachunki. Sprzymierzyłbym się choćby z krasnoludkiem, gdyby zdecydował się wystąpić przeciw Morettiemu. I chyba próbowałbym zatkać dziób Catherine. Ta młoda kobieta jest naprawdę niebezpieczna, choć bardziej dla siebie niż dla innych.

Przerwał na chwilę.

- Czytałem o awanturze w restauracji.

- Nie było to szczególnie przyjemne. Catherine stanowi smutny przypadek.

- Słyszałem, że nie potrafi dobierać sobie mężczyzn.

- Skąd ty, na miłość boską, tyle wiesz?

- Nie czytałaś o Chadzie Waltersie? - spytał powoli, półgłosem.

- A kto to taki?

- Prawdziwy przyjaciel kobiet, bogatych kobiet. A mówiąc bardziej dosadnie, żigolak. I handlarz narkotyków. Zginął, prawdopodobnie zamordowany przez kogoś z branży narkotykowej. To niebezpieczny interes.

- Czy to on był wówczas z Catherine w restauracji?

- Owszem.

- A teraz nie żyje.

- Tak. Niewielka strata dla społeczeństwa. Elizabeth poczuła dreszcz.

- Co za pomyślny zbieg okoliczności - mam na myśli jego śmierć.

- No cóż, działał w bardzo ryzykownym biznesie.

- Czy Catherine ma alibi?

- Oczywiście. Słyszałem, że kiedy to się stało, przebywała właśnie na krótkim wypoczynku w Nassau.

Przez chwilę oboje milczeli, pogrążeni w jakże odmiennych myślach. W końcu Christian

powiedział:

- Zagrasz dla mnie, Elizabeth?

- Oczywiście, jeśli tylko mi powiesz, dlaczego mi pomogłeś.

- Już ci powiedziałem.

- Nie, po prostu wygłosiłeś kilka nieprzekonujących banałów na temat mojego charakteru.

Dlaczego, Christianie? Mam prawo wiedzieć.

- Straciłem wszystkie pieniądze i teraz mam zamiar szantażować cię przez najbliższych pięćdziesiąt lat.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie dała rady.

- No cóż, to przynajmniej mogłabym zrozumieć.

Czekała, ale on nie powiedział nic więcej.

W końcu wstała, podeszła do fortepianu, lecz nie usiadła na taborecie. Powoli, w skupieniu przebiegła palcami po klawiszach.

- Elizabeth - usłyszała z tyłu - czy ufałaś kiedyś komuś, tak całkowicie, bez zastrzeżeń? Wierzyłaś tej osobie, choćby na przekór wszystkiemu?

- Tak, owszem, lecz w końcu to „wszystko” nie dało się dłużej ignorować. Okazało się, że zrobiłam z siebie idiotkę - ale z pewnością nie chcesz o tym słuchać.

O tak, wierzyła Rowenowi, ufała mu całkowicie. Spazm bólu, który ścisnął jej trzewia, sprawił, że się wzdrygnęła.

Odplacę mu za to, co zrobił.

Opuściła głowę i zaczęła szlochać.

Christian nie podszedł do niej. Czekał.

- Potrzebujesz chusteczki?

- Nie, dziękuję. Nie maluję rzęs, więc nie muszę się martwić, że tusz spłynie mi po policzkach.

Z podziwem przyglądał się, jak kobieta odzyskuje nad sobą kontrolę.

- Zrobiło się późno - powiedział po chwili milczenia. - Czy moglibyśmy spotkać się w poniedziałek wieczorem? W Centrum Lincolna Andre Galreau będzie grał Mozarta. Bardzo chciałbym posłuchać go razem z tobą.

- Dobrze - powiedziała. - Chętnie. Galreau to utalentowany artysta.

Adrian włączył magnetofon. Elizabeth i Rod usłyszeli głos Brada, rozmawiającego ze swoim wujem, Michaeliem.

- To nie ma sensu! - mówił właśnie Brad.

- Wiem. Wygląda na to, że ten James Houston to klęska. Popelniliśmy błąd. Szkoda, że nie pozwoliliśmy, by Elizabeth go zatrudniła.

- No cóż, wolałbym nie mówić o tym przez telefon, lecz chciałem, byś orientował się w sytuacji.

- Porozmawiamy w czwartek wieczorem. W domu babki. O tej samej porze, co ostatnio.

- W porządku.

- Jeszcze jedno, Brad. Chodzi o tę dziewczynę, z którą chcesz się ożenić.

- To córka senatora - dobiegł ich głos Brada, kpiący i nieco cierpki. - Babka uważa, że stanowi dobry materiał na żonę. Poznałem ją podczas kolacji z politykami w Waszyngtonie i zacząłem jej asystować.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Jak najbardziej, wuju, jak najbardziej. Cisza, a potem odgłos odkładanej słuchawki. Przez

dłuższą chwilę milczeli. Wreszcie Rod powiedział, wykrzywiając wargi w okrutnym uśmiešku:

- Ciekawe, o co tu chodzi. Dlaczego Michael martwi się, że Brad zamierza poślubić córkę senatora? Laurette chyba o niczym innym nie marzy.

- Dowiem się tego.

- Jak? - spytał Adrian, prostując się na krześle i zaciskając muskularne dłonie.

- Mam swoje sposoby.

- Przeciek nadal istnieje, lecz nie jest już groźny.

- Tak - wtrącił Adrian - a jeśli chodzi o tego Jamesa Houstona, to sami wpadli we własne sidła.

- Ufam, że Brad nie nagrywa naszych rozmów?

- Nie, już nie, Elizabeth. Można byłoby powiedzieć, że oto pies pożarł psa, a raczej pluskwa pluskwę.

*

139

- A co tam w twoim banku, Rowe? Przewrócił się na bok, by na nią spojrzeć.

- Jakoś się trzyma, i tyle. Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czyby nie ograniczyć działalności.

To znaczy zabrać miliony Carletonów i uciec z nimi za granicę?

- A może po prostu tylko tak sobie plotę - westchnął. - Wybacz mi, jestem zmęczony. A co u ciebie, jak interesy?

- To zabawne, że zapytałeś. Prawdę mówiąc, dotarły dziś do mnie ważne wieści. Będę musiała szybko podjąć decyzję i przekazać Adrianowi, co postanowiłam. Chodzi o kontrakt z wojskiem na nowy myśliwiec odrzutowy, G108. Uważam, że powinniśmy się w to zaangażować i większość moich współpracowników podziela tę opinię. Mamy dobre dojście, wiesz, do ważnych ludzi i tak dalej. Jeśli nie zawrzemy nowego kontraktu, chyba będziemy musieli dokonać kilku znaczących cięć w zakładach wojskowych Cragon-Matthews. Co o tym sądzisz?

- To poważna sprawa. Może popytałbym trochę wokoło?

- Przyjaciele na wysokich stołkach, co?

- Właściwie nie. Po prostu znam kilku bardzo inteligentnych ludzi, którzy uwielbiają wyrażać swoje zdanie, nawet nieproszeni.

- Doceniam to, co dla mnie robisz, Rowe. Czy mógłbyś przekazać mi ich zbiorową opinię, powiedzmy... do piątku wieczór?

Rozdział 10

W dwa dni później na tytułowej stronie *The Wall Street Journal* ukazał się artykuł. Po mieście krążyły plotki. Armia zaprzeczała wszystkiemu, lecz ludzie gadali i snuli przypuszczenia. W końcu powoływano się na wiarygodne źródła.

Adrian miał ponurą minę.

- Wiedziałaś o tym, Elizabeth, nie próbuj zaprzeczać. Boże, zrobił się taki szum, jakby Japończycy rzucili niespodziewanie na rynek zupełnie nowy samochód. Co to jest G108? Skąd ci się to wzięło?

- To chyba dobra nazwa dla samolotu bojowego - powiedziała. - Nie zapominaj, że naprawdę wspomniałeś mi o nowym kontrakcie z armią i o sytuacji w naszych zakładach wojskowych Cragon-Matthews.

Adrian upił łyk bardzo gorącej mocnej kawy.

- Tak, ale dowiedzieliśmy się wewnętrznymi kanałami, że nie warto się w to angażować. Wiedziałaś o tym, tak jak wiedziałaś, że chodzi o nowy pocisk wystrzeliwany z ziemi. A teraz to - dodał, wskazując na artykuł.

- Bardzo dziwne, nieprawdaż? - odparła Elizabeth. - Dlaczego tak się tym przejmujesz, Adrianie?

Nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ sekretarka zaanonsowała Coya Siverstone'a, który niemal natychmiast wszedł do gabinetu. Uśmiechał się złośliwie, ukazując wielki złoty ząb. Pod pachą trzymał *The Wall Street Journal*.

Powiedział do Adriana:

- To mi się podoba! O, witaj, Elizabeth - dodał, jakby po namyśle. - To sprawka Michaela Carletona. Wietrzę w tym jego styl, i nie tylko ja. Wyszedł na durnia, prawda? Jego wiarygodność znacząco spadnie, przynajmniej na jakiś czas.

Przerwał na chwilę i zmarszczył brwi ponad okularami.

- Mam dziwne przeczucie, że ktoś go zrobił.

- Usiądź, proszę - powiedziała Elizabeth.

- Taaa, jak też tak uważam - zgodził się z nim Adrian. - Sądzę, że to Elizabeth go zrobiła, choć nie chce powiedzieć, jak jej się to udało.

- Tajemnica handlowa, panowie.

Coy przyjrzał się jej bacznie. Uważał Elizabeth za czarującą młodą kobietę, postawioną przed zadaniem, które ją przerasta. Nie, Adrian z pewnością się myli. Elizabeth Carleton to figurantka, nikt więcej. Powoli zdjął okulary i wsunął je do kieszeni. Jego umysł pracował jak zwykle szybko i metodycznie. Zawsze uważał się za kogoś w rodzaju Sherlocka Holmesa świata biznesu.

- Coś takiego jak tajemnica handlowa po prostu nie istnieje, Elizabeth - oświadczył w końcu z wyższością. - A teraz powiedz nam, co wiesz, oczywiście, jeżeli w ogóle coś wiesz.

Adrian, zafascynowany, przyglądał się, jak spojrzenie Elizabeth nabiera chłodnego wyrazu, a

wargi zaciskają się. Co tu się, na Boga, dzieje? O mało nie podskoczył, gdy w końcu powiedziała:

- Nie mam zamiaru niczego ci mówić, Coy. A teraz, jeśli panowie wybaczą...

Wyszła z gabinetu, a obaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w siebie.

- Zmieniła się - powiedział Adrian z namysłem. - Przeraza mnie to.

- Nonsens - powiedział Coy, który, jeśli czegoś nie pojmował, odrzucał to jako niewarte dalszych rozważań. - Udaje twardziela, co? Ona nie ma o niczym pojęcia. Bo i skąd? Jest muzykiem, na miłość boską.

- Pozwól, że ci przypomnę, iż pomyliłeś się już raz, czternastego czerwca zeszłego roku. Być może to jest twój drugi błąd. Ona się zmienia, Coy, zmienia się i uczy w zastraszającym tempie. Ale dlaczego zawracam sobie głowę wyjaśnianiem ci tego?

- Ponieważ, drogi chłopcze, jestem od ciebie sporo starszy, więc jesteś mi winien szacunek i poważanie.

- Bzdura - powiedział Adrian. - Jedziesz w tym tygodniu na polowanie? Z Brunem?

- Nie, biedny staruszek jest u weterynarza. Ma jakieś problemy z pęcherzem.

- Nim wyjdiesz, Coy, muszę ci jeszcze o czymś wspomnieć. Dowiedziałem się tego od Elizabeth. Zrób z tą wiadomością, co uważasz, ale Brad Carleton najwidoczniej zamierza ożenić się z córką senatora. A chodzą słuchy, że to gej.

- Pewnie jest biseksualny. To się dziś często zdarza - powiedział Coy obojętnie. - Mnie coś takiego nie bawi, ale... - Wzruszył ramionami. Uśmiechnął się. - Spadam stąd, mój chłopcze. Podczas gdy ty będziesz siedział na tyłku, śledząc nowe plotki, ja wezmę się do roboty.

Zatrzymał się przy drzwiach i powiedział z głębokim przekonaniem:

- Mylisz się co do Elizabeth. Nie ma możliwości, by miała coś wspólnego z tą wojskową bzdurą.

- Zaślepiiony kretyn - mruknął Adrian pod nosem, kiedy za Coyem zamknęły się drzwi.

*

Elizabeth siedziała na ławce w Central Parku, nieświadoma urody otaczającego ją jesiennego krajobrazu. Choć był dopiero początek września, fala chłodu ogarnęła wschodnie wybrzeże, toteż prawa dłoń Elizabeth, w której ścisnęła pomietą gazetę, odziana była w rękawiczkę.

Przyglądała się dzieciom grającym w berka, pokrzykującym, śmiejącym się i sprzeczącym. Zupełnie jak dorośli, pomyślała, tyle że one nie walczą na poważnie.

Powoli wygładziła stronę gazety i spojrzała na nią ponownie. Nieostra fotografia, przedruk z małego bostońskiego szmatławca. Przysłano jej go anonimowo, podobnie jak tamten list. Nadal nie miała pojęcia, kto go napisał, ani kim był jej nieznany obrońca - przynajmniej zakładała, że ten ktoś stoi po jej stronie. Ktoś, kto wie, że nie przestała widywać się z Rowe'em po tamtym wieczorze, kiedy widziała go w bibliotece Laurette. I kto pragnie, by z tym skończyła. Uświadomienie sobie tego sprawiło, że ciarki przebiegły jej po grzbiecie.

Mimo że zdjęcie było kiepskiej jakości, Rowe wyglądał na nim bardzo dobrze, przystojny i dobroduszny, ubrany w smoking, z piękną dziewczyną u boku. ROWEN CHALMERS TOWARZYSZY AMANDZIE MONTGOMERY PODCZAS IMPREZY NA RZECZ PARTII DEMOKRATYCZNEJ. Trzymał dziewczynę za łokieć, a ona spoglądała w górę, na jego twarz. Oblicze Rowe'a wyrażało gniew, zapewne na wścibskiego fotoreportera.

Poskładała wycinek w mały kwadrat i wrzuciła do torebki. Rowen musi być głupi lub bardzo pewny siebie, skoro asystuje otwarciu innej kobiecie, nawet w Bostonie.

Dziś wieczór zobaczy się z nim. O, tak, z pewnością się z nim zobaczy.

Dość długo już go wykorzystywała. Rachunki zostały wyrównane. Teraz pora ratować własną skórę.

Po kolacji odprawiła Kogiego. Rowe wykrzywił wargi w pełnym samozadowolenia uśmiechu. Pewnie sądzi, że nie mogę się doczekać, by wskoczyć z nim do łóżka, pomyślała Elizabeth, obserwując kochanka spod rzęs.

Uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Lecz Rowe się nie śpieszył.

- Może napilibyśmy się brandy, Elizabeth?

- Dobrze.

Przyglądała się, jak nalewał trunek z karafki Waterforda.

- Jesteś piękna - powiedział, unosząc szklaneczkę. - Boże, ależ jestem zmęczony.

Usiadł na sofie i poklepał miejsce obok siebie.

- Porozmawiajmy trochę, kochanie. Jak ci się wiedzie z tym wysportowanym mięśniakiem, twoim asystentem?

Mój Boże, czyżby teraz wzięli się za Adriana?

- Jest trochę na mnie zły - powiedziała, co z pewnością było prawdą. Usiadła obok Rowe'a, który natychmiast objął ją ramieniem.

- To niemożliwe, albo ten facet jest idiotą.

- No cóż, widzisz, wyraziłam zgodę na zawarcie kontraktu, który on odrzucił. Dla mnie angażowanie się w to miało sens, lecz Adrian w kółko rozwodził się nad różnymi sprawami, takimi jak podatki, luki prawne i inne problemy, powodujące jedynie ból głowy.

- O jaki kontrakt chodziło?

Elizabeth uśmiechnęła się do szklaneczki i zakołysała nią lekko.

- Czy uwierzyłbyś, gdybym ci powiedziała, że zawarłam kontrakt na głowę Brada Carletona?

Rowe odwzajemnił uśmiech.

- Ten facet nadal sprawia ci kłopoty?

- Nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić.

- Stawiam na ciebie, Elizabeth.

Dopił brandy, odchylił w tył głowę i zamknął oczy. Elizabeth nie odezwała się, po prostu czekała. Po chwili Rowe zapytał sennym głosem, nie otwierając oczu i nie zmieniając pozycji.

- Chcesz, żebym poradził ci w jakiejś sprawie, Elizabeth?

- Być może, ale później, dobrze? Otworzył jedno oko.

- Brzmi zachęcająco.

Wstał. Wyciągnął do niej rękę.

- Pójdziemy, kochanie?

Pozwoliła mu postawić się na nogi. Czowała, jak jego dłonie przesuwają się po jej plecach i zatrzymują na pośladkach. Przycisnął ją do siebie, a potem pocałował. Jego oddech przyśpieszył. Oddała pocałunek umiejętnie, tak jak ją nauczył.

- Idź pierwszy, Rowe. Za chwilę do ciebie dołączę. Pocałowała go jeszcze raz, bardzo namiętnie. Wsunęła koniuszki palców za pas jego spodni.

Gdy wreszcie się odsunęła, oddychał ciężko. Stała spokojnie, uśmiechając się uwodzicielsko.

- Nie zwlekaj zbyt długo - powiedział, całując ją w policzek.

- Nie będę.

Pięć minut później usłyszała, jak woła:

- Elizabeth! Czekam i jestem gotowy! Rzeczywiście, pomyślała i Zgasił wszystkie światła prócz lampki przy łóżku, więc sypialnia tonęła w mroku. Elizabeth zatrzymała się na środku pokoju, czekając, aż jej wzrok przyzwyczai się do ciemności. Rowe leżał nago na okrywającej łóżko narzucie, założywszy dłonie za głowę. Z pewnością jest gotowy, pomyślała bez emocji, spoglądając na jego ciało.

Usiadła obok, lecz kiedy wyciągnął do niej ramiona, powstrzymała go.

- Nie, Rowe, jeszcze nie.

- Chciałbym zdjąć z ciebie to ubranie, skarbie.

- Jeszcze nie - powtórzyła.

- Więc ty przejmij pałeczkę. Na pewno bardzo mi się to spodoba - powiedział, a jego oczy pociemniały z pożądania.

- Och, taki właśnie mam zamiar.

Powoli wynurzyła dłoń spomiędzy fałd wełnianej spódnicy. Trzymała w niej srebrny szpikuliec do lodu i zanim Rowe zdążył zareagować, przycisnęła mu go do szyi.

- Ccco?

- Zaczęłaś się jąkać, Rowe?

- Co ty wyprawiasz, Elizabeth? Co... to nie jest wcale zabawne. Przestań, ale już.

Przycisnęła nieco mocniej koniuszek szpikulca, nie na tyle jednak mocno, by przeciął skórę. Dostrzegła, jak rozbawienie mężczyzny przechodzi w niepewność.

Leżał sztywno, ze wzrokiem utkwionym w jej twarz. Pożądanie zniknęło bez śladu.

- Lepiej się nie ruszaj, bo drży mi ręka. Jest bardzo ostry. Pamiętasz, że oskarżano mnie o zamordowanie Timothy'ego szpikulcem do lodu? Nie tym, oczywiście. Myślę, że prokurator okręgowy nadal ma tamto narzędzie, choć, dzięki Christianowi Hunterowi, nie trzyma go zapewne w gablotce z trofeami. Poleciałam Kogiemu, by kupił nowy. Oczywiście, musiał też nabyć wiaderko do szampana, ale warto było zapłacić więcej. Chciałam, aby szpikuliec był dokładnie taki sam. Jest wyjątkowo ostry, nie uważasz?

Rowe nie poruszył się, choć minę miał zdesperowaną. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał uspokajająco:

- Nie wiesz, co robisz, Elizabeth. Daj spokój, kochanie...

- Jeszcze jedno z twoich fałszywych czułych słówek i przetnę ci żyłę.

Gapił się na nią, przetykając gorączkowo ślinę.

- Mój Boże, dlaczego?

- Nie pamiętasz, że prokurator okręgowy uważał, że Timothy zamierzał się ze mną rozwieść? A jak zapewne wiesz, odkryłam później, iż rzeczywiście zdradzał mnie z inną kobietą. Prawdopodobnie nie z jedną, ale to bez znaczenia.

Domyślił się, o czym mowa, i jabłko Adama na jego szyi podskoczyło gwałtownie.

- Widziałaś tę śmieszoną fotografię, prawda?

- Rzeczywiście, ale to nie ma znaczenia, Rowe. Najmniejszego.

Rany boskie, jest o niego zazdrosna, choć zaprzecza. Musi zapewnić ją o swoich uczuciach, sprawić, by mu uwierzyła.

- Amanda nic dla mnie nie znaczy, Elizabeth. Po prostu jej towarzyszyłem. Nic między nami nie zaszło.

Poczuł, że Elizabeth mocniej naciska na szpikulec, i oczy pociemniały mu ze strachu.

- Myślisz, że się zdenerwowałam, bo zobaczyłam cię z inną kobietą?;

- Elizabeth, wiesz, że poza tobą nie ma nikogo innego! Nie okłamywałbym cię. Nie ma powodu.

- Proszę, nie ruszaj się, Rowe. Chyba spociła mi się ręka. Prawdę mówiąc, chciałabym ci podziękować. Nauczyłeś mnie tylu rzeczy...

- O czym ty mówisz?

Poradzę sobie z nią - myślał gorączkowo - w końcu to tylko kobieta, jestem dwa razy silniejszy. Sprawię, że Elizabeth nieco się odpręży, a wtedy wyrwę jej ten szpikulec. Boże jedyny, co się z nią stało? To jakieś szaleństwo!

- Czy teraz, kiedy przyciskam ci do szyi szpikulec, nadal wierzysz, że nie zamordowałam Timothy'ego?

- Oczywiście, że nie zamordowałaś!

- Dałbyś za to głowę?

- Elizabeth...

- Nie, teraz ty mnie posłuchaj, Rowe. Rzeczywiście, jak już mówiłam, widziałam twoje zdjęcie z Amandą Montgomery. Powiedziałam ci też, że zupełnie mnie to nie obeszło. Tak było naprawdę, nie skłamałabym ci. Widzisz, Rowe, ja wiem, że mnie zdradziłeś. I tamta zdrada bolała, naprawdę bolała. Lecz jak tu nie wierzyć świadectwu własnych oczu i uszu?

- O czym ty mówisz?

- Pamiętam też, jak powiedziałeś Laurette, że nie zabiłam Timothy'ego, jak broniłeś mnie przed tą starą wiedźmą. Czy nadal jesteś tego taki pewny?

Szpikulec lekko ukłuł go w szyję. - Nie!

- Przepraszam, zadrżała mi ręka. Lepiej się nie ruszaj. A wracając do twego przekonania o mojej niewinności...

- Oczywiście, że nie zabiłaś Timothy'ego, nie mogłaś!

- Wydawałeś się bardzo pewny swego, kiedy przekonywałeś o tym Laurette.

- Ja... ja nie wiem, o czym mówisz.

- Co za wspaniałe zgranie w czasie. Droga Elizabeth zupełnie sama w Paryżu, najbardziej romantycznym mieście świata. Droga Elizabeth, taka krucha, samotna i podatna na zranienie. Muszę przyznać, że działaliście naprawdę szybko. Carletonowie znaleźli doskonałego wykonawcę tego zadania. To prawda, Rowe, nim wróciliśmy do Nowego Jorku, byłam już w tobie zakochana. Nie, nic nie mów! Będziesz miał szansę, ale nie teraz. Wiesz, doszłam do wniosku, że kobiety zakochane - zadurzone, jak mówią nasi przyjaciele z Południa - to sentymentalne idiotki. Tracą zmysł krytyczny. Ponieważ nie byłam zakochana w Timothy, nie w romantycznym sensie tego słowa, nigdy wcześniej tego nie doświadczyłam. Ale ty byłeś taki miłutki, a wszystko, co mówiłeś i co robiłeś było doskonałe. Byłeś moim kochankiem i powiernikiem. Wierzyłam każdemu twemu słowu. Pragnąłeś mi pomóc, byłeś taki szlachetny, taki uprzejmy i uczynny. Taaaak... zachowałam się jak idiotka. Marzyłam o dzieciach, samochodzie dla całej rodziny, domku w Connecticut. Może nawet o kudłatym psie, który przesiadywałby obok fortepianu. Marzyłam o tym, by wreszcie do kogoś należeć, by być kochaną taką, jaka jestem.

Umilkła na chwilę, czując, jak wzruszenie ściska ją za gardło.

- Do licha z tobą, mam ochotę się rozplakać! Nie z twego powodu, możesz być tego pewny, ale z litości dla tej żalostnej idiotki, jaką się okazałam. Tamtego czwartkowego wieczoru, kilka tygodni

temu, byłam w posiadłości Laurette, stałam pod otwartym oknem biblioteki. Widziałam i słyszałam wszystko, Rowe. Wszystko.

- Więc musisz wiedzieć, że mnie szantażowali. Mów prawdę, nakazał sobie, obserwując jej twarz.

Jak najwięcej prawdy.

- Tak, owszem. Nie miałam pojęcia, że jesteś hazardzistą, Rowe.

- Nie ja, mój ojciec. O mało nie doprowadził do upadku naszych banków. Musiałem jakoś temu zapobiec! Z pewnością wspomnieli coś na ten temat.

- Z tego, co wiem, od kiedy odkryłam twój mały podstęp, wyciągnąłeś od Carletonów jeszcze trzy miliony dolarów.

- Tylko dwa i pół.

- Przykro mi, ale źródło wyschło, Rowe. Chyba będziesz musiał uczeplić się jakiejś dziedziczki. Czy Amanda ma pieniądze?

- Tak.

- Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że to kosztowało Laurette i Michaela znacznie więcej. W końcu wartość informacji, których im dostarczyłeś, okazała się w ostatecznym rozrachunku niewielka.

Milczał, pojawił się, co Elizabeth daje mu do zrozumienia.

- Karmiłaś mnie fałszywymi informacjami - powiedział w końcu.

- Zgadza się. Co prawda miałam ochotę od razu ci wszystko wygarnąć, ale, no cóż, powiedzmy, że zdecydowałam się sprawdzić, jak by to było posłużyć się tobą i wykorzystać cię. Weźmy, na przykład, Jamesa Houstona. Niby nic wielkiego, ale przyjemnie było trochę namącić. Jednak to sprawę rzekomego przejęcia Cordie uważam za swe najdoskonalsze dzieło. Oczywiście, położyłam też kres szwindlom Michaela w zakładach stalowych. I tak dalej. Jestem pewna, że będziesz w stanie prześledzić, co wydarzyło się od tamtego pamiętnego wieczoru.

- Nie chciałem cię skrzywdzić, Elizabeth. Proszę, musisz mi uwierzyć.

Czubek szpikulca zagłębił się odrobinę w szyję Rowe'a.

- Nie mów tego, Rowe.

Głos jej drżał. Umilkła, aby wziąć kilka głębokich, uspokajających oddechów.

- Wiesz, Rowe, gdybym zabiła Timothy'ego, ponieważ zamierzał się ze mną rozwieść, to tym bardziej miałabym powód, żeby posłać do piekła ciebie.

Widziała, że teraz naprawdę się jej bał. Co za odświeżające doświadczenie - nareszcie ktoś boi się jej, Elizabeth.

- Musisz zrozumieć, dlaczego to zrobiłem - wyszeptał.

- Wiem, dlaczego to zrobiłeś, Rowe. Nadal potrzebujesz dwóch milionów dolarów, prawda? No cóż, przykro mi z tego powodu, ale wygląda na to, że będziesz musiał szybko oświadczyć się Amandzie. I jeszcze jedna sprawa, mój drogi. Jeśli szepniesz choć słówko Carletonom - a dowiem się, jeśli tak się stanie - zniszczę cię. Będziesz bankrutem. Nie tylko usunę cię ze stanowiska, lecz puszczę z torbami ciebie i całą twoją rodzinę. Zrozumiałeś?

- Tak. Zrozumiałem.

- Wiesz, Rowe, to ty powinieneś zostać oskarżony o morderstwo. Zamordowałaś Elizabeth Xavier Carleton. Jej już nie ma. Nie była taka zła, po prostu samotna, niepewna siebie, bo los ciężko ją doświadczył. Pomyśl, co jej zrobiłeś. Była jak glina w twoich rękach, taka miękka, podatna i ufna. Ciekawe, czy to prawda, że większość kobiet robi wszystko, czego chce mężczyzna, oczywiście

jeżeli są w nim zakochane. To zadziwiające, doprawdy zadziwiające. I jeszcze jedno, Rowe. Nigdy, ale to nigdy nie wchodzi mi w przyszłości w drogę. Trzymaj się ode mnie z daleka. Wymyśl jaką tylko chcesz wymówkę, by urwać się z haczyka Carletonom, nie obchodzi mnie, jak sobie poradzisz. Pamiętaj tylko, że jestem od nich silniejsza i bardziej niebezpieczna. No cóż, wyglądasz dość głupio, kiedy tak leżysz, pocąc się jak świnia.

Błyskawicznie odsunęła się od łóżka i pomaszrowała do drzwi. Na progu sypialni odwróciła się, niepewna, czy Rowe jest na tyle wściekły, by ruszyć za nią. On jednak siedział na skraju łóżka i ani myślał się poruszyć.

- Masz dziesięć minut, by wynieść się z mojego domu - powiedziała, zamykając za sobą drzwi sypialni.

Zastanawiała się poważnie, czy nie usunąć fortepianu. Nie chciała, by w domu pozostał choć ślad dawnej Elizabeth. Jednak był przecież Christian, a on lubił słuchać, jak gra. W końcu uratował jej życie.

Kogi nadal systematycznie odkurzał instrument, choć jego wieko pozostawało zamknięte prawie przez cały czas.

Nie zawracała już sobie głowy strojami od Armaniego. Poszła do domu towarowego Bergdorfa i kupiła sześć gotowych kostiumów o różnym kroju. Podobał jej się ten wizerunek. Oto nowa Elizabeth Carleton.

*

Dwa dni później, we środę, zwróciła się poważnym tonem do Adriana:

- Jak się zapewne orientujesz, próbowałam się dowiedzieć, jak prowadzić interesy, lecz teraz chciałabym potraktować tę naukę poważniej. Albo mi pomożesz, angażując się w to zajęcie całkowicie, albo poszukam kogoś innego. Nie powiem ci, dlaczego podjęłam taką decyzję. Musi ci wystarczyć, że decyzja została podjęta i jest nieodwołalna. Władza spoczywa teraz w moich rękach. Chciałabym spotkać się z resztą grupy. Chodzi o pewien projekt, którego realizację życzę sobie niezwłocznie rozpocząć. Poinformuj, proszę, pozostałych, że najważniejszym zadaniem jest teraz pozbycie się Brada Carletona. Chcę, aby wszyscy zebrali się w moim gabinecie o trzeciej po południu i przedstawili mi swoje pomysły w tej sprawie. Jakies pytania?

Wpatrywał się w nią zdumiony. Elizabeth nie odezwała się więcej, tylko czekała cierpliwie. Nagle Adrian się uśmiechnął.

- Mam kilka doskonałych książek, które powinnaś przeczytać, Elizabeth. Może byś je przejrzała, a ja tymczasem poinformuję pozostałych o zebraniu i o tym, jaki będzie porządek dzienny.

- Dziękuję, Adman - powiedziała. - Przynieś książki.

- To dopiero początek, Elizabeth.

- Wiem o tym.

*

Elizabeth spojrzała na pięciu mężczyzn zgromadzonych wokół stołu. Nadal są w szoku, pomyślała, uśmiechając się z przymusem. Usiadła na honorowym miejscu, przeznaczonym dla osoby najwyższej rangą i powiedziała:

- Od śmierci Timothy'ego każdy z was przywykł sprawować niepodzielną władzę w jakiejś dziedzinie. Sprawiliście się całkiem dobrze. Należycie do ludzi obytych ze zmianami, to właśnie wy zainicjowaliście zmiany, które przysporzyły tyle korzyści zarówno wam samym, jak ACI. Lecz teraz ja będę je inicjowała. Przejmuję władzę i chciałam osobiście powiadomić was o tym. Jeżeli dla

kogokolwiek z was praca pod moim zwierzchnictwem może stanowić problem, niech wycofa się od razu. Głos zabrał Coy Siverstone:

- Adrian wspomniał, iż zamierzasz nauczyć się tyle, by móc naprawdę zarządzać firmą.

- Tak.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego podjęłaś takie postanowienie, Elizabeth, i myślę, że nie wymagam zbyt wiele. Być może, na przykład, jesteś niezadowolona z tego, jak prowadzimy sprawy?

- Już powiedziałam, że wszyscy dobrze się spisaliście. A co do tego, czemu zdecydowałam się na ten krok, no cóż, nie będę dłużej figurantką. A wy będziecie pracowali dla mnie, nie obok mnie czy ponad moją głową. Czy to jasne dla wszystkich?

Cisza.

- Rozumiem - powiedziała Elizabeth. - Proponuję, abyśmy głosowali. Zaczniemy od ciebie, Adrianie.

- Chciałbym stanąć na czele wydziału planowania strategicznego ACI. Oczywiście, jestem z tobą.

- Coy.

- Nie masz doświadczenia, Elizabeth, jesteś muzykiem, kobietą.

- Zgadza się. A zatem?

- To nie będzie łatwe, nie tylko dla mnie, lecz dla nas wszystkich. Wyrażę zgodę, jeśli ty zgodzisz się słuchać uważnie, co mamy ci do powiedzenia, naprawdę słuchać.

- Zgadzam się, nie jestem głupia.

- Doskonale - powiedział Coy.

Trzej pozostali także wyrazili zgodę, dokładnie tak, jak przewidziała Elizabeth. Edgar Derby, geniusz komputerowy, pocił się, jakby zaraz miał stracić pracę. Czyżby Carletonowie zdołali go skaptować? Nie, to raczej niemożliwe.

- A zatem - powiedziała - zajmijmy się głównym problemem. Adrianie, masz pomysł, jak pozbyć się Brada Carletona?

Nim Adrian zdążył odpowiedzieć, do gabinetu wszedł Rod Samuels.

- Przepraszam za spóźnienie. Elizabeth, panowie...

- Siadaj, Rod. Zaczęliśmy bez ciebie. Od dziś ten projekt będzie nosił kryptonim OBC. Odsunięcie Brada Carletona. Widzicie, szybko się uczę, jak litery mogą zastępować pojęcia. Rod jest tutaj w charakterze eksperta od kwestii prawnych. Kontynuuj Adrianie.

- ...jak wiesz, sprawdzenie ksiąg nic nie dało, okazały się czyste jak pierwszy śnieg.

- Tak, wiem. Powodem takiego stanu rzeczy był przeciek informacji. Ten przeciek został już zlikwidowany, zapewniam was.

- Jak możesz być tego taka pewna, Elizabeth? - zapytał Rod. - Kto był informatorem?

- Jestem pewna i nie zamierzam wam powiedzieć, kto informował Carletonów. Z pewnością nie biedny Avery. Coy, przeprowadź jeszcze jedną niespodziewaną kontrolę ksiąg Brada.

Patrzyła, jak Coy zapisuje coś w swoim nieodłącznym notatniku.

- A co ty o tym sądzisz, Edgarze?

Edgar Derby nie miał zbyt wiele do powiedzenia. Połknął pigułkę na obniżenie ciśnienia i na tym się skończyło. Benjamin Hallimer podrapał się po łysej głowie i wymamrotał jakieś bzdury. Rozpaczliwie pragnął wydostać się z gabinetu i spokojnie pomyśleć. Tak właśnie funkcjonował. Oran Wicks wydawał się zainteresowany, ale i lekko przestraszony nowym wcieleniem Elizabeth.

Elizabeth zwróciła się w końcu do Roda Samuela.

- Rod?

- Zapomnij o legalnych sposobach, o układach towarzysko-majątkowych. Złap go za jaja.

- Dokładnie to zamierzałam zrobić - powiedziała Elizabeth. A widząc wokół siebie zdziwione spojrzenia, wyjaśniła: - Chodzą słuchy, że Brad jest gejem. Mimo to zamierza ożenić się z córką senatora. Czy to nasuwa wam jakieś pomysły?

- Prywatny detektyw, zdjęcia, nacisk - powiedział cicho Adrian.

- To oznacza pójscie na całość - skomentował Coy.

- Absolutnie - zgodziła się Elizabeth. - Zajmijcie się tym bez zwłoki. A teraz przejdźmy do następnego punktu. Chciałabym poznać, naprawdę poznać, wszystkie główne firmy, które składają się na ACI, a także członków ich zarządów. Dałam sobie na to sześć miesięcy. Adrian zajmie się opracowaniem planu. Poświęcę trzy dni na studiowanie dokumentów, dotyczących każdej ze spółek, a następnie złożę w jej siedzibie niespodziewaną wizytę.

Umilkła na chwilę, a potem przyjrzała się po kolei zgromadzonym.

- Jeżeli - powiedziała bardzo spokojnie - cokolwiek, o czym tu dziś była mowa, wydostanie się poza ten gabinet, albo dla któregoś z zarządów moja wizyta nie okaże się niespodzianką, zwolnię was wszystkich. Bez wyjątku.

Adrian i Rod pozostali z Elizabeth, gdy inni opuścili gabinet, omawiając wyznaczone zadania.

- Jeszcze jedna sprawa - powiedziała Elizabeth. - Adrianie, pamiętasz tę okropną scenę w restauracji?

- Aż za dobrze - odparł, wykrzywiając twarz w grymasie.

- Pamiętasz mężczyznę, który był wówczas z Catherine?

- Słabo. Czemu pytasz?

- On nazywa się... to znaczy, nazywał, Chad Walters. Został zamordowany. Był handlarzem narkotyków i policja w zasadzie zamknęła już śledztwo. Uznali, że to robota kogoś z gangu i takie tam... Dużo myślałam o tej sprawie i nie sądzę, by mieli rację.

- Chyba niezbyt rozumiem - powiedział Rod, przyglądając się jej badawczo.

- Uważam, że ktoś z Carletonów, prawdopodobnie Laurette, kazał go zabić. Rozumiesz, jeszcze trochę i Catherine zaczęłaby zachowywać się naprawdę skandalicznie. Walters był prawdopodobnie odpowiedzialny za to, że uzależniła się od kokainy. Chciałabym wynająć jeszcze jednego prywatnego detektywa, by bliżej przyjrzał się tej sprawie. Potrafisz to załatwić, Rod?

- Na Boga, Elizabeth! Carletonowie to niezbyt przyjemna rodzinka, ale morderstwo?

- Zapominasz, że ktoś jednak zabił Timothy'ego - odparła spokojnie. - Ja tego nie zrobiłam, więc kto przychodzi ci na myśl?

- Na miłość boską, nikt z rodziny!

- Nie wiem, być może masz rację. Lecz jeśli to oni są odpowiedzialni za śmierć Waltersa, zapewni nam to nowe argumenty, pozwoli wywierać większy nacisk.

Umilkła na moment, zaciskając dłoń w pięść.

- Muszę wiedzieć.

Dwa dni później na drugiej stronie nowojorskiego pisma *Post* ukazał się niewielki artykuł, mówiący o tym, iż policja aresztowała drobnego handlarza kokainą, Juana Ramireza, i oskarżyła go o zamordowanie Chada Waltersa. Podobno Chad Walters próbował przejąć rejon Ramireza w Atlantic City. Zebrane dowody wydawały się przekonujące i śledztwo ostatecznie zamknięto.

- Do diabła - powiedziała Elizabeth. - Naprawdę myślałam, że nic cię nie powstrzyma, Laurette.

Umilkła na chwilę, a potem mówiła dalej głośno w pustej sypialni:

- Laurette, ty i Michael albo jesteście największymi szczęściarzami na świecie, albo macie więcej sprytu, niż sądziłam.

Stawiałabym raczej na to drugie, dodała w myśli.

Rozdział 11

- Jestem z ciebie dumny, Elizabeth. Nareszcie panujesz nad swoim życiem. Twoje zdrowie, moja droga.

Elizabeth uśmiechnęła się do Christiana Huntera i stuknęła się z nim kieliszkiem.

- Dziękuję, Christianie. To były szalone trzy miesiące. Teraz już nie mam kłopotów ze snem. Zасыpiam, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki. Zupełnie, jakby ktoś mnie wyłączył.

Christian spojrział na leżącą na stoliku gazetę.

- Bostoński *Globe*? - Tak. Znalazłam w nim informację o zaręczynach pana Rowena Chalmersa z panną Amandą Montgomery. Dla niego będzie to drugie małżeństwo, dla niej trzecie. Zastanawiam się, czy nie powinnam posłać im prezentu, a może raczej wystosować listu kondolencyjnego do panny Montgomery. Chociaż właściwie - mówiła dalej, nie patrząc na Christiana - w tym wieku powinna mieć wystarczająco dużo doświadczenia, by wiedzieć, że wychodzi za naciągacza. Christian doszukał się w jej głosie jedynie kpiącego rozbawienia. Odprężył się.

- Pozbyłaś się go na dobre - powiedział. Zrzuciła buty, oparła stopy o niski stolik i odchyliła głowę na oparcie sofy.

- Wiesz co, Christianie? Nareszcie czuję, że zasługuję na to, aby należeć do rodzaju ludzkiego. Nadal panicznie się boję, że zrobię lub powiem coś głupiego, lecz z każdym dniem ten lęk się zmniejsza.

- Postaraj się tylko nie stracić przy okazji ludzkich cech, Elizabeth.

- Czyli, na przykład, zdolności ufania ludziom? Jej głos brzmiał beztrąsko, lecz jego wyczułone uszy doszukały się w nim determinacji.

- Na przykład tego, że niektórym ludziom można i należy ufać. Na przykład mnie.

- Ufam ci, Christianie, naprawdę. W końcu ocaliłeś mi życie. Chyba nie po to, by teraz je zniszczyć?

Nie odezwał się.

- Po prostu postanowiłam odgraniczyć pracę i życie prywatne. To znacznie upraszcza sprawy.

Nie dostrzegła malującego się na jego twarzy bólu. Zaczął napełniać fajkę.

- Jestem z ciebie dumna - dodała po chwili, ewidentnie się z nim przekomarzając. - Nie próbujesz odgrywać przy mnie psychologa.

- Ostatnią rzeczą, jakiej ci potrzeba, jest porada psychologa, moja droga. Jednakże...

- Tak?

Przez chwilę zawzięcie ssał fajkę.

- Uważam, że powinnaś spędzać więcej czasu ze mną.

- O ile się nie mylę, spotykamy się dwa razy w tygodniu, Christianie.

Westchnęła i odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć.

- Czy wspominałam ci ostatnio, jak bardzo cenię sobie twoje towarzystwo? Nie dbasz o to, czy

jestem biedna czy bogata. Po prostu zależy ci na mnie. Taka przyjaźń to coś absolutnie wyjątkowego.

Przyjaźń. Jestem tylko jej przyjacielem.

- Zagraj dla mnie, Elizabeth. Poruszyła palcami u stóp.

- Zrobię wszystko, bylebym tylko nie musiała wkładać znów tych butów.

Chciał, aby zagrała Chopina, więc grała. Dla niego. Dla własnej przyjemności nie grywała nigdy.

Kiedy w końcu podniosła wzrok znad klawiatury, spostrzegła, że Christian ma zamknięte oczy.

- Zasnąłeś, Christianie? Nie poruszył się.

- Nie. Zagraj jeszcze coś, jeśli możesz.

Ponieważ od dawna nie ćwiczyła, przedramiona zaczynały już jej dokuczać. Żadnych więcej etud Chopina. Przeszła do swego ulubionego tematu muzycznego z filmu o Jamesie Bondzie. Jego tytuł brzmiał: „Nikt nie robi tego lepiej”.

- Czy to aluzja? - zapytał Christian leniwie, kiedy skończyła.

- Trafiłeś w sedno. Wybacz, zrobiło się późno, a ja mam spotkanie o ósmej rano. Zobaczymy się w piątek wieczorem, Christianie?

- Tak - powiedział, wstając. - Chcę zabrać cię w pewne miejsce, które odkryłem niedawno.

Grywa tam czarny pianista, wspaniale improwizuje.

Przyglądała się, jak wkłada tweedową marynarkę. Z każdym dniem stawał jej się bliższy. Był taki solidny, zasługujący na zaufanie. I nigdy jej do niczego nie nakłaniał. Uniosła twarz do pożegnalnego pocałunku.

Pocałował ją, ledwie dotykając ustami jej warg.

- Dobranoc, Elizabeth.

Christian wszedł do windy, powiedział „dobranoc” Gallagherowi, świadomy, że odzwierny zamknie za nim starannie drzwi na wszystkie zamki. Wziął taksówkę i pojechał do mieszkania Susan na Pięćdziesiątej, w pobliżu Madison. Jak przypuszczał, dziewczyna już na niego czekała.

Był podniecony i aż drżał z pożądania.

- Teraz - powiedział.

Wprowadziła Christiana do sypialni i rozpięła mu spodnie. Nie trwało to długo, jak zawsze, kiedy wracał od niej.

Potem leżał na plecach, milcząc.

Susan już dawno nauczyła się nie zdradzać, co myśli, i trzymać język za zębami. Przyniosła mu szklaneczkę brandy.

Ciekawe, co takiego ma ta Elizabeth Carleton, czego brakuje jej, Susan? Pieniądze, o to chodzi. Lecz Christianowi nie może zależeć na forsie. Jest bogaty. Nie, musi chodzić o coś innego.

W końcu powiedziała z wahaniem:

- Zaczęłam brać lekcje gry na pianinie.

To przyciągnęło uwagę Christiana. Sięgnął po fajkę.

- Co o tym sądzisz?

- Uważam, że powinnaś robić to, co ci sprawia przyjemność, Susan. Już późno. Dziękuję ci. Zobaczymy się w piątek... dość późno, obawiam się.

- Tak, Christianie. W porządku.

Patrzyła, jak mężczyzna się ubiera i chowa fajkę do kieszeni płaszcza. Chciało jej się płakać.

Senator Charles Henkle wziął z rąk swej gosposi opieczętowaną kopertę, po czym odprawił kobietę niecierpliwym skinieniem głowy. Był już spóźniony na spotkanie, lecz list go zaintrygował.

Doręczono go przez posłańca, a na kopercie widniała adnotacja, napisana wielkimi literami, czarnym atramentem: POUFNE I OSOBISTE. Podszedł do biurka i usiadł. Wziął do ręki nożyk do listów i rozciął kopertę.

Zawierała sześć fotografii formatu szesnaście na dwadzieścia centymetrów. Poza tym nie było w niej nic więcej. Odwrócił jedno zdjęcie, spojrzął na nie i zamarł. Kolorowa, błyszcząca fotografia ukazywała Brada Carletona, nagiego i na klęczkach. Drugi mężczyzna, młodszy, odbywał z nim stosunek. Na jego twarzy widać było czystą ekstazę.

Obejrzał pozostałe fotografie, jedną po drugiej. Są doskonale technicznie, pomyślał. Tyle szczegółów i zbliżeń. Jedna z nich wydała mu się szczególnie odrażająca. Przedstawiała Brada całującego namiętnie młodego mężczyznę i obejmującego ręką jego członek.

Ostrożnie schował zdjęcia i zamknął kopertę w szufladzie biurka. Wyszedł z gabinetu, dopadł do łazienki i zwymiotował. Jego pierwszą myślą, gdy tylko wypłukał usta, było: Czy Jenny z nim spała? Boże, a co, jeśli ten łajdak choruje na AIDS? Miał ochotę zamordować Brada Carletona. Było to proste, czyste pragnienie.

Wyszedł z domu, unikając spotkania z żoną i córką. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pokazać zdjęć Jenny, lecz szybko porzucił ten pomysł.

Wrócił do domu o północy, udał się prosto do gabinetu i starannie zamknął za sobą drzwi. Sięgnął po telefon. No dobrze, łajdaku, sprawdzimy, czy jesteś w domu.

Zacisnąwszy zęby, odczekał cierpliwie trzy dzwonki.

- Halo? Mówi Brad Carleton.

- Tu Charles Henkle. Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć, Brad. Chcę, żebyś jutro przyleciał do Waszyngtonu. Spotkamy się w „La Fourchette”, dokładnie w południe.

- Ale... co się stało, proszę pana? Z Jenny wszystko w porządku, prawda?

Brad przesunął ręką po włosach, starając się oprzytomnieć. Kiedy zadzwonił telefon, spał głęboko. Musiało być późno, bardzo późno. Słyszał, jak jego przyszły teść oddycha ciężko na drugim końcu linii. Czyżby był zdenerwowany?

- Czy z Jenny wszystko w porządku? - zapytał ponownie, tym razem bardziej stanowczo.

- Tak. Po prostu bądź w tej restauracji, Brad.

Jonathan Harley opuścił budynek First People's Bank w Filadelfii dokładnie o dziesiątej rano. Uśmiechał się tak radośnie, że ci, którzy go mijali, mimo woli odwzajemniali uśmiech.

- Dziesięć milionów dolarów - powiedział na głos. - Już po kłopotach. Jestem uratowany.

Pożyczka została mu udzielona na trzy miesiące, z trzydziestodniowym wezwaniem spłaty. To mnóstwo czasu, a stopa procentowa nie jest znowu tak wygórowana - pomyślał. Poza tym to były warunki spisane na papierze. Jonathan dobrze znał swego bankiera i wiedział, że w razie potrzeby zdoła uzyskać odroczenie spłaty na tak długo, jak będzie trzeba. Natychmiast zaczął skupować akcje, których pozbyła się Rosę - oczywiście, zrobi to przez pośrednika, bo gdyby Rosę dowiedziała się, kto je nabywa, pewnie splunęłaby byłemu mężowi w twarz.

- Widzę, że dobrze panu poszło - powiedziała Midge, reagując na szeroki uśmiech swego szefa.

- Zgadłś - odparł Jonathan.

- Moje gratulacje.

Skinął głową i wmaszerował do gabinetu krokiem człowieka, który wie, że panuje nad sytuacją.

- Zasłużył pan na to - mruknęła Midge pod nosem. - Pozbył się pan tej dziwki i ma wystarczająco dużo pieniędzy, aby naprawdę rozkręcić interes.

Uśmiechnęła się nad klawiaturą komputera. Gdyby była o dziesięć lat młodsza i gdyby nie kochała męża, wówczas, kto wie...

W dziesięć minut później Jonathan wyszedł z gabinetu. Twarz miał zupełnie białą. Midge zerwała się na równe nogi.

- Co się stało?

W milczeniu wręczył jej list, którego nie otworzyła wcześniej, gdyż opatrzony był dopiskiem: PRYWATNE I POUFNE.

Na kopercie nie zamieszczono adresu nadawcy - poza nazwiskiem Jonathana i adresem jego biura nie było tam w ogóle nic. Przeczytała list, a potem spojrzała na swego szefa.

- Sukinsyny, przeklęte sukinsyny - powiedział, bardziej do siebie niż do niej. - To im się nie uda. Nie dopuszczę do tego.

Elizabeth Xavier Carleton - pomyślała Midge. - To ona zapragnęła zdobyć spółkę Jonathana.

Charles Henkle zamówił wodę mineralną. Nigdy nie pił alkoholu w ciągu dnia, choć teraz z pewnością dobrze by mu to zrobiło. Nie odrywał wzroku od drzwi restauracji, przez które nieustająco napływał strumień młodych mężczyzn w garniturach. „La Fourchette” nie cieszyło się popularnością w kręgach, w jakich obracał się na co dzień senator, toteż nie spodziewał się spotkać tu nikogo znajomego.

Dwie minuty po dwunastej zobaczył Brada.

Nie wstał na powitanie. Twarz Brada wyrażała najwyższe zmartwienie.

- Dzień dobry - powiedział, wyciągając dłoń.

- Siadaj, Brad - polecił sucho Charles.

Brad cofnął rękę i usiadł, ostrożnie badając wzrokiem twarz przyszłego teścia. Charles wyglądał starzej, a w jego oczach malowało się napięcie. Skąd te sekrety i władczy ton?

- Dobrze się pan czuje? - zapytał z należytą dozą szacunku.

- Nie, nie czuję się dobrze - odparł Charles. - Zaprosiłem się tutaj, ponieważ nie lubię spotykać się w parku. Proponuję, abyś zamówił sobie coś do picia, Brad.

Brad zamówił szkoekę. Co mogło się stać? Dlaczego Charles bredzi coś o spotykaniu się w parku?

Charles zaczekał, dopóki Brad nie, upił solidnego łyka trunku, a potem powiedział powoli i bardzo spokojnie:

- Nie ożenisz się z Jenny. Przeciwnie, zerwiesz z nią. Proponuję, byś powiedział jej, że poznałeś inną kobietę, że tamto uczucie jest silniejsze i takie tam bzdury. Jestem pewien, że doskonale sobie z tym poradzisz.

Brad powolnym ruchem zdjął okulary, zastanawiając się gorączkowo.

- O co tu chodzi? Wie pan, że kocham Jenny. I że nie ma żadnej innej dziewczyny.

- Taak, tego akurat jestem pewny.

Brad spochmurniał, czując, jak gdzieś w głębi jego serca zaczyna budzić się strach. Przez chwilę milczał, rozpatrując różne możliwości. Patrzy! na białe włosy Charlesa, na jego przejrzyście niebieskie oczy i myślał, o co też może chodzić temu staruszkowi?

- Czy panowie chcą zamówić lunch?

Charles potrząsnął głową i machnięciem dłoni odprawił kelnera.

- Jak już powiedziałem, zerwiesz z Jenny. Daję ci trzy dni na przygotowanie odpowiedniej historyjki. Nie dłużej.

Ten żaloszny staruszek mówi mi, co ma robić, i to wyłącznie dlatego, że jest szycią w rządzie? Brad trzy razy mógłby go kupić i sprzedać, gdyby tylko chciał!

- Nie zrobię tego - odparł. - Jak już powiedziałem, kocham pańską córkę, a ona, pozwolę sobie dodać, kocha mnie.

- Wiem, że ona cię kocha, tym większa szkoda. Lecz to uczucie przeminie. Nie zmuszaj mnie, bym grał nieczysto.

- O czym pan mówi?

- O czym mówię?

Charles otworzył aktówkę i wyjął jedną fotografię. Wręczył ją Bradowi.

Twarz młodego mężczyzny zastygła pod wpływem szoku. Otworzył usta, lecz nie udało mu się nic powiedzieć. Charles pochylił się nad stolikiem i oznajmił bardzo spokojnie:

- Ty plugawy bękarcie, zrobisz, co ci każę. Brad natychmiast podarł fotografię.

- Mam jeszcze pięć innych, równie szczegółowych - wyjaśnił Charles.

- Skąd pan je wziął?

Wydawał się pokonany i przerażony, przerażony jak diabli.

- Dostałem je, nic więcej nie musisz wiedzieć. Jeszcze jedno: spałeś z moją córką?

Brad miał ochotę wykrzyknąć staruszkowi prosto w twarz, że rznął jego córeczkę setki razy, lecz nie był głupi. Jeśli przyzna, że spał z Jenny, nie wiadomo, co może strzelić senatorowi do głowy.

- Nie - powiedział. - Nie spałem z nią.

- Lepiej mów prawdę, Carleton. Mam zamiar spytać o to Jenny, a ona zawsze mówi mi prawdę.

- Doskonale. Spaliśmy ze sobą, ale tylko dwa czy trzy razy. I zawsze używałem prezerwatywy, przysięgam!

Charles miał ochotę go zabić.

- Ty pierdolony gnoju. Zasłużyłeś na śmierć. - Zniżył głos prawie do szeptu. - Jeżeli nie postąpisz dokładnie tak, jak ci każę, dopilnuję, by cały świat zobaczył zdjęcia. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem.

- To dobrze.

- Czy, jeśli zrobię, co mi pan każę, odda mi pan fotografie?

- Tu cię boli! Tak, oddam ci je - powiedział Charles, śmiejąc się. - Widzisz, ktoś przysłał mi te zdjęcia anonimowo. Ten ktoś także wie, kim jesteś, wie o tobie wszystko. Lepiej na siebie uważaj. Jeżeli zerwiesz z Jenny, z mojej strony nic ci nie grozi. A teraz, wychodzę. Przyprawiasz mnie o mdłości.

Rzucił na stół banknot dwudziestodolarowy i wręczył Bradowi kopertę z fotografiami.

- Możesz je zachować - powiedział. - Będą stanowiły dodatkową inspirację. Pamiętaj tylko, że mam drugi komplet.

Brad nie wiedział, co powiedzieć. Pomimo lęku odczuł ulgę.

Brad patrzył na swoją babkę - dumną, jak zwykle, majestatyczną. To dziwne, że nigdy dotąd nie myślał o niej jak o starej kobiecie. Zaczynał wierzyć, że będzie żyła wiecznie, kontrolując ich, dopóki nie umrą. Zerknął na wuja Michaela, który siedział w pobliżu Laurette z wyrazem umiarkowanej ciekawości na twarzy.

- Przypuszczam, że powiesz wujowi i mnie, o co chodzi? - spytała Laurette spokojnym głosem.

Brad zamknął starannie drzwi biblioteki.

- Nie żenię się z Jenny Henkle - powiedział. Laurette uniosła pytająco brwi.

- Mogę zapytać dlaczego?

Brad wyobraził sobie twarz Jenny w momencie, kiedy ojciec pokazuje jej zdjęcia. Zobaczył malujący się na niej szok, pełne przerażenia zdumienie, a potem łzy zalewające policzki. Żałowna kobietka. Uświadomił sobie, że w tej chwili troszczy się o nią bardziej, niż kiedykolwiek przedtem. Ona go kocha, naprawdę go kocha - a przynajmniej jest o tym przekonana.

- Jenny ze mną zerwała - powiedział. Michael wpatrywał się w niego bez słowa.

- Bzdura - powiedział. - Ta dziewczyna popełniłaby dla ciebie zbrodnię.

- Dlaczego? - powtórzyła pytanie Laurette. Jej głos zdradzał umiarkowaną ciekawość, nic poza tym.

- Uznała, że nie pasujemy do siebie.

Brad zorientował się natychmiast, że jego wuj domyślił się prawdy. Może nie całej, lecz wystarczającej jej części. Michael zaczerpnął gwałtownie powietrza i zbladł.

- No i dobrze - powiedział. - Tak, bardzo dobrze.

- Obaj jesteście śmieszni - powiedziała Laurette. - Pragnę, aby to małżeństwo doszło do skutku. Doprowadzisz rzecz do końca, Bradleyu. Jeżeli już rozmawiałeś z Jenny, zadzwonisz do niej... nie, pójdziesz się z nią zobaczyć i, jeśli okaże się to konieczne, padniesz przed nią na kolana.

- To niemożliwe, babko - powiedział Brad, posyłając wujowi umęczone spojrzenie.

Michael wzruszył ramionami.

- Ona wie.

- Tak, wiem o twojej niefortunnej... skłonności. Jeżeli właśnie o tym mówi Michael.

- Tak, o to chodzi. Jej ojciec także dowiedział się o wszystkim i teraz grozi ujawnieniem tego, jeżeli nie zerwę z jego córką.

Laurette zamknęła na chwilę oczy. Czowała znajomy ból w nerkach, a przynajmniej sądziła, że chodzi o nerki. To mogło być cokolwiek. Co za niesprawiedliwość. Tyle jest jeszcze do zrobienia... Przy podobnych okazjach miała ochotę po prostu wstać i wyjść z pokoju, zostawić wszystko Michaelowi. Ale Michael to nie Timothy.

- Pomówię z senatorem - powiedziała.

- Nie, babko, nie możesz!

- Zapewniam cię, że mogę.

- On... on ma zdjęcia. Nareszcie to powiedział.

- Pokaż mi je - zażądała Laurette. Michael zerwał się na równe nogi.

- Nie, mam, proszę, nie!

- Nie bądź idiotą, Michaelu. Zapewniam cię, że w moim osiemdziesięcioczeroletnim życiu widziałam już wszystko. Poproszę o zdjęcia.

Brad w milczeniu wręczył jej kopertę. Przyglądał się, jak kobieta wyciąga z niej zdjęcia, jedno po drugim. W pokoju panowała martwa cisza. Michael ukrył twarz w dłoniach. Brad zamarł, nie spuszczając wzroku z twarzy babki. Tak bardzo się wstydził... Wstyd wręcz go dławił. Laurette nie zmieniła wyrazu twarzy i nie odezwała się, dopóki nie umieściła zdjęć z powrotem w kopercie.

- Czy Henkle ma kopie?

- Tak mi powiedział. I że odda mi je, kiedy zerwę z Jenny.

- Wierzę mu - powiedziała, lecz potem dodała z namysłem: - Oczywiście, dobrze byłoby się dowiedzieć, skąd w ogóle je wziął.

- Nie mam pojęcia. Powiedział, że ktoś mu je przysłał. Anonimowo.

- Elizabeth - szepnęła. Michael drgnął.

- Daj spokój, mammo!

- Obaj jesteście głupcami. Nie doceniacie jej tylko dlatego, że jest kobietą i nie ma doświadczenia w prowadzeniu interesów. Wiecie równie dobrze jak ja, że dowiedziała się prawdy o Rowenie Chalmersie i, że tak powiem, unieszkodliwiła go. Ona z każdym dniem rośnie w siłę. No, Michaelu, przyznaj, że przejęła kontrolę nad ACI. A teraz to.

Przyglądała się kopercie przez chwilę, a potem wsunęła ją do szuflady biurka i starannie zamknęła szufladę na klucz.

- Najpierw zajmijmy się tym, co najważniejsze - powiedziała. - Henkle. Nasz drogi senator Henkle. Zaczynam sądzić, że Catherine, jeśli pominąć jej wybryki, ma o wiele więcej hartu ducha niż wy. Zerwiesz z tym mężczyzną ze zdjęć, Bradleyu. Nie, nie dyskutuj ze mną. Zerwiesz z nim i koniec. A potem postarasz się zobaczyć z Jenny.

- Ale po co, babko? Wiesz równie dobrze jak ja, że senator nie zawaha się użyć zdjęć.

- Zdjęcia - powiedziała bardzo spokojnie Laurette - można zrobić nie tylko jednej osobie.

Timothy nauczył ją tego wiele lat temu. Nie pamiętała zbyt dobrze okoliczności, ale metoda okazała się skuteczna. Timothy śmiał się i zacierał dłonie, a ona nauczyła się, że bezwzględność to klucz do sukcesu.

Brad wpatrywał się w nią, z początku nie rozumiejąc, o co babce chodzi. A kiedy zrozumiał, poczuł, że chce mu się wymiotować.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział.

- Zrobisz, co ci się każe - oświadczyła Laurette, tracąc cierpliwość. - Zadzwońisz do Jenny i przekonasz ją, że wasze zerwanie było błędem. Zapewnisz ją o swojej miłości, a potem zabierzesz do motelu, który wcześniej wybierzemy, i będziesz się z nią tam kochał. Na różne sposoby. Ufam, że potrafisz zachować zimną krew i staniesz na wysokości zadania. Następnie złożymy wizytę senatorowi. Z własnym zestawem fotografii.

*

Minął tydzień i nadal nic nie wskazywało na to, jakoby zaręczyny Bradleya i Jenny zostały zerwane.

- Nie rozumiem tego - powiedziała Elizabeth.

Rod rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu. Wydawał się zamyślony.

- Ja także, przynajmniej na razie.

Lecz zrozumieli oboje, i to jeszcze tego samego popołudnia. Elizabeth wyjęła fotografie z nieoznaczonej koperty. Przedstawiwały Bradleya i Jennifer Henkle, nagich, w różnych pozycjach, na łóżku i na podłodze. Zbliżenia wywierały okropne wrażenie. Biedna dziewczyna, pomyślała Elizabeth, zła na siebie, że zainicjowała całą sprawę. Jennifer Henkle nie była niczemu winna.

W notatce, załączonej do zdjęć, napisano jedynie: *Jeżeli opublikujecie zdjęcia Bradleya Carletona, te także zostaną opublikowane. Zniszczy to senatora Henkle'a i całą jego rodzinę.*

- Oni też grają twardo, Elizabeth - powiedział Rod cicho.

- Jeden zero dla Laurette, prawda?

- O ile nie chcesz wziąć na swoje sumienie Henkle'ów.

Elizabeth wstała i bezwiednie wygładziła dłonią spódnice.

- Wiesz, że nie posunęłabym się tak daleko.

- Zastanawiam się, co robi senator - powiedział Adrian głośno.

*

Następnego dnia podano do publicznej wiadomości datę ślubu Bradleya i Jenny. Wydarzenie będzie miało miejsce w miesiąc po tym, jak Rowe Chalmers zostanie mężem Amandy.

Projekt OBC spalił na panewce.

- Zawieszamy go tylko do chwili, kiedy nadarzy się kolejna okazja - powiedziała Elizabeth. - On w końcu popełni błąd, i to duży. Wtedy uderzymy.

Tego wieczoru Christian zastanawiał się, co stało się z Elizabeth. Była milcząca i dziwnie nieobecna. Po raz pierwszy przytulił ją mocno do siebie i zaczął całować. Nie uczyniła nic, nie zareagowała w żaden sposób.

- Muszę coś zrobić, Christianie - powiedziała, gdy w końcu wypuścił ją z objęć.

Christian westchnął w myśli.

- Czy mógłbym jakoś ci w tym pomóc? Pragnęła powiedzieć „tak”, zwierzyć mu się, lecz nie zrobiła tego. Zbyt dobrze pamiętała lekcję, jakiej udzielił jej Rowe.

- Wybacz mi - powiedziała, starając się, aby jej słowa zabrzmiały bardziej miękko. - To coś absolutnie niemądrego. Nic, czym powinieneś się przejmować. Przykro mi, że jestem taką nudziarą.

Uśmiechnęła się do Christiana szeroko i uścisnęła go.

- Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym - szepnęła z twarzą wtuloną w jego ramię.

- Tak - powiedział, całując jej włosy. - Chcę, aby tak pozostało.

Zastanawiał się, czy ona wspomina Rowena Chalmersa i na samą myśl o tym przygryzł dolną wargę. Nie mógł jej o to zapytać.

Rozdział 12

- Chcę wiedzieć, czego ty pragniesz, Catherine. Masz dwadzieścia cztery lata, ukończyłaś Harvard. Chcę, żebyś powiedziała mi, co zamierzasz uczynić ze swoim życiem.

Dziewczyna zdawała się wychudzona, a skóra na jej twarzy ciasno opinała kości. Ciemne półkola pod pełnymi wyrazu oczami świadczyły o tym, że nie sypiała zbyt dobrze. Laurette zastanawiała się, czy Catherine nie jest w dalszym ciągu chora. Chora, pomyślała, krzywiąc się na ten eufemizm. Jej wnuczka spędziła blisko dwa tygodnie w prywatnej klinice w Vermont, gdzie prawdopodobnie uwolniła się od nałogu. Lecz nadal była drażliwa, łatwo wpadała w złość. Wzdrygała się też przy byle głośniejszym dźwięku.

Widząc, że wnuczka nie ma zamiaru odpowiedzieć, Laurette powiedziała miękko:

- Chcę, żebyś była szczęśliwa, kochanie. Musisz być teraz silna. Musisz odnaleźć cel w życiu.

Catherine zaśmiała się, lecz nie był to przyjemny dźwięk.

- Cel. Sama nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Pamiętam, jaka byłaś dobra z matematyki, moja droga. Najlepsza z całej klasy, czyż nie?

Catherine wydawało się, że od tamtej pory minęły wieki.

- Tak - powiedziała jednak. - Pamiętam.

- Chciałaś hodować dzikie koty, żbiki - dodała Laurette, obdarzając wnuczkę swoim szczególnym uśmiechem. - Miałaś pięć lat i właśnie dostałaś kociaka. Usłyszałaś, jak twój ojciec mówi o pewnym niezbyt uczciwym nafcjarzu, określając go jako „żbika” i oznajmiłaś, że właśnie tym chcesz się zajmować, jeśli tylko uda ci się znaleźć więcej kotów takich jak Marvin.

Catherine uśmiechnęła się.

- Boże, babciu, nie myślałam o tym od lat! Przypominam sobie, jak się wtedy śmiałaś.

Ostatnio nie było między nami zbyt wiele do śmiechu - pomyślała Laurette. - Życie stało się tak skomplikowane.

- Przez pierwsze trzy lata doskonale ci szło na studiach.

- Tak, dopóki...

- Dopóki nie zdecydowałaś się zostać zepsutą, bogatą dziewczuchą.

Catherine wciągnęła gwałtownie powietrze i spojrzała na babkę.

- To było okrutne.

- Być może, ale to prawda. Nie masz już pięciu lat, Catherine. Jesteś dorosłą kobietą. Pora, żebyś zaczęła zachowywać się jak dorosła. Pora, byś coś z sobą zrobiła. Życie bez zdążania do celu to tylko żalosna wegetacja. Pamiętasz swoją cioteczną babkę Marion? Co kilka lat robiła sobie lifting i kupowała tyle ubrań, że wciąż musiała powiększać szafy. Miała co tylko chciała. Ale żyła bez celu, Catherine. Była potwornie nieszczęśliwa.

- Chyba masz rację. Pamiętam, jak tatuś mówił, że jest szalona.

- Nie, ona po prostu zdecydowała się przeżyć życie poprzez innych. Poprzez swego męża i mnie,

swoją starszą siostrę. Kiedy pomyślę o tych wszystkich okropnych zasadach, głoszących, co wypada, a czego nie wypada robić kobiecie... Ona nigdy się im nie przeciwstawiła, nigdy nie zakosztowała wolności.

Laurette umilkła na chwilę. Widocznie się starzeję, pomyślała, skoro nawiedzają mnie dawno przebrzmiałe wspomnienia. Nie pora teraz myśleć o przeszłości. Trzeba pomóc Catherine.

- No cóż, moje dziecko. Chad Walters odszedł, jest przeszłością, podobnie jak twój nałóg. Pora znów stawić życiu czoło.

Catherine nie odpowiedziała. Ten ból, ten wiecznie obecny, nieokreślony ból... Nie kochała Chada, lecz jego nagła śmierć wywołała u niej szok. Kusilo ją, żeby roześmiać się babce w twarz. Jednak czuła się zbyt okropnie. Potrzebowała więcej koki, musiała zdobyć jej więcej. W końcu powiedziała:

- Spójrz tylko na Jenny Henkle, kobietę lat osiemdziesiątych. Chodziła do dobrej szkoły, o ile pamiętam. Mimo to nie będzie robiła nic innego, jak tylko wychowywała dzieci, kupowała ubrania i nadzorowała służbę. To znaczy, kiedy już wejdzie do naszej rodziny. Czy ona nie przypomina ciotki Marion?

- Niezupełnie. Jenny nie posiada żadnych szczególnych uzdolnień, nie odczuwa też pragnienia, by być czymś więcej. Czy uważasz, że jesteś podobna do Jennifer?

- Nie, Jenny jest taka słodka i niewinna. Laurette przypominała sobie zdjęcia i lekko się skrzywiła. Przynajmniej Brad obiecał jej, że przestanie zadawać się z mężczyznami.

Catherine wstała. Wewnętrzny niepokój nie pozwalał jej usiedzieć. Kochała swoją babkę, choć czasami jej się bała, podobnie jak reszta rodziny. Lecz Laurette tym razem nie mogła jej pomóc. Boże, ale potrzebowała koki. Nie mogła myśleć o niczym innym. A już na pewno o czymś tak abstrakcyjnym, jak posiadanie celu w życiu.

- Jestem bardzo zmęczona, babciu. Chyba się położę.

Laurette miała chęć nią potrząsnąć, powiedzieć, że pewnego dnia obudzi się jako osiemdziesięcioletnia staruszka, zastanawiając się, gdzie też podziały się wszystkie te lata. Nakazała sobie jednak cierpliwość i powiedziała tylko:

- Doskonale, moja droga. Z pewnością potrzeba ci snu. Jutro porozmawiamy.

Po godzinie Catherine wysłiznęła się z domu babki i ruszyła do Nowego Jorku. Znów ciekło jej z nosa. Dzięki Bogu, staruszka niczego nie zauważyła. Catherine sięgnęła po chusteczkę.

Kiedy wreszcie dotarła do miasta, ścisnęła kurczowo kierownicę, zastanawiając się, dokąd powinna się udać. Gdzie mogła kupić kokę? Zawsze zaopatrywał ją Chad, a towar był pierwszorzędnej jakości.

Z trudem powstrzymała łzy. Do licha, nie kochała go przecież. Był przestępcą, a ona płaciła wszystkie rachunki.

Powoli przejechała Broadwayem, obserwując ludzi na chodnikach. Przy Trzynastej ulicy skręciła w Piątą i pojechała nią aż do Placu Waszyngtona. Zwolniła i jeszcze uważniej zaczęła przyglądać się przechodniom. Przyciągała powszechną uwagę; próżnujący mężczyźni, stojący na progach domów czy rogach ulic nie odrywali wzroku od jej jaskrawoczerwonego porsche. W zaułku tuż obok wejścia do ciemniejszego budynku wysoki czarny mężczyzna rozmawiał z dobrze ubranym białym. Spostrzegła, że mała paczuszka zmienia właściciela. Serce zaczęło jej szybciej bić. Zwolniła. Biały skinął głową, odwrócił się i szybko odszedł. Catherine pociągnęła nosem i szarpnęła kierownicą. Czarny podniósł wzrok. Czuła, jak się jej przygląda, jak szacuje jej samochód i ubranie. Zaczęła powoli opuszczać

szybę, gdy spostrzegła wyraz jego oczu. Zimny, przerażający. Zamachał do niej i ruszył w kierunku samochodu. Wtedy zauważyła drugiego mężczyznę, kryjącego się w cieniu budynku. Podniósł ramię i zobaczyła, że trzyma w ręce broń.

- O, Boże - szepnęła.

Murzyn był już blisko, a ona nie mogła się poruszyć.

Wyciągnął rękę, by chwycić za klamkę drzwiczek. Catherine krzyknęła cicho i wcisnęła pedał sprzęgła, a potem gazu. Porsche wyrwało do przodu, lecz silnik zaczął się krztusić. Usłyszała krzyk mężczyzny, musiała odpuścić nieco sprzęgło.

Odwróciła się i zobaczyła, że Murzyn stoi na ulicy. Wykonał obsceniczny gest i krzyknął coś, czego szczęśliwie nie rozumiała. Drugi mężczyzna, ten z bronią, pozostał niewidoczny.

Catherine drżała niepowstrzymanie. Sięgnęła po chusteczkę i wytarła nos. Chusteczka była czerwona od krwi. Jej krwi. Rozplakała się i łzy zmieszały się z krwią. Jasnoczerwona kropla spadła na biały, kaszmirowy sweter.

W końcu dotarła do spokojniejszej ulicy i zatrzymała samochód. Znajdowała się gdzieś na East Endzie, w dzielnicy willowej. Oparła głowę o kierownicę i rozszlochała się na dobre.

Głośne pukanie w szybę sprawiło, że oddech zamarł jej w piersi. Krzyknęła cicho i drgnęła. Obok porsche'a stał policjant i przyglądał się jej z uwagą.

Nagle zachciało jej się śmiać. Czy powinna wyznać gliniarzowi, że próbowała kupić kokainę, ale przestraszyła się handlarza? Wspomnieć o jego uzbrojonym towarzyszu? Lub o tym, że już nie może siebie znieść i pragnie umrzeć?

- Wszystko w porządku, proszę pani?

Catherine wzięła się w garść i spróbowała powstrzymać łzy. Gliniarz był młody, miał miłą twarz. Chyba nie służy zbyt długo w Nowym Jorku, pomyślała. Opuściła szybę.

- Wszystko w porządku, dziękuję. Po prostu zakręciło mi się w głowie.

Akurat, pomyślał, ale, oczywiście, nie powiedział tego.

- Sugeruję, by wróciła pani do domu. Już późno i z pewnością nie chciałaby pani, by napastowali ją różni pomyleńcy.

Przynajmniej wykład był krótki i treściwy, pomyślała. Powiedziała „tak” i „dziękuję bardzo”, a potem przyglądała się, jak policjant wraca do radiowozu. Wsiadł i czekał. Catherine westchnęła, uruchomiła silnik i ruszyła powoli ulicą. Tak, pomyślała, wrócę do domu. Ale nie na Long Island.

Była już prawie przy swoim mieszkaniu, kiedy uświadomiła sobie, że babka będzie się martwić. Nie chciała, by starsza pani dowiedziała się o tej szalonej wyprawie do Nowego Jorku.

Zawróciła.

Wracając na Long Island, zastanawiała się nad jej słowami. Co chciałaby zrobić ze swoim życiem? Wzdrygnęła się. Z pewnością nie życzyła sobie, by stale ciekło jej z nosa, by krwawił, aż zgnije i odpadnie. Nie chciała też nigdy więcej czuć się tak zaszczuta i zniewolona, jak dzisiejszego wieczoru. *O mato nie wylądowałam na ulicy. Ale to uniesienie, to uczucie absolutnej mocy...*

Pomyślała o ojcu, sławnym i osławionym Timothy Carletonie. Kochał ją i poświęcał jej uwagę, dopóki nie poznał Elizabeth, która go uwiodła. Potem już nie miał czasu dla swojej córki. Nie, nie będzie o tym myślała. To zbyt bolesne.

Babka miała rację. Catherine potrzebowała celu, miała dosyć tego nieróbstwa.

Pomyślała o Elizabeth i swoim absolutnym przekonaniu, że to macocha zamordowała jej ojca. Już wiedziała, co robi i czym się zajmie.

Laurette usłyszała zduszony dźwięk silnika i domyśliła się, że to samochód wnuczki.

Wstała z łóżka i podeszła do wysokiego okna. Powoli odsunęła zasłonę i wyjrzała na oświetlony blaskiem księżyca podjazd. To dziwne, lecz pomyślała o Christianie Hunterze. Jak bardzo chciała go zniszczyć za to, co zrobił. Próbowwała się do niego dobrać, lecz jego aktywa były zbyt rozproszone, a spółki zbyt stabilne. Cieszył się też nienaganną reputacją. Po raz pierwszy pozwoliła sobie zastanowić się nad tym, czy lekarz nie mówił przypadkiem prawdy.

Powoli odwróciła się od okna i usłyszała, jak zasłona z cichym szelestem wraca na miejsce. Ten człowiek z pewnością kłamał. Po prostu nikt inny nie mógł zabić Timothy'ego. Nikt poza Elizabeth.

Timothy.

Laurette westchnęła, podeszła do termostatu na ścianie i podkręciła go. Ostatnio stale dokuczał jej chłód. Marzyły jej nawet kości. Poczowała, że stopy zaczyna owiewać cieplejsze powietrze. Oczywiście, skłamała wnuczce. Timothy uważał, że kobiety nadają się tylko do jednego - aby uprawiać z nimi seks. Gdyby żył, nadal traktowałby swoją córkę jak bezużyteczny puch, piękne bawidełko, którego wartość określa jedynie odpowiednie zamążpójście. A ona prawdopodobnie nie zrobiłaby nic w tej sprawie, nic absolutnie.

Pewnego razu, kiedy uczyniła jakąś wielce trafną uwagę na temat interesów, objął ją, roześmiał się i powiedział:

- Do licha, gdybyś nie była moją matką, natychmiast ożeniłbym się z tobą. Żadna ci nie dorówna.

Oto, co zrobił z Elizabeth. Była jedynie piękną zabawką, oczywiście wielce utalentowaną, ale ten talent posłużył jej, by zwabić i uwieść Timothy'ego. A potem stała się wystarczająco bezwzględna, by go opętać, skłonić, by zmienił testament. I wtedy go zabiła.

Błogosławione ciepło rozgrzało jej krew i zaczynała czuć się senna. Wróciła do łóżka i położyła się, naciągając na siebie grubą kołdrę. Jednak jej umysł powędrował ku przeszłości i pewnej paskudnej scenie, której była świadkiem i o której nigdy nikomu nie wspomniała.

Timothy, jej syn: silny, bezwzględny, a czasem nawet podły. Zwłaszcza w stosunku do swojej pierwszej żony, Eileen. Delikatnej, słabej Eileen. Pochodziła z bardzo dobrej rodziny, lecz była zupełnie pozbawiona charakteru. Nie uderzy! Eileen, dopóki nie dała mu dwóch synów. Kiedy lekarze orzekli, że nie będzie miał więcej dzieci, zwrócił się przeciwko niej.

- I co z ciebie za pożytek, głupia krowo? Eileen, tchórzliwa, z twarzą wykrzywioną bólem, próbująca uciec przed tymi bezlitosnymi słowami, i Laurette, stojąca tuż za drzwiami, z tuzinem czerwonych róż w ręce, gotowa włożyć kwiaty do wazonu.

- Boże, gardzę tobą - krzyczał Timothy. - Zabiłbym cię, ty głupia suko, gdyby mogło mi to ująć na sucho!

Nie, pomyślała Laurette, zamykając oczy. Nie będę tego wspominać, nie będę o tym myśleć. Jednak pamięć podsuwała jej kolejne obrazy.

- Proszę, Timmy, ja...

- Timmy! Ty żaloszna cipo! Wyrządzasz krzywdę moim synom przez swoją głupotę!

Odgłos uderzenia, a po nim rozdzierający szloch.

- Chcę, żebyś się wyniosła, Eileen. Nigdy już nie chcę słyszeć twego skomlenia. Ani widzieć twojej twarzy!

- Ale, Timm... Timothy, ja... Kolejne uderzenie, a po nim krzyk.

Muszę położyć temu kres, pomyślała Laurette. Boże, muszę go powstrzymać. Jednak nie poruszyła się, ponieważ usłyszała, jak Timothy krzyczy:

- Jeszcze jedno słowo na temat mojej matki i skopię ci mordę, zrozumiałaś? Nie zasługujesz na to, aby przebywać z nią w jednym domu.

Poczuła dumę. Odeszła korytarzem, zapominając o różach. Jej syn, jej obrońca. Miał rację. Eileen była bezużyteczną, głupią kobietą. Pozwoli, by Timothy sam się nią zajął.

I zrobił to. Eileen wyjechała na stałe do Hiszpanii. Widywała synów tylko dwa razy w roku. Umarła w pięć lat później. Nikt nie wiedział, z jakiego powodu.

Laurette wzdygnęła się. Timothy wspomniął o śmierci żony podczas kolacji, pomiędzy zupą a głównym daniem.

Potem spotkał Charlotte i ożenił się z nią. Z tego związku narodziła się Catherine. Przynajmniej Charlotte nadal żyje. Mieszka chyba w Londynie. Miała od niej wiadomość tylko raz. Po śmierci Timothy'ego otrzymała telegram, w którym napisano jedynie: JAKA SZKODA. Z łatwością wyobraziła sobie, jakim zadowoleniem promieniowała twarz Charlotte, kiedy wysyłała telegram.

Potem Timothy poznał Elizabeth. A ona go zabiła.

*

Elizabeth była zmęczona. Tak zmęczona, że pragnęła jedynie paść na łóżko i spać przez tydzień. Mając przy boku Adriana i Coya, złożyła niezapowiedziane wizyty w siedzibach trzech największych spółek ACI w Ameryce: w zakładach włókienniczych w Atlancie, tartakach w Seattle i kwaterze głównej łańcucha sklepów spożywczych, w Cleveland.

Przebywając w chronionym, izolowanym od zewnętrznego świata mieszkaniu przy Park Avenue nie zdawała sobie w pełni sprawy, jaką posiada władzę. Teraz to się zmieniło. Mężczyźni, z którymi się spotykała, dostrzegali to, lecz nie wiedzieli, jak ją traktować. Okazywali jej względy, lecz z poważnymi pytaniami zwracali się do Adriana lub Coya. Podczas jednego ze spotkań - z prezesem spółki zrzeszającej sklepy spożywcze - aż roześmiała się bezwiednie, gdyż spotkanie zaczęło się od tego, co zwykła teraz nazywać rytuałem starych, dobrych koleśków. Z początku brzmiało to śmiesznie, lecz wcale takie nie było. I coraz częściej miała z tym do czynienia.

Uświadomiła sobie też coś jeszcze. Bardzo niewiele kobiet zajmowało stanowiska, które zapewniałyby im rzeczywistą władzę. W Atlancie poznała pewną kobietę; bardzo utalentowaną, która nie marzyła o zajęciu stanowiska wyższego, jak tylko dyrektor do spraw sprzedaży. Elizabeth uśmiechnęła się. Pomoże Melissie Graves. Wprost nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie każe się spakować dotychczasowemu prezesowi, dupkowi pierwszej klasy.

I nagle opuściło ją zmęczenie. Stanowczym krokiem weszła do gabinetu. Tak, pomyślała, rozglądając się, teraz to wszystko należało do niej. Wszelkie ślady po Timothy'cie dawno zatarto. Zmieniła wystrój pomieszczenia, czyniąc je zdecydowanie kobiecym w charakterze, przekonana, że Timothy nie zaaprobowałby tych zmian, że marszczyłby brwi i nazywał żonę bezużyteczną idiotką.

Zasiadła za pięknym biurkiem w stylu Ludwika XVI i podniosła słuchawkę telefonu. Wybrała pewien szczególny numer, odczekała chwilę, a potem zaczęła dyktować.

Kiedy skończyła, zmieniła pozycję na wygodniejszą i zamyśliła się. Ciężka praca Melissy Graves zostanie doceniona, a jej marzenia spełnione. *A wszystko dzięki mnie, kobiecie posiadającej władzę.*

Pomyślała o wszystkich tych kobietach, na które natknęła się podczas wizyt w siedzibach spółek, głównie o sekretarkach podających mężczyznom kawę. Była dla nich typem kobiety, której nie pojmowały. A ona rozmyślała wówczas o tym, że ruch wyzwolenia kobiet coś jednak osiągnął i że te kobiety powinny wykonywać pracę, do której mają predyspozycje. Każdego rodzaju pracę. W końcu mamy już lata osiemdziesiąte, samą ich końcówkę.

Uświadomiła sobie, że nie jest to sprawa walki płci, lecz raczej kwestia pewności siebie oraz wewnętrznej siły, pozwalającej sięgnąć po władzę.

Na przykład jej.

W następną środę rano, dokładnie o dziesiątej, siedziała przy okrągłym konferencyjnym stole, przewodnicząc zebraniu. Naprzeciwko niej zasiadali Coy i Adrian. Powiadomiła ich o swoich zamiarach zaledwie piętnaście minut przed wyznaczoną godziną spotkania.

- Ależ, Elizabeth, z pewnością nie mówiłaś poważnie...

Elizabeth cierpliwie przyglądała się Coyowi, czekając, aż wyrazi swoją opinię. Pragnęła ją usłyszeć.

- Tak? - ponagliła go.

- Posłuchaj, Elizabeth, ta kobieta, jak jej tam? Graves? Ona nie ma pojęcia, co robić. Nie potrafi pobic myślą dalej niż do najbliższego obiadu, który przygotowuje dla męża, na miłość boską!

- Ale czyż nie jest dyrektorem do spraw sprzedaży? - dopytywała się Elizabeth spokojnie.

- Tak, tylko dlatego, że ze względu na powierzchowność Pierson nie mógł pozostawić jej na stanowisku, na które najlepiej się nadaje.

- To znaczy?

- Przedstawiciela handlowego! Jasne, radzi sobie całkiem nieźle. Ale żeby od razu mianować ją wiceprezesem do spraw sprzedaży! To niedorzeczne!

Elizabeth uśmiechnęła się. Biedny Coy, nie ma pojęcia o tylu sprawach! Poleciała Melissie, by przyleciała do Nowego Jorku, a potem spotkała się z nią prywatnie. Ależ się nasłuchiwała, kiedy kobieta w końcu zdecydowała się jej zaufać!

- Zgadzam się, Coy.

- Dobrze. Przejdźmy do innych spraw. Sytuacja w paryskiej kwaterze głównej...

- Rzeczywiście - przerwała mu spokojnie Elizabeth - zgadzam się, że stanowisko wiceprezesa nie jest odpowiednie dla Melissy Graves. Adrianie, sprawdź, proszę, kontrakt Piersona. Chcę, aby odszedł przed końcem miesiąca. Melissa zajmie jego miejsce.

Coy zaniemówił. Jego wargi poruszyły się, lecz nie powiedział ani słowa.

- Ta kobieta jest przerażająco utalentowana, Coy. Nie pozwalano jej awansować wyłącznie dlatego, że nie należy do sitwy koleśków, a te są nadal bardzo wpływowe, zwłaszcza na Południu.

- Nie możesz tego zrobić!

Elizabeth tylko uśmiechnęła się do niego, a potem powiedziała przyjaźnie:

- Przepraszam, Coy, ale mogę zrobić, co tylko mi się spodoba. Jeszcze tego nie zrozumiałeś?

Najwidoczniej tak właśnie było, gdyż posłał Adrianowi udręczone spojrzenie. Lecz Adrian tylko wzruszył ramionami i nie odezwał się. Bardzo rozsądnie, pomyślała Elizabeth.

- Może byś tak przestudiował jej akta, Coy? Myślę, że będziesz zdziwiony, kiedy to zrobisz. Oczywiście, jeżeli zamierzasz zachować obiektywizm. I przyjrzyj się „osiągnięciom” Piersona za poprzedni rok. O ile mnie pamięć nie myli, to właśnie ty powiedziałeś, że ten człowiek jest równie pełen pomysłów, co rzodkiewka. Mówiłeś to do Adriana, ale ja i tak usłyszałam. Przestudiuj akta, a potem wróć tu i przedstaw mi swoją opinię.

Coy wstał. Nie mógł się zdobyć na to, by spojrzeć jej w oczy; był zbyt wytrącony z równowagi, a może zbyt rozgniewany.

- Zapoznam się z aktami - powiedział, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z gabinetu.

- Przejrzyj też raporty dotyczące wyników finansowych, Coy.

Adrian zagwizdał, a potem czekał w milczeniu, aż Coy opuści gabinet.

- Coy jest trochę staroświecki, Elizabeth. Nie miał dotąd do czynienia z pracującymi kobietami i nie jest do tego przyzwyczajony.

- Chyba że chodzi o sekretarki, które przynoszą mu kawę?

- Nie bądź dla niego zbyt surowa. Rzuciłaś go na deski.

- Nie chciałabym go stracić, Adrianie.

- Nie sądzę, by miało do tego dojść. A teraz, Elizabeth, czy chciałabyś podyskutować o strukturze organizacyjnej trzech spółek, które odwiedziliśmy? Sprawdzić, ile jest tam kobiet na kierowniczych stanowiskach?

- Tak, chciałabym.

*

Jonathan Harley z uporem wpatrywał się w twarz swego prawnika i wieloletniego przyjaciela, Josha Simpsona.

- Chcą się ze mną spotkać - powiedział.

- Nie zaszkodzi wysłuchać, co mają do powiedzenia.

- Nie oni - sprostował Jonathan z goryczą. - To ta przeklęta kobieta! Elizabeth Carleton. Ta, która zamordowała swego męża!

- O ile sobie przypominam, została uniewinniona jakiś rok temu.

Jonathan prychnął wymownie.

- To znaczy uznana za niewinną, Jonathanie, przez dwunastu przysięgłych.

- Nie obchodzi mnie, czy zabiła dziesięciu mężczyzn. Nie chcę tylko, aby zniszczyła to, co należy do mnie.

- Możesz wszystko stracić - powiedział Josh ostrożnie. - Czy zdajesz sobie sprawę, jaką siłą dysponuje ACI?

- Tak. Jaką dokładnie gra rolę? Słyszałem plotki, że ta dziwka jest tylko figurantką.

- Czytałeś artykuł o kobiecie, zatrudnionej w spółce w Atlancie? Nie pozwalano jej awansować, choć była zdolna, a teraz ma objąć stanowisko prezesa. Wygląda na to, że Elizabeth Carleton wykopała faceta, który tam rządził, i umieściła na jego miejscu tę kobietę. Chodzą słuchy, że ma podobne plany co do innych spółek ACI.

- Więc padną w pół roku - powiedział Jonathan.

- Masz zaledwie trzydzieści pięć lat, Jonathanie. Na miłość boską, chłopcze, dorastałeś w latach, kiedy rozwijał się ruch wyzwolenia kobiet. Chodziłeś do Yale z kobietami! Zaczynałeś studia, kiedy pierwsze kobiety otrzymywały właśnie dyplomy, zgadza się? A masz poglądy neandertalczyka!

Jonathan odstawił filiżankę. Był tak wściekły, że miał ochotę rzucić nią o ścianę.

- Wiem - powiedział w końcu. - I wcale tak nie myślę. Nie wiem tylko, czemu uwzięli się akurat na mnie.

- To proste. Odniosłeś sukces. Chcą wykupić twoją firmę i zatrzymać cię na stanowisku prezesa. Jeśli zdecydujesz się sprzedać spółkę, zarobisz tyle pieniędzy, że będziesz mógł pojechać do Kalifornii i zacząć wszystko od nowa.

- Nie.

Josh postukał ołówkiem w blat biurka.

- No dobrze. Ponieważ jest to pierwsze spotkanie, wolałbym, żebyś zapanował nad swoim gniewem. Wiesz równie dobrze jak ja, że w interesach twarz pokerzysty jest o wiele ważniejsza niż

najlepszy zestaw kart. Będą tam naprawdę grube ryby.

- Jak myślisz, czy ta kobieta przyjdzie?

- Możliwe. Lepiej rozegrać to na zimno, uwierz mi, Jonathanie.

Jonathan zaklął.

- I powściągnij swój język, staruszk.

Rozdział 13

Catherine Carleton nacisnęła dzwonek. Dłonie miała spocone.

Po drugim sygnale drzwi otworzyły się i wyrzała przez nie starsza kobieta, ubrana w surową czerń.

- Tak, proszę pani?

- Chciałabym zobaczyć się z panem Chalmersem.

- Ćwiczy w tej swojej sali gimnastycznej - powiedziała pani O'Brien. - Nigdy nikogo nie przyjmuje, gdy ćwiczy.

- To bardzo ważne - nalegała Catherine tonem osoby przyzwyczajonej do posłuchu, unosząc wyżej brodę. - Nie zamierzam czekać.

Podziałało. Pani O'Brien cofnęła się, pozwalając jej przejść.

- Proszę powiedzieć mi, gdzie on jest, a sama znajdę drogę.

Pani O'Brien wskazała długi korytarz w pobliżu salonu.

Catherine słyszała, jak Chalmers postępuje. Zajrzała do małej salki, wyposażonej równie dobrze, jak ta należąca do jej wuja Michaela. Rowen Chalmers leżał na plecach, na ławie, podnosząc ciężarki. Miał na sobie jedynie gimnastyczne szorty i Catherine mogła zauważyć, że jest bardzo dobrze zbudowany.

- Panie Chalmers - powitała go, kiedy doliczył do pięćdziesięciu.

Rowe usiadł powoli ze wzrokiem utkwionym w Catherine. Sięgnął po ręcznik i otarł pot z twarzy. A potem, ocierając pierś, nadal się w nią wpatrywał. Czego mogła chcieć? Wziął od Carletonów już wszystko, co zamierzał wziąć.

- Tak? - zapytał chłodno. Catherine nie dała się zniechęcić.

- Chciałabym z panem porozmawiać, panie Chalmers.

- „Panie Chalmers”, co za uprzejmość! To już nie jestem „chłoptasiem”? Nie obdarzy mnie pani żadnym ze swoich jakże pochlebnych przydomków?

- Nie - odparła Catherine spokojnie.

- Więc proszę mówić. Nie mogę tak po prostu wyrzucić kogoś z rodziny Carletonów, prawda? Przynajmniej nie w ciągu pięciu minut, bo tylko tyle ci daję, droga pani.

- Czy mogę usiąść?

- Jasne - machnął ręką w kierunku krzesła z twardym oparciem. - A zatem?

- Jak zrozumiałam, za parę tygodni bierze pan ślub - powiedziała, gdy już zajęła miejsce.

Rowe uniósł ciemne brwi.

- A zatem umie pani czytać.

Poczuła, jak rumieniec gniewu zalewa jej policzki.

- Jak zrozumiałam, ona jest kimś w rodzaju dziedziczki.

Rowe roześmiał się.

- Jeżeli przyszła tu pani jako przedstawicielka rodziny, panno Carleton, proponuję, by opuściła pani mój dom. Jeżeli chcecie mnie szantażować, grożąc, że powiecie Amandzie o moich stosunkach z Elizabeth, to proszę bardzo. Nie mogę was powstrzymać. Tylko że moja narzeczona o tym wie. Powiedziałem jej, że sypiałem z Elizabeth, choć nie zdradziłem dlaczego.

- Nie - powiedziała Catherine. - Nie przyszłam w imieniu rodziny. Prawdę mówiąc, nie przyszłam też, aby rozmawiać o pańskim małżeństwie. Po prostu jakoś tak samo wyszło. Proszę wybaczyć, że byłam nietaktowna.

- A to co znowu za gra? - Rowe wstał, zarzucił sobie ręcznik na ramiona i podszedł do Catherine.

- To nie jest gra.

- Więc czego, u licha, pani chce?

- Nie musi pan być taki grubiański!

- Grubiański? Wobec pijawki z rodu Carletonów? Och, czyżbym obraził damę?

Catherine wciągnęła powietrze, a wraz z nim zapach Rowe'a, woń jego potu.

- Przyszłam, by porozmawiać o Elizabeth.

- Musi pani wiedzieć, że nie widziałem się z nią od jakiegoś czasu.

- Tak, wiem.

- Była pani obecna podczas rodzinnego konklawe, kiedy powiedziałem wam, że między nami wszystko skończone.

- Czy wie pan, jak to się stało, że Elizabeth dowiedziała się o nas i o tym, że działamy wspólnie?

- Nie, nie wiem. I prawdę mówiąc, już mnie to nie obchodzi. Cieszę się, że tak się stało. Moje życie nie było szczególnie przyjemne, gdy się z nią spotykałem.

- Czy chodzenie z nią do łóżka także było nieprzyjemne?

- Ach, znowu pokazujemy pazurki, co? - Wzruszył ramionami. - Przez chwilę udało ci się mnie zaskoczyć, kiedy odgrywałaś słodką i pokorną kobietkę. Lecz widzę, że nadal jesteś małą, samolubną dziwką.

- Dość tego! - krzyknęła Catherine, zrywając się z krzesła. - Ty łajdaku, wyciągnąłeś od nas ponad trzy miliony dolarów!

- Taaa, jak się okazało, zbyt mało.

- I dlatego żenisz się z tą dziedziczką!

- Właśnie. Czy to już wszystko?

Catherine potrząsnęła głową. Nie poradziła sobie z nim. Nienawidził jej i całej jej rodziny. Chyba nie powinna winić go za to.

- Proszę - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Elizabeth.

- Nie mam nic do powiedzenia na temat Elizabeth.

- Tylko jedno pytanie. Proszę...

Nie odpowiedział, po prostu na nią spojrzał.

- Pamiętam, że kiedy pewnego razu byłeś w domu mojej babki, powiedziałeś, że wierzysz, iż Elizabeth jest niewinna. Wierzyłeś, że to nie ona zabiła mego ojca. Muszę wiedzieć, panie Chalmers - Rowe - czy wierzyłeś w to, co wtedy mówiłeś? Naprawdę byłeś przekonany, że to nie ona zabiła ojca?

Wpatrywał się w nią, a jego twarz nie zdradzała niczego. Spostrzegła, że strużka potu spłynęła w dół jego policzka.

- Muszę to wiedzieć!

- Zgadza się, tak właśnie wam powiedziałem - odparł Rowe spokojnie. - I wtedy wierzyłem w to niezachwianie.

- A teraz? - spytała Catherine, wstrzymując oddech.

- Teraz - powiedział z wolna - sam już nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Dlaczego?

Roześmiał się. Wskazując na drzwi sali gimnastycznej, powiedział:

- A to już nie pani interes, panno Carleton. Proszę stąd wyjść. Pani pięć minut właśnie się skończyło.

- Tak - powiedziała Catherine. - Wychodzę. Dziękuję.

Rowe stał nieruchomo, spoglądając w ślad za niespodziewanym gościem. Po chwili bezwiednie przesunął palcami po szyi.

*

- Doktorze Hunter, czeka panna Sarah Elliott. Nie chciała powiedzieć, dlaczego pragnie się z panem zobaczyć.

- Jest tutaj?

- Tak, doktorze.

Christian zmarszczył brwi, spoglądając na interkom.

- No dobrze, porozmawiam z nią. Proszę ją wprowadzić.

Ale tylko na chwilę, pomyślał. Nie chciał przyjmować nowych pacjentów. Ich problemy szczerze go nudziły. Drzwi otworzyły się i pani Hightower wprowadziła szczupłą młodą kobietę średniego wzrostu, w przyciemnionych okularach.

Wstał.

- Proszę usiąść - powiedział.

Catherine zajęła miejsce w wygodnym, obitym skórą foteliku, stojącym przed biurkiem lekarza. Spojrzała na niego, próbując się zorientować, czy ją rozpoznał. Nic na to nie wskazywało. Czarna peruka najwidoczniej zdała egzamin. Doktor Hunter wyglądał bardzo profesjonalnie, a jego twarz wyrażała zawodowe zainteresowanie i troskę.

- Co mogę dla pani zrobić, panno Elliott?

- Przez kilka miesięcy zażywałam kokainę i teraz mam problemy z odzwyczajeniem się.

- Ja nie zajmuję się tymi sprawami, proszę się zwrócić do specjalisty w tej dziedzinie - powiedział Christian lodowatym tonem.

- Oczywiście - przytaknęła szybko. - Ale przyszłam do pana po pomoc. Od jakiegoś czasu nie biorę już koki, lecz nadal odczuwam coś w rodzaju... chyba powinnam to nazwać psychicznym uzależnieniem. Czy może mi pan pomóc w tym zakresie?

Miała na sobie kosztowne ubranie, a jej akcent wskazywał na to, że pochodzi z bardzo bogatej rodziny. Była dość ładna, ale zbyt szczupła, bez wątplenia na skutek zażywania narkotyków.

Christian odznaczał się spostrzegawczością i rzadko mylił się w ocenie. Wiedział, że mówiła prawdę na temat kokainy. Bogate biedactwo. Znał ten typ. Zastanawiał się, jak jej się pozbyć.

- Proszę posłuchać, panno Elliott. Mam teraz więcej pacjentów, niż jestem w stanie przyjąć. Jednak mogę odesłać panią do jednego z moich kolegów, człowieka bardzo skrupulatnego i sumiennego. Sądzę...

Przerwał nagle, gdyż spostrzegł, że jej twarz jakby się skurczyła, a po policzkach natychmiast spłynęły łzy.

- Panno Elliott, ja... Proszę... - podał jej swoją chusteczkę.

Zdjęła okulary i okazało się, że rozpląnął jej się makijaż. Wyglądało to żałośnie i w pewnym sensie chwyciło za serce.

Nie, powiedział sobie stanowczo. Nie potrzeba ci tego rodzaju kłopotów. Odeślij ją do Matthews'a.

Catherine otarła oczy i spostrzegła na chusteczce czarne plamy po tuszu.

- Przepraszam - powiedziała. - Każę ją wyprać i odniosę panu.

- Zapewniam panią, że to żaden problem. Proszę zatrzymać chustkę.

- Są na niej pańskie inicjały.

- Tak. Nic nie szkodzi.

- Proszę mnie nie odsyłać, doktorze. Powiedziano mi, że jest pan najlepszym specjalistą w Nowym Jorku. Proszę, potrzebuję pomocy.

Catherine o mało się nie zakrzuszyła, wypowiadając tę prośbę. Błagać mężczyznę, który uratował Elizabeth!

Christian oparł się wygodnie na krześle, obracając w palcach ołówki. Patrzył, jak pacjentka wyciera nos. Robiła to jak dziecko. Musiała być młodsza, niż przypuszczał.

- Leci pani krew z nosa - powiedział. Przez chwilę wydawała się mocno zażenowana, a potem przytknęła chusteczkę do nosa.

- To minie za parę miesięcy.

Przynajmniej powinno, dodał w myśli. Nie wiedział, jak bardzo była uzależniona.

- Proszę posłuchać, panno Elliott. Naprawdę nie wiem, co mógłbym dla pani zrobić. Zna pani już objawy głodu, prawda? Czy nadal miewa pani kłopoty z zasypianiem?

Skinęła głową.

- Wie pani, że nie mogę przepisać niczego na sen. Sama musi sobie pani z tym poradzić. Musi pani po prostu wytrwać. Są jeszcze, oczywiście, kliniki odwykowe, w tym takie, gdzie leczenie przeprowadza się ambulatoryjnie.

- Wiem, chodzi tylko o to, że ja... - Tak?

- Mój przyjaciel został kilka tygodni temu zamo... aresztowany za handel narkotykami i po prostu nie wiem, co robić.

Opuściła głowę. O mało się nie wygadała. Doktor Christian Hunter z pewnością przeczytał gdzieś o śmierci Chada.

- To on zaopatrywał panią w kokę? Skinęła głową.

Christian westchnął.

- Przyznaję, że powinna pani z kimś porozmawiać. - Spojrzał na swój terminarz. - Czy mogłaby pani przyjść, powiedzmy, jutro o dziesiątej?

- Tak - odparła Catherine. - Oczywiście. Wstała równocześnie z nim. Podali sobie dłonie.

- Dziękuję, doktorze. Dziękuję.

Popatrzy! w ślad za nią, gdy opuszczała gabinet. Zmarszczył z namysłem brwi. Jej chód wydał mu się znajomy. Ale to niemożliwe, przecież widział ją dziś po raz pierwszy w życiu.

Nie przypuszczał, by potrzebowała zbyt intensywnej terapii, wystarczy, że będzie miała z kim porozmawiać. Jego rola sprowadzi się do roli spowiednika, tyle że nie zada jej żadnej pokuty. Po prostu słono policzy sobie za swoje usługi.

Usłyszał brzęczyk interkomu i podniósł słuchawkę. Serce zaczęło mu bić szybciej. Dzwoniła

Elizabeth.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że mogę się nieco spóźnić wieczorem.

- Znów praca po godzinach? Usłyszał, że westchnęła.

- Tak. Zazwyczaj mi to nie przeszkadza, ale nie wtedy, kiedy koliduje z czymś, co lubię równie mocno.

Lubię, nie kocham. No cóż, musi dać jej czas. To bolesne doświadczenie z Chalmersem, w dodatku tuż po procesie, sprawiło, że stała się wyjątkowo podatna na zranienie. A także czujna. Zmieniła się, i on to dostrzegał. Próbowwała co prawda nie odnosić się do niego w ten przerażająco chłodny, stanowczy sposób, w jaki odnosiła się do swoich współpracowników i podwładnych, jednak nie zawsze w pełni się jej to udawało.

- Czy mam po ciebie wpaść o dziewiątej?

- Tak byłoby doskonale. Dziękuję za wyrozumiałość, Christianie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Elizabeth. Odłożył słuchawkę. Powinien zadzwonić do Susan, poinformować ją, że będzie później.

Elizabeth poleciała do Filadelfii w piątek rano. Towarzyszyli jej Adrian i Coy. Na spotkanie prywatnego odrzutowca ACI wyjechała czarna limuzyna. Podczas półgodzinnej podróży do biura Jonathana Harleya nie odezwała się ani słowem. Zbyt była zajęta przypominaniem sobie, co wie o tym mężczyźnie.

Był rozwodnikiem, a jego rozwód wywołał sporo zamieszania. Rozstanie małżonków nie przebiegło bowiem w pokojowej atmosferze. Jonathan dorastał w biednej rodzinie, dzięki stypendium sportowemu ukończył Yale, a potem ożenił się z bardzo bogatą panną z najlepszego filadelfijskiego towarzystwa, córką Andrew Pillsona. Wkrótce sam dorobił się milionów. Był inteligentny, bezlitosny, sprytny. W połowie między trzydziestką a czterdziestką. Widziała jego zdjęcie. Wyglądał na twardego faceta. Być może z powodu ciemnej karnacji i tej barwy włosów, które były tak czarne, jak onyks w pierścionku Elizabeth.

Nie mogła się doczekać spotkania.

Midge spojrzała na wchodzącą do biura trójkę. Była zła i zdenerwowana, toteż natychmiast pobiegła spojrzeniem ku kobiecie, której towarzyszyli dwaj mężczyźni. Elizabeth Carleton. Kobieta, która ma tyle pieniędzy, że nie byłaby w stanie ich przepuścić i która zapragnęła zniszczyć Jonathana oraz wszystko, co stworzył.

Zmusiła się, aby zapytać grzecznie:

- Słucham?

- Jestem Elizabeth Carleton, przyszedłam zobaczyć się z panem Harleyem.

Midge zmusiła się, by wstać.

- Proszę chwilę poczekać - powiedziała, po czym spokojnie otworzyła drzwi gabinetu Jonathana i wśliznęła się do środka.

- Przyszła - powiedziała do szefa. - Przyprowadziła z sobą dwóch mężczyzn.

Jonathan wstał i bezwiednie poprawił krawat. Obdarzył Midge wymuszonym uśmiechem i powiedział:

- Proszę, tylko nie spluń na jej buty od Gucciego.

Musiał przyznać, że jest piękna, lecz poza tym dokładnie taka, jaką ją sobie wyobrażał. Wyniosła, wbita w surowy jasnoszary kostium i bladobłękitną bluzkę. Wydawała się bardzo opanowana. Trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno była wyłącznie pianistką. Jakoś nie potrafił jej sobie

wyobrazić przy fortepianie.

- Panie Harley - powiedziała, skinąwszy lekko głową, zanim uściśniła jego dłoń.
- Pani Carleton - odparł.
- To panowie Adrian Marsh i Coy Siverston. Mężczyźni pozdrowili się uprzejmie. Jonathan machnął dłonią w kierunku stołu konferencyjnego.
- Proszę, usiądźcie państwo. Midge, czy mogłabyś podać nam kawę?
- Pewnie.

Elizabeth podążyła spojrzeniem za sekretarką. Oczy Midge spoglądały bystro, była też bardzo ładna i najwyraźniej oddana swemu szefowi. W końcu spojrzała na Jonathana Harleya. Rozmawiał z Coyem o golfie, a ona czekała cierpliwie, aż panowie zakończą ten nieodzowny męski rytuał. Jednak nie zanosilo się, by miało to nastąpić prędko. Omawiali właśnie grę Steelersów w tym sezonie oraz ich szanse w przyszłym.

Midge wróciła, niosąc piękną srebrną tacę, na której znajdowały się delikatne chińskie filiżanki i srebrny dzbanek. Obsłużyła wszystkich szybko i sprawnie. Elizabeth spostrzegła, że kobieta spogląda od czasu do czasu na szefa ukradkiem. Ciekawe, czy są kochankami, pomyślała Elizabeth. Spojrzenie sekretarki wyrażało troskę i obawę.

Upiła łyk kawy, a potem odstawiła filiżankę na spodek nieco głośniejszym niż należało.

- Czy moglibyśmy zacząć, panowie? - zapytała chłodnym, opanowanym głosem.

Rozprawiając o futbolu, Jonathan ani na chwilę nie przestał obserwować Elizabeth. Uświadomił sobie, że rozbawiła ją ich rozmowa.

- Zacząć - co? - zapytał obojętnie.

Elizabeth wiedziała, że Jonathan Harley nie chce mieć nic wspólnego z ACI, lecz jego arogancja sprawiła, że stężała z gniewu.

- Zgodził pan się ze mną spotkać, panie Harley. Czy ma pan zwyczaj umawiać się na spotkania, nie znając ich celu?

- Powiedziałbym, droga pani, że nasze cele są diametralnie różne.

- Prawdę mówiąc - wtrącił szybko Coy, zdziwiony nieuzasadnionym atakiem ze strony Elizabeth - bardzo się cieszymy, że zechciał się pan z nami spotkać. Jesteśmy pod wrażeniem tego, jak zarządza pan Harley Electronics.

Jonathan przerwał mu spokojnie:

- Jak zarządzam, panie Siverstone? Zabrzmiało to tak, jakbym był prezesem mianowanym przez członków zarządu. Jestem właścicielem tej spółki i mój sposób zarządzania jest nienaganny, ponieważ spółka jest moja.

- Nie w całości, panie Harley - powiedziała Elizabeth.

- A, tak, wiem, że Rosę sprzedała wam część akcji. Ale nie dość, proszę pani, nie dość.

Adrian ruszył do ataku.

- Panie Harley, jak pan wie, ACI to bardzo dochodowa spółka...

- Czy nie chciał pan przypadkiem powiedzieć: konglomerat, zrzeszający niezliczone spółki? Tyle połączonych firm - wcielonych albo po prostu nabytych - że nawet nie wiecie, ile ich tak naprawdę macie?

- Zapewniam pana - powiedziała Elizabeth lodowatym tonem - że gwarantujemy wsparcie i kapitał każdej z naszych spółek. ACI to nie potwór połykający cały świat. Pod naszą egidą pańska spółka nie tylko się rozwinie, ale przyniesie dochód większy, niż prawdopodobnie potrafi pan sobie

wyobrazić.

- Nie ma mowy, proszę pani - powiedział, nim zdążył się powstrzymać.

- Musi pan także uświadamiać sobie - kontynuowała Elizabeth, ignorując go - że chcemy kupić pańską spółkę w całości.

- Nic z tego, proszę pani - powtórzył, tym razem dlatego, że chciał. Zobaczył, że Elizabeth zaciska wargi, i sprawiło mu to przyjemność.

- Oczywiście, jeśli nie chce pan sprzedać spółki w całości, z pewnością uda się nam wypracować zadowalające pana rozwiązanie. Jak już powiedział pan Marsh, jesteśmy pod wrażeniem pańskiego...

- Nic z tego, proszę pani - wpadł jej w słowo. Podobał mu się ten refren.

- Nie chce pan zapoznać się z naszą ofertą?

- Nie.

- Panie Harley - powiedział Coy. - Jeżeli nie chce pan sprzedać w całości, być może moglibyśmy przekonać pana, że... połączenie się z ACI leży w pańskim najlepiej pojętym interesie. Proszę pozwolić, że wymienię płynące z tego korzyści.

Coy wyjął z aktówki kołonotatnik i zaczął mówić, tłumacząc wszystko bardzo starannie. Wydawało się, że Jonathan Harley słucha go uważnie, lecz jego twarz wyglądała jak maska, a ciało pozostawało absolutnie nieruchome.

Elizabeth przyglądała się oczom mężczyzny, próbując odczytać z nich, o czym myślał. Niegrzeczny, chamski i twardy jak diabli, pomyślała. I nie lubi mnie osobiście. Zachowuje się tak prawdopodobnie dlatego, że nigdy dotąd nie musiał pertraktować z kobietą i sądzi, że nie dorastam mu do pięt.

Albo uważa mnie za morderczynię.

Lub jedno i drugie.

Potrząsnęła głową i spróbowała skupić się na tym, co mówił Coy.

Jej wzrok mimo woli powędrował znów ku Jonathanowi. Wydaje się wykuty z kamienia, pomyślała. I bardzo wysoki - nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo.

Pomyślała, że górowanie nad przeciwnikiem to z pewnością jedna z jego ulubionych strategii. Zetknęła się już wieloma dyrektorami wysokiego szczebla, którzy posługiwali się podobną taktyką. Tylko że oni traktowali ją jak delikatną laleczkę, a ich subtelnie wyrażana protekcyjność sprawiała, iż miała ochotę kopnąć ich w jaja.

Coy umilkł raptownie. Jonathan Harley nadal się nie odzywał. Adrian natychmiast wypełnił lukę w rozmowie, lecz Harley mu przerwał.

- Chyba napiłbym się jeszcze kawy. Całe to gadanie sprawiło, że chce mi się pić. Pani Carleton...?

Elizabeth wpatrywała się w niego i w filizankę w jego wyciągniętej dłoni. Srebrna taca znajdowała się dość daleko, a on oczekiwał, że Elizabeth go obsłuży! Przywołała na pomoc całe opanowanie, które wypracowała podczas minionych miesięcy.

- Adrianie - powiedziała grzecznie. - Coy, czy moglibyście zostawić nas na chwilę samych?

Adrian rzucił jej zatroskane spojrzenie, lecz Coy tylko skinął głową. Obaj mężczyźni opuścili gabinet.

Elizabeth zaczekała, aż za współpracownikami zamkną się drzwi. Dopiero wtedy powiedziała:

- Nie jestem na pana usługi, panie Harley.

- Jest pani kobietą, czyż nie?

Zdobył kolejny punkt, lecz nie był zadowolony ze sposobu, w jaki to się stało. Mimo to postanowił się go trzymać.

- Sugeruję, panie Harley, by wezwał pan swoją osobistą sekretarkę, jeśli ma pan ochotę napić się jeszcze kawy.

- Midge nie jest moją służącą. Ani nikim w tym rodzaju.

Choć ton jego głosu był lodowaty, to obojętny wyraz twarzy nie zmienił się ani na jotę.

- Nie, zapewne nie. Z pewnością ma dość rozumu, aby nie mieć ze swoim szefem więcej do czynienia, niż to absolutnie konieczne.

- Posłuchaj, paniusiu...

- Nazywam się Elizabeth Carleton - Tak, wiem. Elizabeth X.

Skrzywiła się, słysząc paskudny przydomek, jaki nadały jej media. Zauważył to, a ona zdała sobie z tego sprawę. Rozsiadł się znowu wygodnie na krześle, w pełni kontrolując sytuację. Miała ochotę wydrapać mu oczy.

- Czy zawsze odwołuje się pan do seksistowskich uprzedzeń, kiedy musi pan stawić czoło kobiecie, panie Harley?

- Nie pertraktuję z kobietami - powiedział lekceważąco.

- Rozumiem. Nie ma dla nich miejsca w świecie interesów?

- Pani to powiedziała, pani... Carleton. Jak rozumiem, przed nieoczekiwaną śmiercią męża nie umiałaby pani nawet zbilansować swojej książeczki czekowej.

Gdyby był na jej miejscu, zabiłby za tego rodzaju uwagę. Czekał, co zrobi ona.

- Mój mąż został zamordowany, panie Harley. I po co ten sarkazm? Uważam pańskie zachowanie za niewłaściwe.

- Gówno prawda. Gra pani teraz w wielkiej lidze. Pora się przyzwyczaić.

- Pan, panie Harley - powiedziała Elizabeth spokojnie - nie ma bladego pojęcia, czym jest wielka liga. Pańska spółka to nic więcej, jak tylko płotka, a zbiornik, w którym pan pływa, nie może się równać z oceanem, jakim jest ACI.

- To gówniane porównanie!

- A pan posługuje się gównianym językiem.

- Jestem pewien, że słyszała pani gorsze rzeczy podczas procesu.

Wzdrygnęła się gwałtownie. Dostrzegł w jej oczach bezmiar bólu. Po raz pierwszy zachowała się jak istota ludzka i to go poruszyło.

- Jak rozumiem, widuje się pani ostatnio często z doktorem Christianem Hunterem. Oczywiście od procesu minęło wystarczająco dużo czasu, aby nie przyciągnęło to powszechnej uwagi.

- Pan nie ma o niczym pojęcia, panie Harley. Nie podobało mu się drżenie w jej głosie, lecz był zdecydowany zadać ostateczny cios. Znalazł słaby punkt i zamierzał w pełni wykorzystać przewagę, jaką mu to dawało.

- Oczywiście - kontynuował z odcieniem ironii w głosie - nikomu nie udało się dowiedzieć, czym przekupiła pani majątnego doktora. Czy obiecała mu pani, że zostanie jego kochanką? Musi pani być świetna w łóżku, ponieważ sporo ryzykował, przychodząc pani z pomocą.

Elizabeth zamknęła na chwilę oczy. Dlaczego dziwi ją jego taktyka? To wielka liga, gdzie gra się ostro, tylko że po raz pierwszy to nie jest jej liga, rządzona według jej zasad. Do diabła z nim! To zero! Kompletne zero!

- Oczywiście, musiała pani trochę poczekać, prawda? - Wyprostował się. - Jak sobie przypominam, wskoczyła pani do łóżka Rowena Chalmersa niemal natychmiast. Po trzech latach małżeństwa ze starszym mężczyzną musiała pani być mocno wyglodzona, czyż nie? Nie mogła się pani już doczekać, że tak powiem, dotyku mężczyzny, co, pani Carleton?

Muszę go powstrzymać. Nie pozwolę, by mi to robił.

- Panie Harley. Jestem tutaj, by rozmawiać o interesach, nie żeby wysłuchiwać pańskich obelg. Wracając do tematu, jestem gotowa zapłacić za pańską spółkę dwa miliony dolarów.

- Nic z tego, paniusiu.

- Pańska odzywka staje się równie nudna, jak pańskie obelgi.

- Ma pani rację - powiedział, wykrzywiając usta w sarkastycznym uśmiechu. - Poza tym ta odzywka nie pasuje do pani, więc ją zmieniam. Spróbujmy jeszcze raz: nic z tego, dziwko.

Elizabeth wstała i pochyliła się nad stołem, zaciskając dłonie na blacie:

- Zniszczę cię, Harley. Przejmę spółkę i osobiście dopilnuję, byś wylądował mordą w rynsztoku. Nie drgnął, jedynie uśmiechnął się szerzej.

- Ach, więc mnie także planuje pani zabić?

Nie potrafiła się powstrzymać. Chwyliła filiżankę z kawą i chlusnęła ciemnym płynem w jego twarz. Kawa rozbryzgała się na jego nosie, policzkach, brodzie, szyi i gorsie.

Spokojnie wziął serwetkę i zaczął osuszać twarz i ubranie.

- To jeden z powodów, dla których nigdy nie pertraktuję z kobietami - powiedział, nawet na nią nie patrząc. - Są zbyt uczuciowe i nie potrafią nad sobą panować. Biedactwa.

- Pańskie opanowanie jest z pewnością z piekła rodem!

- Skoro miała już pani do czynienia z diabłem, to pewnie wie pani, o czym mówi - powiedział. - Może poszuka pani czegoś jeszcze, by we mnie tym rzucić? Doskonale, a zatem proszę pozwolić, że wyprowadzę panią z mojego gabinetu.

Dopiero teraz Elizabeth uświadomiła sobie, co zrobiła i jak dała się podejść.

- Nie, panie Harley, nie potrzebuje mnie pan odprowadzać - powiedziała spokojnie. - Znam drogę. Wie pan co? Kiedy każe przemeblować pański gabinet, zostawię te plamy z kawy na dywanie. Na pamiątkę tej wizyty.

Wzięła torebkę i podeszła do drzwi. Na progu odwróciła się jeszcze.

- Dopilnuję, by został pan bankrutem, panie Harley. Jak pan trafnie zauważył, to wielka liga. Dobrego dnia. Być może będzie to ostatni taki dzień w pańskim życiu.

- Nie sądzę, paniusiu.

Rozdział 14

Elizabeth, Adrian i Coy opuścili biuro w milczeniu. Kiedy znaleźli się w limuzynie, Adrian odchrząknął, szykując się, aby przemówić.

- Wracamy do domu - powiedziała stanowczo Elizabeth, uprzedzając go.

- Tak - powiedział Coy. - Przypuszczam, że powinniśmy.

W godzinę później Elizabeth przyglądała się, jak Filadelfia niknie w oddali.

- Elizabeth.

Odpięła pas i odwróciła się, by spojrzeć na Adriana.

- Czy zechciałabyś nam powiedzieć, co zaszło?

- Pan Harley gra ostro, to wszystko.

- Nie powinnaś była nas odsyłać - powiedział Adrian.

- Coś mi się wydaje, że panu Harleyowi nie sprawiłoby to różnicy. A teraz, panowie, jak możemy przejąć jego spółkę i zniszczyć go?

- Jak wiesz, jest właścicielem pięćdziesięciu jeden procent akcji - powiedział Adrian. - I ma zupełnie wolną rękę, jeśli chodzi o zarządzanie. Ilekolwiek akcji byśmy zdobyli, tego akurat nie da się zmienić. Możemy wymusić wprowadzenie do zarządu swojego człowieka, podenerwować trochę pana Harleya, ale to wszystko.

Elizabeth zamyśliła się głęboko. W końcu, kiedy w dole widać już było Nowy Jork, powiedziała:

- Przygotujcie mi bardzo dokładną analizę wszelkich posunięć finansowych pana Harleya. Jak mnie obaj nauczyliście, potrzebujemy czegoś, by wyrzucić nacisk. Znajdźcie to dla mnie.

- Elizabeth - powiedział Coy, pochylając się do przodu - może po prostu zapomnimy o nim i o jego przeklętej spółce? Są inne, może nie tak dochodowe, nie tak stabilne, ale kogo to obchodzi? Możemy ustanowić własny zarząd i rozwiązać wszelkie problemy. Harley to mała płotka. Nie liczy się.

Płotka.

- Nie. Chcę spółkę Harleya.

Coy i Adrian wymienili spojrzenia.

W gabinecie doktora Huntera nie było przysłowiowej leżanki, więc Catherine usiadła na krytym skórą foteliku naprzeciw biurka.

- Panno Elliott - przywitał ją mężczyzna. - Jak się pani dziś czuje?

Pochylił się lekko do przodu, poświęcając jej całą uwagę. Nie jest głupi, co to, to nie. Lecz przecież zamierzała powiedzieć mu prawdę.

- Okropnie - powiedziała.

- Nie spała pani dobrze w nocy? Skinęła głową.

- Proszę opowiedzieć mi o mężczyźnie, którego aresztowano, tym pani bliskim przyjacielu.

Mów prawdę, jak najwięcej prawdy.

- Jego nazwisko nie ma znaczenia. To drobny handlarz, jak sędzę. Prawdę mówiąc, wykorzystywał mnie. Opłacałam jego wydatki, a on zaopatrywał mnie w kokę. Towar pierwszej klasy.

Christian zauważył, że znów cieknie jej z nosa. Często nim pociągała.

- I jak się pani z tym czuje? To znaczy, że świadomością, że panią wykorzystywał?

Catherine umilkła, poddając się fali zakłopotania i poczucia krzywdy.

- Nie przeszkadzało mi to, przynajmniej z początku.

- Ma pani jego zdjęcie? - Tak.

Przez chwilę grzebała w torebce i wyjęła z niej fotografię Chada. Jego podobizna nigdy nie ukazała się w gazetach.

Chłoptaş, pomyślał Hunter, uważnie przyglądając się twarzy mężczyzny. Arogancki chłoptaş. Naciągacz, żerujący na kobietach.

- Czy pani rodzina o nim wiedziała, panno Elliott?

- Nie, chyba nie. Nie jestem pewna.

Czuł, że go okłamuje, jednak nie zdradził się z tym przekonaniem. Z czasem zdobędzie jej zaufanie. Tyle że nadal nie był pewien, czy mu na tym zależy. Podał jej fotografię, ale dziewczyna potrząsnęła głową. Uniósł pytająco brwi, a ona skinęła w kierunku kosza na śmieci. Christian, nie śpiesząc się, podarł fotografię i wrzucił do kosza.

- Dobry początek. A teraz porozmawiajmy o pani rodzinie, panno Elliott. Najpierw proszę opowiedzieć mi o ojcu.

- On nie żyje.

- Rozumiem. Jak dawno umarł?

- Bardzo dawno. *Kolejne kłamstwo.*

- A pani matka?

- Mieszka w Londynie, tak przynajmniej słyszałam.

- Nie jesteście sobie bliskie?

- Nie. Ojciec rozwiódł się z nią i zapłacił, by trzymała się od nas z daleka. Opuściła mnie.

- Pieniądze posiada tylko rodzina ojca? - Tak.

- Czy była pani uzależniona od kokainy, zanim poznała pani tego chłopaka?

- Nie.

- Dlaczego wybrała pani akurat jego? Jest pani ładną młodą kobietą, panno Elliott. Dlaczego związała się pani z kimś takim?

Dobre pytanie, pomyślała Catherine. Zbyt dobre. Chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nudziłam się - powiedziała szczerze - i chciałam, aby mój oj... chciałam zasmakować czegoś nowego.

Próbowała nie okazać niepokoju, wywołanego tym potknięciem. O mało się nie wygadała. Lecz doktor Hunter najwidoczniej nie zwrócił na to uwagi. Porzucił temat przyjaciela i zaczął wypytywać o jej dzieciństwo. Nietrudno było odpowiadać na te pytania. Catherine nie zdawała sobie sprawy, że mimo woli dostarcza doktorowi mnóstwa informacji delikatnej natury, które ten skrzętnie zapisywał.

Wydawało się, że nie podąża w żadnym szczególnym kierunku i pięćdziesiąt minut upłynęło szybko, zbyt szybko. Kiedy dziewczyna wstała i uściśniła mu dłoń, uświadomiła sobie, że znowu pragnie się z nim zobaczyć, i to jak najszybciej. Zdumiało ją to i przstraszyło. W końcu to on ocalił przed stryczkiem kobietę, która zamordowała jej ojca.

- Spotkamy się we wtorek, panno Elliott?

- Tak, tak, doskonale - odparła.

We wtorek, pomyślała. Wtedy to ona zacznie zadawać pytania, dowie się czegoś o nim. Przyłapie go na czymś. Wiedziała, że jest w stanie tego dokonać.

Christian popatrzył za nią, gdy wychodziła z gabinetu, i znów zmarszczył brwi. W jej chodzie, w całej postawie było coś zdecydowanie znajomego.

Interesujące pięćdziesiąt minut, pomyślał, zwłaszcza ta wspólna wędrówka przez labirynt kłamstw.

Przysunął notes i zaczął robić notatkę.

*

Laurette przyglądała się wnuczce. Catherine wydawała się mniej niespokojna, mniej zniechęcona i ponura. Jakby odnalazła cel, pomyślała Laurette. Czowała, że nie jest to dobry cel.

- Dlaczego widzisz się z doktorem Hunterem? - spytała bez zbędnych wstępów.

Catherine poczuła ucisk w żołądku.

- Skąd... skąd o tym wiesz?

- Martwiłam się o ciebie, moja droga, więc...

- Bałaś się, że mogę kupić kokainę? Boże, kazałaś mnie śledzić!

- Zgadza się - przyznała Laurette, bynajmniej nie poruszona wybuchem wnuczki. - Dla twego dobra. A teraz powiedz mi, dlaczego widzisz się z doktorem, a w dodatku zakładasz tę śmieszłą czarną perukę?

- Potrzebuję pomocy specjalisty, a on jest jednym z najlepszych w mieście.

- Nie umiesz kłamać, moja droga. Trzymaj się z dala od tego człowieka. On nie jest głupi. Nie zdradzi się przed tobą. Z pewnością zdajesz sobie z tego sprawę?

Catherine wstała i podeszła do kominka.

- Wyciągnę z niego prawdę, babciu. Być może on nie jest głupi, ale ja też nie.

- Oczywiście wiesz, że on teraz spotyka się z Elizabeth?

- Czytuję kroniki towarzyskie.

- To, oczywiście, jest powód. Kocha się w niej, dlatego skłamał w sądzie.

- A zatem jest głupi.

- A oto Jennifer z Bradem. Wejdźcie, napijemy się herbaty - zawołała nagle wesoła starsza pani.

Jennifer czuła się onieśmielona.

- Ślicznie wyglądasz, Jennifer. Czy towarzystwo mego wnuka nadal sprawia ci przyjemność?

- O, tak - zapewniła gorąco Jenny, zerknęła na Brada i zaczerwieniła się.

- Witaj, braciszku - powiedziała Catherine.

- Witaj, Catherine.

- Jak tam twój ojciec, Jenny?

Brad spojrział szybko na babkę, ale jej twarz wyrażała jedynie uprzejme zainteresowanie.

- Dobrze, zupełnie dobrze. Oczywiście jest bardzo zajęty.

- Senator Henkle to inteligentny człowiek... bardzo inteligentny - powiedziała Laurette.

Jeśli nawet Jenny zauważyła, jak dziwaczna była to uwaga, nie zdradziła się z tym. Zbyt zależało jej na tym, by zadowolić starszą damę. Wsunęła rękę w dłoń Brada i odetchnęła z ulgą, kiedy ucisnął jej palce.

- Idziemy z Jenny do Nelsonów - powiedział Brad, nie troszcząc się szczególnie, by ukryć

znudzony ton. - Kolejne przyjęcie.

- Jeżeli wolałbyś tam nie iść... - prawie szepnęła Jenny.

Catherine miała ochotę prychnąć z pogardą. Jennifer Henkle była słabeuszem bez charakteru!

Brad zupełnie ją zdominował.

- Nie, nie, musimy iść, Jenny.

- Jak sobie życzysz, Brad.

Boże, zaraz zwymiotuję, pomyślała Catherine. Brad i Jenny szybko wyszli i znowu została sam na sam z babką.

- Ta dziewczyna to dobry nabytek dla rodziny - stwierdziła Laurette z zadowoleniem.

- Nudziara bez charakteru!

Laurette pomyślała o zdjęciach Jenny i Brada w łóżku, a potem potrząsnęła głową, odpędzając od siebie obraz tych dwojga, uprawiających seks.

- Bradowi potrzeba właśnie kogoś takiego. A teraz, moja droga, wracając do ciebie: chcę, żebyś przestała widywać się z Christianem Hunterem.

- A czy, jeśli to zrobię, odwołasz detektywa?

- Nie. Nie ma mowy.

Catherine przyglądała się babce przez dłuższą chwilę, a potem potrząsnęła głową.

- Mam nadzieję, że nie płacisz temu szpiclowi zbyt wiele. Bo będę nadal widywała się z Christianem Hunterem.

- Jesteś głupia, Catherine. Jak sądzisz, co się stanie, kiedy on w końcu odkryje, kim naprawdę jesteś? Bo odkryje, moja droga, nie mam co do tego wątpliwości.

Catherine wzruszyła ramionami.

- A co może mi zrobić? Najwyżej wyrzuci mnie z gabinetu.

- Być może powinnam sama do niego zadzwonić. Powiedzieć mu prawdę na temat jego pacjentki.

Przypuszczam, że to by położyło kres całej sprawie.

Twarz Catherine stężała z gniewu. Lecz nim zdążyła się odezwać, Laurette dodała:

- Jesteś taka uparta, moja droga. Przypuszczam, że masz to po mnie.

- Proszę, Elizabeth, oto twój instrument nacisku. Dopiero co weszła do gabinetu Adriana i, słysząc jego słowa, zatrzymała się raptownie.

- Tak szybko, Adrianie?

- Nie było to wcale trudne, więc nie mogę przypisywać sobie zbytnej zasługi. Harley pożyczył nie tak dawno dziesięć milionów dolarów. To trzymiesięczna pożyczka z trzydziestodniowym terminem spłaty. Istnieją powody, aby przypuszczać, że Harley może uzyskać tyle odroczeń, ile tylko zechce lub będzie potrzebował.

- To wspaniale!

- Posługuje się tymi pieniędzmi, by skupować akcje swojej firmy - ma ich już prawie sześćdziesiąt procent.

- Wykup tę pożyczkę, Adrianie.

- Z tym może być problem. Bankier to jego przyjaciel.

- Zauważyłam, że pieniądze zrywają czasami więzi przyjaźni. Ile musielibyśmy zaoferować, by przejąć pożyczkę?

- Nie wiem. Muszę to przedyskutować z Benem Hallimerem. On wie wszystko o bankach.

- Więc zrób to, Adrianie - powiedziała, uśmiechając się do niego promiennie.

To Christian Hunter doradził jej, jak powinna postąpić. Kiedy siedzieli wieczorem w małym barze w pobliżu Lincoln Center, zadała mu hipotetyczne pytanie.

Lecz Christian nie był głupi.

Wreszcie zaczyna mi naprawdę ufać, pomyślał. To wspaniały znak, zważywszy, co zrobił jej Chalmers.

- ...widzisz, Elizabeth, wszystko, co musisz zrobić, to przeciągnąć na swoją stronę prezesa zarządu banku w Filadelfii. Bo wspomniałaś o Filadelfii, prawda? Prawdopodobnie bank jest częścią większej grupy, może nawet ACI, jeśli jest na to wystarczająco duży. Musisz liczyć się z tym, że napotka potężny sprzeciw. Będzie musiał namówić pozostałych członków zarządu, aby zgodzili się sprzedać pożyczkę, oczywiście, z zyskiem. Nie słyszy się o czymś takim zbyt często, lecz, oczywiście, praktykuje się po cichu. Celem banków nie jest przychodzenie ludziom z pomocą, Elizabeth. Banki są po to, by zarabiać pieniądze.

Elizabeth była tak podekscytowana, że nie mogła spać. Pamiętała każde okrutne zdanie wypowiedziane przez Harleya.

- Wiem, Elizabeth - powiedział następnego dnia Christian przez telefon - że pytanie, które mi zadałaś, było czysto hipotetyczne. Lecz jeśli ten bank w Filadelfii to przypadkiem First People's Bank, to prezesem zarządu jest tam Rory Cox, stary zrzęda, którego syn ożenił się z moją bliską kuzynką. Tak się też składa - dodał jak gdyby nigdy nic - że jestem członkiem zarządu tego banku.

Nie mogła w to uwierzyć.

- Dziękuję, Christianie. Ja...

- Chciałabyś, bym zrobił coś jeszcze, Elizabeth? Zastanawiała się gorączkowo. Wspomnienie Rowena przypominało o konieczności zachowania ostrożności. Lecz Christian był inny. Jeżeli tym razem ktoś kogoś wykorzystywał, to raczej ona jego. Nie, to śmieszne. Gdyby jednak okazało się, że Christian jest taki jak Rowe...

- Muszę się zastanowić, Christianie.

- W porządku. Po prostu daj mi znać. Tymczasem sprawdzę, czego mogę dowiedzieć się o tym banku.

- Dziękuję. Naprawdę to doceniam. Jesteś wspaniałym przyjacielem.

Przyjacielem.

Skrzywił się nieco, słysząc to określenie. Nie chciał, aby myślała o nim jak o przyjacielem. Czas, pomyślał po raz kolejny, to wymaga czasu. Uświadomił sobie jednak, że choć jest człowiekiem cierpliwym - zawsze był - coraz trudniej mu czekać.

*

We wtorek rano Jonathan Harley stanął przed swoim starym kumplem w jego sterylnie czystym gabinecie w First People's Bank.

- Co się szykuje, Del? Po co ten pośpiech? Delbert odwrócił wzrok.

- Chodzi o pożyczkę, Jonathanie.

- Co z nią? Mam jeszcze miesiąc czy coś koło tego. Być może będę potrzebował przedłużenia spłaty o dalsze sześć miesięcy.

Delbert Frazier czuł się okropnie. Nie wiedział, komu Jonathan założył za skórę, ale musiał to być ktoś naprawdę ważny. Nic się nie dało zrobić. Nie bardzo wiedząc, jak mógłby złagodzić cios, powiedział:

- Bank sprzedał twoją pożyczkę. Jonathan zmarł.

- Nie mówisz poważnie - wykrztusił w końcu, wpatrując się w marmurowy przycisk na biurku Dela.

- Niestety, to prawda. Warunki są, oczywiście, te same, lecz co do renegocjacji... - Wzruszył ramionami. - Nie liczyłbym na to zbyt, stary - dodał.

- Kto? - spytał Jonathan, lecz wiedział. Boże, wiedział. Nie minął nawet tydzień. Wielka liga! Nagle przed oczyma stanęły mu plamy po kawie na jego dywanie. Chętnie zamordowałby tę dziwkę.

- To dosyć dziwne - odparł Del, marszcząc lekko brwi. - Było wiele nacisków, lecz w końcu to Elizabeth Carleton osobiście wykupiła pożyczkę. Ostrzegłbym cię, Jonathanie, ale nie wiedziałem o niczym, dopóki dziś rano stary Cox nie wezwał mnie do siebie.

- Wierzę ci - powiedział Jonathan.

- Jeśli tylko mógłbym coś dla ciebie zrobić...

- Wiesz, są inne banki. Być może mógłbyś wziąć drugą pożyczkę i spłacić tę Carleton, kiedy przyjdzie pora.

- Tak, to możliwe.

A wtedy ona dowie się o wszystkim i wykupi także ten dług. Będzie musiał coś wymyślić, i to szybko! Wstał z krzesła.

- Jadę do Nowego Jorku - powiedział.

Wrócił do domu i przebrał się w strój do biegania. Biegał tak długo, aż wreszcie poczuł się kompletnie wyczerpany. O pierwszej wrócił do swego biura.

- Co mam zrobić, proszę pana?

Przerażenie w głosie Midge sprawiło, że się uśmiechnął.

- Zadzwoń do Elizabeth Carleton i umów mnie z nią tak szybko, jak to możliwe.

*

Millicent Stacy wsunęła głowę do gabinetu Elizabeth.

- Krótkie pytanie, Elizabeth. Czy zechciałabyś jutro przyjąć Jonathana Harleya z Filadelfii?

Elizabeth nie zdawała sobie sprawy, jak niecierpliwie czeka, aby Jonathan się z nią skontaktował. No cóż, widocznie już się dowiedział.

- Nie, pani Stacy. Nie jutro. Zobaczę się z nim w piątek. Tutaj. Powiedzmy... o dziesiątej.

Niech się sukinyś trochę podenerwuje, pomyślała, łamiąc ołówek na dwie równe części. Już ona go zmusi, aby się zastanowił nad wszystkim.

- Nie wcześniej niż w piątek, szefie - powiedziała Midge.

Jonathan milczał przez dłuższą chwilę.

- Ja pewnie zachowałbym się tak samo na jej miejscu - powiedział w końcu. - Niech będzie piątek. Proszę, zarezerwuj bilet na samolot, Midge.

- Opowiedz mi o swoich nowych pacjentach - poprosiła Elizabeth, podkulając pod siebie nogi i spoglądając na Christiana. - Są okropni?

- Mam nową pacjentkę, młodą kobietę, uzależnioną od narkotyków - lecz nie jest ani trochę interesująca. To kłamczucha, co jednak pozwala mi zachować czujność. Dlatego właśnie zgodziłem się przyjąć ją jeszcze raz.

- Czemu kłamie? To przecież strata pieniędzy. Po co kłamać swemu psychoanalitykowi?

- Celne pytanie. Myślę, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Większość pacjentów mówi w końcu prawdę. A teraz, moja droga, opowiedz mi o tym interesie z bankiem filadelfijskim.

Elizabeth milczała przez chwilę. Wyraz jej twarzy nieco się zmienił, źrenice zwęziły się, a usta

zaczęły w wąską linię. Nie spodobało się to Christianowi, ale nie wiedział, co mógłby na to poradzić.

- Wszystko idzie, jak należy - powiedziała w końcu i uśmiechnęła się.

- Zastanawiam się, kiedy, w takim razie, pozwolisz sobie na zasłużone wakacje?

- Prawdę mówiąc, mam teraz tyle... no, może nie frajdy, ale tak wiele się uczę, no i ta władza, Christianie, ta władza!

Podekscytowana, dotknęła bezwiednie jego ramienia.

- Wypromowałam właśnie następną kobietę. To prawdziwy skarb, a znalazłam ją, wyobraź sobie, w zakładach obuwniczych! Na Środkowym Zachodzie, a dokładniej w Cleveland. Jeśli się tam sprawdzi, ściągnę ją do Nowego Jorku.

- A co sądzą o tym prywatnym ruchu wyzwolenia kobiet twoi mężczyźni?

- Teraz już tylko wzdychają, ale nie kłócą się ze mną i nie próbują mi się sprzeciwić. Co innego miejscowe zarządy... możesz sobie wyobrazić, jak nienawidzą tego ci wszyscy starzy wyjadacze.

- A ty to uwielbiasz. Wkurzać ich. Spojrzała na niego i powiedziała ostro:

- Zachowujesz się jak psychoanalityk.

- Przepraszam.

Jego wzrok powędrował mimo woli ku piersiom Elizabeth, opiętych materiałem sukni. Pragnął jej bardzo, aż do bólu.

- Rowe Chalmers żeni się za niecałe dwa tygodnie - zauważyła.

- Tak, czytałem o tym - powiedział, jak gdyby nigdy nic. - Znosi się na wielką fetę.

Elizabeth zastanawiała się, co też o ślubie Rowe'a sądzą Carletonowie. Ciekawe, czy nadal mają na niego haka. To byłoby w ich stylu, wyskoczyć z czymś w ostatniej chwili. Zasłużył na wszystko, co go spotkało, pomyślała. Kusiło ją, by wysłać jego bogatej narzeczonej list, lecz, oczywiście, nie zrobiła tego.

*

Catherine Carleton nie zamierzała wyskakiwać z czymkolwiek w ostatniej chwili. Mimo to w piątek rano znalazła się na pokładzie samolotu do Bostonu.

Musiała zobaczyć się z Rowe'em Chalmersem.

Rozdział 15

Jonathan był wyczerpany, zarówno fizycznie, jak i umysłowo. Najpierw pracował jak szalony, a potem rozmyślał, próbując znaleźć wyjście z sytuacji. Teraz, zmęczony, po prostu gapił się przez okno taksówki, kluczącej pośród mrowia innych samochodów stłoczonych na Park Avenue. Dzień był wilgotny i piekielnie zimny.

Musi załatwić to jak należy. Nie ma już czasu na błędy. Wreszcie przyznał sam przed sobą, iż popełnił kolosalny błąd, traktując w ten sposób Elizabeth Carleton. To prawda, odkrył jej słaby punkt i wykorzystał go, ale tym samym naraził się na zemstę. Teraz będzie musiał znaleźć inne podejście, bardziej łagodne, i jakoś wszystko naprawić.

Zapłacił taksówkarzowi i wysiadł z auta nieopodal imponującego budynku Abercrombie-Carleton. Wszedł do środka i minął westybul, kierując się ku windzie, prowadzącej bezpośrednio na najwyższe piętro.

Po chwili podziwiał rozległy hol recepcyjny, umeblowany antykami i meblami ze szkła i metalu. Wyglądało to gustownie i bogato, tak bogato, że przez chwilę poczuł się przytłoczony.

Uśmiechnięta młoda kobieta w recepcji spytała go o nazwisko, sprawdziła je na liście, a potem skierowała Jonathana w dół korytarza, urządzonego równie elegancko jak reszta pomieszczeń. Na jego końcu znajdowało się olbrzymie biuro. Tam inna kobieta, która, jak głosiła drewniana plakietka na biurku, nazywała się Millicent Stacey, wstała, by go powitać.

- Pan Harley? - spytała uprzejmie półgłosem.

A zatem Elizabeth nie powiedziała jej o nim, o tej męskiej szowinistycznej świni z Filadelfii.

- Tak, przyszedłem zobaczyć się z panią Carleton. Oczywiście, Millicent doskonale wiedziała, kogo ma przed sobą. Rozpoznała też pełen oszołomienia wyraz jego twarzy - widywała go niemal za każdym razem, kiedy ktoś z lokalnego biura ACI składał wizytę w głównej siedzibie firmy. Onieśmienie w czystej postaci. W tym miejscu czuło się władzę, niewiarygodną władzę.

- Proszę poczekać, panie Harley. Powiem pani Carleton, że pan już jest.

Usiadł na czymś, co według niego było antycznym francuskim krzesłem. Wziął do rąk roczny raport ACI, których cały stos leżał na stoliku obok, ale zaraz odłożył go z powrotem.

Tym razem nie wolno mi niczego spieprzyć.

Millicent wróciła i obdarzając go ciepłym uśmiechem, powiedziała:

- Proszę wejść, panie Harley. Zaraz przyniosę kawę i ciasteczka. Odpowiada to panu?

Skinął głową, zastanawiając się gorączkowo. Wyprostował ramiona i wkroczył do gabinetu Elizabeth Carleton, trzy razy większego, niż całe jego biuro w Filadelfii. Pomieszczenie wyglądało jak sala tronowa.

Ruszył po miękkim dywanie w stronę biurka.

- Witam, panie Harley.

Napotkał jej spojrzenie i skinął głową. W prostym niebieskim kostiumie wyglądała jeszcze

bardziej surowo, bardziej oficjalnie niż wtedy w Filadelfii. Piękne jasne włosy ściągnęła w ciasny kok.

- Witam, pani Carleton - odpowiedział. Wskazała mu olbrzymi skórzany fotel i usiadła naprzeciw niego, po drugiej stronie stołu.

- Czy miał pan przyjemny lot, panie Harley?

- Dosyć przyjemny, pani Carleton.

- Niestety, mamy dziś typowo zimową pogodę.

- W Filadelfii jest podobnie.

- A oto i nasza kawa.

- Czarną, proszę - powiedział Jonathan do Millicent. Potrząsnął odmownie głową, rezygnując z ciasteczek.

Kawa była doskonała. Czyżby ACI posiadała także plantację na Jamajce?

- Przyjechał pan, gdyż wykupiłam pańską pożyczkę, prawda, panie Harley?

Dobrze, pomyślał, niechaj napawa się sukcesem, niech sądzi, że wygrywa. Że już wygrała.

- Tak, oczywiście.

- Zostało panu chyba siedem tygodni. A potem, oczywiście, będzie pan musiał zacząć płacić. Nie przewiduję żadnej prolongaty.

- Nie spodziewałem się niczego innego.

- A zatem po co pan przyjechał?

Nie odpowiedział od razu. Elizabeth uświadomiła sobie, że sytuacja nie sprawia jej aż takiej przyjemności, jak się spodziewała. Jonathan Harley wydawał się zmęczony. Na jego skroniach widać było siwe włosy, których nie zauważyła poprzednio. A jednak prezentował się bardzo elegancko, ubrany w trzyczęściowy ciemnoszary garnitur z Savile Row. Jego krawat miał delikatny, staroświecki wzór, który przyjemnie kontrastował z nieskazitelną bielą koszuli. Czekala cierpliwie, aż zacznie ją błagać.

- Przyjechałem, żeby powiedzieć, że sprzedam pani swoją firmę, oczywiście jeżeli nie będę w stanie spłacić w terminie pożyczki.

- Ach tak.

Poddawał się, i to całkowicie. Żadnego płaszczenia się przed nią.

- Zgadzam się, że to rozsądny sposób postępowanie w pańskiej sytuacji, panie Harley. Jednakże chciałabym, by transakcja miała miejsce natychmiast.

Mc z *tego, paniusiu*.

- Nie zgadzam się z panią, pani Carleton. Nie jestem jeszcze gotowy, by rzucić ręcznik na ring. Przypuszczam, że pani potrafi to zrozumieć?

- Tak, potrafię. Jednak stan pańskich finansów jasno wskazuje, że nie zdoła pan zebrać pieniędzy, aby spłacić pożyczkę. Plany ekspansji pochłaniają każdy cent, a rynek zbytu nie rozwija się zgodnie z pańskimi oczekiwaniami.

- To się zmieni.

- Poza tym wkrótce może pan mieć kłopoty ze związkami.

- Wszystko to prawda. Jest pani bardzo dobrze poinformowana, *madame*.

Rozejrzał się wokół. Gdyby mógł sprzedać umeblowanie tego przekłętą biura, prawdopodobnie pieniędzy wystarczyłoby na spłatę jego długów.

- Oczywiście.

Pragnęła zachować kontrolę nad sytuacją, wykazać się opanowaniem, udowodnić, że jest profesjonalistką... i może trochę utrzcć mu nosa. Był wobec niej taki okrutny, niewiarygodnie wręcz podły i grubiański.

- A zatem - odezwał się, patrząc jej prosto w oczy - na czym stoimy?

- Nie wydaje mi się, by pan w ogóle stał, panie Harley - powiedziała, pozwalając sobie na drobną złośliwość.

Poczuł, że ma za ciasny kołnierzyk. Prawdę mówiąc, niemal się dusił. No cóż, zasłużyłem na to, pomyślał. Przyglądał się, jak Elizabeth bierze do rąk złote pióro i zaczyna z wdziękiem się nim bawić. Patrzył na jej usta, kiedy mówiła:

- Prawdę mówiąc, panie Harley, odczuwam pokusę, aby obniżyć nieco naszą ofertę - uczynioną, jak pan zapewne pamięta, w dobrej wierze.

- Nie byłem wobec pani zbyt uprzejmy. Popełniłem błąd.

Dziwne, lecz nie zabrzmiało to wcale jak przeprosiny. Jego słowa brzmiały tak, jakby zostały przećwiczone.

- Tak, to nie było rozsądne. Czy mogę zapytać o powód pańskiego zachowania, panie Harley? Dlaczego zaatakował mnie pan osobiście i potraktował z takim lekceważeniem?

- Nie chcę sprzedawać mojej spółki, ani pani, ani nikomu. Jest moja, zawsze była. W tej sprawie byłbym grubiański wobec samego Boga.

- Rozumiem.

- Być może.

- Nie zabiłam mojego męża, panie Harley. Ledwie te słowa wymknęły się jej z ust, umilkła, w najwyższym stopniu zaskoczona. Nie miała zamiaru niczego takiego powiedzieć, a już na pewno nie temu człowiekowi.

- Sędziowie zgodzili się z panią - powiedział, wzruszając ramionami.

Domyślił się, że te słowa wyrwały jej się mimo woli. Ciekawe, dlaczego tak się stało, pomyślał. Znowu, na krótko, stała się istotą ludzką, prawdziwą, zbyt prawdziwą, i poczuł się nieswojo.

- Sędziowie uwierzyli doktorowi Hunterowi. On nie jest moim kochankiem.

Znowu go zadziwiła. Po co ona mu to mówi? Nie miał pojęcia, jak zareagować, mógł tylko przeprosić, co też niechętnie uczynił.

- Być może nie. Nie powinienem był atakować pani w ten sposób.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Prawdę mówiąc, na ogół nie jestem takim męskim szowinistą, jakim musiałem się pani wydać. Mówiłem już, że w podobnej sytuacji byłbym równie okrutny wobec samego Boga.

Przestań, Elizabeth! Na miłość boską, skończ z nim! Kiedy się znów odezwała, była już opanowana, a jej głos brzmiał chłodno.

- No cóż, panie Harley, wracajmy do interesów. A więc odmawia pan zgody na bezzwłoczną sprzedaż?

- Tak, odmawiam.

- Moja oferta będzie z każdym tygodniem niższa. Wzruszył ramionami.

- To pani decyzja, *madame*.

- I jeszcze jedna sprawa, panie Harley. Wiem już co nieco na temat spółek, których właściciele nie chcą zostać wykupieni. Zwykle próbują wtedy znaleźć białego księcia, tak to się chyba nazywa. Innego kupca, który...

- Znam terminologię, pani Carleton.

- Oczywiście. Oto moja propozycja: jeżeli podpisze pan zobowiązanie, że w przypadku, jeśli nie zdoła pan spłacić pożyczki, sprzeda pan spółkę mnie - nikomu innemu - pozostaną przy pierwotnej ofercie.

- A jeśli odmówię?

- Zapewniam pana, że będę wiedziała o każdym kroku, jaki pan poczyni. Jeżeli spróbuje pan znaleźć inną spółkę, aby, na przykład, się z nią połączyć, zniszczę pana.

- Jest pani bardzo szczerą - powiedział spokojnie, panując nad głosem.

Tak łatwo mógłby ją pokonać, przynajmniej fizycznie. Ta myśl nieco nim wstrząsnęła. Fizyczna dominacja zwykle była mu wstrętna, lecz ta kobieta sprawiała, że miał ochotę udusić ją gołymi rękoma. Ciekawe, dlaczego nie nosi biżuterii, pomyślał. W jej szufladach jest tego zapewne wystarczająco dużo, aby wykupić narodową rezerwę złota, znajdującą się w Fortcie Knox.

- Mówię poważnie, panie Harley.

- Pani Carleton - powiedział spokojnie, patrząc jej wprost w oczy - zapewniam panią, że nie zamierzam nikomu sprzedać mojej firmy.

- Nikomu innemu, panie Harley.

- Jak pani sobie życzy. Ponownie wzruszył ramionami.

- Nie będzie pan miał wyboru.

Elizabeth uświadomiła sobie, że zaciska dłonie w pięści i że on to widzi. Szybko wyprostowała palce i ułożyła je płasko na stole.

- Więc nie podpisze pan zobowiązania?

- Może dałaby mi pani kopię dokumentu, bym mógł go przejrzeć?

- Nie będzie pan w stanie spłacić pożyczki, panie Harley - powtórzyła Elizabeth cicho. - Niechże pan będzie rozsądny.

Jonathan podniósł się z miejsca i przez dłuższą chwilę stał, wpatrując się w nią w milczeniu.

- Czy nie zjadłaby pani ze mną lunchu? Mogłaby pani świętować zwycięstwo. Byłoby to może trochę przedwcześnie, ale nie mam nic przeciwko temu.

Odwzajemniła spojrzenie, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, w których malowało się zakłopotanie.

- Musiałaby pani wybrać lokal, ponieważ jestem tu obcy.

- Chyba pan oszalał, jeśli sądzi, że zdoła mnie namówić na zmianę zdania!

- Nie sądzę, aby zmieniła pani zdanie, choćby od tego zależało pani życie.

- A więc po co te uprzejmości?

- Za godzinę będę głodny. Nie chcę jeszcze wracać do domu, poza tym mam lot dopiero o trzeciej. Proszę się zastanowić, pani Carleton: poświęcam swój wolny czas, by mogła pani nacieszyć się zwycięstwem do woli, i to w moim towarzystwie.

- Myślę, że pan oszalał - powtórzyła Elizabeth. Mimo to wstała i podeszła do telefonu.

- Millicent, zarezerwuj, proszę, stolik na dwie osoby w „Cantinie”.

- Meksykańskie jedzenie?

- Uwielbiam je. Być może uda mi się namówić pana do zmiany zdania, jeżeli wleję w pana kilka drinków Cadillac margarita.

- Co to takiego?

- Margarita z odrobiną koniaku Grand Marnier. Zabójcza mieszanka.

Elizabeth potrząsnęła głową, zdumiona swoim zachowaniem. Rozmawiamy jak przyjaciele, pomyślała. Natychmiast wyprostowała ramiona i powróciła do dawnej, pełnej rezerwy postawy.

- Moja asystentka, panna Stacy, poinformuje pana, jak trafić do restauracji. Spotkamy się tam, powiedzmy, o...

- Gdyby nie miała pani nic przeciwko temu, chętnie zwiedziłbym pani kwaterę główną, pani Carleton.

Znowu to zakłopotanie. Zmarszczyła lekko brwi.

- Doskonale. Więc może wróciłby pan tutaj w południe. Wydam polecenie, by zaraz pana oprowadzono.

- Dziękuję.

I to by było na tyle, pomyślał Jonathan. Uścisnął dłoń kobiety i wyniósł się. Przeżył trudne chwile, próbując zachować uśmiech na twarzy w rozmowie z Millicent, która wydawała się w najwyższym stopniu zakłopotana. A zatem naprawdę przyłapał tę Carleton w chwili, kiedy nie miała się na baczności. Punkt dla niego. No, powiedzmy, punkcik.

Zdążając posłusznie za oprowadzającym go młodym człowiekiem, nie słuchał, co się do niego mówi, lecz rozmyślał nad tym, jaką taktykę obrać podczas lunchu. Czy powinien traktować Elizabeth Carleton jak kobietę? Mówić jej komplementy?

„Cantina” była utrzymana w stylu *Art Deco*. Elizabeth uwielbiała ten lokal. Czuła się tu bezpieczna.

Jose natychmiast ruszył ku nim.

- Miło mi panią widzieć, pani Carleton.

- Oto przybysz spoza naszego miasta, Jose. Przygotuj mi margaritę Cadillac, tylko postaraj się, by była bardzo... *macho*.

- Już się robi, pani Carleton. Tędy, proszę. Czeka pani ulubiony stolik.

Elizabeth zamówiła wodę, a Jonathan poczuł się zobowiązany, by zamówić margaritę. Test na męskość. Chciało mu się śmiać z tego, jak łatwo złapała go we własne sidła.

- Wznoszę toast, pani Carleton - powiedział, gdy przyniesiono im drinki. Zobaczył, że się waha, dodał więc szybko: - Za pani zwycięstwo. Za zniszczenie i usunięcie z powierzchni ziemi wstrętnego faceta z Filadelfii.

- Przypuszczam, że ta chwila jest już bliska - powiedziała, lekko stukając się z nim szklaneczką.

Już pierwszy łyk margarity przekonał go, że jeden taki drink powinien wystarczyć mu na cały dzień. Gdyby tylko zechciała udać się do toalety, mógłby wylać trunek do znajdującej się za nim donicy. Rosę zawsze przepraszała po wejściu do restauracji i wychodziła na chwilę, by, jak mawiała, poprawić makijaż.

Ale Elizabeth Carleton nie zamierzała wstać i wyjść, powiedział więc obojętnym tonem:

- Muszę przyznać, że działa pani naprawdę szybko.

- Owszem. Bardzo mnie pan rozgniewał, panie Harley. Dopiero wczoraj zdecydowałam, że jednak pana nie zrujnuję.

- A zatem jestem szczęściarzem, czyż nie?

- Powinien pan się za takiego uważać.

- Naprawdę chciała mnie pani doprowadzić do ruiny? Mnie?

- Zniszczyć pana. Jednak uświadomiłam sobie, że doskonale zarządza pan swoją spółką. Pracował pan bardzo ciężko, aby uczynić z niej wiodące przedsiębiorstwo w sektorze wysoko

rozwiniętej technologii. Należy docenić takie poświęcenie - i osiągnięcia. Zdecydowałam więc, że zniszczę pana tylko wówczas, jeżeli nie będę miała innego wyjścia.

- Muszę sprawić, by miała pani mnóstwo innych możliwości.

- Przede wszystkim musi pan kontrolować to, co mówi. Nie będę tolerowała dalszych obelg, czy to ze strony pana, czy kogokolwiek innego. Widzi pan, już nie muszę znosić czegoś takiego.

- Chyba zdołam zapanować nad językiem, tak jak panuję nad innymi częściami ciała - powiedział, pociągając maleńki łyk margarity.

Seksualne przekomarzanie się? - pomyślała. No cóż, jeśli tak, to sama jest temu winna, skoro zgodziła się zjeść z nim lunch. To prawdopodobnie było bardzo głupie posunięcie. No i nie mylił się co do jednego - miała ochotę napawać się zwycięstwem przynajmniej przez chwilę. No, może trochę dłużej.

- Zastanawiam się, co mogłoby pana skłonić, żeby znów zaczął obrzucać mnie pan wyzwiskami?

- Czy taka jest pani taktyka?

- Adwokacka sztuczka, panie Harley? Odpowiadać pytaniem na pytanie?

- Uzyskałem magisterium z prawa na Harvardzie.

- Pan nie uzyskał magisterium z prawa, panie Harley. Ani na Harvardzie, ani nigdzie indziej.

Uśmiechnął się do niej.

- Przypuszczam, że wie pani nawet, gdzie mam pieprzyk?

Elizabeth nie podobała się ta rozmowa.

- Wiem wszystko o pańskim małżeństwie. I o rozwodzie.

- Ach, teraz to pani uderza poniżej pasa.

- Paskudna sprawa. Mogłabym się założyć, że gdyby pański teść, a właściwie były teść, miał cokolwiek wspólnego z First People Bank, zostałby pan wyrzucony na zbitą twarz, nim zdążyłby pan przedstawić im swoją prośbę.

- Myli się pani. Mój teść i ja pozostaliśmy przyjaciółmi.

Kłamie, pomyślała. Zgodnie z tym, co jej doniesiono, Pillson, gdyby tylko mógł, obdarłby zięcia ze skóry.

Spostrzegł, że mu nie uwierzyła, więc dodał:

- On zna swoją córkę. Wie, kiedy interweniować, a kiedy nie.

- A zatem to była wyłącznie jej wina? Mogłam się spodziewać...

- Próbuje mnie pani sprowokować?

- To tylko swego rodzaju test, panie Harley. Widzi pan, wyciągam wnioski z każdej potyczki z biznesmenami.

- Jest pani młoda.

- Nie tak bardzo.

- Zaryzykowałbym twierdzenie, że w spółkach zaliczanych do Pięćsetki Najbogatszych niewiele jest kobiet na stanowisku równym pani.

- Chyba że je odziedziczyły.

- Tak - powiedział. - Chyba że otrzymały je za nic.

- To nie było za nic, panie Harley.

- Trzy lata to niezbyt wysoka cena za to, co pani dostała - wypalił, nim zdążył się zastanowić.

- Byłam ciekawa, jak długo zdoła pan powściągnąć swój... sarkazm.

- Ach, oto i nasz kelner. Co pani poleca, pani Carleton?

Ku swemu własnemu zdziwieniu Jonathan, który nie przepadał dotąd za meksykańskim jedzeniem, uznał *burrito* za doskonałe.

- Powiniennem był zamówić ich tuzin, są bardzo *macho* - powiedział, uśmiechając się.

Z trudem powstrzymała śmiech i omal nie zakrztusiła się przy tym wodą.

Rozgrzebując widelcem sałatkę, zastanawiała się, dlaczego zgodziła się z nim wyjść. Z pewnością nie udało jej się pokazać mu, gdzie jest jego miejsce. Był zbyt śliski, prawdziwy mistrz w swoim fachu.

- Dlaczego uważa pani, że musi mieć akurat moją spółkę, pani Carleton? - zapytał po chwili.

- Z początku wybór padł na inną firmę. Ale wyłoniły się pewne problemy... Tak, przypuszczam, że można określić to jako problemy, spowodowane moją naiwnością. Potem usłyszałam o panu, a raczej współpracownicy zwrócili moją uwagę na pańską firmę. Podoba mi się nie tylko jej usytuowanie, lecz także solidność oraz rozmach pańskich przedsięwzięć.

- Gdybym... nie obraził pani, ale po prostu odmówił, co by pani zrobiła... o ile mogę zapytać?

- Wykupiłabym pożyczkę.

- A gdybym nie pożyczył pieniędzy?

Wzruszyła ramionami. - Przypuszczam, że znalazłby się inny sposób. Władza, panie Harley, jak pan prawdopodobnie wie z pierwszej ręki, może manifestować się na wiele sposobów.

- Więc nikt o zdrowych zmysłach nie wchodzi pani w drogę?

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że jest pan szalony, panie Harley? Że zachował się pan jak idiota?

- Touche - powiedział. - Czy mogę zapytać, dlaczego nie zdecydowała się pani powrócić do czynnego uprawiania muzyki? A może planuje to pani w przyszłości?

Spostrzegł, że znieruchomiała z widelcem zawieszonym nad talerzem. Następny czuły punkt, pomyślał.

- Jeszcze niczego nie postanowiłam. Znów pan zaczyna, panie Harley. Nie jest pan głupi, muszę to panu przyznać. Wie pan bardzo dobrze, dlaczego nie mogę wrócić do koncertowania, i jeszcze długo nie będę mogła.

Nagle oślepił ich błysk światła, a potem usłyszeli trzask migawki.

Jonathan odwrócił się na krześle i zobaczył uśmiechającego się mężczyznę z aparatem fotograficznym.

- Co, do cholery! - zawołał, wstając.

- Nie - powiedziała Elizabeth, wyciągając rękę, by go powstrzymać. - Nie ma potrzeby załatwiać tego osobiście.

Opadł z powrotem na krzesło.

- Jose! - zawołała Elizabeth półgłosem. Pojawił się przy nich natychmiast. Pochylił się ku Elizabeth i przez chwilę uważnie jej słuchał, a potem błyskawicznie się oddalił.

- O co tu chodzi?

- Ten człowiek wyjdzie stąd z aparatem, ale, niestety, przydarzy mu się pewien wypadek z tą rolką filmu. Gwarantuję.

Jonathan wpatrywał się w nią bez słowa.

- Widzi pan - wyjaśniła Elizabeth - Jose i ja zawarliśmy umowę. On obiecał mi ochronę, zupełną ochronę, przed wścibskimi oczami, a ja... no cóż, oczywiście, rewanżuję mu się.

- Czy osiłki Josego połamią mu też nogi? A może to są pani osiłki?

- Proszę nie udawać głupiego, panie Harley. Niszczy pan moją opinię na swój temat.

- Jest pani twarda jak diabli, co?

- Ostrożnie, panie Harley, bo powie pan za dużo. Dużo za dużo.

- Tak, rzeczywiście - przyznał.

- Proszę sobie po prostu wyobrazić, że gra pan w pokera. Pański problem polega głównie na tym, że nikt nie da panu kart. No, może jakieś dwójki.

Zapłacisz mi za to. O, tak, posunęłaś się za daleko, o wiele za daleko.

- Więc nawet trzy kiery mogą mnie pobić?

- Zgadza się. No widzi pan, wiedziałam, że jest pan bystry.

- Widać, że cieszy panią wygrana.

- Uczę się.

- Nigdy nie słyszałem, jak gra pani na fortepianie.

- Nie lubi pan muzyki klasycznej?

- Owszem, lubię, lecz nigdy nie kupiłem pani płyty. Pani zmarły mąż kupił dla pani spółkę fonograficzną, prawda?

- Nie, nieprawda. Rzeczywiście, posiadał taką spółkę, ale zajmowano się tam głównie muzyką country. Spółka zarejestrowana jest chyba w Nashville. Nie miałam jeszcze okazji ich odwiedzić i porozmawiać z zarządem. To nie jest duża firma, a, oczywiście, należy przestrzegać priorytetów.

- Mogę sobie wyobrazić, że przygotowanie się do spotkań i same spotkania z radami wszystkich spółek ACI zabrałyby pani pewnie z rok.

- Tak, co najmniej rok - zgodziła się z uśmiechem, spowodowanym mieszaniną podziwu i goryczy w jego głosie.

- Nie przypuszczam, bym mógł dosięgnąć panią poprzez ustawę antytrustową?

- Nie, nie ma nawet cienia szansy. Lecz jestem pewna, że zbadał pan już wszelkie możliwości, prawda, panie Harley?

- Czy pani nie postąpiłaby tak samo? Skinęła głową.

- Oczywiście. Musi pan zrozumieć, że mam ludzi, których głównym zadaniem jest ustalanie strategii. Posiadają ogromne doświadczenie w dziedzinie planowania. Nie istnieje nic - powtarzam, nic - co mógłby pan wymyślić, a na co by oni wcześniej nie wpadli.

Przez chwilę wydawało się, że zaprzeczy, lecz potem wzruszył ramionami i uśmiechnął się, udając znudzonego.

Lunch nie przebiegał tak, jak się spodziewał, choć, prawdę powiedziawszy, nie miał określonego planu. Po prostu założył, że skoro Elizabeth Carleton jest kobietą, będzie miał szansę w jakiś sposób skłonić ją do zmiany zdania. Tymczasem jak na kogoś, kto do niedawna był muzykiem, Elizabeth stała się prawdziwym zwierzęciem biznesu.

Ciekawe, czy zamordowała Timothy'ego Carletona.

- Myliłam się co do jednej rzeczy - powiedziała niespodziewanie.

- Niemożliwe!

- Po co ten sarkazm? Pańska sekretarka, Midge, tak chyba się nazywa?

- Zgadza się - odparł, nieco zbity z tropu.

- Jest o wiele za inteligentna, by z panem sypiać. Rozglądam się za bystryimi kobietami. Jak pan uważa, czy byłaby zainteresowana objęciem bardziej prestiżowego stanowiska? Oczywiście, kiedy już zakończymy nasze sprawy.

- Jest lojalna wobec mnie. Proszę ją jednak zapytać. Niech sama powie.

- To właśnie wywarło na mnie wrażenie już na początku. Jej lojalność. To co, panie Harley, idziemy? Przypuszczam, że musi pan złapać samolot?

- Czy nie trzeba zapłacić?

- Proszę uznać, że barakuda nakarmiła płótkę... Przynajmniej tym razem.

Rozdział 16

W godzinę później Elizabeth siedziała sama w swoim gabinecie, przeżywając raz jeszcze w myślach spotkanie z Jonathanem. Mówiąc słowami Adriana, istotnie śliski był z niego sukinsyn. W jednej chwili wydawało jej się, że przeprosza ją za tę scenę w Filadelfii, a w następnej miała ochotę wałnąć go pięścią w twarz. Był nieobliczalny i wiedziała, że musi mieć się na baczności. Wspaniały przeciwnik. Przypomniła sobie jego ostatnie słowa, kiedy pomagał jej wsiąść do taksówki.

- Dlaczego nie pozwoliła pani, by ten fotograf zachował film? W końcu nie sfotografował niczego okropnego.

Uśmiechnęła się do niego kpiąco.

- Chyba nie chciałby pan, aby uznano pana za mego... za mego...

- ...mego kogo, pani Carleton? Kochanka? A może ofiarę?

Po czym uniósł dłoń w parodii salutu i odsunął się od taksówki.

Bardzo śliski.

Ale miała go w garści - o tak, dopadła go.

Nie pójdzie do Carletonów, by wyciągnęli go z kłopotów. Nie on. Zastanawiała się, czy podpisać zobowiązanie i odeśle jej dokument. Lepiej dla niego, żeby tak zrobił, pomyślała.

- Jestem pewien, że to zrobi - powiedział Adrian w kilka minut później. - Mam nadzieję, że nie pozwoliłaś mu się obrażać?

- Nie. On nie jest aż tak głupi.

- Mimo to nadal nie wierzę, że poszłaś z nim na lunch!

- Powiedzieć ci coś? Ja także.

- Osiągnęliście coś w rodzaju zawieszenia broni?

- W najbardziej ogólnym sensie tego słowa, nawet nie zbliżonym do ugody. Jakkolwiek by patrzeć, w końcu będzie zmuszony się poddać. Nie ma wyboru. Jeżeli spróbuje zaciągnąć kolejną pożyczkę, nawet w banku pozastanowym, dowiemy się o tym i podejmiemy odpowiednie kroki.

- Czy to oznacza, że będziemy go śledzić?

- Właśnie. Od chwili, gdy tylko zejdzie z pokładu samolotu w Filadelfii. I wiesz co? Jakoś nie czuję się z tego powodu winna.

Adrian wyszedł, zadzwonił do kogoś, po czym wrócił.

- Jesteś gotowa na spotkanie zarządu?

- Już trzecia?

W biurze Millicent Stacy Elizabeth zauważyła, że Adrian zbiera koperty z wygórowanym wynagrodzeniem, jakie każdy z członków zarządu otrzymywał co miesiąc, po zebraniu.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek z nich spróbowałby ją powstrzymać, gdyby naprawdę działała na szkodę ACI. Zapewne nie. Zatwierdziliby każdą jej decyzję. Oczywiście, zważywszy na wcześniejsze przecieki, nie mówiono im wszystkiego. Uświadomiła sobie, że myśli o Laurette

Carleton i o nienawiści tak wielkiej, że stara dama zdecydowana była zburzyć wszystko, co stworzył jej syn, byle tylko zemścić się na Elizabeth.

- Obralaś sobie za cel nie tę osobę, Laurette - powiedziała spokojnie.

Spojrzała na leżącą na biurku Millicent gazetę i zauważyła zdjęcie w kronice towarzyskiej. Przedstawiało Rowe'a i jego narzeczoną, Amandę Montgomery.

Nie czuła już bólu ani nawet gniewu. Uświadomiła też sobie, że nie życzy mu źle. Pomimo sieci kłamstw, jaką ją omotał, wiele się dzięki niemu nauczyła.

- Wszystkiego najlepszego, Rowe - szepnęła, a potem wymaszerowała z biura Millicent z Adrianem.

Ciekawe, czy Rowe jest zadowolony z tego małżeństwa, pomyślała.

Rowe Chalmers uświadomił sobie, że lubi pracować.

- I bardzo dobrze - powiedział do siebie i do pustego gabinetu - ponieważ inne dziedziny mojego życia nie przedstawiają się zbyt satysfakcjonująco.

Być może dzieci mogłyby zmienić ten stan rzeczy, lecz nie był tego pewny. Amandzie do tej pory udawało się omijać temat potomstwa.

- Szczęściarz z ciebie - mówił dalej - twoja przyszła żona jest świetna w łóżku, a do tego nadziana. Nie nabawię się więcej siwych włosów, próbując ratować swój tonący okręt.

Zapukano do drzwi, a za chwilę ukazała się w nich jego sekretarka, Doris Cummings. Doris była młoda, ładna i bystra. A także dyskretna. Oraz miła.

- O co chodzi, Doris?

- Jakaś dama pragnie się z panem zobaczyć, panie Chalmers.

Rowe jęknął w duchu. Amanda uwielbiała składać niezapowiedziane wizyty. Czyżby sądziła, że urwał się z biura, by pograć w polo? Albo uprawiać seks z jedną z jej przyjaciółek?

- To panna Catherine Carleton.

- Cześć, Rowe - odezwała się Catherine zza pleców Doris.

Wstał powoli.

- Panno Carleton...

Skinął głową i Doris wyszła z gabinetu, zamknąwszy za sobą drzwi.

Pośpiesznie przeszedł przez pokój i stanął tuż przed Catherine.

- Czego znowu chcesz?

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziała, bynajmniej nie zmieszana. - Przyszłam, ponieważ... no cóż, obawiałam się, że jeśli najpierw zadzwonię, nie będziesz chciał się ze mną zobaczyć.

- I miałaś cholerną rację!

- Chciałabym z tobą porozmawiać.

- To samo powiedziałaś ostatnim razem. Jak sobie przypominam, była to czysta strata czasu. Dla nas obojga.

- Widuję się z doktorem Hunterem. Rowe spojrzał na nią zdziwiony.

- Widujesz się z nim? To znaczy, że z nim sypiasz?

- Prawdopodobnie zasłużyłam sobie na to, że tak mnie traktujesz. Nie, jestem jego pacjentką.

Pacjentką! Co ona znów wymyśliła?

- A co to ma wspólnego ze mną?

- Powiedziałaś, że nie jesteś już pewny, czy Elizabeth nie zabiła mego ojca. Jeżeli twoje

wątpliwości są słuszne - a wiem, że tak jest - chcę wiedzieć, dlaczego Christian Hunter skłamał, by ją ratować. A kiedy dowiem się tego, wtedy go z łatwością przyszpilę.

Uświadomił sobie, że proszący ton jej głosu go porusza.

- Proszę posłuchać, panno Carleton - Catherine - nie mam nic więcej do powiedzenia. Już ci to, zdaje się, mówiłem.

- Nikt inny nie mógł zabić ojca, nie rozumiesz tego? Jedyne Elizabeth.

Rowe odwrócił się od niej i podszedł do wysokiego okna za swoim biurkiem. Wyrzwał na plac Copley.

- Dlaczego sobie nie pójdziesz?

- Nie mogę. Dopóki mi nie powiesz... tego, co chcę wiedzieć.

- Jesteś jeszcze bardzo młoda, Catherine, daj sobie spokój z tą sprawą. Przeprowadź się do Kalifornii. Im dalej się znajdziesz od swojej rodzinie, tym lepiej dla ciebie.

Odwrócił się i znowu zaskoczył go błagalny wyraz na twarzy dziewczyny.

- Leci ci krew z nosa - powiedział szorstko, wskazując stojące na biurku pudełko ligninowych chusteczek.

Catherine przytknęła jedną z nich do nosa. Milczała. Rowe obserwował ją. Nauczył się postrzegać pannę Carleton jako zepsutego dzieciaka o niewyparzonej buzi i teraz trudno mu było dostrzec w niej coś jeszcze. Kobiece słabości drażniły go, a doświadczenie z Elizabeth, to, jak ją wykorzystywał, sprawiło, że nadal czuł się nieswojo.

Wyjął chusteczkę z rąk Catherine i otarł jej nos.

- Dzień dobry, kochanie. A to co znowu?

Rowe podniósł wzrok i zobaczył Amandę. Stała w otwartych drzwiach, a za nią Doris z ponurą miną.

- Witaj, Amando - powiedział. Skończył wycierać nos Catherine i wrzucił chusteczkę do kosza na śmieci.

Catherine odwróciła się powoli, pociągając nosem i spojrzała na Amandę.

- Co sprowadza cię tutaj tak wcześnie? - zapytał Rowe.

- Nie jest wcale tak wcześnie. Przyszłam, by zabrać cię na zakupy, a potem na lunch. Któż to taki?

- Catherine Carleton - odparł.

- Pasierbica Elizabeth X?

- Owszem.

- To bardzo interesujące.

Catherine spoglądała to na jedno, to na drugie, i nagle poczuła, że jest jej żal Rowe'a. A potem uświadomiła sobie coś jeszcze i aż jęknęła. Nie, pomyślała, to niemożliwe, bym była taka jak ona. O Boże, nie. Lecz natychmiast rozpoznała ten arogancki ton, ten pełen wyższości gest, z jakim Amanda uniosła na jej widok głowę, to natychmiastowe szacowanie lodowatym spojrzeniem kogoś, kto, być może, ośmielił się wyciągnąć rękę po jej własność.

- Pójdziemy, Rowe? - spytała Amanda, odsuwając się, aby przepuścić Catherine.

- Nie, jestem zbyt zajęty. Powinnaś była najpierw zadzwonić.

- Tak, właśnie widzę.

- Panna Carleton wychodzi.

Catherine skinęła głową Amandzie i opuściła gabinet.

Nim drzwi zdążyły się za nią zamknąć, usłyszała głos Amandy:

- Doprawdy, Rowe, czy musisz pieprzyć małolaty we własnym biurze? Ta sekretarka ci nie wystarcza? A może chciałeś sprawdzić, czy pasierbica okaże się równie dobra, jak macocha?

Catherine wzdrygnęła się. Nie dosłyszała, co odpowiedział Rowe. Chyba powinna się cieszyć, że Rowe poślubi kobietę, która uczyni jego życie piekłem. Już prawie jej się to udało.

- Czy pan Chalmers będzie w biurze po południu? - spytała.

Doris, której twarz płonęła z gniewu, niespodziewanie uśmiechnęła się do Catherine.

- Jeżeli teraz z nią wyjdzie, zapewne będzie siedział potem do późna.

- A sądzi pani, że wyjdzie?

- Pewnie tak.

Taa, pomyślała Catherine, zapewne - potrzebuje jej pieniędzy.

- Więc jeszcze tu wrócę. Ale proszę nie wspominać mu o tym. To będzie niespodzianka.

- Zgoda - odparła Doris, spoglądając w ślad za młodą kobietą.

W dziesięć minut później Rowe wyszedł z Amandą i wrócił dopiero o drugiej. Doris zerknęła na niego z sympatią, lecz nawet tego nie zauważył.

Midge wstrzymała oddech i spojrzała na Jonathana, który właśnie wszedł do biura.

- Jak było? - spytała.

- W porządku, Midge - odparł, wręczając jej złożoną kopertę. - Wyślij to, proszę. Jako specjalną przesyłkę.

- Co to takiego?

- Podpisane przeze mnie zobowiązanie, że sprzedam Elizabeth Carleton firmę, jeżeli nie zdołam spłacić pożyczki w wyznaczonym terminie.

- Nie zrobi pan tego! Uśmiechnął się do niej.

- Wierz mi, to nic nie znaczy. Po prostu odwracam uwagę lwów, by chrześcijanie mogli się wymknąć tylnym wyjściem. No, dalej, przeczytaj dokument. Wiem, że umierasz z chęci, aby to zrobić. Aha, Midge. Wlokę za sobą ogon, no wiesz, jak w filmie. Nasza żelazna dama kazała mnie śledzić. I wiesz, co ci powiem? Mam z tego wiele frajdy.

Zatarł dłonie i zniknął w swoim gabinecie. Wyłonił się z niego po dziesięciu minutach.

- Nadal masz to zobowiązanie?

- Tak, czekam na posłańca.

- Odwołaj go. Doszedłem do wniosku, że wstrzymam się kilka dni. A potem polecę do Nowego Jorku i sam jej to wręcę. Zarezerwowałaś mi bilet na samolot do Zurychu?

To rzeczywiście frajda, pomyślał Jonathan uśmiechając się do swego odbicia w lusterku, kiedy dyskretnie zdążający za nim chevrolet, oddalony o trzy samochody, minął podjazd jego domu i podążył dalej drogą.

Binky Yaughan nudził się, choć jednocześnie przywykł już do nudy. Harley przebywał w domu od trzech godzin. Detektyw wyprostował się na siedzeniu, kiedy na podjazd domu Harleya skręcił czarny sedan. Wsiadł z niego mężczyzna, który następnie wszedł do domu.

W godzinę później odjechał.

Jonathan Harley nie pokazał się więcej. Zmieniający Binky'ego detektyw pojawił się dokładnie o jedenastej wieczorem.

- Nic ciekawego - powiedział Binky do Gusa. - Kurde, facet jest rozwiedziony. Można by pomyśleć, że wyjdzie gdzieś z jakąś babką, czy coś w tym rodzaju, no nie?

Binky wrócił na stanowisko o siódmej rano następnego dnia. Po piętnastu minutach z domu

wyłonił się Jonathan Harley, wszedł do samochodu i udał się do swego biura.

*

Jonathan zamrugał, budząc się raptownie, kiedy z głośnika rozległ się głos stewardessy.

- Prosimy o zapięcie pasów. Lądujemy w Zurychu za piętnaście minut.

Catherine minęła cicho o tej porze biuro i otworzyła drzwi gabinetu Rowe'a. Nie usłyszał jej i przez chwilę stała w progu, spoglądając na pogrążonego w pracy mężczyznę, który ze skupioną miną przerzucał pokaźny plik papierów, leżący przed nim na biurku. Westchnął, przewrócił stronę i na powrót pogrążył się w czytaniu.

- Rowe - powiedziała cicho. Nie był zdziwiony jej widokiem.

- Witaj - powiedział, spoglądając na nią przez chwilę. - Czego znów chcesz?

- Tego samego. Znowu.

Rzucił pióro na stos dokumentów i wyprostował się na krześle.

- A ja powtarzam po raz kolejny - daj temu spokój, Catherine.

Spostrzegł, że jej twarz przybiera wyraz uporu i dodał:

- Nie mogę uwierzyć, by szanowny wuj czy babka aprobowali twoje poczynania.

- Nie obchodzi mnie to. Ani trochę.

Minęła go, podeszła do okna i zapatrzyła się na morze światła poniżej.

- Piękny widok - powiedziała. - Uwielbiam świąteczne dekoracje, te wszystkie lampki i światła.

- Tak, widok jest rzeczywiście piękny. Co mam zrobić, żeby się ciebie pozbyć?

Odwróciła się powoli.

- Rozumiem, dlaczego nienawidzisz mojej rodziny. I mnie.

- Jakaś ty domyślna.

- No cóż, gdybyś nie był takim słabeuszem i głupcem, nie musiałbyś robić tego, za co ci zapłacono.

- Co prawda, to prawda. Powinienem był wykopać stąd mego ojca lata temu.

- A teraz musisz ożenić się z tą okropną kobietą, aby spłacić długi.

- To także prawda.

- Masz z nią jakąś umowę?

- Nie twój cholerny interes.

Wstał i Catherine dostrzegła jego gniew, a także malujące się na twarzy Rowe'a zmęczenie.

- Ciężko pracujesz.

- Tyle jest do zrobienia, tyle rzeczy trzeba naprawić.

- Nie musisz się z nią żenić.

Dlaczego to powiedziałam, pomyślała, wpatrując się w Rowe'a szeroko otwartymi oczami.

- To najlepsza partia w mieście. Założę się, że Amanda ma nie mniej pieniędzy niż ty, panienko.

- Kochałeś Elizabeth?

Rowe zapalił, zaciągnął się i zgasił papierosa.

- Przecież ty nie palisz.

- Widocznie zostawiła je tutaj Amanda.

- Rowe...

- Wyjdź, proszę, Catherine. Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Może postawiłabym ci drinka?

- Nie boisz się, że się na ciebie rzucę?

- Byłabym bardzo zdziwiona, gdybyś to zrobił. To chyba raczej ty boisz się, że ja rzucę się na ciebie.

- To byłoby dopiero coś, no nie? Posłuchaj, nie chcę z tobą wychodzić, jakikolwiek by był powód.

Potrząsnęła głową, bezwiednie unosząc dłoń, by otrzeć nią nos.

- Znów leci ci krew. Jesteś chora?

- Nie, już nie.

- To z powodu kokainy? Mam nadzieję, że z tym skończyłaś.

- Owszem, skończyłam.

- To dobrze. Jesteś za młoda, żeby rujnować sobie życie.

- Zabrzmiało to tak, jakby zależało ci na mnie.

- Do widzenia, Catherine - powiedział, wskazując drzwi.

- Zobaczymy się za kilka dni, Rowe.

- Równie dobrze możesz od razu dać sobie z tym spokój. Mówię poważnie. Cholera, nie mogę nic ci powiedzieć... No dobrze, w czwartek wieczorem, u Barneya.

- Dziękuję, Rowe.

Przesunął dłonią po włosach, patrząc, jak Catherine opuszcza jego gabinet. Dlaczego zgodził się z nią spotkać?

Millicent Stacy przez chwilę, z zamyślonym wyrazem twarzy, spoglądała na telefon. Wreszcie wstała i weszła do gabinetu Elizabeth.

- Tak? Zdarzyło się coś interesującego, Milly?

- Być może. Dzwoniła sekretarka pana Harleya. On chce zobaczyć się z panią jutro rano, by osobiście wręczyć pani zobowiązanie.

- To doprawdy ciekawe. *Tylko dlaczego osobiście.*

Z pewnością od ostatniego spotkania nie zrobił nic, by zmienić sytuację swojej firmy. Ludzie, którym polecono go śledzić, donosili, że rozkład dnia Jonathana nie uległ zmianie. Nie wydarzyło się nic odbiegającego od codziennej rutyny.

Nic w ogóle.

Będzie mnie błagał?

Jej oczy zabłyśły.

- Chętnie zobaczę się z panem Harleyem. Chyba nawet zaproszę go na lunch.

- Dlaczego tak się uśmiechasz, Elizabeth? - zapytał Adrian, wchodząc do gabinetu. - Wyglądasz jak kot, który złapał kanarka.

- Jonathan Harley chce się ze mną jutro zobaczyć. I wręczyć mi zobowiązanie.

- Podpisane, jak sądzę?

- Mam nadzieję, że zrobi to przy mnie. Moim piórem.

- Chcesz, by ktoś z nas był przy tym obecny?

- Nie, po co psuć sobie zabawę? A teraz powiedz, z czym przychodzisz.

- Przyniosłem wykresy organizacyjne, z nazwiskami i zakresem obowiązków, dla sześciu spółek z Północnego Wschodu.

- Ile jest tam kobiet na kierowniczych stanowiskach? Adrian potrząsnął głową.

- Zaledwie dwanaście. I tylko jedna na średnim szczeblu.

- Masz ich teczki personalne?

- Oto one - powiedział, rzucając na biurko dwanaście teczek.

Przez chwilę wspominał, jak zareagowała jego żona na ten prywatny ruch wyzwolenia kobiet, zainicjowany przez Elizabeth. Była przerażona. Zadanie każdej kobiety, tłumaczyła z twarzą zaczerwienioną z gniewu, sprowadza się do wspierania męża. Co do niego, to uświadomił sobie, że im bardziej Elaine gardłuje, tym on bardziej popiera działania swojej szefowej. To dziwne, pomyślał teraz, spoglądając na tych dwanaście leżących na biurku teczek, że nigdy przedtem nie zastanawiał się, jaką pozycję mają kobiety w spółkach. Nie był nawet pewny, czy jest za awansowaniem ich na równi z mężczyznami, czy przeciwko temu.

- Kiedy już przez to przebrnę - powiedziała Elizabeth, wskazując teczki - zorganizujemy spotkania z zarządem wybranych spółek. Tu, w Nowym Jorku. A potem się zobaczy.

- Domyślam się, że kobiety też będą obecne?

- Tak, większość z nich. Chciałabym zobaczyć, jak pracują, jak radzą sobie ze swoimi szefami i jak traktują je mężczyźni.

- Czy nie rozważa pani przypadkiem zbudowania centrum kastracyjnego w Albany?

- Bez sarkazmu, proszę. A swoją drogą to jest pomysł - rozważę go.

Wieczorem, po kolacji, Elizabeth, która przestudiowała starannie zawartość wszystkich dwunastu teczek, powiedziała do Christiana:

- Siedem z tych kobiet zasługuje na znacznie więcej, niż dostają.

W końcu zaczęła rozmawiać z nim o swojej pracy. Sprawilo mu to niewypowiedzianą radość. Najwidoczniej udało mu się pozyskać jej zaufanie.

- Czy po zebraniu spotkasz się na osobności z każdą?

- Taki mam zamiar.

Przez chwilę bawiła się kieliszkiem.

- Wiem, że to dziwne. Nigdy nie uczestniczyłam w żadnym ruchu wyzwolenia kobiet czy czymś takim. Zawsze byłam po prostu... osobna. Tylko ja i mój wierny fortepian.

- A teraz używasz władzy, by zrobić coś dobrego.

- Cieszę się, że to rozumiesz..

Uśmiechnęła się do niego promiennie, co tak go podnieciło, że miał ochotę rzucić ją na podłogę restauracji.

- Przekonałaś nawet mnie. Kiedy byłem na zebraniu zarządu Korporacji Westward - wiesz, akcesoria i takie tam - poruszyłem temat awansu kobiet. Pozostali „dobrzy, starzy kumple” popatrzeli na mnie, jakbym nagle postradał rozum.

- I co się wydarzyło?

- Umówiłem się na lunch z dyrektorem generalnym. A ponieważ z łatwością mógłbym kupić go i sprzedać, pewnie okaże się podatny na moje sugestie w tej sprawie.

- Myślę, że jest pan wspaniały, doktorze.

Naprawdę tak myślała. Zwłaszcza wieczorem, kiedy próbowała zasnąć, nie raz przychodziło jej do głowy, że Christian wprowadza w jej życie element równowagi. I nagle powiedziała:

- Wróćmy do mnie. Zagram dla ciebie, co tylko będziesz chciał.

- Czy Kogi nadal odkurza fortepian?

- Tak, nie traci nadziei.

- Ja też nie, Elizabeth.

Nie chciała dociekać, co miały znaczyć te słowa. Był jej przyjacielem. Nie pragnęła niczego

więcej. Nie mogłaby podolać żadnej bliższej więzi.

- Pan Harley - zapowiedziała Millicent. Elizabeth z trudem powstrzymała się, by nie zacierać rąk z uciechy.

- Wprowadź go, Millie.

- Dzień dobry, pani Carleton. Pięknie pani dziś wygląda.

- Zostawiłam w domu całą swoją próżność, panie Harley, lecz zawsze to miła odmiana, usłyszeć coś takiego od pana. Co mogę dla pana zrobić? Jak rozumiem, przyniósł pan podpisane zobowiązanie.

- Niecałkiem. Prawie. Nim je podpiszę, chciałbym spróbować jeszcze nieco ponegocjować.

- Proszę o tym zapomnieć.

- Powiedziałem: „spróbować”, pani Carleton. Nie sprawiał wrażenia człowieka, którego czeka bezwarunkowa kapitulacja. Elizabeth spochmurniała. Ludzie, którzy go śledzili, donieśli, że nie robił niczego poza tym, co zwykle - nawet nie próbował zwracać się do innych banków. Oczywiście, mógł do nich dzwonić, nawet poza granice stanu, ale czy tak właśnie było?

Lecz o tym też by się dowiedziała, i to niezwłocznie.

- Ufam, że nie próbował pan porozumieć się z żadnym bankiem spoza Pensylwanii.

- Na przykład w Utah?

- Na przykład.

- Nie, nie marzyłem nawet, by skontaktować się z bankiem w Utah czy gdziekolwiek indziej. Uznałem, że zaraz dowiedziałyby się pani o tym i powstrzymała negocjacje.

- Błyskawicznie, panie Harley.

- Oczywiście, każdy bank, do którego bym się zwrócił, musiałby dowiedzieć się o wekslu, który jest teraz w pani posiadaniu.

- Czego pan chce, panie Harley? Uśmiechnął się do niej.

- Po prostu porozmawiać, pani Carleton.

- Na to nie mam czasu.

- Tak, wiem. Jak zrozumiałem, zaprasza mnie pani na lunch. Czy potem moglibyśmy podyskutować o tym, co chodzi mi po głowie?

- Jak pan sobie życzy. Przynajmniej pogoda dzisiaj uśmiecha się do pana, panie Harley - dodała, sięgając po torebkę.

- Czy nie sądzi pani, że już czas, aby zaczęła pani zwracać się do mnie po imieniu?

- Nie.

- No cóż, teraz wszystko jasne. Zaoferował jej ramię, ale zignorowała to.

- Wracam o pierwszej, Millie.

- Rozumiem, Elizabeth.

- Czy sądzi pani, że powinniśmy przestać się spotykać w restauracji? - zapytał, gdy przekroczyli próg „Cantiny”.

- Jadam tu większość lunchów - powiedziała. - Z powodu opieki Josego, oczywiście.

- Nigdy jeszcze nie byłem w meksykańskiej restauracji o takim europejskim wystroju. To jest możliwe tylko w Nowym Jorku.

Kiedy usiedli, Jonathan zapytał:

- Czy kazała pani założyć podsłuch na moje telefony? Tak?

Przyjrzała mu się uważnie. Czyżby wiedział, że jest śledzony?

- Nie - odpowiedziała spokojnie - lecz może powinnam to rozważyć.

- Nie przypuszczam, by mi pani uwierzyła, gdybym powiedział, że mogłaby mi pani po prostu zaufać.

- Nigdy w życiu.

Jonathan wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i położył ją na stole.

- Oto zobowiązanie.

Elizabeth otworzyła torebkę i wyjęła z niej pióro.

- A oto pióro.

- Czy ono stanowi dla pani jakiś symbol? Milczała.

- Pognębić paskudnego, dążącego za wszelką cenę do zrobienia kariery faceta? Utrzeć nosa temu samcowi? Kopnąć go, metaforycznie, w krocze?

- Doskonale odczytuje pan moje myśli.

- Zanim podpiszę, czy moglibyśmy jeszcze chwilę porozmawiać?

- Witaj, Jose - zawołała Elizabeth. - Czy jest pan gotowy coś zamówić, panie Harley?

Złożyli zamówienia i Jose się oddalił.

- A teraz, panie Harley, niechże pan w końcu wykrztusi, z czym pan przyszedł.

Jonathan rozparł się wygodnie na krześle i splótł ramiona na piersi. Wydawał się zupełnie spokojny. I opanowany.

- Po pierwsze - zaczął - co powiedziałaaby pani na pomysł, by mnie poślubić?

Rozdział 17

Elizabeth spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- To bardzo pochlebna propozycja, panie Harley - powiedziała w końcu. - Czy mam rozumieć, że jeśli pana poślubię, będzie pan oczekiwał, że wniosę panu posag?

- Nie - powiedział, uśmiechając się do niej. - Nie będzie pani musiała wносить posagu. Nie w dokładnym sensie tego słowa.

- Ach, rozumiem, chwyt pod tytułem „nie w dokładnym sensie...”

- Musiałaby pani jedynie obiecać, że będzie trzymać ręce z dala od tego, co moje. Może panią zaskoczę, ale nie jestem chciwy.

- Ach, nie jest pan chciwy. A jaki pan jest, panie Harley?

- Na przykład napalony.

- Z pewnością posiada pan dość możliwości, aby rozwiązać ten problem.

- Lubię blondynki.

- Dość tego, panie Harley - powiedziała Elizabeth ostro.

- A właściwie naturalne blondynki. Nadszedł Jose i ustawił przed nimi talerze.

- Oto pański burrito.

- Świetnie - powiedział Harley i zaczął jeść.

- Czy mam przyjąć pani milczenie za zgodę? - zapytał po chwili.

- A nie obawia się pan, że sprzątnę pana, gdy będzie pan spał?

- Nie będzie potrzeby, skoro zatrzyma pani swoje pieniądze. Jeśli się pani znudzę, może mnie pani po prostu wyrzucić za drzwi.

Znowu odgrywał te swoje sztuczki, ale to nie było nic nowego. Oczywiście, sama się o to prosiła. Nigdy, przenigdy nie powinna była zapomnieć, co on o niej naprawdę myśli.

Włożyła do ust kęs jedzenia.

- A jak tam doktor Hunter?

- Ciekawi mnie - powiedziała, odkładając widelec - dlaczego stara się pan skłonić mnie, abym na powrót zapragnęła pana zniszczyć.

- A staram się? Mężczyźni, jak sędzę, często popełniają głupstwa - na ogół w najmniej odpowiedniej chwili. Czy zatem, skoro jestem na pani łasce, spodziewa się pani, że będę całował jej buty?

- Chętnie posłuchałabym, jak pan mnie błaga.

- W porządku.

Wziął do ręki jej złote pióro i zamasyście podpisał dokument.

- Bardzo proszę. Wygrała pani. Moja spółka przejdzie na własność ACI - o ile, oczywiście, nie zdołam w terminie spłacić pożyczki.

- Zapomniał pan wspomnieć, że udało się panu uzyskać ode mnie jedno - nasza oferta nie została

obniżona i zostanie panu wypłacona w dowolnej formie: pakietu akcji ACI lub gotówki.

- Dostanę też miejsce w zarządzie ACI?

- Nie, to absolutnie niemożliwe. Ale chyba pieniądze stanowią pewne zadośćuczynienie za to rozczarowanie.

- Jak mógłbym zapomnieć o pani hojności? To tak, jakby przyszła pani do ojca, który ma tylko jedno dziecko, z którego jest bardzo dumny, i zaoferowała mu za nie pieniądze, grożąc, że jeśli nie zgodzi się go sprzedać dobrowolnie, zrukuje go pani i tak czy tak ukradnie dziecko.

- Melodramatyczne. A zatem przyleciał pan do Nowego Jorku prosić mnie, bym, pozostając w pana poetyce, zostawiła w spokoju pańskie dzieci? Czy tak?

- Tylko jedno dziecko, pani Carleton - powiedział cicho i ze śmiertelną powagą. Nagle wyraz jego twarzy się zmienił. Wyglądał teraz zawadiacko, niemal chłopięco. - Przyjechałem poprosić, by pani za mnie wyszła. Nie mógłbym załatwić tego jak należy przez telefon. A poza tym, chciałem panią zobaczyć, aby upewnić się, że naprawdę jest pani tak piękna, jak to zapamiętałem.

- Jest pan niesamowity, panie Harley - powiedziała Elizabeth. - Może szalony?

- Doskonale zgadzałyby się pani z moją byłą żoną. Czy moglibyśmy zjeść dziś razem kolację? Albo iść do teatru - *Upiór w operze* to chyba odpowiedni wybór?

- A może *Człowiek słoń*?

Parsknęła śmiechem, po prostu nie potrafiła się powstrzymać. Jonathan przyglądał się jej przez chwilę, a potem także się roześmiał.

- Nie śmieje się pani zbyt często, prawda? - powiedział po chwili.

- Wystarczająco często - odparła i wyciągnęła rękę po zobowiązanie.

- Dam je pani, jeżeli wyjdzie pani ze mną dziś wieczór - powiedział, wciąż się uśmiechając.

Elizabeth przyglądała się siedzącemu naprzeciw niej mężczyźnie, żalując, że nie potrafi odczytać jego myśli, zrozumieć motywów. Czy zamierzał ją oczarować, aby zmieniła o nim zdanie? Tak, zapewne właśnie o to mu chodziło. No cóż, to gra dla dwojga. Dlaczego nie miałyby utrzczyć mu nosa? Pozwolić, by wypróbował na niej swych męskich sztuczek? To powinno być zabawne.

- Doskonale - powiedziała. - Jak mogłabym nie przyjąć równie wspaniałej propozycji?

Wróciła do jedzenia, świadoma, że teraz on milczy, wpatrując się w nią ponad stołem. Chciało jej się śmiać. Opanowała się jednak.

- Nie jadam w znanych restauracjach, panie Harley. Z oczywistych powodów. Może spotkalibyśmy się o siódmej wieczorem w „Pirouette”?

Jonathan uświadomił sobie, że nie bardzo nadąża za rozwojem wypadków. Co ona kombinuje?

A potem zdecydował, co zrobi. Uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Jeżeli zjemy kolację o siódmej, zostanie nam mnóstwo czasu, by spędzić wieczór w jakimś klubie. Co pani na to?

- Jak pan sobie życzy. Byle nie było to znane miejsce - z oczywistych powodów.

Przytaknął i zapytał:

- Czy mam zapłacić za lunch? Elizabeth potrząsnęła głową i wstała.

- Do zobaczenia wieczorem, panie Harley.

Patrzył w ślad za nią, kiedy lawirowała między stolikami, i zastanawiał się, czy ta kobieta wystawi go do wiatru.

Elizabeth myślała o tym co najmniej kilkanaście razy. Ten człowiek mnie nienawidzi, powtarzała sobie. Po prostu nie może być inaczej.

Ale po każdej jego odzywce, kiedy z gniewu podskakuje jej ciśnienie, przynajmniej coś odczuwała. Żyła.

Potrząsnęła głową, spoglądając na swe odbicie w lustrze. Nie, ten mężczyzna nie zrobi z niej idiotki. Ani ten, ani żaden inny.

Drakę wysadził ją o kilka domów od „Pirouette”, punktualnie o siódmej. Spostrzegłszy, że Jonathan Harley już przyszedł, poczuła ulgę, do której trudno było jej się przyznać. Stał w przedsionku i rozmawiał z portierem. Po raz pierwszy przyjrzała mu się uważnie, naprawdę mu się przyjrzała. Był przystojny, musiała to przyznać. Nieco masywniej zbudowany niż Rowe, bardziej grubokościsty, o śniadej cerze i czarnych włosach. Lecz pod tą uprzejmą, dobrze ubraną powłoką krył się człowiek o wątpliwym charakterze. Nie wolno jej o tym zapomnieć.

Dzięki Bogu historia z Rowe'em nauczyła ją, że u mężczyzny pieniądze w połączeniu z dobrym wyglądem stanowią zabójczą kombinację. No i inteligencja, dodała w myśli. A także bezwzględność, spryt i cięty język.

- Witam panią - powiedział Jonathan, podnosząc wzrok. - Nie wystawiła mnie pani. Znalezienie tego miejsca zabrało mi diabelnie dużo czasu.

- Jest w książce telefonicznej, panie Harley. Wystarczyło zadzwonić i spytać o drogę.

- Proszę to powiedzieć taksówkarzowi, który mnie wiozł. Jak widzę, nie podają tu tacos.

- Nie, są za to znakomite krewetki.

- Czy będzie pani miała coś przeciwko temu, jeśli powiem, że to pani wygląda znakomicie?

- Tylko dlatego, że nie mam na sobie biurowego mundurka?

Przez chwilę mierzył ją spojrzeniem. Elizabeth nie poruszyła się, po prostu czekała, aż męska inspekcja dobiegnie końca.

Tu także kierownik sali znał ją i zachowywał się uniżenie. Restauracja była mała, oświetlenie przyćmione i kiedy szli do stolika, nikt nie zwracał na nich uwagi. Oczywiście, nie była ubrana wyzywająco, choć sukienka z bladobłękitnego jedwabiu podkreślała jej kobiece kształty.

Po raz kolejny przyszło mu na myśl, że może wspólna kolacja to nie najlepszy pomysł. Kiedy usiedli, okazało się, że większość tematów, które mógłby poruszyć, nie nadaje się do rozmowy, chyba że chciałby, aby chlusnęła mu w twarz zupą.

Zdecydował, że praca zawodowa to najbezpieczniejszy temat, i zadał starannie przemyślane pytanie.

- Pracowałam bardzo ciężko, ale i tak jeszcze wiele muszę się nauczyć - stwierdziła Elizabeth nad sałatką z endywii. - Nie miałam bladego pojęcia, co to takiego fuzja i jak wyglądają zależności pomiędzy przejmowaną spółką a ACI. Mam jednak zdolnych współpracowników, którzy mi pomagają.

- Wyobrażam sobie, iż zarządzanie wiąże się z ogromną odpowiedzialnością. Kiedy pomyślę o wszystkich zatrudnionych tam ludziach...

Wydawał się autentycznie zaniepokojony, a w jego głosie dawało się wyczuć sympatię.

- Pańska odpowiedzialność i moja to w gruncie rzeczy to samo. Różni je wyłącznie skala. Podobnie jak pan, ja także zatrudniam ludzi, którzy odpowiadają za określone działania. I znowu tylko zasięg moich działań jest większy, i liczba zatrudnianego personelu. Koordynacja na najwyższych szczeblach też jest być może nieco bardziej złożona, a związane z nią ryzyko większe. Dowiedziałam się przypadkiem, że pańska spółka także wchłonęła swego czasu dwie mniejsze.

- Tak, ale, oczywiście, ich właściciele chcieli tego. Nikt tu nikogo do niczego nie zmuszał.

Przyniesiono krewetki z czosnkiem. Zdaniem Jonathana, porcje były tak małe, że nie pożywiłyby się nimi nawet ptak. Właśnie dlatego nie przepadał za restauracjami, gdzie serwowano dania nowej kuchni francuskiej - pięknie podane, lecz bardziej niż skromne objętościowo.

Przyglądał się, jak kelner nalewa *chardonnay*. Elizabeth wypila kieliszek i zaraz zabrała się do następnego. Ciekawe, co by było, gdyby ją upił? Bardzo inspirująca myśl...

- Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zapytać, dlaczego wybrała pani akurat mnie, moją firmę?

- Mówiłam już panu, i powiedziałam wówczas prawdę. Jest pan człowiekiem sukcesu, pańska spółka przynosi dochód i gdyby nie był pan tak okropnie uparty, mógłby pan dołączyć do ACI, nie tracąc władzy nad swoją firmą.

- Co nauczyłyby mnie, jak być pracowitym, byстрыm i rozsądnym, prawda? Takie „amerykańskie marzenie” na opak.

- Chciałabym pana o coś zapytać, panie Harley. Czy kiedy odbywa pan nieprzyjemne dla siebie spotkania w interesach, zawsze ucieka się pan do osobistych wycieczek pod adresem drugiej strony?

- Nie.

- Chyba już o to pytałam - powiedziała Elizabeth. Zmarszczyła lekko brwi i upiła kolejny łyk doskonałego *chardonnay*.

- Nie ma pani dzieci, pani Carleton?

To było, musiało być, niewinne pytanie, jednak Elizabeth stężała wewnętrznie, przypominając sobie nagle wszystko - ból i krew. Mnóstwo krwi wokół.

- Nie, nie mam.

- A pragnie ich pani?

Opanowała się. Nie ma powodu, by on czuł się jak łajdak. Nie może wiedzieć o poronieniu ani o innych nieprzyjemnościach.

- Przypuszczam, że większość kobiet ich pragnie. Tak, chyba chciałabym mieć dzieci. Skończyłam dwadzieścia dziewięć lat, więc mój zegar biologiczny zaczął już tykać.

- Pracuje u mnie pewna kobieta, dyrektorka, która swe pierwsze dziecko urodziła koło czterdziestki.

- Ma pan prawdziwą, żywą kobietę na kierowniczym stanowisku?

- Nie zasłużyłem na ten ton.

- Jak pan sobie życzy.

Skończyła swoje wino. Przez chwilę wpatrywała się w pusty kieliszek z niewyraźną miną.

- Pan też nie ma dzieci - powiedziała.

- Nie, nie mam. Ale miałem, przez całe trzy miesiące.

- Nie rozumiem.

- Śmierć łóżeczkowa. Bez powodu, z niczyjej winy. Dziecko jednego dnia wydaje się zupełnie zdrowe i zadowolone, a następnego...

- Tak mi przykro.

Głębokie wody, bardzo głębokie. Jedyne, ukochane dziecko. Czy próbował zastąpić pustkę pracą, stawiając firmę na miejscu utraconego potomka? Przestań, Elizabeth! Na miłość boską, to człowiek biegły w sztuce manipulacji!

- Musiało wam być bardzo ciężko, panu i pańskiej żonie.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, a potem wzruszył ramionami i dolał jej wina.

Skinął na kelnera i zamówił następną butelkę. Uświadomił sobie, że zerka na jej piersi. Nie bądź idiotą, skarcił się w duchu. Ona wolałaby kochać się z diabłem.

- Jak już powiedziałem, to nie była niczyja wina.

- A pragnie pan dzieci?

- Przypuszczam, że każdy mężczyzna pragnie mieć syna, by przejął po nim jego spuściznę - powiedział z namysłem.

Zobaczył, że zeszywniała i uświadomił sobie, że powiedział tę bzdurę celowo. Wszystko, czego zawsze pragnął, to zdrowe dziecko, obojętnie jakiej płci.

To bolało.

- Mój ojciec też tego pragnął. I, jak się okazało, osiągnął cel.

- To dlatego stara się pani pomagać w odniesieniu sukcesu pracującym kobietom? Aby nadrobić stulecia niesprawiedliwości?

- Lubię o tym myśleć jak o przywracaniu równowagi sił.

- Kobiety zawsze posiadały niewyobrażalną władzę, pani Carleton. Na przykład gdyby role się odwróciły, i to pani była starszą bogatą damą, a pani mąż młodzieńcem, nie mógłby pani poślubić. Tylko młoda, piękna kobieta może dostać to, czego chce, i to bez specjalnego wysiłku.

Czuła, że zaczyna kręcić się jej w głowie, toteż zmarszczyła z niechęcią brwi, spoglądając na swój, znów pełny, kieliszek.

- Te pańskie obrzydliwe uprzedzenia. A już zaczynałam panu wierzyć.

- Prawdę mówiąc, miałem na myśli bramy rajy i całą tę resztę.

- Nie rozumiem - odparła.

- Chodzi o seks, proszę pani.

Nadal nie rozumiała, ale nie miała zamiaru domagać się, by jej wyjaśniał.

- To chyba prawda, że mężczyźni nie mogą już ot tak, wyjść i zgwałcić upatrzonej kobiety - powiedziała ironicznym tonem.

- Tak, dziś to cholernie trudne. Ach, te dawne, dobre czasy...

Nagle wyprostował się na krześle, a na jego twarzy odmalowało się napięcie.

- Niełatwo się z panią rozmawia. Większości tematów lepiej nie poruszać.

- Proszę mi opowiedzieć o czasach, kiedy studiował pan w Yale.

- Moim największym osiągnięciem na ostatnim roku było wygranie mistrzostw szachowych Yale. Szachownicę narysowano na łące, a figurami byli nasi koledzy. Mój przeciwnik i ja siedzieliśmy w wieży ponad łąką z mikrofonami w dłoniach. Każda utrata pionka czy figury wyglądała bardzo dramatycznie, ponieważ odgrywający je studenci machali rozpaczliwie rękami i zataczali się, by wreszcie paść bez ducha, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Roześmiała się.

- Byli przebrani?

- O tak, mieli wspaniałe średniowieczne kostiumy. Moja królowa szachownicy odbyła triumfalny przemarsz, kiedy król przeciwnika się poddał. Powinienem też dodać, że zupełnie zignorowała swojego króla.

- To musiała być niezła zabawa.

- Tak. Pamiętam też, jak niektórzy profesorowie narzekali, rozprawiając o upadku akademii, kiedy w sześćdziesiątym dziewiątym we władzach uczelni znalazły się kobiety.

- Dopóki nie okazało się, jak dobrze sobie radzą?

- To tylko pogorszyło sprawę, przynajmniej na jakiś czas. Mówimy o gromadce naprawdę

zacończonych ciemniaków, pani Carleton.

O dziesiątej, kiedy zdążyli opróżnić drugą butelkę wina, Elizabeth nie odczuwała już bólu. Chichotała, słuchając opowieści o tym, jak jeden z kolegów Jonathana stracił wreszcie cnotę, a to dzięki starannemu zaplanowaniu całej sprawy przez przyjaciół.

- Ululał się butelką wina wiszącą za oknem. Chwała Susie. Ona nie potrzebowała wina, ale biedny Cegła jak najbardziej. Tak naprawdę miał na imię Nathan, lecz wszyscy wołali na niego Cegła. Nazwaliśmy to nadzwyczajne wydarzenie: „Noc, kiedy położono Cegłę”.

- A co z Susie?

- Kiedy ostatnio o niej słyszałem, była wziętą adwokatką w San Francisco. Cegła zaś został burmistrzem małego miasteczka w Georgii. To zabawne, jaki obrót przybierają czasami sprawy, czyż nie?

Elizabeth opowiedziała mu o swoim pierwszym recitalu, który przeżyła w wieku zaledwie siedmiu lat.

- Nigdy nie zapomnę, jak mój ojciec stał na baczność z tyłu sali. Denerwował się bardziej niż ja. Przebrnęłam przez Mozarta niczym dzielny mały kawalerzysta, by zaraz potem zagrać z głowy mój popisowy kawałek - etiudę Chopina. Myślałam, że ojciec padnie na miejscu. Był na mnie obrażony przez sześć miesięcy. Do dziś dnia, ile razy próbuję zagrać tę etiudę, mam pustkę w głowie.

Roześmiał się, choć wcale nie było to śmieszne. Najchętniej udusiłby jej przekłętą ojca gołymi rękami. Jestem pijany, pomyślał, i ona chyba też, skoro zachowuje się jak człowiek.

- Dlaczego chciał pan zjeść ze mną kolację, panie Harley? - spytała nagle. - No, dalej, proszę podać prawdziwy powód.

- Myślałem o tym, by zemścić się, biorąc cię do łóżka - powiedział szczerze. Władza, pani Carleton, i bezwzględność. Pragnąłem ukarać cię w ten sposób, zawstydzić i zdominować, choćby na krótko. A potem odejść z uśmiechem na ustach.

Elizabeth żałowała, że wypila aż tyle wina. Nie mogła teraz myśleć tak jasno, jak należało. Uświadomiła sobie, że wpatruje się w Jonathana, przetrawiając w myślach jego słowa.

- Powiedziałem prawdę, bo wiem, że nie mógłbym tego zrobić, nieważne jak bardzo byłaby pani pijana czy chętna.

- Ponieważ, oczywiście - powiedziała - gdybym przespała się z panem, a pan by postąpił tak, jak to opisał, zniszczyłabym pana.

- Nie o to mi chodziło, choć z pewnością taki byłby skutek. Nie zrozum mnie źle, Elizabeth, nadal chciałbym cię zranić, zmusić, abyś się wycofała i zostawiła w spokoju mnie i moją firmę, ale nie za pomocą seksu. Seks powinien być radością.

- Nigdy nie poszłabym z panem do łóżka, panie Harley. Widzi pan, nauczyłam się, że mężczyźni, którzy na pozór troszczą się o mnie bardziej niż o siebie, którzy wydają się uczciwi i szczerzy, wcale tacy nie są i...

Umilkła, a wspomnienie zdrady Rowe'a zalało ją falą nagłego bólu. Wzdrygnęła się. To przez to przekłete wino, pomyślała.

Na chwilę zawładnęło nim pożądanie zmieszane ze współczuciem. Kto tak ją skrzywdził? Mąż?

- Pozwól, że odwiozę cię do domu - powiedział nagle, wstając.

- Tak - zgodziła się z nim - to chyba dobry pomysł. Możemy pójść do klubu kiedy indziej.

Zostawił ją w rękach zaufanego odźwiernego. Nie chciał oglądać wnętrza jej domu, nie pragnął zbliżyć się do niej jeszcze bardziej. Ponieważ ona wkrótce przegra, bez dwóch zdań.

- Dobranoc, Elizabeth - powiedział, dotykając palcami jej policzka. - Weź trzy aspiryny, nim pójdziesz spać. To nigdy nie zawodzi.

Skinęła głową, czując się tak, jakby pod jej stopami zaczynało się właśnie trzęsienie ziemi. Po raz pierwszy od sześciu miesięcy była naprawdę wstawiona.

Zanim usnęła, uświadomiła sobie jeszcze, że Jonathan zaczął zwracać się do niej po imieniu. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy to się zaczęło. Prawdopodobnie po opróżnieniu drugiej butelki wina.

*

- Spodziewałam się pana wczoraj, szefie - powiedziała Midge, kiedy Jonathan wmaszerował do gabinetu następnego ranka.

- Przepraszam, powinienem był zadzwonić. Miałem jeszcze coś do załatwienia w Nowym Jorku. Do załatwienia, rzeczywiście, pomyślał, zły na siebie. Zamierzałem uwieść tę kobietę, a ona mnie przechytrzyła. A raczej pozwoliłem, aby mnie przechytrzyła. Nie był za bardzo pewien, kto co właściwie zrobił i komu.

- Miał pan telefon z Zurychu - powiedziała Midge. - *Monsieur* Flaucon prosi, by pan natychmiast do niego zadzwonił.

- Dobrze - powiedział Jonathan, znikając w gabinecie.

Po piętnastu minutach delikatnie odłożył słuchawkę i rozsiadł się wygodnie na krześle. Po chwili w drzwiach pojawiła się Midge.

- Dzwoniły też pańskie damy. Chce pan ich numery?

- Taaa - powiedział z wolna. - Podaj mi numer Christiny.

Christine była smukłą blondynką, więc może, jeśli zamknie oczy...

Christian Hunter nie chciał oglądać na oczy Elliott, która siedziała właśnie w poczekalni. Nie chciał widzieć nikogo poza Elizabeth. Czekał w samochodzie po drugiej stronie ulicy, kiedy ten mężczyzna odwiózł ją do domu. Przynajmniej bękart nie wszedł z nią na górę. Nie zniósłby tego.

To musiała być służbowa znajomość, nic więcej. Lecz Elizabeth była zawiana, rozpoznał to od razu.

Uświadomił sobie, że zachowuje się jak idiota. Wieczorem zobaczy się z Elizabeth i po prostu zapyta ją o tego mężczyznę.

Pochylił się i wcisnął guzik interkomu.

- Proszę wprowadzić pannę Elliott - powiedział. Zmusił się, by skupić uwagę na młodej kobiecie, która właśnie pojawiła się w jego gabinecie. Obserwując, jak się porusza, doznał znów tego niepokojącego uczucia, że skądś ją zna. No cóż, widocznie się starzeję, pomyślał. Dziewczyna wyglądała na spiętą i nadmiernie podekscytowaną. Czyżby wróciła do koki?

Wygłosili wstępne uprzejmości. Uważnie przyglądał się pacjentce. Poinformowała go, że przebywała poza miastem, ale nie powiedziała gdzie. Christian odchylił się na krześle i bawiąc się nieodłącznym piórem, zapytał:

- Jak on się nazywa, panno Elliott? Umilkła w pół słowa.

- Ten nowy mężczyzna w pani życiu. Kim on jest? Mam nadzieję, że tym razem to nie jakiś ponury kryminalista.

- Jak pan się zorientował?

- Tylko kokaina lub nowy romans mogły wprowadzić panią w takie podniecenie. A ponieważ powiedziała mi pani, że odstawiła narkotyki, pozostała jedynie druga możliwość.

- Uwierzył mi pan?
- Oczywiście, a nie powinienem był?
- Ależ skąd - powiedziała ostro.
- Więc nie będą już pani potrzebne moje usługi, prawda?

Catherine przymknęła na chwilę powieki.

- On, ten mężczyzna... jest żonaty.

Jeszcze jedno kłamstwo, i to tak nieprzekonujące.

- Rozumiem. I ma co najmniej czwórkę dzieci?
- No dobrze, nie jest żonaty. Jest zaręczony z inną i za dwa tygodnie ma się odbyć ich ślub!
- No, wreszcie trochę prawdy.

Słowa same wyrwały się jej z ust, a cała nieufność i nienawiść wobec doktora Huntera zniknęła na chwilę, pogrzebana pod lawiną uczuć, których nie potrafiła ogarnąć ani zrozumieć.

- Nawet go nie lubię. Chciałam dowiedzieć się czegoś od niego, ale sprawy nie potoczyły się tak, jak tego oczekiwałam. To nie jest uczciwy człowiek. Wiem, że to oszust, oportunistą i łajdak. A jednak...

- Spała pani z nim? - Nie!

- Ale chce pani tego.

Miałaby spać z mężczyzną, który był kochankiem Elizabeth? Swojej macochy?

Tego popołudnia, które spędzili razem u Barneya w Bostonie, z początku zachowywali się jak dwaj przeciwnicy, zważając na każde wypowiedziane słowo. Ale to się zmieniło.

- Zimno dziś - powiedziała Catherine, sącząc kolejną, nierozcieńczoną whisky.

- Przestań opowiadać głupstwa - powiedział Rowe. - Spędzę z tobą ten jeden wieczór, Catherine, i dosyć na tym.

Pochyliła się ku niemu, ponieważ w lokalu panował straszliwy harmider.

- Ona zamordowała mego ojca. Wiem to. Rowe wbił wzrok w swoją szklaneczkę.

- To już i tak bez znaczenia, Catherine - powiedział po chwili. Boże, miał dość tej sprawy, a już szczególnie mało chwalebnej roli, jaką w niej odegrał. - Nawet jeśli to zrobiła, nie może być ponownie sądzona. Więc co chcesz udowodnić? Ze Christian Hunter skłamał? Nie uda ci się, wiesz o tym. To najbardziej błyskotliwy i sprytny człowiek, jakiego spotkałem. Czy spodziewasz się, że Elizabeth nagle załamie się pod ciężarem poczucia winy i wykrzyczy wobec mediów, że zamordowała Timothy'ego? Nie bądź niemądra, Catherine.

Spostrzegł, że w oczach dziewczyny błyszczą łzy.

- No, skarbie, daj sobie z tym spokój. Masz przed sobą całe życie.

- Nie mam niczego.

- Dziwna z ciebie dziewczyna - powiedział, a potem uświadomił sobie, że trzyma ją za rękę.

Czym prędzej cofnął dłoń.

- Jesteś piękna, bogata, wydaje mi się też, że właśnie zrzucasz skórę zepsutej pannicy.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała.

- Tak. Naprawdę.

Przysunęła się jeszcze bliżej, aby usłyszeć jego odpowiedź i wtedy ją pocałował. Nie zamierzał tego zrobić. Odsunął się natychmiast.

- Przepraszam, Catherine - powiedział nieco drżącym głosem. - Nie chciałem tego zrobić. A teraz posłuchaj mnie przez chwilę. Naprawdę nie wiem, czy Elizabeth zamordowała twego ojca,

przysięgam. Nigdy mi się nie zwierzyła. Nie potrafię ci pomóc. Pozwól mi dodać, że czuję się okropnie z powodu roli, jaką odegrałem w tej aferze. Chętnie cofnąłbym czas, co, oczywiście, nie jest możliwe. Być może zdziwi cię to, lecz Elizabeth niemal do samego końca wydawała się osobą czułą, kochającą i bardzo dzielną. Nie, nie odsuwaj się ode mnie tylko dlatego, że mówię coś, czego wolałabyś nie słyszeć. Musisz zrozumieć, że Elizabeth bardzo się zmieniła. Stała się bezlitosna, twarda, jeśli wolisz. Lecz to z powodu tego, co jej zrobiłem. Ona nie jest interesowną dziwką, za jaką ją masz, Catherine. Pieniądze twego ojca nigdy wiele dla niej nie znaczyły.

- Więc czemu poślubiła starego mężczyznę? Uśmiechnął się, słysząc to.

- Powiedzieć ci coś? Nie sądzę, by Elizabeth sama wiedziała, dlaczego to zrobiła. Przynajmniej ze mną nigdy na ten temat nie rozmawiała. Ale nie wyszła za niego dla nazwiska czy pieniędzy, uwierz mi. Sądzę, że może to mieć coś wspólnego z jej stosunkiem do własnego ojca, który, sądząc z nielicznych aluzji, na jakie sobie pozwoliła, był oschłym tyranem, terroryzującym rodzinę. Być może pragnęła ojca, który by ją kochał i troszczył się o nią - nie w sensie finansowym, lecz emocjonalnym. Boże, przemawiam jak psychoanalityk. I mogę się mylić. Być może wie, dlaczego wyszła za twego ojca, ale po prostu nie chce o tym rozmawiać. Naprawdę nie mam pojęcia.

- Nie podoba mi się to, Rowe.

- Domyślam się.

Niepewność i znużenie, widoczne w jej oczach, sprawiły, że znowu zapragnął ją pocałować. I zrobił to bez wahania.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

- Nie chodź więcej do doktora Huntera.

- Ale kto w takim razie zamordował mego ojca?

- Twój ojciec miał pewnie setki przysięgłych wrogów. Wśród nich wiele kobiet.

- Kobiet? To śmieszne!

- Wcale nie. Był człowiekiem, Catherine, nie jakąś boską istotą. W trakcie wszystkich małżeństw, w tym tego z Elizabeth, spotykał się z innymi kobietami. Zdradzał wszystkie swoje żony.

- Ale...

- Dość o tym, Catherine. Wychodzę. Jeżeli zostanę, znowu cię pocałuję, a tego nie chcę. Ostatnio wystarczająco często zachowywałem się jak łajdak. Dość tego.

- Ale to dziwka!

- Elizabeth?

- Nie Elizabeth, twoja Amanda! Nie poczuł się urażony.

- Posłuchaj, Catherine - powiedział - życie to seria kompromisów. Jeżeli zdecydujemy się obrać określony sposób postępowania, musimy być przygotowani na konsekwencje. Wiem, co robię. A teraz wracaj do domu i zrób coś ze swoim życiem.

Wyjął z kieszeni portfelik na monety, rzucił kilka z nich na stolik i wyszedł.

Catherine usłyszała, że Hunter coś do niej mówi, i drgnęła, wyrwana raptownie z zamyślenia.

- Jak już powiedziałem, uważam, że nie ma potrzeby, by pani nadal do mnie przychodziła.

Catherine wyprostowała się i założyła dłonie, próbując zyskać na czasie. W końcu powiedziała:

- Widziałam pana w sądzie, kiedy zeznawał pan w sprawie Elizabeth Carleton.

Mięśnie Christiana stężały w oczekiwaniu, a zmysły wyostrzyły się, jednak nic z tego nie znalazło odbicia na jego twarzy. Był zbyt doświadczony, zbyt dobry w swoim fachu, by dało się po nim poznać jakiegokolwiek emocje.

- Wydawało mi się, że pani wygląda znajomo - zauważył. - Co pani tam robiła? Zwabił panią zapach krwi?

- Nie, zupełnie nie. Pamiętam, że pomyślałam, iż jest pan bardzo dobry. Tylko że ja wiedziałam, że pan kłamie.

- Nie jest pani przypadkiem córką prokuratora okręgowego? A może reporterką? Tak, chyba o to chodzi.

Obserwował dziewczynę uważnie, oceniając wyraz jej twarzy i próbując umiejscowić ją w pamięci. Kim ona jest?

Rozdział 18

- Sędziowie uznali, że nie kłamię, panno Elliott - czy jak tam się pani nazywa - powiedział spokojnie i nieco bezosobowo.

- Rzeczywiście. To głupcy. Zastanawiałam się, dlaczego pan skłamał, doktorze. Skoro jest pan bogaty, nie mogło chodzić o pieniądze. Uważam więc, że jest pan zakochany w Elizabeth Carleton. Albo też ona odkryła jakiś szkielet w pańskiej szafie i teraz pana szantażuje.

- Ależ ma pani wyobraźnię - powiedział Christian, wstając. - Chyba wie pani, jak stąd wyjść. Catherine także wstała, niepewna teraz i przekonana, iż popełniła kolosalny błąd.

- Jest pan przeklętym hipokrytą i łgarzem! Pozwolił pan, aby winna uniknęła sprawiedliwości!

- Drzwi - powtórzył Christian, wskazując dłonią wyjście.

- Nienawidzę pana!

Nie zastanawiając się, ściągnęła z głowy czarną perukę i rzuciła nią w mężczyznę.

Christian nie zdziwił się zbyt. Nie po tym, co właśnie usłyszał.

- Jak się pani ma, panno Carleton - powiedział, odrzucając jej perukę.

- Proszę - powiedziała Catherine - proszę mi powiedzieć, dlaczego pan dla niej skłamał.

Christian przez chwilę szacował ją wzrokiem.

- A zatem mężczyzna, z którym się pani widuje, to nikt inny, jak Rowe Chalmers. Lepiej niech pani trzyma się od niego z daleka. Do widzenia, panno Carleton.

- Ale... skąd pan to wie?

- Powiedziała pani, że próbowała wyciągnąć od niego informacje i że on nie jest człowiekiem uczciwym. Rowe Chalmers to jedyny mężczyzna, o którym wiem, że mógłby udzielić pani informacji na temat Elizabeth. Jedyny, który, że tak powiem, pasuje do obrazka.

- Proszę, pan musi powiedzieć mi prawdę!

- Doskonale, panno Carleton. Zapewniam panią, że nie skłamałem. Elizabeth Carleton nie zabiła pani ojca.

Słowa Christiana, nie wiedzieć czemu, przekonały ją. W jego głosie wyczuwało się szczerść i wiarę. Wzdrygnęła się i powiedziała z niesmakiem:

- Zupełnie to schrząniłam, prawda? Parsknęła niewesołym śmiechem, odwróciła się i wymaszerowała z gabinetu.

Ta przekłeta dziwka robi, co może, aby zaszkodzić Elizabeth - pomyślał Christian. - Nie można jej na to pozwolić.

I nie pozwoli.

Wieczorem po kolacji Christian opowiedział Elizabeth o swojej fałszywej pacjentce.

- W końcu przyznała się do wszystkiego. Widuje się od czasu do czasu z Chalmersem. Obiecuj mi, że jeśli nadal będzie sprawiała ci kłopoty, powiesz mi o tym.

Elizabeth była przerażona.

- O Boże - powiedziała, zapomniawszy o jedzeniu. - Oczywiście, że ci powiem. Jakie to musiało być dla ciebie okropne.

Wzruszył ramionami.

- Potrafię sobie poradzić z tego rodzaju pannicami. Ależ ona ma złośliwy język! Nie podoba mi się to. Nie wiem też, czy zamierza ciągnąć dalej tę swoją kruczatę przeciwko tobie. Jestem przekonany, że zadurzyła się w Chalmersie, chociaż zaprzecza, by z nim spała. Ciekawe, prawda?

Catherine i Rowe? A na dodatek Amanda Montgomery...

Elizabeth wzdrygnęła się, nieświadoma, że Christian obserwuje ją uważnie. Na samą myśl, że Rowe mógł opowiedzieć Catherine, jak przystawiła mu do szyi szpikulec, jak go wykpiła i przeraziła, robiło jej się słabo.

Nagle tuż koło niej pojawił się Kogi. Niósł małą srebrną tacę, a na niej dwa kieliszki koniaku.

- Wspaniały obiad - powiedział Christian. - I jaki piękny zegarek. Chyba go poznaję. Czy nie należał do pana Carletona?

Twarz Japończyka pojaśniała, a smukłe palce z czułością przesunęły się po grubej złotej bransolecie.

- Tak, pani Carleton mi go podarowała. Elizabeth ocknęła się z zamyślenia.

- Kogi podziwiał ten zegarek. Chciałam, aby miał jakąś pamiątkę po swoim pracodawcy, a ponieważ Timothy dostał zegarek ode mnie, uznałam, że mogę podarować go, komu zechcę.

- Zdejmuję go tylko, kiedy biorę prysznic lub zmywam.

- Nie dziwię ci się - powiedział Christian.

- Nie wiedziałam, że znałeś Timothy'ego - zauważyła Elizabeth, potrząsając głową. - To dziwne, lecz jakoś nie przyszło mi to do głowy.

- Natknęliśmy się na siebie kilka razy, ostatnim razem dość długo przed jego śmiercią. Nie wspominałem ci o tym, bo nie sądziłem, że to ważne.

Kiedy znowu zostali sami, Christian sączył koniak, przyglądając się Elizabeth, a w końcu powiedział:

- Widziałem cię wczoraj wieczorem. Kim był ten facet?

- O Boże, co za przypadek, Christianie - zdziwiła się Elizabeth. - To było spotkanie w interesach. Prawdę mówiąc, kiedy teraz o tym myślę, zupełnie nie rozumiem, dlaczego zgodziłam się zjeść z nim kolację. Ale on już dawno wrócił do domu. Nie mogę przestać myśleć o Catherine. Chciałabym, by to się wreszcie skończyło. Zostawmy ją, niech robi, co chce.

- Nie ufam Chalmersowi.

- Ze względu na Catherine mam nadzieję, że da jej spokój.

- Odniosłem wrażenie, że to Catherine jest bardziej zainteresowana, nie Chalmers - stwierdził Christian sucho.

- Zapewniam cię, że Laurette Carleton błyskawicznie położy temu kres. A teraz, Christianie, zanim poprosisz, pozwól, że zapytam: chciałbyś, żebym coś dla ciebie zagrała?

Christian ulokował się wygodnie na sofie i zamknął oczy, pozwalając, by piękne dźwięki muzyki Mendelssohna przenikały go do głębi. Kiedy Elizabeth była w połowie trzeciego utworu, uchylił powieki i spojrzał na nią. I spochmurniał. Twarz Elizabeth była chłodna i bez wyrazu.

Wstał i podszedł do niej. Stał za jej plecami i zaczął delikatnie masować sztywne z napięcia mięśnie barków. Pochylił się, uniósł jej włosy i pocałował Elizabeth w kark.

- Elizabeth - wykrztusił.

Przestraszył ją. Nie potrafiła zapanować nad myślami. Chciała powiedzieć mu, by tego nie robił, aby nie oczekiwał od niej zbyt wiele. Christian usiadł obok. Poczula, że jego język delikatnie napiera na jej zaciśnięte wargi i odsunęła się. W jej spojrzeniu widać było lęk.

- Elizabeth - powtórzył, lecz ona tylko zaśmiała się nerwowo, wysunęła z jego objęć i wstała.

- Ja nie mogę... - powiedziała. - Musisz zrozumieć...

Christian westchnął i opanował się z trudem.

- Rozumiem - powiedział i także wstał.

Za godzinę miał być u Susan. Dziś naprawdę będzie mu potrzebna.

Laurette Carleton czuła się zmęczona do szpiku kości. Samo życie ją męczyło. Odwróciła się, by spojrzeć na Michaela, który wpatrywał się w trzymaną w dłoni szklaneczkę martini.

- Czy dowiedziałeś się, kim był mężczyzna, który towarzyszył Elizabeth w „Pirouette”? - spytała.

- Tak. To Jonathan Harley. Jest właścicielem wysoko notowanej spółki elektronicznej z Filadelfii.

Żałowała, że to nie Timothy jest tu z nią teraz. W przeszłości wiele razy wystarczyło im tylko na siebie spojrzeć. Aby się porozumieć, nie potrzebowali słów.

Michael wzruszył ramionami.

- Dowiem się tego. Ale wydaje się logiczne, że ACI zapragnęło jego spółki. Jak sobie zapewne przypominasz, przed kilkoma miesiącami było o nim dość głośno.

- Sprzeda jej spółkę?

- To możliwe. Zaciągnął sporą pożyczkę w jednym z filadelfijskich banków, tak przynajmniej słyszałem. Ale to tylko pogłoski.

- Wykup jego pożyczkę. Jeśli sprzeda firmę, to nam, nie Elizabeth.

- Tak, matko.

*

To zabawne, pomyślał Jonathan. Prawdę mówiąc, od miesiący tak dobrze się nie bawił. Oto sławny i osławiony Michael Carleton we własnej osobie czeka, aby wykupić jego firmę. Oczywiście z zemsty. Warunki, jakie oferuje, są niewiarygodne. Aż trudno w to wszystko uwierzyć.

Kiedy Michael wreszcie umilkł, Jonathan stwierdził uczciwie:

- Nie mam zamiaru sprzedać swojej firmy, panie Carleton, zapewniam pana.

- Lecz ona ma pańską pożyczkę i niewątpliwie zażąda spłaty w terminie. Wiem o pańskich kłopotach, panie Harley. ACI posiada zasoby, jakich nawet nie jest pan w stanie sobie wyobrazić. Oni...

- Nie sprzedam firmy, może mi pan wierzyć - przerwał mu Jonathan stanowczo.

Michael musiał się tym zadowolić, lecz jedna rzecz nadal nie dawała mu spokoju.

- Więc dlaczego poszedł pan na kolację z Elizabeth?

Jonathan zdziwił się, lecz nieprzesadnie.

- Pańskie umiejętności pozyskiwania informacji robią wrażenie, panie Carleton - powiedział spokojnie. - Powtarzam po raz ostatni: nie zamierzam sprzedawać firmy. A jak pan wie, jestem głównym akcjonariuszem. Sprawuję pełną kontrolę nad spółką i dopilnuję, by tak zostało.

Kiedy po pięciu minutach Michael opuścił wreszcie jego biuro, Jonathan przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, wpatrując się w przestrzeń przed sobą. Po powrocie z Nowego Jorku kochał się - nie, poprawił samego siebie - uprawiał seks zarówno z Christine, jak i z Holly, lecz nie sprawiło mu to przyjemności. To wina tej przeklętej kobiety, która na dodatek była zapewne morderczynią.

Westchnął i spróbował na powrót zabrać się do pracy. Po godzinie zrezygnował. Wyszedł z biura i biegał, dopóki zupełnie nie opadł z sił.

Nie był wcale zdziwiony, kiedy późnym popołudniem Midge zawiadomiła go, że pani Elizabeth Carleton pragnie z nim rozmawiać.

Uśmiechnął się i podniósł słuchawkę:

- Witaj, Elizabeth, jak leci? Elizabeth zacisnęła dłonie w pięści.

- Doskonale. Jak zrozumiałam, rozmawiał pan z Michael'em Carletonem.

- Zgadza się.

Usłyszał, że gwałtownie zaczerpnęła powietrza i dodał kpiąco:

- Wygląda na to, że byliśmy śledzeni podczas naszej kolacji w „Pirouette”. Chyba wykreślisz tę restaurację ze swego spisu. Wracamy do *tacos*, czyż nie?

- I?

Bała się, że jeśli powie coś więcej, zacznie pluć jadem.

- Zapewniłem pana Carletona, że nie zamierzam sprzedawać firmy. Jemu, ani nikomu innemu, w tym tobie.

Niemal usłyszał, jak odetchnęła z ulgą.

- To prawda, wiesz o tym, Elizabeth - dodał niemal uprzejmie, mrużąc oczy.

- Oczywiście, cokolwiek zechce pan powiedzieć, będzie w porządku. Mam tylko nadzieję, że pan nie kłamie.

- Nie, nie kłamie. Jakaś ty podejrzliwa.

- Nie nazywaj mnie Elizabeth i idź do diabła - powiedziała, rzucając słuchawkę.

- Dlaczego gwizdże pan, jakby nie miał żadnych kłopotów? - spytała Midge, wsuwając głowę do gabinetu. - Żelazna dama działa błyskawicznie, nieprawdaż?

- To się chyba nazywa sieć informatorów - powiedział Jonathan z ironią, a potem się roześmiał.

- Przerażają mnie te ich machinacje - dodała Midge, dziwiąc się temu nagłemu przyływowi dobrego humoru swego szefa.

- Tak, to rzeczywiście przerażające. A teraz, czy nie powinienem spotkać się z panem Dipem, czy może Dopem?

- Panem Doonem.

- Zamierzam rozwiązać nasze problemy ze związkami. Zdusić je w zarodku. Uczynię mu propozycję, której nie będzie mógł odrzucić. Wprowadź go, gdy tylko się pokaże, Midge.

- Tak jest, Ojcie Chrzesny.

*

Jeszcze tylko pięć tygodni do ślubu, pomyślała Jenny, nucąc cicho i dotykając ślubnej sukni. Kreacja Chanel, uszyta z jedwabiu i koronki, była tak delikatna, że niemal bała się brać ją w ręce. W zeszłym tygodniu poleciała z matką do Paryża, aby poczynić ostatnie poprawki. Tęskniła za Bradem. Bardzo. Nie widzieli się od dwóch tygodni.

Ostrożnie zapięła pokrowiec na suknię i skinęła na pokojówkę.

- Czy tatuś jest w domu?

- Tak, panno Jennifer. Jest w gabinecie.

Jenny zapukała cicho, a potem uchyliła drzwi i zajrzała do gabinetu. Ojciec siedział, jak zwykle, za biurkiem, lecz nie miał na nosie okularów. Nie rozmawiał też z nikim przez telefon, co zwykle czynił, kiedy był w domu.

- Dobrze się czujesz, tatusiu?

Senator Charles Henkle z trudem wziął się w garść. Jego słodka, niewinna córeczka. Ha! Przypomniał sobie fotografie i poczuł, jak ogarnia go gniew i wstyd. Ojciec nie powinien oglądać swej córki, swej jedynej córki, uprawiającej seks. W dodatku z pedałem.

- Wszystko w porządku, Jenny. A gdzie jest twoja matka?

To dziwne, pomyślała. Ojciec rzadko interesował się tym, co robi jego żona. Zwłaszcza w ciągu dnia.

- Nie wiem - odparła. - Chyba wybrała się na jakiś lunch na cele dobroczynne - coś związanego z Green Peace.

- Chcesz czegoś, Jenny? Jestem dosyć zajęty.

- Chciałam ci tylko przypomnieć, że nie będzie mnie w weekend w domu. Jadę na Long Island, do Carletonów. Zastanawiałam się, czy nie znalazłbyś czasu, by ze mną pojechać. Choć na jeden wieczór.

- Nie! To znaczy, nie mam czasu, Jenny.

- Tatusiu, co się stało?

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. W końcu, zaczerpnąwszy głęboko powietrza, zapytał:

- Czy jesteś pewna, że chcesz poślubić Brada?

- Oczywiście, tatusiu.

- Kochasz go?

- Oczywiście.

Jenny nie była zbyt rozgarnięta i Charles już dawno się z tym pogodził. Lecz była miła, szczerą, ufna i posłuszna. Dlatego to, co wyrządzali jej - i jemu - Carletonowie, było tym bardziej odrażające. A on nic nie mógł na to poradzić.

- Myślałam, że lubisz Brada, tatusiu.

W jej głosie dało się słyszeć zdziwienie i niepewność. Brzmiał, jak głos dziecka.

Przypomniał sobie zdjęcia. Nie, nie była dzieckiem.

- Po prostu chcę, żebyś była szczęśliwa - powiedział w końcu.

Żałował, że nie ma dość odwagi, aby ujawnić całą sprawę i ponieść konsekwencje. Lub zabić Brada Carletona. Tak jak jego macocha zabiła jego ojca. I uszło jej to na sucho. Charles wzdrygnął się. Boże, co też za myśli przychodzą mu do głowy? Wyobraził sobie te nagłówki: SENATOR MORDUJE SWEGO ZIĘCIA GEJA. Wykrzywił z niesmakiem usta.

- Zapewniam cię, że jestem szczęśliwa - powiedziała Jenny. Podeszła do ojca i uścisnęła go. - Kocham cię, tato.

Rozpaczliwie zapragnął pokazać jej negatywy zdjęć, przedstawiające Brada i tamtego mężczyznę, a także ją z Bradem. Udowodnić, jakimi ludźmi są w rzeczywistości Carletonowie. Bezwiednie położył dłoń na zamkniętej szufladzie, lecz zaraz ją cofnął.

- Zajmij się swoimi sprawami, Jenny. Naprawdę mam mnóstwo pracy.

Wyszła.

Być może ojciec po prostu nie chce mnie oddać innemu mężczyźnie, pomyślała. Tak długo była jego ukochaną córeczką. Spodobało jej się to przypuszczenie. Widocznie, choć jest dorosła, nadal wiele dla niego znaczyła.

Catherine drżała niepowstrzymanie. Po prostu nie mogła uwierzyć własnym oczom. Stała w gabinecie babki z plikiem fotografii w dłoni. Nie miała zamiaru być wścibska, lecz zobaczyła, że

zazwyczaj starannie zamknięta szuflada jest lekko uchylona. Babka poszła na chwilę na górę, a ona postanowiła poczekać w gabinecie. I kiedy dostrzegła szarą kopertę, ostrożnie wyjęła ją z szuflady.

I otworzyła.

Fotografie przedstawiały Brada i jeszcze jednego mężczyznę. Spółkujących? Uprawiających sodomię? Powoli uniosła wierzchnią fotografię. Pod spodem było to samo, tyle że sfotografowane pod nieco innym kątem.

O Boże. Oczywiście, słyszała jakieś plotki. Kto ich nie słyszał? Lecz nigdy im nie wierzyła.

Kolejne zdjęcia, tym razem przedstawiające Jenny i Brada. Uprawiających seks. W górnej części koperty zapisano numer telefonu do Waszyngtonu.

Co to miało znaczyć? Usłyszała głos babki i szybko wsunęła fotografie z powrotem do koperty, a kopertę do szuflady. Była na tyle sprytna, aby zostawić szufladę lekko uchyloną, tak jak ją zastała. Babka miała sokoli wzrok. Nie zdarzało jej się niczego przeoczyć.

Och, Jenny. Biedny mały słabeusz!

Co tu się dzieje? I co powinna teraz zrobić?

Przyglądała się, jak babka wchodzi powoli do gabinetu, wyprostowana, ze starannie uczesanymi, siwymi włosami. Wyglądała tak cholernie wiktoriańsko.

A jednak, te zdjęcia... Catherine wzdrygnęła się po raz kolejny.

- Witaj, kochanie - powiedziała Laurette, obdarzając wnuczkę swoim specjalnym, przeznaczonym tylko dla niej uśmiechem. - Co cię sprowadza?

Co by tu powiedzieć? Catherine poczuła, że się czerwieni. O Boże!

- Ja... chciałam ci tylko powiedzieć, że mój nos przestał już krwawić!

- To dobrze - powiedziała Laurette i Catherine poczuła na sobie jej badawczy wzrok. Babka przyglądała się jej niczym owadowi w gablotce.

- To wszystko. Aha, i nie widuję się już z doktorem Hunterem.

- Wspaniale. Cieszę się, że mnie posłuchałaś. Ale jest jeszcze jedna sprawa, kochanie. Co z Rowenem Chalmersem?

- Nie zobaczę się z nim więcej.

To było kłamstwo, zdawała sobie z tego sprawę. Teraz jednak pragnęła przede wszystkim uciec i trochę pomyśleć.

- Cieszy mnie to, Catherine. Zostaniesz na lunchu? Rozmyślała gorączkowo. Wiedziała, że nie zdoła wytrzymać dłuższego wypytywania.

- Nie, przykro mi, babko, lecz jestem umówiona w mieście.

- Z kim?

- Z dentystą! Kilka dni temu wypadła mi plomba.

Laurette nie odzywała się przez chwilę, zastanawiając się, co jest nie tak z Catherine i dlaczego wnuczka kłamie. Zresztą, być może, Catherine powiedziała prawdę.

- Dobrze, kochanie. Pamiętaj o dzisiejszej kolacji. Jenny przyjeżdża do nas na weekend. Chyba należałoby zgromadzić całą rodzinę, by ją powitać. Wiesz, że za pięć tygodni biorą ślub.

- Postaram się przyjść, babko - powiedziała.

I uciekła.

*

Christian zatrzymał się raptownie. Spojrzał na wystawę jubilera i wyeksponowane tam kosztowne zegarki. Poczul skurcz strachu i cofnął się o krok. Tak więc wspomniął coś o zegarku

Timothy'ego na przegubie Japończyka. I co z tego?

Elizabeth powiedziała, że podarowała mężowi ten zegarek. Z pewnością często go nosił, może nawet codziennie. A on naprawdę poznał kiedyś Timothy'ego.

To tylko małe potknięcie. Głupie, lecz niezbyt ważne. Niewarte zastanowienia.

Ruszył dalej Piątą Aleją.

Będzie musiał się dowiedzieć, kiedy Elizabeth podarowała mężowi zegarek.

Lecz musi postępować ostrożnie, bardzo, bardzo ostrożnie.

Widział ten zegarek tylko raz. Na przegubie Timothy'ego, tego wieczoru, kiedy wbił mu w pierś szpikulec do lodu.

Pamięta! doskonale, jak złoto błyszczało w świetle lamp. Pomyślał wtedy przelotnie, że staruszek nie zasługiwał na coś tak ładnego. Zegarek na jego poznaczonym żyłami nadgarstku był nieznośnym zgrzytem estetycznym.

Poczuł, że włosy zjeżyły mu się na karku, a dłonie zwilgotniały.

Musi być bardzo ostrożny. Zaklął cicho, zły na siebie za ten przejaw strachu. To śmieszne. Cała ta sprawa to jeden wielki nonsens. Elizabeth prawdopodobnie podarowała Timothy'emu zegarek jako prezent ślubny.

Szedł dalej. Strach powoli ustępował. Z łatwością dowie się wszystkiego o zegarku, a potem znów sprawy wrócą do normy.

Rozdział 19

Brad Carleton wpatrywał się w siostrę.

- Musisz to odwołać, Brad - powtórzyła Catherine. - Musisz.

Stali pośrodku sypialni Brada w posiadłości Carletonów na Long Island. Jenny i jej matka miały pojawić się w rezydencji za kilka godzin.

Brad wziął się w garść.

- Posłuchaj, Cathy, po prostu zapomnij o tym, co widziałaś, dobrze?

- Co te zdjęcia robiły w szufladzie biurka babki? I czyj numer telefonu był zapisany na kopercie?

Odpowiadaj!

- Przestań, głuptasie! Ujmijmy to tak - zawarto pewien układ z ojcem Jenny. I po to były te zdjęcia. Ślub się odbędzie.

- Chcesz ożenić się z Jenny? - spytała Catherine spokojnie. Odraza znikła, zastąpiona uczuciem, jakie żywiła wobec brata. Idealizowała go, odkąd była małą dziewczynką.

Brad wzruszył ramionami. Wydawał się blady i nieszczęśliwy.

- Teraz nie mogę już nic zmienić - powiedział.

- Ale to nie w porządku wobec was obojga! Wiem, że Jenny posiada tyle charakteru co lampa, ale to jednak istota ludzka, Brad. Ona też czuje.

- Jak widziałaś na tych przeklętych fotografiach, jest także bardzo gorąca w łóżku - powiedział, krzywiąc się na to wspomnienie.

- Podobnie jak ty - na tych innych zdjęciach.

- Posłuchaj, Cathy, daj temu spokój, dobrze? Babka wyraziła swoją opinię. Pozostaje już tylko rzucić ryżem na szczęście.

- To szantaż, prawda? - spytała Catherine, wpatrując się w twarz brata. - Babka szantażuje senatora, grożąc, iż ujawni zdjęcia twoje i Jenny.

- Tak.

- A jeśli chodzi o ciebie i tego mężczyznę? Nie rozumiem, skąd wzięły się tamte zdjęcia.

Lecz, oczywiście, rozumiała.

- To Elizabeth, droga, wredna Elizabeth posłała je senatorowi, lecz wycofała się, kiedy zobaczyła zdjęcia moje i Jenny.

Catherine zastanawiała się przez chwilę.

- Czy w ramach tego układu zobowiązałeś się, że pozostaniesz wierny Jenny?

- Tak.

- I masz zamiar dotrzymać słowa?

- Ja... nie wiem. Boże, chciałbym po prostu wyjechać z kraju!

- Ja także - westchnęła Catherine. - Może uciekniemy razem? Co myślisz o Katmandu? Albo Bombaju?

- Mogłaby być nawet Hawana. - Dotknął jej policzka. - Przykro mi z powodu tego wszystkiego. Ale co się stało, to się nie odstanie.

- Uważam, że to ty powinieneś zamieszkać w Kalifornii, nie Trent.

- Taaa, poczciwy stary Trent jest tak porządny, że włosy by ci się skręciły, gdybyś wiedziała o nim to, co ja.

- Po prostu sprowadź go tutaj, a ty jedź do Kalifornii. Zaczynj nowe życie i żyj, jak chcesz. Jesteś dorosłym człowiekiem, mężczyzną. To nie takie trudne, Brad.

Przez chwilę dostrzegła w jego oczach płomyk nadziei, zastąpiony niemal natychmiast rezygnacją i przygnębieniem.

- Kocham cię, Brad - powiedziała spokojnie - lecz nie dopuszczę do tego małżeństwa. Nie zrobisz tego - ani sobie, ani Jenny.

- Spróbuj to powstrzymać, a nie wiadomo, co się stanie.

Catherine spojrzała na brata, dostrzegła w jego oczach gorycz porażki i ruszyła ku drzwiom. Na progu zatrzymała się i powiedziała przez ramię:

- Jeszcze jedno. Wiesz, nie jestem już przekonana, że to Elizabeth zamordowała naszego ojca.

Brad spojrzał na nią tępo.

- Więc kto?

Catherine zaśmiała się z goryczą.

- Nie byłabym zdziwiona, gdyby okazało się, że to babka. Ona nigdy by się nie wycofała, jak Elizabeth.

- Przynajmniej nie z rozmysłem?

- Babka po prostu już taka jest.

- Dlaczego Elizabeth się wycofała? Można by sądzić, że po tym, co jej zrobiliśmy, nie będzie chciała mieć z nami więcej do czynienia.

- Kto wie? Idź już, Catherine. I trzymaj buzię na kłódkę.

*

Podczas rodzinnej kolacji Laurette z zadowoleniem obserwowała Brada i Jenny. Dziewczyna nadaje się na żonę. Będzie robiła, co jej się każe. I jeśli nawet Brad nie zechce jej rozkazywać, ona, Laurette, z pewnością nie będzie miała w tym względzie oporów. Spojrzała na Catherine. Z jej wnuczką wyraźnie coś było nie tak. Chyba powinna znów kazać ją śledzić.

Catherine wzdrygała się za każdym razem, gdy Jenny otwierała usta, milczała jednak ze względu na Brada. Matka Jenny wyglądała, jakby złapała na wędkę wieloryba i widać było, że jest bardzo dumna z córki. Głupia, bezużyteczna kobieta!

Co robić?

Elizabeth posiadała zdjęcia Brada z kochankiem senatorowi. A potem się wycofała. Dlaczego?

Wpatrując się w medaliony cielece i krem ze szparagów, podjęła decyzję.

Zaniepokojona Millicent wsunęła się cicho do gabinetu Elizabeth.

- Tak, Milly?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Stała tam, czując się jak idiotka i trzymając przed sobą zaciśnięte dłonie.

- Pożar? Któraś z naszych spółek splajtowała? Przysięgam, że cokolwiek to jest, dam sobie z tym radę.

- Nie, Elizabeth, nic takiego się nie stało. Catherine Carleton jest w moim biurze. Chce z tobą

porozmawiać.

Elizabeth zamrugnęła bezwiednie. *Catherine?* - No cóż, chyba nie mam wyboru, będę musiała się z nią zobaczyć. Lecz jeśli usłyszysz jakieś podejrzanе odgłosy, wróć tutaj. Być może będę próbowała ją udusić.

Wygląda zabójczo, pomyślała, oceniając kostium Catherine, w biało-czarną kratkę, projektu Valentina. Zabójczo.

- Witaj.

- Dziękuję, że zechciałaś się ze mną zobaczyć, Elizabeth.

Dobry Boże, co tu się dzieje? Głos Catherine brzmiał zdecydowanie uprzejmie.

- Czego sobie życzysz?

- Zaczynam dochodzić do wniosku, że nie zamordowałaś mojego ojca.

Elizabeth uniosła brwi.

- To już coś. Inteligencja i obiektywizm u jednego z Carletonów, no, no.

- Przypuszczam, że zasłużyłam sobie na to. Lecz chciałam porozmawiać z tobą o czymś innym.

- Tak?

- O zdjęciach Brada i tego mężczyzny. Elizabeth znieruchomiła.

- Jak dowiedziałaś się o tych... brudach?

- Przypadkowo. Widziałam też zdjęcia Jennifer i Brada. Brad powiedział, że chodzi o szantaż i że to ty go zapoczątkowałaś.

- To prawda. Byłam arogancką idiotką. Nie powinnam była tak postąpić.

- Lecz potem się wycofałaś. Dlaczego? Elizabeth westchnęła.

- Nietrudno to pojąć, Catherine. Twoja babka dała mi do zrozumienia całkiem jasno, choć, oczywiście, nie osobiście, że jeśli się nie wycofam, przekaże zdjęcia twego brata i Jenny mediom. Jak wiesz, nie mam nic przeciwko tej dziewczynie. Na samą myśl o tym, że miałyby wyjść za Brada, wywraca mi się żołądek.

- Bradowi także.

- Lecz jakoś to przeżyje, prawda?

- Tak. Wiesz, to zabawne. Zawsze uważałam, że Brad jest z nas najsilniejszy. Lecz to nieprawda.

Jest przerażony. Zrobi, co mu się każe.

- A co z tobą, Catherine? Po co tu przysłałaś? Uświadomiła sobie, że stoją pośrodku pokoju, niby dwaj przeciwnicy w ringu.

- Siadaj, Catherine - powiedziała, wskazując jej sofę w rogu. - Proszę.

- Chciałabym wiedzieć, czy potrafiłabyś zapobiec temu małżeństwu.

- Ja? Ja już zrobiłam ruch. Zemściło się to na mnie, podobnie jak wiele innych moich posunięć.

Czasami działało się tak dlatego, że członkowie twojej rodziny okazywali się sprytniejsi, a czasem z powodu mojej ignorancji.

- Wysłałaś senatorowi te zdjęcia, by zemścić się na Bradzie?

- Nie, by wyrzeć na niego nacisk. Nie był dla mnie zbyt miły, Catherine. Możesz mi wierzyć.

Podobnie jak wy wszyscy. Jednak to on stanowił główny cień w moim boku. I nadal stanowi, przynajmniej od czasu do czasu.

- Kto zabił mego ojca, Elizabeth?

- Nie sądzisz, że gdybym wiedziała, coś bym z tym zrobiła? Boże, ależ z ciebie głuptas,

Catherine! Posłuchaj, naprawdę przykro mi z powodu tej sprawy, zwłaszcza ze względu na Jennifer

Henkle, lecz twoja babka postawi na swoim. Wiesz o tym. A teraz, jeśli masz do mnie jeszcze jakąś sprawę...

Catherine westchnęła.

- Nie, chyba nie. Byłam głupia, że tu przyszedłam. Wiem, że nie możesz nic zrobić, i niby dlaczego miałabyś?

- Życie z pewnością mogłoby układać się prościej - powiedziała Elizabeth.

Przesunęła palcami po włosach i poluzowała kok.

- No dobrze, Catherine, spróbuję coś wymyślić, choć jestem niemal pewna, że nic, czego bym spróbowała, nie zadziała. Dlaczego nie stawisz czoła babce?

- Chciałabym, ale za bardzo się boję.

- Nie winię cię, lecz pomyśl o tym.

- Pewnie już wiesz o moich wizytach u doktora Huntera.

- Tak.

- I o tym, że widuję się z Rowenem Chalmersem. - Tak.

- Nie wiem, co robić! - Zupełnie jak ja.

Na progu pojawiła się Millicent.

- Masz pilny telefon, Elizabeth.

- Dziękuję, że ze mną porozmawiałaś. Wiem, że zachowywałam się wrednie...

- Tak, i mam nadzieję, że z tym już koniec. Zdziwiłaś mnie bardziej, niż potrafię wyrazić. Spróbuję coś wymyślić. Do widzenia, Catherine i niech ci się wiedzie.

Zaczekała, aż Catherine opuści biuro. Przez chwilę spoglądała zdumiona w ślad za dziewczyną, a potem potrząsnęła głową. Nic nie pozostaje takie samo, a jeśli już, są to na ogół rzeczy złe, okropne. Catherine wpadająca jak gdyby nigdy nic do jej biura? Zachowująca się uprzejmie? To zbyt wiele, jak na jeden dzień. Swego czasu zmusiła się, by przestać myśleć o Jennifer Henkle. Teraz wyrzuty sumienia wróciły, i to z całą mocą. Ale co mogła zrobić? Niemądrze postąpiła, obiecując Catherine, że postara się znaleźć jakieś rozwiązanie. Podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

- Tak? Mówi Elizabeth Carleton.

- Cześć, Liz. Tu Jonathan Harley. *Liz*.

- Słucham? - spytała tak chłodno, jak tylko potrafiła.

- Myślę, że już pora, droga pani, abyśmy znów się spotkali.

- Wcale tak nie uważam.

- Ujmijmy to w ten sposób: musisz się ze mną zobaczyć. Jeśli odmówisz, czeka cię bardzo przykra niespodzianka.

- Więc proszę powiedzieć, o co chodzi.

- Nie przez telefon. Zobaczę się z tobą dziś wieczorem w tej meksykańskiej knajpie. Może o siódmej?

Elizabeth zmarszczyła brwi. Czego ten okropny człowiek znowu chce?

- Doskonale. Ale, panie Harley, lepiej, żeby to było coś naprawdę ważnego.

Po krótkiej pauzie Jonathan odparł:

- Masz to jak w banku, Liz, obiecuję.

- Proszę nie nazywać mnie Liz.

- Przynajmniej do ciebie zadzwoniłem, a to się chyba liczy?

- Niech pan nie nadużywa mojej cierpliwości, panie Harley. Do zobaczenia o siódmej.

- Jasne, skarbie.

Rozłączył się. *Co on kombinuje?* To, co powiedziała do Catherine, znów się sprawdzało: ilekroć próbowała cokolwiek uprościć, sprawy natychmiast komplikowały się jeszcze bardziej.

*

Jonathan już na nią czekał. Tym razem nie miał na sobie garnitur, lecz był ubrany zwyczajnie: w brązowe, sztruksowe spodnie, jasnobrązowy golf i tweedową marynarkę o sportowym kroju. Wyglądał jak biznesmen na wakacjach, bardzo przystojny biznesmen.

Kiedy podeszła do stolika, uśmiechnął się, lecz nie wstał.

- Witaj - powiedział i machnął nonszalancko dłonią w kierunku stojącego naprzeciw krzesła, które kelner czym prędzej odsunął, by mogła usiąść.

- Nie nudzi cię to miejsce? Nie znalazłaś innej bezpiecznej przystani?

Potrząsnęła głową.

- Nie możesz wiecznie się ukrywać, Elizabeth.

- Czego pan chce?

- Chcesz znowu ostro popić?

- Miałam nadzieję, że z pańskiej strony nie było to zaplanowane. Jadanie w samotności ma jednak swoje zalety.

- Daj spokój, Elizabeth. Nie zaciągnąłem cię do łóżka. Twoja cnota nie doznała uszczerbku. I nie zamierzam się skarżyć.

Wygląda na zmęczoną, pomyślał, i czymś zaprzątniętą. A także zmartwioną. No cóż, zamierzał doprowadzić dziś sprawę do końca. Lecz nie czuł się z tym tak dobrze, jak oczekiwał. Nim skończy, pewnie będzie tańczył na stole, śmiejąc się jej w twarz.

- Dość tych bzdur, panie Harley.

Odwróciła się do oczekującego kelnera i zamówiła wodę.

Jonathan skinął głową, przyłączając się do zamówienia.

- Myślałem trochę o tobie. Prawdę mówiąc, myślałem o tobie, kiedy kochałem się z innymi kobietami. Bardzo mnie to rozpraszało.

Obrzuciła go tylko zmęczonym spojrzeniem, odmawiając chwycenia przynęty.

- Strasznie zabawna z ciebie dziś towarzyszka, co?

- Jestem zmęczona i udręczona. Proszę mi wreszcie powiedzieć, o co panu chodzi?

Już miał jej powiedzieć, nie mogąc się doczekać, aby zobaczyć szok na jej twarzy, lecz postanowił jeszcze się wstrzymać.

- Co takiego się wydarzyło, od kiedy ostatni raz się z tobą widziałem? - zapytał nagle.

Przyniesiono wodę. Elizabeth uniosła szklaneczkę, lecz Jonathan ją powstrzymał.

- Toast, Elizabeth.

- Jaki znów toast?

Spochmurniał, z trudem powstrzymując cisnące się na usta słowa.

- Za przyszłość - powiedział w końcu lekko, kpiąco.

- To dość niewinny toast.

Traciła się z nim szklaneczką, na poły żałując, że nie zamówiła margarity. Tequila przynajmniej nieco by ją zamroczyła, sprawiając, że świat straciłby ostre kontury, stałby się nieco zamazany, mniej wyraźny.

- Czy to możliwe, że za mną tęskniłaś? Że kiedy kochałaś się z innymi mężczyznami, myślałaś o

mnie?

- Proszę, panie Harley.

- Co się, u licha, dzieje?

Wydawał się rozgniewany. Przyjrzała mu się uważnie. Miał zwężone źrenice i mocno zaciśnięte usta.

- No dobrze. Poświęcono szczęście młodej kobiety i nic się już nie da zrobić, by to naprawić. Jestem bezradna, a cała ta sprawa śmierdzi.

- Opowiedz mi.

- Nie. Nawet gdybym panu ufała, i tak nie mógłby pan nic na to poradzić. A poza tym dlaczego miałoby to pana obchodzić?

- Czy ty nikomu nie ufasz?

- Nie. Ludzie się uczą, nawet ja.

Do stolika podszedł kelner, więc zamówili posiłek.

- Coś mi się wydaje - powiedział Jonathan, gdy kelner zostawił ich samych - że masz dar komplikowania spraw.

- Tak, to chyba prawda.

- Wiesz, Elizabeth - dodał po chwili - być może w przyszłości mogłabyś mi ufać.

- Niech pan da spokój, panie Harley. Nienawiść nie mija z dnia na dzień.

Lecz Catherine się zmieniła, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Chyba że to, co powiedziała i co zrobiła, było jedynie grą. Nie, jej niepokój o Brada i Jennifer z pewnością nie był udawany. To oczywiste.

- Rzeczywiście, nie z dnia na dzień.

- Proszę, panie Harley, jestem zbyt zmęczona, by wdawać się w słowne utarczki. Proszę po prostu powiedzieć, o co chodzi.

- No dobrze - zgodził się, tłumiąc westchnienie. - Powiem.

Lecz nie potrafił, jeszcze nie teraz. Skoro już mowa o nienawiści, za chwilę z pewnością będzie miała ochotę go zabić.

Przyniesiono potrawy. Przez chwilę milczeli, zajęci jedzeniem.

- Ładną mamy pogodę - powiedział. - Tak.

- Uważam, że Giganci znów zaczną zwyciężać? Elizabeth powoli odłożyła widelec.

- Wychodzę stąd za dziesięć minut, panie Harley.

- No cóż, nie wyjdiesz z pustymi rękami.

- Ma pan zamiar coś mi przekazać? Zakaźną chorobę?

- Zostało mi jeszcze trochę czasu, nim będę musiał spłacić pożyczkę.

Patrzyła na niego w milczeniu, czekając. Odłożył widelec i wyprostował się.

- Jutro o dziesiątej spotkam się z tobą, twoimi współpracownikami i prawnikami.

- Po co?

- No cóż, mam dla was czek.

Wyraz twarzy Elizabeth nie zmienił się. Po prostu siedziała nieporuszona.

- Małe dziewczynki nie powinny grać w wielkiej lidze - powiedział. - Nie mogłaś zwyciężyć, Elizabeth, nawet mając za sobą ACI.

Elizabeth milczała.

- Mogłaś robić, co chciałaś, ze swoim biednym mężem, ale nie ze mną. Nawiasem mówiąc,

przyprawdę jutro prawnika. Nie każesz nam czekać, prawda?

Do licha, nie zamierzała się odezwać? Czy choćby na niego splunąć albo wymierzyć mu kopniaka w krocze?

- Wiesz - kontynuował po chwili śmiertelnej ciszy - nie jesteś zła, jak na kobietę. Być może za jakieś dziesięć lat będziesz niemal tak dobra w branży, jak ja byłem dziesięć lat temu. Lecz twoje hormony, Lizzie, sprawiają, że reagujesz zbyt emocjonalnie. Nie potrafisz myśleć tak jasno, jak mężczyzna. Nie mogłaś ze mną wygrać.

Elizabeth nadal milczała. Czyżby nie chciała się dowiedzieć, skąd zdobył pieniądze? Czy nie odczuwała pokusy, aby przyłożyć mu słownie, aby ukarać go za te prowokujące odzywki?

W końcu powiedziała:

- Przypuszczam, że ma pan rację, panie Harley.

Powoli dopiła resztę wody. Ostrożnie odstawiła szklaneczkę na stół. Podniosła z podłogi torebkę i wstała. Spojrzała na niego, a potem wyszła z restauracji.

Jonathan Harley zaklął.

Rozdział 20

Następnego ranka Jonathan wmaszerował do biura Elizabeth punktualnie o dziesiątej, w towarzystwie swego prawnika, Josha Simpsona. Studiowali razem w Yale i to Josh był jego przeciwnikiem podczas owego pamiętnego turnieju szachowego na ostatnim roku. Żałował, nie może wspomnieć o tym Elizabeth, gdy będzie ich sobie przedstawiał, lecz oczywiście było to niemożliwe.

Elizabeth siedziała przy okrągłym stole konferencyjnym. Obok niej zasiedli: Adrian Marsh, Coy Siverstone i Rod Samuels.

- Dzień dobry, Elizabeth. Witam panów - powiedział Jonathan, nie spuszczać wzroku z twarzy Elizabeth. W jej oczach malowało się napięcie. Była blada, ale zupełnie opanowana.

- Panie Harley - powiedziała, wskazując dwa wolne krzesła.

Jonathan przedstawił Josha.

- No cóż, nie widzę potrzeby, aby oddawać się dziś zbędnym pogawędkom. Przypuszczam, że Elizabeth powiedziała panom, po co przyszedłem.

Adrian potrząsnął głową.

- Nie, panie Harley. Czy chodzi o przedłużenie terminu spłaty?

Jonathan spojrzał na Elizabeth, lecz ona milczała.

- Nie - powiedział ostro. - Przyszedłem spłacić pożyczkę. Panie Marsh, może zechce pan polecić, by dokonano koniecznych obliczeń. Jeśli sumy będą się zgadzały, Josh uda się do mojego banku po czek gotówkowy.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Zdumienie, malujące się na twarzach współpracowników Elizabeth sprawiło Jonathanowi niekłamana przyjemność.

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, aby powiedzieć nam, jak udało się panu to osiągnąć?

- Wy, chłopcy, nie myślcie o Europie. A szpicel, którego wynajęliście, nigdy nie zbliżył się do mnie na tyle, by się zorientować, że człowiek, któremu zapłaciłem, by mnie udawał, to nie ja. Nawet jeżeli w porównaniu z ACI jestem tylko małą płotką, posiadam nieco wpływów, a także kontakty w Europie. To nie było nic trudnego, doprawdy.

Nie wspominał, że jego były teść, Andrew Pillson, także udzielił mu znaczącej pomocy.

- Poza tym - dodał - dawno nie byłem w Europie i chciałem nieco odpocząć, połączyć przyjemne z pożytecznym.

- Poleciałam już, by dokonano obliczeń, panie Harley - odezwała się Elizabeth. - Może pan je sprawdzić.

Wyjęła z teczki kilka arkuszy papieru i podała je Jonathanowi.

Obliczenia zgadzały się co do joty. Oczywiście. A czego się spodziewał?

Skinął na Josha. Po wyjściu prawnika pozostała czwórka siedziała przez chwilę w milczeniu. W końcu Jonathan powiedział:

- Czy moglibyście, panowie, zostawić nas na dziesięć minut samych?

Adrian spojrział na Elizabeth. Skinęła głową. Kiedy pozostali wyszli, Jonathan zapytał:

- Co z tobą?

Lecz ona tylko potrząsnęła głową.

- Do diabła, kobieto, jesteś wojownikiem! Pozwalasz, abym deptał po tobie! Co się stało?

Elizabeth uśmiechnęła się leciutko.

- A co niby miałabym zrobić? Wygrał pan, wyraził pan to zupełnie jasno.

- Zwymyślaj mnie.

- No dobrze. Udowodnił pan, że jest błyskotliwym biznesmenem. Prawdziwym mistrzem, jeśli chodzi o przetrwanie i stosowanie podstępów. I że nie boi się pan ryzyka. Mam nadzieję, że trafi pana szlag.

Wstał i zaczął przemierzać pokój.

- Rozwiązałem problemy ze związkami - powiedział.

- Tak, wiem.

- Ale ty też chciałaś je rozwiązać, dla własnej korzyści, prawda?

- Oczywiście. Wie pan, nawet my, chwiejne, zbyt uczuciowe kobiety, potrafimy czasem zrobić coś jak należy.

Wpatrywał się w nią. Stała odwrócona do niego tyłem, z lekko pochyloną głową. Zobaczył jej kark i zapragnął go dotknąć. Nagle uświadomił sobie, że nie ma powodu, by jeszcze kiedykolwiek się z nią mógł spotkać.

- Elizabeth - powiedział. - Tak?

- Do licha, odwróć się i spójrz na mnie!

- Tak, panie Harley?

- Powiedz, że nie sypiasz z Hunterem, by wynagrodzić go za to, co dla ciebie zrobił.

To wytrąciło ją z odrętwienia. Jest na nią zły. Nie rozumiała tego. Była jego wrogiem, czyż nie? On zaś był zwycięzcą. Czyżby chciał w ten sposób dodatkowo utrzczyć jej nosa?

- Ależ oczywiście, że sypiam z doktorem Hunterem. W końcu skoro ocalił mnie przed dożywociem, należy mu się chyba jakaś nagroda? Christian jest najlepszy i...

Chwycił ją w ramiona i pocałował.

- Kiepsko kłamiesz - powiedział, potrząsając Elizabeth.

Próbowała wzruszyć ramionami, lecz trzymał ją zbyt mocno.

Pocałował ją znowu. Nie odpowiedziała na pocałunek, po prostu zносиła to, czekając, aby ją puścił.

- To taki męski sposób świętowania zwycięstwa? - spytała po chwili, ocierając wierzchem dłoni usta. - Chce mi pan pokazać, ile jest warta? Przydać swemu niewiele znaczącemu triumfowi więcej blasku, demonstrując męską dominację i wymuszając uległość? Sądząc z tego, co pan tu przed chwilą zaprezentował, nie umywa się pan do reszty moich kochanków.

Ku zdumieniu Elizabeth Jonathan przesunął palcami po włosach i powiedział:

- Przepraszam. To było niestosowne.

Usłyszeli pukanie. W samą porę, pomyślała Elizabeth, nieco wytrącona z równowagi.

- Proszę - zawołała głośno. To byli Adrian i Coy.

- Panowie - powiedziała, wykrzywiając usta w parodii uśmiechu. - Proszę, zakończcie sprawę z panem Harleyem, mam na myśli dokumenty oraz całe to gadanie o baseballu i temu podobne. Spieszę się na spotkanie.

Odwróciła się do Jonathana i spostrzegła na jego wargach odrobinę szminki. Ciekawe, czy Adrian i Coy to zauważą, pomyślała.

- Wybacz pan - zwróciła się do Harleya i wyszła. Nie było żadnych pogawędek o baseballu. Adrian zauważył szminkę. Co tu się dzieje? - pomyślał.

*

Elizabeth siedziała sama w domu. Było wczesne popołudnie i słyszała, jak Kogi krząta się w kuchni. Tak, pamiętała, że Christian ma przyjść dziś na kolację. Jej kochanek. Jeden z wielu. Jaka szkoda, że nie potrafię się z tego śmiać, pomyślała.

Co zrobić z Jennifer Henkle? Dziwne, lecz nie myślała zbyt wiele o swej dzisiejszej porażce.

A potem pojawiła się Catherine, sprawiając, że Elizabeth znowu poczuła się winna, tak jakby częściowo ponosiła odpowiedzialność za sytuację, w jakiej znalazła się Jennifer. Co przypuszczalnie było prawdą. Jak Laurette mogła wymuszać zawarcie tego małżeństwa? Najwidoczniej starała się zapobiec ujawnieniu preferencji seksualnych wnuka, a także chciała oszczędzić rodzinie dalszych skandali. Elizabeth uświadomiła sobie, że w ciągu ostatnich miesięcy Brad się zmienił. Stał się bardziej nieodgadniony, zamknięty w sobie. Nie, nie będzie mu współczuć.

Po prostu musi trochę odpuścić, przestać o tym myśleć. Jeżeli senator Henkle nie troszczy się wystarczająco o córkę, aby... Aby co? Wywołać skandal, który zniszczyłby im życie? Nie, senator nie ma wyboru.

Myśl!

Instrument nacisku. Oto właściwe słowo. Z pewnością nie sprawdziło się w przypadku Jonathana Harleya, lecz... Musi być coś, co mogłaby zrobić. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy. Zdegustowana, wstała i bezwiednie skierowała się ku fortepianowi. Zatrzymała się raptownie i popatrzyła na instrument.

Nie zrobię tego. Nie mogę. Kogo obchodzi Jennifer? Jest dla mnie niczym. Niczym. Lecz gdyby spotkała pannę Henkle na ulicy, rozpoznałaby ją - sprawiły to zdjęcia.

Usiadła przy fortepianie. Pokonałeś mnie, Jonathanie Harleyu, pomyślała. Sprawileś, że czuję się jak kompletna idiotka. Europa, powiedziałeś. Prawdopodobnie Szwajcaria. Nikt z nas nie wziął tego pod uwagę. Ależ z ciebie śliski, podstępny sukinsyn!

Usłyszała brzęczyk z portierni. Gallagher sygnalizował, że ktoś pojawił się u drzwi.

Kogi wyłonił się z kuchni, wycierając dłonie w fartuch. Był tak ubrudzony mąką, iż nawet zegarek na jego przegubie nosił jej ślady. Kogi starannie wytarł go rękawem. Przyglądając się, jak to robi, Elizabeth zmarszczyła brwi. Coś... coś tu było nie tak.

- To pan Harley - powiedział Kogi. - Jest na dole i pragnie się z panią zobaczyć.

Chciałby jeszcze porozkoszować się swoim triumfem? Lecz on nie triumfował, nie tak, jak się spodziewała. Pocałował ją, mocno i z gniewem.

- Zapytaj go, proszę, czego sobie życzy. Słyszała głos Kogiego, ale nie mogła rozróżnić słów.

- Mówi, że ma dla pani niespodziankę.

- Bombę z zapalnikiem czasowym? - spytała, a potem potrząsnęła z rezygnacją głową. - Och, doskonale, wprowadź go.

Miała na sobie dzinsy i koszulkę z napisem „Muzycy Tylko Udają Miłość”. Była boso, a włosy związała w kitkę. I co z tego?

Usłyszała, jak Kogi pozdrawia Jonathana przy frontowych drzwiach, a potem prowadzi go prosto na górę.

Wstała, aby powitać gościa. On także pozbył się służbowego garnituru i miał teraz na sobie dżinsy, sportową koszulę oraz sztruksową marynarkę.

- Czego pan sobie życzy? - zapytała.

- Twój człowiek nie powiedział ci, że mam dla ciebie niespodziankę?

- Owszem, powiedział.

Wygląda wspaniale, pomyślał Jonathan, spoglądając na Elizabeth. Bez makijażu, z włosami związanymi w koński ogon i bez tego swojego służbowego stroju wyglądała świeżo i bardzo młodo. Wydawała się zaniepokojona i czujna, jakby kogoś się bała. Czyżby jego?

- Mogę usiąść?

- Skoro pan musi.

- Co za łaskawość.

- A czego spodziewał się pan ze strony przegrywającego? Szampana i kawioru?

- Kawa w zupełności by wystarczyła. Skinęła głową i Kogi odszedł w stronę kuchni.

- Przepraszam, że zaatakowałem cię dziś rano. Choć tak naprawdę żałuję tylko, że zrobiłem to w biurze. Zachowałem się niestosownie, ale doprowadziłaś mnie do szału.

- Jest pan tylko mężczyzną - powiedziała, wzruszając ramionami.

Poruszyła się i Jonathan natychmiast zerknął na jej biust. Nie miała na sobie stanika.

- Na miłość boską, panie Harley! Nie jestem jakąś cizią, na którą mógłby się pan gapić w ten sposób! Proszę powiedzieć, z czym pan przychodzi albo wynosić się.

Skinął głową i wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kilka złożonych arkuszy papieru.

- Podejdz tu - powiedział, nie patrząc na nią. Rozłożył papiery na stoliku przed sobą i czekał. Elizabeth, zaintrygowana, usiadła obok, choć niezbyt blisko.

- Cóż to takiego? - spytała z ironią w głosie.

- Spółki elektroniczne o zaawansowanej technologii, z których trzy znajdują się w doskonałej kondycji. Jest w nich olbrzymi potencjał, naturalnie gdyby ACI mogło wesprzeć je kapitałem i usprawnić zarządzanie. Co ważniejsze, ich właściciele chętnie je sprzedadzą, jeśli oferta sprosta ich oczekiwaniom. Wiem także o dwóch następnych, ale te trzeba byłoby wykupić podstępem.

Elizabeth była zbyt zaskoczona, by się odezwać. Podniosła starannie zadrukowane strony i przyjrzała się im. Oczywiście, słyszała o tych spółkach, ich kandydatury były omawiane podczas spotkania z zespołem zarządzającym ACI. Jednak nie powiedziała mu tego. Zbyt ją interesowało, dlaczego Jonathan jej pomaga. Chciała poznać motywy jego postępowania.

- Dlaczego?

Spojrzał na nią, a w jego oczach malowała się powaga.

- Sam nie wiem - powiedział po chwili, wzruszając ramionami. - Zrobiłem to zestawienie wczoraj wieczorem.

Nie powiedział jej, że sam planował kupno którejs z tych spółek i dane potrzebne do sporządzenia zestawienia od dawna były w jego posiadaniu.

- Zachował się pan przyzwoicie - powiedziała, podnosząc głowę.

Kogi przyniósł kawę i sprawnie ich obsłużył.

- Czy nauczył się pan tego w Yale? Rzucić przegrywającemu ochłap, by mógł zachować twarz?

- Nie. Zwykle rozkoszuję się zwycięstwem, gdy je odnoszę. Tym razem jest inaczej.

- Dlaczego?

- Z powodu ciebie.

Zabrzmiało to szczerze i przez chwilę Elizabeth czuła w głębi serca dziwne ciepło. Lecz trwało to tylko moment, a potem znowu ogarnął ją chłód. Nakazała sobie czujność.

- Jestem bardzo bogatą kobietą, panie Har...

- Jonathanie, jeśli łaska.

- No cóż.

- A co ma piernik do wiatraka? Ja też nie jestem bez grosza.

- Panie... Jonathanie, doceniam ten gest. To duża niespodzianka, naprawdę, lecz...

Przerwał jej raptownym machnięciem dłoni.

- Teraz, kiedy tamte sprawy nie stoją nam już na przeszkodzie, chciałbym cię widywać. Żadnych więcej interesów, żadnej rywalizacji, po prostu mężczyzna i kobieta.

Elizabeth sięgnęła po swoją filiżankę, nie po to, żeby się napić, ale by ogrzać zziębnięte dłonie.

- A gdybym wygrała, Jonathanie? Czy nadal chciałbyś się ze mną widywać?

- Dobrze pytanie - odparł ponuro. - Chyba nie. Gdybyś wygrała, pewnie wynająłbym płatnego mordercę.

- Co każe ci przypuszczać, że tego nie zrobiłam? Roześmiał się.

- Wiesz co? Pewnie zdarzyło ci się postąpić paskudnie, od kiedy przejęłaś ACI. Musiałaś, jeśli chciałaś przetrwać. Teraz jesteś czujna i ja to rozumiem, ale posłuchaj. Nie ma powodu, bym chciał wyrządzić ci krzywdę. Na pewno nie teraz, skoro utrzymałem firmę. Chciałbym... - przerwał nagle.

Elizabeth nie chciała tego usłyszeć. Wstała raptownie i odwróciła się do niego tyłem.

- Moje życie to jeden wielki bałagan - powiedziała. - Jest tyle spraw, tyle problemów domaga się rozwiązania...

- Pozbyłaś się Rowe'a Chalmersa, a z tego, co wiem, to on stanowił największy problem.

- Nie znasz nawet połowy moich problemów - powiedziała spokojnie. Odwróciła się powoli, by spojrzeć mu w oczy.

- Dlaczego chcesz się ze mną spotykać, skoro uważasz, że zamordowałam męża?

- Wcale tak nie uważam. Nigdy byś czegoś takiego nie zrobiła, nie ma mowy.

- Mówisz z takim przekonaniem. Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej. Byłbyś doskonałym świadkiem. I szkoda, że prokurator Moretti wierzy! głęboko, iż jestem zimnokrwistą dziwką. Nadal w to wierzy.

- Moretti to dureń.

- Wściekły dureń.

- Czy chciałabyś zapytać mnie o coś jeszcze, Elizabeth? Aby mnie sprawdzić?

Przesunęła dłonią po włosach. Rozdzwonił się telefon.

Elizabeth nie wiedziała, co powiedzieć, lecz oszczędzono jej decyzji, bowiem w tym właśnie momencie w salonie pojawił się Kogi.

- Przepraszam, *madame*, lecz doktor Hunter pyta, o której ma przyjść na kolację.

Spostrzegła, że Jonathan zeszywniał. Zupełnie jak rozgniewany kogut.

- Powiedz doktorowi Hunterowi, że siódma będzie w sam raz - odparła spokojnie.

Kogi skinął głową i wyszedł.

- No cóż - oznajmił Jonathan, wstając. - To wszystko wyjaśnia.

- Niezupełnie - powiedziała Elizabeth.

- A to co znowu znaczy?

- Proszę, Jonathanie. Dziękuję za twój wspaniałomyślny gest.

- Wypchaj się.

Wyszedł, nie oglądając się za siebie. Po chwili usłyszała, że drzwi wejściowe zatraskują się z hukiem.

- Brad, co się stało? - spytała Jenny.

Miał ochotę wrzasnąć, że już nie może tego wytrzymać.

- Zrobiłam coś nie tak? Gniewasz się na mnie? Czy ona nie ma ani odrobiny charakteru?

- Nie gniewam się na ciebie, Jenny - powiedział, przewracając się na plecy.

Spojrzał na sufit. Po co przyprowadził ją do tego motelu? Poczul, że jej dłoń sunie powoli ku jego kroczu.

- Nie rób tego - skarcił ją ostro.

Usłyszał cichy szloch i poczul się tak, jakby właśnie kopnął szczeniaka. Obrócił się na bok i spojrzał na swoją narzeczoną, na kobietę, którą miał wkrótce poślubić, by potem spędzić z nią resztę życia.

- Posłuchaj, Jenny, bardzo mi przykro. Po prostu mam teraz zbyt wiele na głowie. To nie ma z tobą nic wspólnego, zapewniam cię.

Jenny skinęła głową. Czula się okropnie i nie wiedziała, jak temu zaradzić.

- Chyba wezmę prysznic - powiedziała cicho. - Za godzinę powinniśmy być u twojej babki.

Brad chrząknął potakująco. Ulżyło mu, gdy wstała i znikła w łazience. Bardzo żałował, że nie ma z kim szczerze porozmawiać. Evan by go zrozumiał, zawsze rozumiał. Lecz Evan był teraz w Grecji, gdzie prawdopodobnie posuwał wszystkich młodych mężczyzn, jakich tylko mógł zdobyć, płacąc im pieniędzmi z odprawy, wypłaconej mu przez Laurette.

Powinieneś zamienić się miejscami z Trentem. Tak właśnie powiedziała Catherine. Miałby ściągnąć tu starego Trenta, by teraz on zakosztował władzy żelaznej babki? A właściwie dlaczego nie? Nie jest biedny, mógłby zwać i żyć tak, jak mu się podoba.

Nie mógł już nawet rozkoszować się myślą o zniszczeniu Elizabeth. Zostali nakryci, a główny przeciek był zlikwidowany.

Nadal prowadził swoje spółki, a jakże, tyle że teraz był zależny od Elizabeth, która zawiadywała jego życiem zawodowym, tak jak babka prywatnym. Przez ostatnie miesiące po prostu płynął z prądem, egzystował, nic więcej.

Wstał z łóżka. Usłyszał, że Jennifer zakręca wodę. Oby tylko nie wyszła z łazienki naga, modlił się. Tego by już chyba nie wytrzymał.

Skończy z tym. Najpierw babka.

*

Sala balowa w posiadłości Dickersonów w Back Bay lśniła w światłach żyrandoli. Goście byli wspaniali, podobnie jak kwietny wystrój pomieszczenia, a gwar, panujący w sali, niezbyt dokuczliwy. Klejnoty pobłyskiwały, kiedy ich właścicielki kręciły się w tańcu. Catherine potrząsnęła dłonią pani Dickerson, mamrocząc:

- Dziękuję bardzo, że znalazła pani dla mnie miejsce, choć poprosiłam o to w ostatniej chwili. To bardzo uprzejmie ze strony pani.

- Oczywiście, moja droga, cała przyjemność po naszej stronie. Jak tam twoja babka?

- W porządku.

Następna para zbliżyła się, aby powitać gospodarzy, więc pani Dickerson poklepała Catherine po ramieniu i powiedziała:

- Baw się dobrze, moja droga. Znasz chyba wielu gości.

O, tak, pomyślała Catherine, przemierzając powoli salę, lecz tylko jednego spośród nich chcę, muszę zobaczyć.

Wzięła kieliszek szampana ze srebrnej tacy, niesionej przez służącego, i zanurzyła w chłodnym trunku wargi.

Dostrzegła Amandę Montgomery, stanowiącą centrum uwagi otaczającej ją grupki mężczyzn. Rowe'a przy niej nie było. Stał w rogu sali. Rozmawiał z kilkoma biznesmenami. Wyglądał na rozsądnego, godnego zaufania. Dobrze, że przyszedłem, pomyślała Catherine. Odstawiła pusty kieliszek i zaczęła torować sobie drogę ku miejscu, gdzie stał Rowe.

Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Umilkł w połowie zdania i odwrócił się. W jego oczach odmalowało się zdumienie i coś jeszcze, czego na razie nie potrafiła rozszyfrować.

- Wybaczcie mi, panowie - powiedziała wesoło. - Przyszedłem, by porwać pana Chalmersa na parkiet.

- Cóż za radosna niespodzianka. Czy mogę spytać, co tu robisz?

Rowe bynajmniej nie był rozbawiony. Mimo woli zauważył, że Catherine wygląda dobrze, tak dobrze, iż miał ochotę zaciągnąć ją na balkon i kochać się z nią. Co za nedorzeczne pragnienie, pomyślał.

- Zostałam zaproszona. Czy nie mógłbyś choć raz przywitać się ze mną, jakby ucieszył cię mój widok?

Wsunęła rękę w jego dłoń, a drugą położyła mu na ramieniu.

- Tańcz - powiedziała, przytulając się do niego.

- Catherine, jeśli nie przestaniesz, będę musiał przez cały czas odwracać się do wszystkich plecami.

- Aż tak na ciebie działałam, Rowe?

- Dziwko, dobrze wiesz, co robisz.

- Tańcz, Rowe. Westchnął.

- O co tym razem chodzi, Catherine? Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Powiedzieć ci coś? Nie mam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać i komu mogłabym zaufać. Z wyjątkiem ciebie, bez względu na to, jak dziwnie by to brzmiało.

- Bzdura.

- No dobrze. Chciałam ci powiedzieć, że rozmawiałam parę dni temu z Elizabeth. Przeprosiłam ją, a przynajmniej próbowałam to zrobić. Nigdy dotąd nie widziałam jej tak zdziwionej.

Wpatrywał się w nią skonfundowany.

- Dlaczego to zrobiłaś? Przecież jej nienawidzisz.

- Już nie. Chciałam się czegoś dowiedzieć, chociaż zdawałam sobie sprawę, że ona nie będzie mogła mi pomóc. I wiesz co? Uważam, że gdyby mogła, zrobiłaby to. Pomogłaby mi.

- Świat przewraca się do góry nogami. Mówisz o tym wcieleniu zła, kobiecie, która zamordowała twego ojca?

- Myliłam się. Byłam głupia.

Przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

- No, to jest nas już dwoje - powiedział. - Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Ty, w pewnym stopniu, a potem Christian Hunter. No i, w końcu, sama Elizabeth. Chyba potrzebowałam kogoś, kogo mogłabym obwinać, a Elizabeth doskonale pasowała do roli

morderczynie. A teraz, kiedy nie wiem, kto naprawdę zamordował ojca, i kiedy pomyślę, że mógł to być ktoś z rodziny...

Umilkła, bowiem dostrzegła Amandę, która się wpatrywała w Catherine lodowatym spojrzeniem.

- Skoro nie jestem już dziwką, to znaczy, że ty przestałeś być sukinsynem? - spytała spokojnie.

- Nie można zmienić przeszłości, Catherine.

- Nie, ale można ukształtować przyszłość i nauczyć się żyć z przeszłością.

Uśmiechnęła się.

- Doktor Hunter powiedział coś takiego, i wiesz, miał rację.

Muzyka umilkła, a oni stali nieruchomo, wpatrując się w siebie.

- Patrzcie, państwo, kogo my tu mamy! Catherine Carleton? Co ty tu robisz?

Rowe niespiesznie wypuścił Catherine z objęć.

- Widzę, że pamiętasz Catherine, Amando. Jest tutaj, ponieważ została zaproszona, a tak się złożyło, że akurat przebywała w Bostonie.

- Witaj, Amando. Co za piękne brylanty.

- Dziękuję. Może byś tak poszła się pobawić z kimś innym? Zatańczymy, Rowe?

Rowe nie był ani trochę zdziwiony, kiedy wracając z przyjęcia o pierwszej nad ranem, zastał pod domem Catherine. Czekala w samochodzie. Podeszła wraz z Rowe'em do drzwi i uśmiechnęła się do niego.

- Amanda powiedziała, żebym poszła się pobawić.

- Już bardzo późno - zauważył, przekręcając klucz w zamku.

- Mogę wejść?

- To nie jest dobry pomysł i doskonale o tym wiesz, Catherine.

Chwyciła go za kłapy i mocno pocałowała. Chwycił ją za przeguby i odsunął.

- Jeśli zrobisz to jeszcze raz, wyładujemy w łóżku. Pocałowała go znowu.

- Czy nie dlatego wróciłeś do domu? Sam? Wiedziałeś, że tu będę, prawda?

- Wspaniała kolacja, jak zwykle - powiedział Christian, poklepując się po brzuchu i odchylając na krześle.

- Tak - przytaknęła Elizabeth, nadal pogrążona w myślach o Jonathanie Harleyu.

- Jesteś dziś o tysiące mil stąd, kochanie. Wzdrygnęła się, słysząc ten czuły zwrot.

- Wybacz, Christianie. Problemy związane z pracą, a jest ich coraz więcej, dopadają mnie w najmniej odpowiedniej chwili. To czyste wariactwo.

- Chciałbym, abyś przestała teraz o nich myśleć, dobrze? Muszę zapytać cię o coś bardzo ważnego, Elizabeth.

Och, nie, pomyślała, spoglądając na niego. Proszę, nie.

- O, jest Kogi i twoja ulubiona kawa.

Gdy Kogi ich obsługiwał, Elizabeth spojrzała znów na zegarek na jego przegubie - zegarek Timothy'ego, który Christian, jak jej powiedział, miał już okazję oglądać i podziwiać.

Coś nie dawało jej spokoju, coś, o czym powinna była pamiętać, a czego zupełnie nie potrafiła teraz skojarzyć..

- O czym tak rozmyślasz, Elizabeth?

- O tym, że myliłam się w pewnej sprawie, ale to nic ważnego. Mogę zagrać, Christianie?

- Tak, bardzo proszę.

Grała, dopóki jej nie przerwał. Stał za fortepianem i powiedział spokojnie:

- Wyjdź za mnie, Elizabeth. Znieruchomiła.

- Kocham cię, Elizabeth, i to od dawna. Wyjdź za mnie.

- Nie mogę, Christianie - odwróciła się, aby na niego spojrzeć. - Przykro mi, ale nie mogę. Jesteś moim najdroższym przyjacielem, wiesz o tym. Ale nie kocham cię, nie tak, żeby cię poślubić.

- Jest ktoś inny?

- Nie. Och, Christianie, czy nie mogłoby być tak, jak dotychczas? Tak wiele dla mnie zrobiłeś i...

- Tak. Skłamałem dla ciebie. Zrobiłem to, bo cię kochałem już wtedy. Próbowałem cię chronić.

Gdyby nie ja, nadal byłabyś z Chalmersem, a Carletonowie mieliby okazję się mścić.

Wpatrywała się w niego, lecz uświadomił sobie, że wcale nie jest zdziwiona.

- To przecież ty wysłałeś mi tamten anonimowy list, prawda?

- Oczywiście. Czuwałem nad tobą, Elizabeth. A ten drugi mężczyzna, ten, którego widziałem, jak odprowadzał cię do domu. Kim on jest?

- To nikt ważny.

- Elizabeth, jestem zawodowcem, wiem, kiedy ktoś kłamie. Kim on jest?

Nagle poczuła, że się boi. Coś w jego oczach ją zaalarmowało. To zazdrość, pomyślała, z pewnością chodzi o zazdrość.

Próbowała się uśmiechnąć.

- To tylko znajomy, Christianie. Ktoś, z kim starałam się na polu zawodowym. Proszę, bądź moim przyjacielem. Czy nie moglibyśmy...

Chwyił ją za ramiona i zmusił, by wstała. Dwóch jaskiniowców jednego dnia, pomyślała, zanim ją pocałował. Nie był to delikatny pocałunek.

Rozdział 21

Przemocą wepchnął swój język w jej usta, przytrzymując jej twarz, aby nie mogła się odsunąć.

Elizabeth zaczęła się wyrywać z jego objęć. Wygięła plecy, starając się go odepchnąć. W końcu udało jej się odsunąć głowę.

- Przestań, Christianie! Co z tobą? Przestań! Puścił ją równie szybko, jak przedtem pochwycił.

Uwolnił jej ramiona i odsunął się o krok.

- Wyjdź za mnie - powtórzył, gwałtownie chwytając powietrze.

Potrząsnęła głową, zaskoczona i oziębiała.

- Musisz.

Poczuła, jak ogarnia ją gniew.

- Nie muszę robić czegoś, czego nie chcę. Lepiej już idź, Christianie.

Uświadomił sobie, że wszystko zepsuł. Przestraszył ją, a potem rozgniewał. Stracił głowę.

- Nie wyjdiesz za nikogo innego, Elizabeth. Nie możesz.

- To akurat zapewne jest prawdą - odparła.

- Ten mężczyzna, ten drugi...

- Może byś tak przestał? Proszę, idź już. Wystarczy jak na jeden dzień. Więcej nie potrafię znieść.

Zmieniła się, czuł to. Zwróciła się przeciwko niemu, nieodwołalnie. Nie chodziło tylko o to, że ją wystraszył. Utracił ją. Zamknął na chwilę oczy. Był już tak blisko, poruszał się tak ostrożnie i powoli, a teraz... Żona nie musiałaby świadczyć przeciwko mężowi. Ten przeklęty zegarek... czy ona sobie przypomni ten szczegół? A jeśli tak, co wtedy zrobi?

- Wychodzę - powiedział.

Patrzyła, jak wkłada marynarkę i wpycha do kieszeni fajkę, napełnioną angielskim tytoniem.

- Christianie... Odwrócił się do niej.

- Bardzo mi przykro, naprawdę.

Nie odezwał się już ani słowem i wyszedł.

*

- Zdradziłaś mnie, przeklęta dziwko! Dziwka! Susan jęknęła. To bolało, naprawdę bolało. Gryzł jej wargi, tak, iż czuła smak własnej krwi.

- Zasługujesz na to, co zaraz dostaniesz!

W końcu poczuła, że zadrżał, a potem jego ciało zwiotczało. Leżał na niej, pocąc się obficie. Przygniatał ją i z trudem mogła oddychać.

- Zdradziłaś mnie - powtórzył.

- O, nie, Christianie - westchnęła. - Nigdy cię nie zdradziłam!

Furia, czerwona mgła, która na jakiś czas spowiła jego umysł, zaczęła wreszcie ustępować.

- Elizabeth - powiedział.

Otworzył oczy, uniósł się na rękach i spojrzał na pobladłą twarz Susan.

- Dziwka - powtórzył cicho.

Uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Poczuł, jak wije się pod nim, próbując się uwolnić, i uderzył ją ponownie. Przyglądał się, jak na białym policzku dziewczyny wykwita czerwony odcisk jego palców.

Odsunął się i usiadł na skraju łóżka. Susan skuliła się pod prześcieradłem. Milczała. W zachowaniu kochanka było coś szalonego, budzącego strach.

W końcu Christian wstał i zaczął się ubierać.

- Czynsz został uregulowany za następny miesiąc - wysyczał przez zaciśnięte zęby. - Potem się wyniesiesz.

- Nie mogę się tak szybko wyprowadzić - powiedziała i natychmiast tego pożałowała.

Odwrócił się do niej. Twarz miał stężałą z gniewu, a dłonie zaciśnięte w pięści.

- Żadna z was nie jest nic warta. Fałszywe, głupie cipy, wszystkie.

Susan miała dość rozsądku, by wiedzieć, że lepiej się nie odzywać. Pomyślała o lekcjach gry na fortepianie, o niezliczonych godzinach spędzonych na bębnieniu w klawisze. I po co to wszystko? Aby odgrywać rolę innej kobiety, którą teraz Christian znienawidził. A zatem Elizabeth Carleton go zdradziła. Sprytna dziwka.

Słyszała, jak mamrotał pod nosem obsceniczne przekleństwa. Zaskoczyło ją to, ponieważ nigdy dotąd nie słyszała, by klął, czy choćby brzydko się wyrażał.

W końcu zamilkł. Susan modliła się, by wreszcie sobie poszedł. A kiedy to zrobił, następne dwadzieścia minut spędziła na pakowaniu. Wyciągnęła spod łóżka walizki, a potem spojrzała na zmiętą pościel, poznaczoną plamami wilgoci. Wzdrygnęła się, a jej dłoń mimo woli powędrowała ku miejscu, gdzie ją uderzył. Wyszła z sypialni i skierowała się do saloniku, mijając po drodze fortepian.

Przy drzwiach wyjściowych zatrzymała się. Piękny apartament zaczął nagle wyglądać jak więzienie.

*

- Chcę, żebyś pokazała Jenny zdjęcia, babko. Laurette poczuła, że brakuje jej tchu. Opanowała się jednak.

- O co chodzi, Brad? - spytała.

Wnuk stał przed nią i rzucał jej wyzwanie. Czekala. Był skołowany, ot co. Ktoś z nim rozmawiał i namieszał mu w głowie tak, że teraz nie był już pewny, co jest dla niego najlepsze.

- Nie ożenię się z Jenny. Albo pozwolisz mi z nią zerwać, albo pokażę jej zdjęcia i niech sama to zrobi. Koniec z szantażem.

- Ślub ma się odbyć w przyszłym miesiącu.

- Nic z tego. To twój pomysł, babko. Ja już nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Nie będziesz rozmawiał ze mną w ten sposób, Bradleyu! Jak śmiesz, smarkaczu!

- Z pewnością nie jestem już smarkaczem. Jestem mężczyzną. Jak ty śmiesz kontrolować moje życie? Catherine miała rację, gdy powiedziała...

- Ach. - Laurette odchyliła się na krześle. To Catherine nakładła mu do głowy tych głupstw. - Więc pobiegłeś z płaczem do siostry?

- Nie, prawdę mówiąc, Catherine znalazła zdjęcia. Oczywiście, przypadkiem. Ona przynajmniej się o mnie troszczy. Przyszła do mnie.

Laurette poczuła ostry ból w lewym ramieniu, a potem postępujące w dół odrętwienie.

- Brad, ja też troszcę się o ciebie. Wiem, co dla ciebie najlepsze. Musisz zrobić, co ci każe. Nie jesteś mężczyzną, jeszcze nie. Nie będziesz nim, dopóki nie poślubisz Jenny i nie dasz mi wnuków. Wtedy staniesz się mężczyzną i będziesz mógł robić, co sobie...

Ból przybrał na sile, stał się nie do zniesienia. Mimo woli przycisnęła dłoń do piersi.

- O Boże - szepnęła. - Nie teraz, kiedy tyle jest jeszcze...

- Babko!

Bezradnie przyglądał się, jak ciało babki wiotczeje, a głowa uderza o blat biurka.

Catherine przysłuchiwała się, jak Rowe wyśpiewuje pod prysznicem. Czowała się dobrze - nie, czowała się cudownie.

Z dołu dobiegł ją nagły dźwięk dzwonka.

Rowe najwidoczniej niczego nie słyszał. Zeskoczyła z łóżka i wśliznęła się w jego aksamitny szlafrok.

- Kto tam? - zawołała, zbiegając po schodach.

- To ja, Amanda Montgomery - usłyszała po chwili. - Proszę mnie wpuścić, pani Grady.

Kim mogła być pani Grady? Zapewne gospodynią. Catherine błyskawicznie podjęła decyzję. Wyprostowała ramiona i otworzyła drzwi.

Obie kobiety przez chwilę wpatrywały się w siebie, Catherine z lekkim uśmiechem na ustach, Amanda tak zdumiona, że nie była w stanie się poruszyć, a co dopiero przemówić.

- Witaj, Amando. Jesteś pewna, że chcesz wejść? A co do pani Grady, to chyba dziś ma wychodne.

- Ty przekłeta dziwko! Zejdź mi z drogi! Amanda miała ochotę ją zamordować. Odsunęła Catherine i wpadła do holu. Ujrzała Rowe'a. Stał na podeście, ubrany jedynie w ręcznik.

Rowe miał wrażenie, że znalazł się nagle na scenie, gdzie odgrywana jest bardzo kiepska komedia. Amanda wpatrywała się w narzeczonego i milczała. Uświadomił sobie, że ona po prostu nie jest w stanie uwierzyć w to, co widzi. Zwykle dostawała wszystko, czego zapragnęła. Aż do tej chwili.

- Witaj, Amando - powiedział.

Nie poruszył się. Nie był aż tak głupi.

Amanda odwróciła się i błyskawicznie, niczym atakująca kobra, wyrznęła Catherine w twarz tak mocno, że dziewczynie głowa odskoczyła do tyłu. Zrobiło jej się czerwono przed oczami.

Wyciągnęła rękę i chwyciła Amandę za rękaw. Wspaniały, kosztowny jedwab rozdarł się jej w palcach. Poczowała, że Amanda chwyta ją za włosy. To bolało, rzuciła się więc na przeciwniczkę i po chwili tarzały się już po podłodze, walcząc niczym dwie wściekłe kocice, wrzeszcząc i kopiąc.

- O, Jezu - powiedział Rowe, zbiegając po schodach. - Przestańcie!

Próbował odciągnąć Amandę i dostał pięścią w żołądek. Tak zajadle walczące kobiety widywał dotąd jedynie w telewizji.

W końcu udało mu się chwycić Amandę pod pachy i unieść. Próbowała go kopnąć, nie przestając wrzeszczeć na Catherine.

Potrząsnął nią.

- Uspokój się!

Zobaczył, że Catherine gramoli się z podłogi. Nie zaatakowała jednak, tylko stała, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje.

- Amando - powtórzył, nie puszczając narzeczonej.

- Puszczaj, sukinsynu!

- Boję się.

Uwolniła ramię i wymierzyła mu łokciem cios w żołądek. Wypuścił ją i błyskawicznie się cofnął. Przez chwilę spoglądała to na Rowe'a, to na Catherine.

- Jesteście siebie warci - powiedziała w końcu, zdejmując pierścionek. Rzuciła go na podłogę.

- Zniszczę cię za to, Rowe.

- Chyba już to słyszałem - powiedział. - Posłuchaj, Amando przykro mi, ale...

- Ale co?!

- Masz rację. Nie zasługujesz na takiego sukinsyna jak ja. Życzę ci szczęścia, Amando.

Z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi. Rowe i Catherine przez chwilę wpatrywali się w siebie.

- Sądziła, że jestem panią Grady - powiedziała w końcu Catherine.

- Cholera jasna - zaklął Rowe, przeczesując palcami włosy.

- Ręcznik ci opada.

- Catherine, ktoś powinien porządnie wyłoić ci skórę. Dlaczego jej otworzyłaś?

- Przynajmniej nie musisz spędzić reszty życia z tą okropną kobietą.

- Co teraz, Catherine?

- Chodźmy na górę i przedyskutujmy to.

- Jesteś niemożliwa!

- A tobie spada ręcznik.

Roześmiał się. Uświadomił sobie, że nie śmiał się od bardzo dawna. Sprawilo mu to przyjemność. Podobnie jak świadomość, że wreszcie jest wolny.

*

Ciepła kanapka z pastrami ogrzewała dłonie Elizabeth nawet przez torebkę, w którą była zapakowana. Kogi miał wychodne, a ją naszła nieprzeparta ochota właśnie na taką skromną potrawę. Już samo wyobrażenie apetycznego ryżowego chleba pokrytego musztardą sprawilo, że ślinka napłynęła jej do ust.

Poszła do sklepu garmazeryjnego na Madison, w pobliżu Osiemdziesiątej Czwartej i teraz, kiedy delikatny wieczorny wietrzyk wicherzył jej włosy, a cudowny zapach sandwicza drażnił nozdrza, poczuła się znów jak istota ludzka. Ściemniało się już, więc mimo woli przyśpieszyła kroku.

Sprawy mogły przybrać gorszy obrót. Następnego dnia była umówiona z Laurette Carleton. Chciała przemówić staruszce do rozsądku. Działała, nie pozostawiała bezczynna.

Nucąc piosenkę z musicalu *My Fair Lady* zerknęła w dół ulicy, a potem weszła na jezdnię.

Odgłos nadjeżdżającego samochodu nie przedarł się do jej świadomości, dopóki nie usłyszała, że ktoś krzyczy. Zatrzymała się raptownie i zobaczyła ciemnoniebieskiego sedana. Wóz pędził wprost na nią i coraz bardziej przyśpieszał.

Zamarła, niezdolna się poruszyć, dopóki nagły przyptyw adrenaliny nie zmusił jej, by odskoczyła. Przebywszy odległość, którą w normalnych warunkach z pewnością uznałaby za niemożliwą, obróciła się i wylądowała na plecach pomiędzy dwoma innymi samochodami. Sedan przemknął z rykiem tuż obok niej, owiewając ją ciepłem rozgrzanego silnika. Uświadomiła sobie, że bolą ją plecy. Widocznie, padając, uderzyła o zderzak jednego wozu i odbiła się od niego.

- Nic się pani nie stało?

Podniosła wzrok i zobaczyła starszego mężczyznę.

- Moja kanapka z pastrami... Mężczyzna pomógł jej się podnieść.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Tak.

- To szalencie! Mógł panią zabić!

- Moja kanapka... - powtórzyła, spoglądając na zgniecione resztki sandwicza.

Mężczyzna potrząsnął głową. To pewnie szok, pomyślał.

- Zadzwoń po karetkę, dobrze?

- Nie... nie, nic mi nie jest. Mieszkam tuż obok.

- Zaprorowadzę panią.

Stał tuż przy Elizabeth, gotów podtrzymać ją, gdyby zakręciło się jej w głowie. Gallagher wypadł z domu i podbiegł do nich.

- Co, do cholery...?

- Jakiś facet o mało jej nie rozjechał. Nazywam się Foggerty. Lepiej niech się pan zajmie tą damą.

Foggerty zostawił Elizabeth w drżących dłoniach Gallaghera.

- Nic mi nie jest, Liam - powiedziała Elizabeth. - Naprawdę.

- Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło - zażądał Gallagher, nie puszczając jej dłoni.

- Mężczyzna w dużym samochodzie... próbował mnie przejechać, tak jak powiedział pan Foggerty.

- Zaprorowadzę panią na górę, a potem zadzwonię po gliny.

Potrząsnęła głową, lecz Gallagher zignorował sprzeciw.

Zaprowadził Elizabeth do windy, posadził ją na ławeczce i ruszył do telefonu. Nie namyślając się, poprosił o połączenie z porucznikiem Draperem.

Po trzydziestu minutach wprowadził porucznika. Nie widział go od... od tamtego strasznego dnia, kiedy pan Carleton został zamordowany, a porucznik przesłuchiwał panią Carleton. Uświadomił sobie, że chyba nie powinien był dzwonić właśnie do Drapera. Lecz stało się, porucznik stał właśnie pod drzwiami.

- Co tu się dzieje, Gallagher? Nazywa się pan Gallagher, prawda?

Liam skinął głową.

Lenny Draper wmaszerował do wspaniałego salonu. Minęło już tyle czasu, pomyślał, a ona wykręciła się od odpowiedzialności i nadal żyje na wysokiej stopie. Gestem nakazał towarzyszącemu policjantowi z patrolu, aby zaczekał na niego przy drzwiach.

- Chodzi o panią Carleton, poruczniku. Jakiś człowiek próbował ją przejechać.

- W końcu dosięgła ją ręka opatrności, co? - powiedział niemal wesoło Draper.

- Proszę posłuchać... - zaczął Gallagher, czerwony z gniewu.

- Niech się pan tak nie przejmuje, bo dostanie pan wrzodów.

Wszedł do salonu. Siedziała nieruchomo na sofie, która kosztowała zapewne tyle, ile wynosiła jego półroczna pensja.

- Pani Carleton - zaczął, zajmując miejsce naprzeciw niej i wyciągając notes z kieszeni marynarki. - Co się wydarzyło?

Elizabeth wzdrygnęła się mimo woli, wspominając niekończący się strumień pytań, lekceważenie, szyderstwa oraz niedowierzanie, z jakim porucznik tak niedawno reagował na jej odpowiedzi. I ten dzień, kiedy odczytał Elizabeth jej prawa i aresztował ją. Dlaczego Liam zadzwonił akurat do niego?

- Co się właściwie stało? - powtórzył Draper, uświadamiając sobie, że kobieta naprzeciw niego

naprawdę jest w szoku.

Elizabeth zwilżyła wargi.

- Napije się pan kawy, poruczniku?

- Nie. Mam wezwać lekarza?

Potrząsnęła głową. Jej palce bezwiednie ugniały skraj wełnianego szala, którym okrył ją Gallagher.

- Jakiś mężczyzna - powiedziała w końcu. - Wiem, że to był mężczyzna, i że był sam. Prowadził duży samochód, chyba ciemnoniebieski. Przechodziłam przez ulicę, a on przyspieszył gwałtownie i ruszył na mnie, celowo. Próbował mnie przejechać.

- Jak udało się pani tego uniknąć?

- Oskoczyłam. To było niczym skok w dal na olimpiadzie. Wylądowałam pomiędzy dwoma samochodami, a on pojechał dalej. Prawdopodobnie bał się zatrzymać, ponieważ zobaczył Foggerty'ego.

- Foggerty'ego?

- Starszego pana, który mi pomógł.

Była w szoku, Draper widział to teraz wyraźnie. Twarz mu się ściągnęła. Nie zamierzał współczuć tej kobiecie.

- Widziała pani jego twarz? - Nie.

- Tablicę rejestracyjną? Cokolwiek?

- Nie. Jechał zbyt szybko, a ja byłam przerażona.

- Gdzie mieszka ten Foggerty'ego?

Elizabeth patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Gallagher podszedł bliżej, przeczesując palcami włosy.

- Zapomniałem go zapytać, ale z pewnością mieszka gdzieś w pobliżu, myślę, że parę domów w dół ulicy.

- No dobrze - oznajmił Draper, wstając. - Poszukam tego Foggerty'ego i zobaczę, co będzie miał do powiedzenia. Powinna pani jednak wezwać lekarza.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, towarzyszący mu policjant powiedział podekscytowanym tonem:

- To ona, prawda, poruczniku? Kobieta, która zamordowała męża?

- Tak, i została uniewinniona.

- Boże, widział pan ten dom?

- Widziałem, i to nie raz. Znajdźcie mi tego Foggerty'ego. Najwidoczniej facet widział całe zajście.

Dochodziła dziesiąta wieczór, kiedy pojawił się Moretti. Gallagher przez chwilę wpatrywał się w niego zdumiony.

- Słyszałem, że mieliście tu drobną przygodę - powiedział Moretti, uśmiechając się szeroko.

- Powiedziałbym, że to sprawa dla policji, nie dla prokuratora okręgowego.

- Nie wymądrzaj mi się tu, Gallagher. O tak, chłopie, pamiętam, jak się nazywasz. Czy dama nadal przebywa w zamku?

- Lekarz dał jej środek uspokajający, więc pewnie śpi.

- Dobrze, zaanonsuj mnie. Być może z czymś się wygada, skoro jest pod działaniem chemii.

- Skurwiel - mruknął Gallagher pod nosem. Dobrze, że Kogi jest w domu. Zadzwoił na górę i

patrzył, jak Moretti zmierza do windy niczym drapieżnik polujący na ofiarę. Ależ z niego głupiec, że zadzwonił akurat do Drapera.

Elizabeth, ubrana w długi szlafrok, weszła powoli do salonu. Na widok Morettiego gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Czego pan chce?

- No cóż, reprezentuję prawo, porządek i sprawiedliwość, pani Carleton - powiedział bez zająknięcia. - Mogę usiąść?

Elizabeth żałowała, że nie ma siły go wyrzucić. Zresztą on i tak zignorowałby ewentualny sprzeciw. Ulokował swoje potężne ciało w jej ulubionym ogromnym fotelu.

- Słyszałem, że o mało ktoś pani nie załatwił - zagał uprzejmie.

- Powiedziałam porucznikowi Draperowi wszystko, co zapamiętałam.

- Taaa, wiem. Lenny do mnie zadzwonił, na wypadek gdyby mnie to zainteresowało. I rzeczywiście, zainteresowało.

- Czego pan chce?

- Co do Foggerty'ego, to stary tuman także nic więcej nie pamięta. Szkoda, co, pani Carleton? Wygląda na to, że teraz ktoś poluje na panią.

- Czego pan chce? - powtórzyła po raz trzeci. Valium zaczęło już działać i czuła w głowie dziwną pustkę.

- Tak się tylko zastanawiałem, kto też mógłby chcieć usunąć panią z drogi. Czy ma pani dość papieru, by spisać dla mnie listę swoich wrogów? - zapytał, uśmiechając się.

Uświadomiła sobie, że Kogi stanął przy jej boku, gotów bronić swojej chlebodawczyni. Zupełnie jak mały japoński kogucik, pomyślała przelotnie.

- Może by pan tak wyszedł?

- Nie będzie żadnej listy, pani Carleton? Jak Draper ma wykonywać swoje zadania, skoro odmawia pani współpracy?

Jego to naprawdę cieszy, pomyślała Elizabeth. Czuła, jak ogarnia ją słabość, więc tylko potrząsnęła głową.

- Jestem zmęczona. Kogi, odprowadź pana do wyjścia.

- Niech się pani pilnuje - zawołał za nią Moretti. - Z pewnością nie chcielibyśmy, by poszła pani w ślady męża, prawda, pani Carleton?

Była zbyt zmęczona i otumaniona, by odpowiedzieć. Po prostu odwróciła się i wyszła z salonu. Z tyłu dobiegł ją cichy śmiech Morettiego.

Następnego dnia, rano, Kogi odebrał telefon. Przez chwilę rozmawiał ściszym głosem, nie wiedząc, jak powinien postąpić. W końcu westchnął i podszedł do Elizabeth, która siedziała nieruchomo na sofie, wpatrując się w ekran telewizora. Nie poruszyła się od dobrej godziny.

- To pan Harley - powiedział, wręczając jej słuchawkę.

- Co się dzieje? O co chodzi, Elizabeth? Zadzwoniłem do biura i pani Stacy uraczyła mnie jakimiś bzdurami o tym, jak to się nagle rozchorowałaś.

- Nie, nie jestem chora, tylko bardzo zmęczona. Czego sobie życzysz?

- Życzę sobie, żebyś przestała się zachowywać jak ofiara okoliczności.

Uśmiechnęła się leciutko. Gdyby wiedział... Zdusiła histeryczny śmiech, który narastał jej w gardle.

- Słyszałaś o Laurette Carleton?

- Nie, ale mam się z nią spotkać jutro rano.
- Zapomnij o tym, miała atak serca.
- Co takiego?
- Jej stan jest bardzo poważny.
- Ależ ona jest... niezniszczalna.
- Najwidoczniej nie. Dlaczego chciałaś się z nią zobaczyć?
- Sprawa prywatna, Jonathanie. Nie twój interes.

- No dobrze, zasłużyłem na to. Chciałbym, żebyś spędziła ze mną weekend. Mam domek w Maine, w niezwykłym miejscu zwanym Christmas Cove.

Elizabeth słuchała go z niedowierzaniem.

- Lubisz pływać łódką? Chodzić na piesze wycieczki? Mieszkać w wiejskim domku? Przebywać na świeżym powietrzu pod gołym niebem?

- Dlaczego mnie zapraszasz? Przecież wyszedłeś stąd wkurzony.

Jonathan wykrzywił twarz.

- Zachowałem się jak idiota, przepraszam. Chciałbym cię znowu zobaczyć.

Pragnął jej dotykać, tulić, kochać się z nią. Lecz wiedział, że gdyby powiedział coś równie głupiego, natychmiast odłożyłaby słuchawkę.

- Zobaczyć cię - powtórzył. - Po prostu trochę z tobą побыć.

Coś poruszyło się w jej sercu, ale natychmiast zdusiła to uczucie.

- Może innym razem, Jonathanie.

Nie chciała, aby powiedział coś jeszcze, więc nie czekając na odpowiedź, odłożyła słuchawkę.

Przez chwilę wpatrywała się w aparat, a potem wzięła pilota i wyłączyła telewizor. Laurette miała atak serca. Coś takiego. Pomyślała o Catherine.

Siedziała z nieprzytomnym wyrazem twarzy, zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. Kogi podszedł do niej i cichutko położył na stoliku srebrną tacę.

- Może zjadłaby pani rogalik, pani Carleton? Uśmiechnęła się do niego i przytaknęła. Patrzyła, jak nalewa kawę. Jej wzrok znowu zatrzymał się na jego szczupłym nadgarstku. I na zegarku. Zegarku Timothy'ego.

- Kogi, ten zegarek...

- Tak, pani Carleton? Zmarszczyła brwi.

- Och, sama nie wiem. Zapomnij o tym. Chyba cierpię na przedwczesną demencję, to wszystko.

Rozdział 22

Laurette umieszczono w prywatnym szpitalu, położonym niedaleko Southampton. Elizabeth w poczekalni zobaczyła Michaela Carletona i Catherine. Mierzyli ją wzrokiem.

- Co ty tu robisz? - usłyszała na powitanie.

- Witaj, Michaelu. Przyszłam się dowiedzieć o jej zdrowie.

- Niedobrze z nią - powiedziała Catherine. - Pozwalają, żeby była przy niej tylko jedna osoba.

Teraz jest z nią Brad. Dzięki, że przyszłaś.

Michael prychnął.

Elizabeth przysunęła się bliżej Catherine.

- Próbowałam do ciebie zadzwonić, gdy tylko się dowiedziałam.

- Byłam w Bostonie.

- Miałam się z nią dziś spotkać.

- No cóż, w takim razie dobrze, że to nie ty z nią byłaś, gdy to się stało, tylko Brad. W końcu zebrał się na odwagę, by stawić jej czoło w związku z Jenny i... wszystkim. Teraz czuje się tak winny, że ledwie może mówić.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby teraz ślub mógł się odbyć.

- Masz rację. Jenny o mało się nie zapłakała, kiedy Brad powiedział jej o babce.

- Brad ma zamiar zerwać zaręczyny?

- Chyba tak. Będzie musiał.

- Patrzcie państwo, zebranie osławionego klanu. I pani Elizabeth Carleton na dodatek - to bardzo interesujące.

Uśmiechając się szeroko, stał przed nimi Moretti.

- Staruszka nie mogła tego zrobić, co, pani Carleton? Leży rozłożona na obie łopatki.

- Proszę, panie Moretti - powiedziała Elizabeth. - Niech pan zostawi nas w spokoju. To pana nie dotyczy.

- Po prostu wykonuję swoją pracę, pani Carleton. Nie chciałaby pani, abym przesłuchał podejrzanych? Czy nie wydaje się prawdopodobne, że to któreś z nich próbowało panią zabić?

Catherine zbladła.

- O czym on mówi? Elizabeth zacisnęła zęby.

- Przedwczoraj wieczorem jakiś mężczyzna próbował mnie przejechać. Pan Moretti jest tym wprost zachwycony.

- Droga do piekła została wydeptana przez bogaczy - powiedział Moretti. - A co z panią, panno Carleton, posiada pani alibi na... czas, o którym była mowa? Słucham.

- Idź pan do diabła - odparła spokojnie Catherine.

- Same ostre kobitki w tej rodzinie - skomentował prokurator, a potem, wskazując palcem drzwi oddziału intensywnej terapii, dodał: - Staruszka zejdzie?

- Lekarze twierdzą, że to możliwe - powiedział Michael, starając się opanować.

- Czy to pan próbował załatwić Elizabeth X, panie Carleton?

Michael zaniemówił.

- Nie, to pewnie młody Bradley. Nie może nawet pójść do kibla bez zgody babci, prawda? Żadne z was nie może.

- Dość tego - powiedziała stanowczo Elizabeth. - Jeśli pan natychmiast stąd nie wyjdzie, Michael zadzwoni do gubernatora i oskarży pana o dręczenie obywateli. Proszę się wynosić.

- Jasne, pani Carleton. Po prostu chciałem zobaczyć, jak zbierają się sępy.

Pomachał im niedbale dłonią i ruszył w dół korytarzem.

- Co za żalosna imitacja człowieka - westchnęła Catherine.

- Traci tylko czas - powiedziała Elizabeth. - A cóż ty, na miłość boską, robiłaś w Bostonie, Catherine?

Ku zdumieniu Elizabeth dziewczyna zaczerwieniła się.

- Powiedzmy, że nie tylko sama wstąpiłam na drogę cnoty, ale postanowiłam kogoś ze sobą zabrać.

Elizabeth zrozumiała.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- O, Boże, oczywiście. A co to za historia z tą próbą przejechania cię? To jakieś szaleństwo. Chyba powinniśmy wszyscy przeprowadzić się do Kalifornii.

- Albo do Peru. Catherine roześmiała się.

- To właśnie zasugerowałam Bradowi.

- Pójdę już. Będziesz mnie informowała, prawda?

- Tak, będę. Proszę, Elizabeth, bądź ostrożna. Drake zawiózł ją do biura. W czasie jazdy rzucił nagle przez ramię:

- Czy wie pani, że szyby w tym samochodzie są kuloodporne?

- Boże święty! Nie wiedziałam.

- Pan Carleton kazał je zamontować. Teraz mi ulżyło. Jest pani absolutnie bezpieczna, pani Carleton.

- Dziękuję, Drake. Chyba przez jakiś czas nie powinnam wychodzić sama, nawet po kanapkę, prawda?

- O tak, proszę pani. A jeśli już, to któryś z nas, ja albo Gallagher, powinien pani towarzyszyć.

Westchnęła.

- Kto to mógł być?

- Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby się okazało, że to ten dupek prokurator.

Elizabeth roześmiała się.

- Moretti? Wątpię w to.

W biurze od razu zabrała się do czytania raportu na temat wyników finansowych fabryki obuwia Le Marcon w Paryżu. Tłumaczenie było okropne.

Po jakimś czasie Millicent Stacy wsunęła głowę do gabinetu i powiedziała:

- To dziwne, Elizabeth. Na linii jest jakaś kobieta, która chce z tobą rozmawiać. Nie chce podać nazwiska, lecz twierdzi, że to pilne.

Elizabeth już miała odmówić przyjęcia telefonu, lecz coś ją powstrzymało. Skinęła głową i podniosła słuchawkę.

- Elizabeth Carleton przy telefonie.

- Nie zna mnie pani, pani Carleton, ale ja wiem dużo o pani. Przez jakiś czas żyłam z Christianem Hunterem. Płacił za moje mieszkanie i odwiedzał mnie w nim. Czy pani z nim zerwała?

- Kim pani jest? Dziennikarką?

- Nie dziwię się, że nie chce pani o tym mówić. Proszę posłuchać, Christian zachowywał się wczoraj, jakby oszalał. Bez przerwy bełkotał coś o zdradzie, powtarzał w kółko, że wszystkie kobiety to dziwki. Po prostu chciałam, by pani o tym wiedziała. Wyjeżdżam z Nowego Jorku.

- Boże - szepnęła Elizabeth do słuchawki.

- Po prostu chciałam pani powiedzieć.

- No cóż, dziękuję. Niech pani będzie ostrożna. Do widzenia.

Elizabeth odchyliła się na krześle, założywszy dłonie za głowę. Więc Christian miał kochankę. I co z tego?

Susan wyszła z budki telefonicznej i ruchem dłoni przywołała taksówkę. Kierowca mrugnął do niej, wzruszył ramionami i pojechał dalej.

- Cholera - powiedziała, schodząc na jezdnię z uniesionym ramieniem.

Odwróciła się na dźwięk klaksonu, więc nawet nie zauważyła rozpędzonego samochodu. Ciemnoniebieski sedan uderzył w nią z taką siłą, że ciało Susan pokonało w powietrzu dobre trzy metry, zanim spadło na asfalt.

Elizabeth nie przyjęła telefonu od Jonathana. Pojechała do Lincoln Center, aby obejrzeć *Jezioro labędzie*. O wpół do jedenastej Drake czekał już na nią przed wejściem.

- Otrzymałam zaproszenie za kulisy, Drake - powiedziała mu. - Czy mógłbyś podjechać pod wejście dla artystów mniej więcej za pół godziny?

Odwróciła się i, podekscytowana, ruszyła szybko z powrotem. Była już blisko drzwi, kiedy eksplozja rzuciła ją na chodnik.

Rozpętało się piekło.

Zobaczyła, że limuzyna Timothy'ego stoi w płomieniach. Jedne drzwi zostały wyrwane i wyrzucone w powietrze.

- Drake! - wrzasnęła rozpaczliwie.

Zerwała się z chodnika i popędziła w kierunku szalejących płomieni. Ktoś chwycił ją za ramię.

- Za późno, proszę pani. Za późno! Zjawiała się policja.

Elizabeth stała skulona przy krawężniku. Przyglądała się, jak strażacy spryskują wrak pianą i jak próbują wyciągnąć zza kierownicy ciało Drake'a. Wokół zebrał się spory tłum. Pojawiły się karetki.

Wszystko wydawało się takie nierealne, niczym senny koszmar.

- Proszę pani? Wszystko w porządku? Spojrzała na młodego funkcjonariusza.

- Nie. Nic nie jest w porządku.

I dopiero teraz wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem.

Zdawała sobie sprawę, że jakaś kobieta w bieli wbija jej w ramię igłę.

- Wszystko w porządku - zapewniła ją kobieta. - Jest pani w szoku, i nic dziwnego. Poza tym ma pani tylko kilka drobnych ran i parę siniaków. Proszę oddychać głęboko, lek pomoże się pani uspokoić.

- Powinnam być z nim w tym samochodzie, wie pani - powiedziała Elizabeth. Kobieta w bieli poklepała ją współczująco po ramieniu. - W tym samochodzie!

Poczuła na policzku łzy, a potem postępujące odrętwienie.

Zapadła w błogosławioną ciemność, wolna od bólu i strachu.

- Elizabeth.

Ktoś natarczywie powtarzał jej imię. Próbowwała odwrócić głowę, by przed tym uciec. Nie chciała opuszczać bezpiecznego schronienia, jakim była nieświadomość. Wiedziała, że jeśli to zrobi, horror powróci.

- Elizabeth, obudź się, kochanie. Czyj to głos?

- To ja, Christian, obudź się.

Christian! Ale czy tamta kobieta nie powiedziała, że...?

- Co ty tu robisz?

- Powiedziałem im, że jesteś moją narzeczoną - odparł, uśmiechając się. - Tylko dlatego pozwolili mi tu wejść. Na zewnątrz jest policjant, pilnuje, żeby nie dopadła cię prasa.

- Drake nie żyje.

- Wiem. Ale ty żyjesz. I nic ci nie będzie.

- Dopóki on nie spróbuje znowu.

- Obudziła się, co, Hunter?

Christian odwrócił się, nie puszcżając dłoni Elizabeth.

- Owszem, lecz jeszcze nie doszła do siebie, poruczniku.

- Co jej się stało w ręce?

- Poraniły je odłamki szkła, tak powiedział lekarz.

Elizabeth uniosła dłonie. Obie były zabandażowane.

- Nic im nie będzie, zapewniam cię. Za chwilę będziesz mogła porozmawiać z lekarzem.

- Muszę zadać kilka pytań, Hunter - powiedział porucznik Draper. - Po pierwsze, co pan tu robi?

- Jestem bliskim przyjacielem pani Carleton. Przejeżdżałem w pobliżu, kiedy samochód eksplodował, więc natychmiast się tu zjawiłem.

- Bliski przyjaciel, co?

- Zgadza się, poruczniku. Jeszcze coś?

- Nie w tej chwili. Porozmawiam z panem później. A teraz, pani Carleton, proszę powiedzieć mi, co się wydarzyło.

Elizabeth otworzyła oczy i zobaczyła eksplodujący samochód, opadający deszcz szczątków.

- Nie wiem. Otrzymałam zaproszenie za kulisy, więc powiedziałam Drake'owi, by podprowadził samochód do wyjścia służbowego. To ja powinnam być w tym samochodzie. Ja.

- A kiedy Drake włączył silnik, bomba wybuchła. Powiedziałbym, że miała pani dużo szczęścia, pani Carleton.

- W przeciwieństwie do Drake'a.

- Moretti powinien zaraz tu być. Może spróbowalaby pani porozmawiać z nim?

- Posłuchaj, Draper - powiedział Christian, wstając. - Może byś tak po prostu dał sobie spokój?

- Ta dama zawsze ma przy sobie mężczyznę, który jej broni - powiedział Draper, nie kryjąc pogardy. - Najpierw mąż, a teraz pan, doktorze Hunter. Albo ten, jak mu tam, Rowe Chalmers.

Zgadza się?

Christian zacisnął dłonie.

- Posłuchaj, sukinsynu, może byś tak zajął się swoją robotą?

- O, tak, zajmę się. Podczas eksplozji ucierpiało ponad trzydzieści osób, pani Carleton. Czy wy, bogacze, nie możecie toczyć swoich wojen z dala od zwykłych ludzi?

Draper wymaszerował z pokoju. Christian spoglądał za nim w milczeniu.

- To on pracował nad sprawą twojego męża? - zapytał po chwili.

- Tak.

- Dlaczego nie wspomniałaś mi o pierwszym zamachu, Elizabeth?

Potrząsnęła głową.

- Dlaczego?

Czy musi tak naciskać?

- Ktoś do mnie zadzwonił, Christianie. Kobieta, która powiedziała, że z tobą żyła. Bała się.

Christian zamarł. Zbyt późno unieszkodliwił Susan.

- I co ci powiedziała?

- Że odwiedziłaś ją po tym, jak odrzuciłam twoje oświadczenia. Powiedziała, że zachowywałeś się jak szaleniec i że wyjeżdża z Nowego Jorku.

- To prawda, przynajmniej częściowo. Byłem zły i odegrałem się na niej. A tak nawiasem mówiąc, kazałem się jej wynosić. To nie był jej pomysł.

Zapalił fajkę i zaciągnął się dymem. Przysunął krzesło bliżej łóżka i usiadł na nim.

- Zapomnij o Susan. Ona nie jest ważna. A teraz opowiedz mi o wszystkim. Z nazwiskami.

Nie mogła mu powiedzieć, że on sam znajduje się na czele jej listy podejrzanych. Spojrzała na swoje zabandażowane dłonie.

Christian także milczał, obserwując ją uważnie.

- Wiesz, Elizabeth, prasa zupełnie oszalała. Porozmawiam z lekarzem i spróbuję się dowiedzieć, kiedy będziesz mogła stąd wyjść. A potem moglibyśmy wyjechać z Nowego Jorku razem i przeczekać to wszystko, dopóki nie złapią winnego.

Moretti wparował do pokoju, nie zwracając sobie głowy pukaniem.

- Draper doniósł mi, że wreszcie zdecydowała się pani ujawnić swego obrońcę i protektora. Jest teraz pani narzeczonym, prawda?

Christian wstał.

- Posłuchaj mnie, sukinsynu. Znajdziesz tego, kto próbuje ją zabić i zrobisz to szybko. I żadnych więcej tego rodzaju uwag, jasne?

Moretti odsunął się o krok.

- No cóż, najoczywistszym podejrzanym wydaje się ten, kto nie może pogodzić się z faktem, że uniknęła pani kary za morderstwo, pani Carleton. Odczekał trochę, a teraz zaczął na panią polować.

- Nie zabiłam męża, panie Moretti.

- Do tej pory dręczyło mnie pytanie, czym zapłaciła pani doktorowi Hunterowi za to, że dla pani skłamał. Teraz już wiem.

- Dość tego, Moretti. Zostaw ją w spokoju!

- Starsza pani wciąż żyje. Może to ona kogoś wynajęła.

- To nie w jej stylu - powiedziała Elizabeth.

- A co z Chalmersem?

- Uważam, że pan Chalmers wkroczył na drogę cnoty, panie Moretti. Może pan o nim zapomnieć, on nie ma z tym nic wspólnego.

- A sama bomba? Nie znaleźliście żadnych śladów? - zapytał Christian.

- Domowa robota, ale piekielnie skuteczna. Nie sposób wyśledzić, kto nabył części składowe. To na nic. Sugeruję, pani Carleton, by nie wychylała pani przez jakiś czas nosa z domu.

Christian nie odezwał się, spojrzał tylko na Elizabeth.

- Tak, zostanę w domu - powiedziała.

- Dlaczego nie sprawdzicie tego biznesmena z Filadelfii? Próbowала przejąć jego firmę. To chyba dosyć solidny motyw.

- Nie! On wygrał, Christianie. Nie miał motywu, absolutnie żadnego.

- Jak on się nazywa, Elizabeth?

Dlaczego tak bardzo chciał się dowiedzieć, kim jest Jonathan? Zazdrość? Nie, to śmieszne. Choć z drugiej strony...

- Do zobaczenia wkrótce - rzucił Moretti i wyszedł.

Następnego ranka pozwolono jej opuścić szpital. Prasa natychmiast dowiedziała się o tym i Gallagher miał pełne ręce roboty.

Teraz należało tylko pozbyć się Christiana.

- Proszę, idź już, Christianie. Nic mi nie jest.

- Posłuchaj, Elizabeth. Nie doszłaś jeszcze do siebie. Pozwól, że zostanę i zajmę się tobą. Albo wyjedźmy razem, do Anglii. Mam tam kilka spraw do załatwienia, może więc...

- Nie, Christianie. Nic się nie zmieniło. Uważam cię za przyjaciela, naprawdę, lecz...

- Kim jest ten mężczyzna z Filadelfii? Boże, czy on nigdy nie przestanie?

- Powiedziałam ci. To tylko służbowa znajomość.

- Więc będę musiał znaleźć go sam, prawda?

- Proszę, idź już. Jestem bardzo zmęczona, a trzeba zorganizować pogrzeb Drake'a.

Wzdrygnęła się na dźwięk telefonu. Usłyszała, jak Kogi z kimś rozmawia, a potem prosi rozmówcę, by chwilę zaczekał.

To dzwonił Jonathan, wiedziała o tym.

Christian rzucił jej ostatnie, przeciągłe spojrzenie, a potem wzruszył ramionami i wyszedł.

- Poszedł? - zapytał Kogi.

- Tak. Kto dzwoni?

- Pan Harley.

Poczuła ulgę i radość, gdy usłyszała:

- Cześć, dziecino, jesteś we wszystkich gazetach i w telewizji. Co się tam dzieje?

- Ktoś próbuje przedwcześnie wysłać mnie na tamten świat.

- Będę u ciebie wieczorem. - Nie!

Nagle ogarnął ją lęk; lęk o Jonathana.

- Nie - powtórzyła spokojniej. - Wszystko jest pod kontrolą. Nie chcę wplątywać cię w tę historię.

- Już jestem wplątany - odparł po krótkiej pauzie.

- Proszę, na razie trzymaj się od tego z daleka. Zgoda?

- Zobaczymy - powiedział i odłożył słuchawkę.

Elizabeth nie wychodziła z domu do dnia pogrzebu Drake'a.

Na zewnątrz roiło się od dziennikarzy i reporterów telewizyjnych, którzy wykrzykiwali głośno pytania i błyskali jej w twarz fleszami.

Zobaczyła tytuł w popołudniowej gazecie: ELIZABETH X CELEM ZAMACHU.

To się nigdy nie skończy, pomyślała. Nigdy. Moretti i Draper podążali jej tropem - nie po to, by wykryć, kto nastaje na jej życie, ale dla czystej przyjemności gnębienia jej.

Jonathan dzwoni! kilkanaście razy, lecz nie zgodziła się z nim rozmawiać. Musiała trzymać go z dala od całej sprawy, gdyż tylko w ten sposób mogła zapewnić mu bezpieczeństwo.

Stan zdrowia Laurette Carleton poprawiał się. Ku zdumieniu Elizabeth starsza pani nie chciała rozmawiać z prasą i odmówiła wszelkich komentarzy.

- Byłam u niej - powiedziała Catherine tego popołudnia, gdy przyszła odwiedzić Elizabeth. - Powiedziałam jej, że jeśli nie schowa pazurów, może stracić nas wszystkich. I po raz pierwszy chyba mi uwierzyła.

- A Brad?

- Nie zerwał dotąd z Jenny.

- Dlaczego?

- Wiesz, myślę, że chyba się boi.

- Nie dziwię mu się. Pewnie masz rację, Catherine.

- Na dodatek czuje się samotny. Boi się o przyszłość, o to, co się z nim stanie. Od śmierci ojca nic mu nie wychodziło i...

Catherine wstała i podeszła do jednego z szerokich okien, wychodzących na Central Park.

- Byłam zdumiona, że doktor Hunter ujawnił, iż jest twoim narzeczonym.

- Nikt nie był bardziej zdziwiony ode mnie - powiedziała Elizabeth.

- Wiesz, co piszą o tym gazety, prawda?

- Pewnie, nawet ktoś głuchy i ślepy mógłby się domyślić. Kochał mnie tak bardzo, że uratował mi skórę, a teraz postanowiłam ujawnić naszą zażyłość.

- Co masz zamiar zrobić, Elizabeth?

- Gdybym wiedziała, już bym to robiła. A, jest Kogi z kawą.

Uśmiechnęła się do niego, rozbawiona czujnym spojrzeniem, jakie rzucił Catherine.

Odwróciła się, kiedy nalewał kawę, i po raz kolejny jej wzrok spoczął na zegarku Timothy'ego.

- Bransoletka jest dla mnie zbyt luźna - powiedział Kogi. - Czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym dał ją do zwężenia?

Elizabeth zamarła.

- Nie - szepnęła. - To niemożliwe.

- Tak, pani Carleton? Czy coś się stało?

- Co jest, Elizabeth?

Teraz już wiedziała, co było nie tak. Rankiem w dzień śmierci Timothy'ego zerwał się pasek w innym zegarku, który wtedy nosił jej mąż. Przypomniała sobie, jak sięgnął wówczas do szuflady i wyjął zegarek, który od niej dostał, a potem, nie przestając przeklinać, włożył go na rękę.

Nie nosił tego zegarka przed dniem morderstwa. Ani razu.

A Christian Hunter powiedział, że podziwiał zegarek na ręce jej męża.

O, Boże.

Elizabeth potrząsnęła głową i wstała gwałtownie, ledwie świadoma obecności Catherine i Kogiego. Nie, to niemożliwe. Gdzieś musi tkwić błąd.

Christian zapamiętał po prostu nie ten zegarek.

Lecz ktoś próbował ją zabić, i to dwukrotnie.

Po tym, jak odrzuciła jego oświadczenia.

I ta kobieta - kochanka Christiana - zadzwoniła, aby ją ostrzec.

- Elizabeth, na miłość boską, co się stało?

- Proszę, Kogi, zadzwoń do prokuratora. Muszę z nim natychmiast rozmawiać.

Rozdział 23

- Lepiej, żeby to było coś ważnego.

- Proszę, niech pan usiądzie.

- Co ona tu robi? - zapytał Moretti, wskazując palcem Catherine.

- To moja... przyjaciółka. Moretti roześmiał się głośno.

- Ta pannica? Jedyna córka Timothy'ego Carletona? Jest pani tego pewna? Być może ona tylko udaje. Co więcej, może to właśnie ona pragnie panią zlikwidować.

- Wiem, kto zamordował mojego męża. I kto próbuje zabić mnie.

To odciągnęło jego uwagę od Catherine.

- Taaa? Jest pani lepsza niż policja?

- To doktor Christian Hunter.

Moretti spojrzał na nią, a potem roześmiał się serdecznie.

- A to dopiero, pani Carlton! To naprawdę znakomite! Ale proszę, żadnych więcej fałszywych tropów. Jeśli będzie pani chciała opowiedzieć mi jakieś kolejne bajeczki, proszę pofatygować się do śródmieścia. I najpierw się umówić.

Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

- Nie chce się pan dowiedzieć, skąd o tym wiem, panie Moretti?

- Ten pętał z Ivy League skłamał dla pani, a potem? Został pani kochankiem! I co się stało? Rzucił panią? A pani chce się na nim odegrać, tak?

- Nie, na miłość boską. Chodzi o zegarek. Catherine wpatrywała się w Elizabeth. Jak ona może być taka spokojna?

- Założę się, że miała pani mnóstwo czasu, aby wymyślić wiarygodną historyjkę. No dobrze, pani Carleton, niech pani kłamie, byle szybko. Mam ważniejsze rzeczy do roboty.

- Dlaczego nie przestanie pan zachowywać się jak kretyń? - spytała Catherine, niezdolna się powstrzymać.

- Posłuchaj, mała... No już, proszę mówić, pani Carleton. Zaczyna mnie to nudzić.

Usiadł i wyciągnął cygaro.

- Mniej więcej dwa miesiące temu doktor Hunter był u mnie na kolacji. Zauważył na ręce Kogiego zegarek i powiedział, że zawsze go podziwiał, gdy nosił go mój mąż. Po śmierci pana Carletona podarowałam zegarek Kogiemu...

- To znaczy po tym, jak pan Carleton został zamordowany?

- Tak, po tym, jak został zamordowany. Dałam zegarek Kogiemu, ponieważ bardzo mu się podobał. I teraz sobie przypomniałam... Widzi pan, mąż nigdy nie nosił tego zegarka, włożył go po raz pierwszy w dniu, w którym został zamordowany.

Moretti oglądał sobie z uwagą paznokcie, wydmuchując dym w kierunku Elizabeth.

- Doktor Hunter poprosił, bym za niego wyszła, a ja odmówiłam. Wkrótce potem ktoś próbował

mnie przejechać. A później zginął Drake.

Moretti ziewnął, wydmuchnął dym i przez chwilę obserwował, jak sina smuzka unosi się nad jego głową.

- Gdyby doszedł do wniosku, że mogę sobie przypomnieć o zegarku, pewnie chciałby jakoś się zabezpieczyć, prawda? Mógł przypuszczać, że jeśli sobie przypomnę, zacznę mówić.

- Coraz lepiej - powiedział Moretti.

- No i zadzwoniła do mnie pewna kobieta. Powiedziała, że doktor Hunter ją odwiedzał, a właściwie utrzymywał ją i płacił za jej mieszkanie tu, w Nowym Jorku. Bała się go i zadzwoniła, aby mnie ostrzec.

Moretti po raz pierwszy zareagował na jej słowa.

- Jak brzmi jej nazwisko?

- Nie powiedziała mi.

Lecz Christian wymienił jej imię.

- Susan - powiedziała. - Miała chyba na imię Susan.

- Kiedy dokładnie dzwoniła?

- Nie jestem pewna... proszę poczekać, to było w środę rano. Tak, z pewnością.

- To wszystko?

- Kogi może pokazać panu zegarek - powiedziała Elizabeth.

Moretti potrząsnął głową.

- Nie teraz. Muszę już iść. Niech pani nie wychyla głowy przez żadne okno, dobrze, pani Carleton?

- Ty głupi bufonie! - krzyknęła Catherine.

- A co do pani, panno Carleton, nie może się pani powstrzymać, by nie rozkładać nóg?

- Głupi sukinsyn!

- Daj spokój, Catherine - powiedziała Elizabeth. - Niech sobie idzie. Jego to nic nie obchodzi.

Moretti wyszedł, pogwizdując. Catherine i Elizabeth spojrzały po sobie.

- Co teraz zrobimy? - spytała w końcu Catherine.

- Wracaj do domu. Wszystko będzie dobrze.

- Nie wygłupiaj się, Elizabeth! Na miłość boską...

- Proszę, Catherine. Jedź do domu, zadzwonię do ciebie później.

Gdy została sama, Elizabeth przez dłuższą chwilę zastanawiała się, co powinna zrobić. Umysł miała jasny i czuła się zupełnie spokojna.

Spakowała walizkę.

Kogi wpatrywał się w nią bez słowa, a Gallagher nie przestawał poruszać nerwowo szczęką.

- Nie może pani!

- Posłuchaj, Liam - przerwała mu - policja uważa to za jakąś grę, coś w rodzaju zabawy w kotka i myszkę. A ja mam być myszą.

Opowiedziała im o Christianie Hunterze.

- ...Morettiego to nic nie obchodzi. Sądzi., że wszystko wymyśliłam. No i nie mamy dowodu. Żadnego. Kogi, nie przypominasz sobie, by pan Carleton kiedykolwiek przed dniem morderstwa nosił ten zegarek, prawda?

Kogi zwiesił głowę.

- Czuję się winny, że tak głośno go podziwiałem. Kiedy tylko policja zwróciła rzeczy pana

Carletona, od razu wpadł mi w oko. Bardzo chciałem go mieć.

- Wszystko w porządku, Kogi.

- Wynajmę paru ochroniarzy - powiedział Liam.

- Nie, to nie jest dobry pomysł. Kogi, pilnuj zegarka, to jedyna nasza solidna poszlaka. A teraz posłuchajcie, powiem wam, co macie robić...

O wpół do dziesiątej wieczorem niebo było zachmurzone, a powietrze zimne i wilgotne. Zanosiło się na deszcz. Elizabeth zadzwoniła do Gallaghery:

- Sprawdź ulicę, Liam. Tylko dobrze się rozejrzyj. Jeśli nikogo tam nie ma, zadzwoń po taksówkę.

Po chwili, ubrana w dżinsy, sportowe buty, gruby sweter i kurtkę narciarską wymknęła się z domu i wskoczyła do czekającego samochodu.

- Dworzec Grand Central - rzuciła.

Nie powiedziała nikomu, dokąd jedzie. Nawet Kogiemu. Usiadła wygodnie, lecz zaraz się odwróciła, by sprawdzić ulicę za nimi. Rozglądała się za ciemnoniebieskim sedanem. Nie było go jednak w pobliżu.

Próbowała się odprężyć, lecz kiedy taksówkarz zatrzymał się przed dworcem Penn Station, poczuła, jaka jest napięta.

Pomknęła ku budynkowi dworca. Pociąg linii Amtrak do Filadelfii odjeżdżał za dwadzieścia minut.

Stała na peronie i miała wrażenie, że jest zupełnie naga.

Jakiś mężczyzna potrącił ją i Elizabeth zamarła. Nie, to nie był Christian.

Dzięki Bogu pociąg odjechał punktualnie.

W Filadelfii padało. Przywołała taksówkę i podała kierowcy adres Jonathana.

- To w pobliżu Main Line, prawda?

- Tak przypuszczam - odparła, nie wiedząc, o czym on mówi.

- Mieszkają tam sami bogacze, proszę pani - powiedział, obrzucając wymownym spojrzeniem jej skromny strój.

- To świetnie - odparła niemal wesoło.

Lało teraz tak mocno, że Elizabeth widziała z tyłu jedynie zamazany odbłask świateł samochodów. Serce waliło jej w piersi jak szalone. A jeśli Jonathana nie ma w domu?

Zamknęła oczy.

- Jesteśmy na miejscu, proszę pani.

Elizabeth zobaczyła szeroki podjazd, a za nim biały dom w stylu kolonialnym. W domu paliły się światła, a przed budynkiem parkowały dwa samochody.

- Niech pan tu na mnie zaczeka - poprosiła. - A to dwadzieścia dolarów - dodała, spostrzegłszy pełen powątpiewania wzrok taksówkarza.

Nie wzięła parasolki. Chwyciła walizkę, zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu i pobiegła w kierunku wejścia. Usłyszała, że taksówka zawraca. Odwróciła się i zobaczyła, jak samochód znika za bramą.

Zakłęła i nacisnęła dzwonek.

Proszę, Jonathanie, proszę...

Zadzwoniła jeszcze raz. Usłyszała, że ktoś podchodzi do drzwi. Wstrzymała oddech.

Drzwi otworzyła kobieta. Bardzo ładna i bardzo dobrze ubrana.

- O co chodzi? - spytała, spoglądając na młodą kobietę, na jej przemoczone ubranie i mokre włosy.

- Kim pani jest? - wykrztusiła Elizabeth.

- Kim ja jestem? Posłuchaj, jeśli jesteś jedną z dziwek Jonathana, to zabieraj się stąd natychmiast. Nie powiedział ci? Teraz ja tu mieszkam, nie on.

Elizabeth wpatrywała się w nią bez słowa. To nie jego dom! O Boże, nie miała pojęcia.

- A gdzie on mieszka? Rose zaśmiała się.

- Więc mój drogi były mąż ci nie powiedział? A może zwyczajnie cię wystawił, co?

- To bardzo pilne. Proszę, niech pani mi poda jego adres.

- Nie powiedziałabym ci, nawet gdybyś miała tu zdechnąć!

Wygłosiwszy tę mało przyjemną kwestię, zatrzasnęła Elizabeth drzwi przed nosem.

Deszcz przeszedł w ulewę. Znajdowała się w dzielnicy willowej. Rozejrzała się w poszukiwaniu budki telefonicznej, ale niczego takiego nie zobaczyła.

Co prawda nie ma tu telefonu, lecz nie ma też Christiana Huntera.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wyszła z powrotem na zalaną deszczem ulicę i zaczęła iść przed siebie.

Za każdym razem, gdy obok przejeżdżał samochód, dawała nurka na pobocze, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

Nie zrozumiała nic z tego, co się przed chwilą wydarzyło, ale i tak nie miało to znaczenia. Nagle usłyszała, że jakiś samochód, który właśnie złapał ją w światła reflektorów, zwalnia i zatrzymuje się.

- Hej, może panią podwieźć? - zawołał do niej mężczyzna.

To nie był Christian Hunter. Dlaczego nie? Już lepiej zaryzykować, że dopadnie ją gwałcieciel, niż bać się o własne życie.

Wsiadła, przepaszając za swoje mokre ubranie.

- Muszę znaleźć budkę telefoniczną. Drżała, więc kierowca podkręcił ogrzewanie.

- Lepiej?

- Tak, bardzo dziękuję.

- Niedaleko znajduje się małe centrum handlowe. Może tam panią zawiozę?

- Świetnie.

Z trudem zdobyła się na uśmiech. Mężczyzna zawrócił na główną drogę, a potem skręcił ku stojącym rzędem budkom telefonicznym.

Wrzuciła do aparatu ćwierćdolarówkę, wykręciła 411 i zapytała o numer telefonu Jonathana Harleya.

- Jonathan Harley z Pointer's Lane? - upewniła się operatorka.

- Nie, nie. Przeprowadził się. Ma pani jego nowy numer?

- Przykro mi, to numer zastrzeżony. Nie mogę go pani podać.

- Ale to nagły przypadek!

- Przykro mi, proszę pani.

Elizabeth przez chwilę wpatrywała się w buczącą głośno słuchawkę, a potem zadzwoniła po taksówkę. Skuliła się we wnętrzu swojego tymczasowego schronienia, czekając. Tuż obok przejechał wolno jakiś samochód, duży, zapewne sedan. Poczowała, jak serce mocno wali jej w piersi. Samochód przyśpieszył i odjechał.

Jak nazywa się sekretarka Jonathana? Midge... A nazwisko? Jak brzmiało jej nazwisko? Midge...

Ripley? Ponownie wybrała numer informacji. Były dwie osoby o tym nazwisku. Wybierała właśnie pierwszy numer, gdy pojawiła się taksówka. Zawołała do kierowcy, aby zaczekał.

Odpowiedziała jakaś staruszka.

Wybrała drugi numer. Głos, który usłyszała tym razem, był młody i pełen werwy.

- Czy to pani jest tą Midge Ripley, która pracuje dla Jonathana Harleya?

Odpowiedziała jej martwa cisza.

- A kto chce wiedzieć? - zapytała Midge po dłuższej chwili.

- Elizabeth Carleton.

Z drugiej strony dobiegło ją głośnie westchnienie.

- Proszę, pani Ripley, to bardzo ważne. Muszę natychmiast znaleźć Jonathana. Błagam, niech mi pani pomoże!

O co tu chodzi, zastanawiała się Midge. Czego chce ta smoczyca? Lecz Jonathan już tak o niej nie myślał. Pokonał ją, a potem...

- No dobrze, proszę się nie rozłączać. Podam pani jego adres i numer telefonu.

- Dziękuję.

Taksówkarz krzyknął, aby się pośpieszyła.

- Jeszcze chwileczkę - zawołała w odpowiedzi. Midge wróciła i podała jej namiary Jonathana.

- Dziękuję, pani Ripley.

Kątem oka dostrzegła majaczący nieopodal kształt wielkiego samochodu. Czarnego lub ciemnoniebieskiego. W oświetlonej budce czuła się wyeksponowana niczym na wystawie. Podbiegła do taksówki, wskoczyła do środka, rzuciła na podłogę walizkę, zatrzęsła za sobą drzwi i niemal wykrzyczała adres.

- Proszę, niech się pan pośpieszy!

- Zamoczy mi pani siedzenie. Mężczyzna palił cygaro, jak Moretti.

Na chwilę zrobiło jej się czerwono przed oczami.

- I co z tego! Proszę ruszać!

- Nie musi pani od razu krzyczeć - powiedział kierowca i wyjechał z centrum handlowego.

Spojrzała za siebie. Duży samochód był bardzo blisko, tuż za nimi. To śmieszne, po prostu śmieszne. Jak Christian mógłby przyjechać tutaj szybciej niż pociąg Amtraku? To nie może być on. A już na pewno nie posłużyłby się takim samym pojazdem, jak ten, którym usiłował przejechać ją w Nowym Jorku. Tracę rozeznanie, pomyślała.

- Dam panu sto dolarów, jeśli zgubi pan samochód, który jedzie za nami.

- Ścigają panią gliny?

- Pan żartuje!

To nie mógł być Christian Hunter. Taksówkarz skręcił w lewo, aż zarzuciło na śliskiej od deszczu nawierzchni. Drugi samochód pojechał dalej prosto.

- Dobrze. A teraz proszę mnie zawieźć pod ten adres.

Taksiarz potrząsnął głową i przygryzł cygaro. Świat pełen jest dziwaków. Pomyślał o stu dolarach i zatrzymał tę opinię dla siebie.

Po dwudziestu minutach znaleźli się przed osiedlem domów wielorodzinnych.

- To tutaj. Miłe otoczenie. Ma pani zamożnych przyjaciół.

Elizabeth dała mu sto dwadzieścia dolarów.

- Wszystkiego najlepszego, proszę pani! - powiedział taksówkarz i odjechał.

Elizabeth wsiadła do windy i pojechała na drugie piętro. Mieszkanie numer dwadzieścia cztery znajdowało się w końcu korytarza. Był to duży lokal z widokiem na centrum miasta. Przez drzwi nie przebijało światło. Nacisnęła dzwonek i odczekała chwilę. Cisza.

- Ależ ze mnie idiotka - powiedziała na głos. Próbowwała do niego dzwonić w ciągu dnia, lecz nie udało jej się połączyć. A jeśli Jonathan pojechał już do Maine?

Tu przynajmniej nie lało się jej na głowę. Kucnęła, przysunąwszy do siebie walizkę i oparła się plecami o drzwi. Zaczeka.

A jeśli Christian zna i ten adres?

Nie, przecież nie wymieniła nawet imienia Jonathana.

Proszę, Boże.

Było jej zimno. Objęła się ramionami, lecz to niewiele pomogło. Kurtka narciarska przemokła na wskroś.

Jonathan był zmęczony i mocno zaniepokojony. Wsiadł z samochodu i natychmiast rozłożył parasol. Niedawno znów do niej dzwonił. Próbował przez cały wieczór - bez rezultatu. A teraz było już tak cholernie późno. Kogi nic mu nie powiedział, nawet gdy się przedstawił.

Gdzie ona mogła być? A jeśli jest ranna? Lub martwa? Nie, to niemożliwe. Kogi nie ukrywałby tego przed nim. Do licha, mówiliby o tym we wszystkich wiadomościach.

Nie miał wyboru - musiał uczestniczyć w służbowej kolacji. A potem jeszcze ten przeklęty głupiec Dex Grant uparł się, aby znaleźć mu jakieś dziewczynki na wieczór. Zostawił Dexa w towarzystwie, które tamtemu odpowiadało, i wyszedł.

Ruszył schodami na drugie piętro, jak miał w zwyczaju. Było ciemno.

Zatrzymał się raptownie. Na jego wycieraczkę ktoś spał. Dopiero po bliższym przyjrzeniu się rozpoznał, kto to taki.

Opadł na kolana i dotknął jej mokrej kurtki.

- Elizabeth? - powiedział, potrząsając delikatnie jej ramieniem. Elizabeth! Obudź się!

- Jonathan?

Zamrugła, wpatrując się w ukrytą w cieniu jego twarz.

- Pewnie. Co ty tu robisz, dziecino?

- Przyjechałam do ciebie - powiedziała, próbując wstać. Pomógł jej.

- Czy Rosę była w domu?

- O, tak, była. Myślała, że jestem jedną z twoich panienek.

Usłyszeli, że w środku dzwoni telefon.

- Chodź, musisz zdjąć te przemoczone ciuchy.

Otworzył drzwi, a potem odsunął się, by ją przepuścić. Zapalił światło i podszedł do znajdującego się w holu telefonu.

- Midge? Taa, jest tutaj, czekała na mnie... Nie, jeszcze nie wiem, o co chodzi. Po prostu nikomu o tym nie wspominaj, dobrze?... Nie, wszystko w porządku... Nie, nie zmieniłem planów. Dzięki, Midge, że podałaś jej mój adres.

Odwrócił się i zobaczył, że Elizabeth stoi pośrodku przedpokoju.

Wygląda jak porzucone dziecko, pomyślał. Bardzo przemarznęte dziecko. Zapragnął chwycić ją w ramiona. Chciał jej powiedzieć, że jest bezpieczna.

- Chodź, potrzebna ci gorąca kąpiel.

Po lewej stronie znajdował się salon: wysokie pomieszczenie o zdobionym belkami suficie i

wypolerowanej podłodze z drewna, umeblowane antykami i utrzymane w ciepłych barwach ziemi. W milczeniu podążyła za Jonathanem, który prowadził ją korytarzem ku przestronnej sypialni. W środku znajdowało się jeszcze więcej antyków, a podłogę pokrywały kosztowne perskie dywaniki. Timothy z pewnością wiedziałby, jak się nazywają, gdzie je utkano i ile są warte.

Elizabeth zaczęła się zastanawiać, czy kiedy już się wysuszy, nie każe jej odejść. Zapewne tak właśnie będzie. Nie winiłaby go, gdyby już więcej nie chciał jej widzieć.

Zatrzymała się w drzwiach wielkiej łazienki. Jonathan siedział na obramowaniu wanny, która wypełniała się wodą.

- Chyba umarłam i dostałam się do nieba - powiedziała, nie mogąc oderwać wzroku od unoszącej się nad wanną pary.

- Nie mam żadnych babskich płynów do kąpieli - powiedział, wstając. - Wyglądasz jak zmokły szczur.

- Wiem. Dziękuję.

- Będziesz potrzebowała pomocy?

- Nie.

- W porządku. Nie spiesz się. Zaniosę twoją walizkę do sypialni.

Chwycił ją, otworzył, wyjął ubrania i pozostawił je na łóżku. A potem wrócił do salonu i przygotował sobie mocnego drinka. Rozpalił na kominku.

Dochodziła druga nad ranem.

Po mniej więcej dwóch kwadransach Elizabeth wyszła z łazienki, otulona w ciepły welurowy szlafrok. Na głowie miała turban z ręcznika. Przyjrzał się bacznie jej twarzy i z zadowoleniem stwierdził, że chyba nie grozi jej choroba.

- Napijesz się koniaku?

- Tak, dziękuję.

To śmieszne, lecz czuła się zdenerwowana, onieśmielona i bardzo zmieszana. Co ją opętało, żeby przyjechać do Filadelfii i wciągać w to Jonathana?

- Masz, wypij to.

Wypiła, czując jak koniak rozlewa się ciepłą falą w żołądku.

- Właśnie uświadomiłam sobie, że zachowałam się jak idiotka - powiedziała, nie patrząc mu w oczy. - Rano się wyniosę, to znaczy, oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym została do rana.

- Cicho bądź - powiedział, a jego głos brzmiał ostro i czuło się w nim chłód. Uniosła raptownie głowę.

- Przepraszam, powinnam była zdawać sobie sprawę...

- Po prostu bądź cicho, Elizabeth. Podejdz do ognia i ogrzej się.

Z przyjemnością poddała się jego woli. Akurat w tej chwili dobrze było mieć kogoś, kto mówiłby jej, co ma robić, kto troszczyłby się o nią. Lecz rano wyjedzie, nie wolno jej go w to mieszać. Musiała zupełnie zwariować, że tu przyjechała.

Jonathan przez chwilę przyglądał się jej twarzy.

- Szczegółami zajmiemy się później. Teraz powiedz mi, dlaczego tu jesteś. I co się dzieje.

- W końcu uświadomiłam sobie, że to Christian Hunter zamordował mojego męża, a teraz próbuje zabić mnie.

Jonathan wpatrywał się w nią bez słowa.

- No cóż, sam tego chciałem... Chodź tutaj i pozwól, że cię ogrzeję.

Przysunęła się bliżej na sofie i poczuła, że obejmuje ją ramieniem. Przyciągnął ją do siebie, jej głowa spoczęła na jego ramieniu.

- A teraz opowiedz mi o wszystkim. Powiedziała mu o zegarku Kogiego, o Morettim i o kobiecie, która do niej dzwoniła. Opowiedziała mu także o Catherine, o Chalmersie i Laurette Carleton, a nawet o tym okropnym wieczorze, kiedy Drake zginął w płonącym samochodzie. Zanim skończyła, na kominku pozostał już tylko żar. Jonathan nie przerwał jej nawet słowem.

- Rano miałem polecieć do Nowego Jorku, po ciebie - powiedział w końcu.

- Dlaczego?

- Dostałaś mnie, Lizzie. Pewnie jestem masochistą.

- Nie, Jonathanie. Wyjadę rano. Nie powinnam była tu przyjeżdżać, mieszać cię w to. Po prostu...

- ...byłam przerażona? Nieprzytomna ze strachu? Skinęła głową.

- Prokurator okręgowy i porucznik Draper uważają, że to znakomity żart. Kara dla mordercy.

Wzdrygnęła się.

- Prasa ma używanie. Lecz chyba nikt mnie nie śledził. Byłam bardzo ostrożna.

- Więc czemu się martwisz? Jutro rano ty i ja pojedziemy razem na koniec świata. To znaczy do mojej chatki w Maine. Być może gliny zajmą się Hunterem i załatwią sprawę za nas.

- Moretti prawdopodobnie wręczy mu medal.

- Ufasz mi, Elizabeth? Naprawdę mi ufasz? Obserwował grę uczuć na twarzy Elizabeth. Nagle się uśmiechnęła.

- Tak, ufam ci. Być może po raz pierwszy, od kiedy się poznaliśmy.

- Któż może być bardziej godny zaufania niż wróg, który przedzierzgnął się w... no cóż, w przyjaciela?

Na chwilę mocniej objął ją ramieniem, a potem nagle wstał.

- Przygotowałem dla ciebie pokój gościnny. Rano wyjedziemy.

- A gdzie w Maine znajduje się twoja chata?

- W Christmas Cove.

- Wiedziałam, że nazwa ma coś wspólnego ze świętami - ale nie mogłam jej sobie przypomnieć.

Jesteś pewny, Jonathanie?

- Tak, jestem absolutnie pewny.

Rozdział 24

- Możemy jechać nieprzerwanie albo zatrzymać się gdzieś na nocleg, jak wolisz.
- Chcę jechać.
- I nigdy się nie zatrzymać?
- Tak, gdyby tylko było to możliwe.
- Nie musisz się już bać.
- Boję się od tak dawna, że chyba nie umiałabym przestać.
- Od śmierci twojego męża? Spozrzegł, że się wzdrygnęła.

Znajdowali się w Connecticut, w pobliżu New Haven. Dzień był pogodny, choć chłodny, a ruch na szosie umiarkowany, chociaż zaczął się weekend.

- Nigdy nie zapomnę, jak się czułam, kiedy zabrano mnie na posterunek. Ta kobieta przycisnęła opuszki moich palców do specjalnej poduszeczki nasączonej tuszem, a potem dała mi papierową chusteczkę do wytarcia. Jednak tusz nie dał się usunąć od razu.

- Musiałaś pozostać w areszcie?
- Nie, Rod Samuels wpłacił kaucję, ćwierć miliona dolarów, i wyciągnął mnie stamtąd.
- Pamiętam to morderstwo, i to, jak cię aresztowano. Prasa szalała. Pamiętam, jak sobie pomyślałem, że bogata dziwka nie potrafiła się zadowolić tym, co dostała od życia. Myślałem, że jesteś winna, na sto procent.

- Wszyscy tak uważali. Doskonale pasowałam do tej roli. Elizabeth X. Nawet Rod mi nie wierzył, przynajmniej dopóki nie pojawił się Hunter. Był taki opanowany, taki przekonujący. Moretti prawdopodobnie znenawidził go równie mocno, jak nienawidzi mnie. Właściwie wiem to na pewno.

- Opowiedz mi o tym Hunterze.
- Nie uwierzysz, wtedy w sądzie zobaczyłam go pierwszy raz w życiu.

Samochód zboczył nieznacznie.

- Nabierasz mnie.

- Nie. Rod nic mi nie powiedział, chyba się bał, że mogę się wygadać. Po procesie Christian nie skontaktował się ze mną. Przez następne sześć miesięcy drżałam, że to zrobi, a potem, bo tego nie zrobił. Rozumiesz, nie wiedziałam, czego on chce. W końcu sama do niego zadzwoniłam, ale mnie zbył. Najwidoczniej postanowił trzymać się z dala, dopóki nie pozbędzie się Chalmersa. I zrobił to. Rowe mnie zdradził. Wyciągał ode mnie informacje, a potem sprzedawał je Carletonom. To czyste szaleństwo, ale wydaje mi się, że Catherine się w nim zakochała.

Zatrzymali się w Hartford.

Opowiedziała mu o tym, jak poznała Chalmersa i o anonimowym liście, który otrzymała. A także o ich ostatnim wspólnym wieczorze, kiedy przyłożyła mu do szyi szpikulec. O szóstej po południu ledwie już mogła mówić, tak bardzo drapało ją w gardle.

- Wiesz, Lizzie - powiedział w końcu Jonathan - miałaś piekielne szczęście, że się pojawiłem w

twoim życiu.

Odpowiedziała śmiechem.

Jonathan wyciągnął lewą dłoń i poklepał ją po udzie.

- Nie przestawaj, lubię słuchać, jak się śmiejesz.

- Kiedy dotrzemy na miejsce?

- Około północy. Chcesz się zatrzymać?

- Nie. Po co ci chata w Maine?

- Stąd właśnie pochodzę. W rodzinie było wielu kapitanów statków, a także paru rybaków.

Przestań oglądać się za siebie, Elizabeth. Jego tu nie ma.

- Zauważyłeś.

- Chyba zauważam wszystko, co ciebie dotyczy, i to od chwili, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w moim biurze. Oczywiście, miałem wtedy ochotę cię zamordować.

- I zrobiłeś to, słowami. Uśmiechnął się.

- Przynajmniej nie byłeś w stanie mnie zapomnieć, prawda? To musiało być przeznaczenie.

Gdybym nie przejechał się po tobie, mogłabyś porzucić mnie i moją biedną firmę.

Nie zatrzymali się w Portland.

- Stąd mamy już tylko dwie godziny - powiedział Jonathan.

- Szkoda, że nie mogę niczego obejrzeć. Nigdy nie byłam w Maine.

- Okolice jest tak piękna, że kiedy tu przyjeżdżam, za każdym razem ściska mnie w gardle.

Miliony sosen i jodeł, skały, głazy i, oczywiście, ocean. Turyści jeszcze na dobre nie odkryli Damariscotty ani Christmas Cove. Na szczęście tracą czas i pieniądze w Newcastle. Oczywiście, o tej porze roku i tak prawie ich tam nie ma.

- Czy to się kiedyś skończy?

Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos, dopóki nie usłyszała, że Jonathan wzdycha.

- Tak, skończy się, Lizzie. Powiedziałaś, że mi ufasz. A to oznacza, że nic złego nie może ci się przydarzyć, żadnemu z nas.

- Więc to ty jesteś Supermanem?

- Ironia, ale to dobrze. Zastanawiałem się już, gdzie się podziła twoja złośliwość.

- Nigdy nie miałam jej zbyt wiele.

- Jest nawet zabawna, w małych dawkach. Bardzo się zmieniłaś, wiesz o tym?

- Zważywszy, że ta zmiana odbiła się także na tobie, bez trudu możesz wyobrazić sobie, jaka byłam przedtem.

Zachichotał.

- Byłam bardzo łatwa... nie śmieć się, pozwól mi dokończyć. Chciałam powiedzieć, że byłam łatwa w kontaktach z ludźmi. Miła. Przyjemna. Szybko przystosowywałam się do otoczenia.

- Mamy szczęście, że w Damariscotcie znajduje się mały dom towarowy, otwarty przez całą dobę. Zatrzymamy się tam i zrobimy zakupy.

- Interesująca nazwa.

- Kiedy byłem mały, nazywałem tę miejscowość Scottie.

- Co twoja była żona robiła w domu przy Pointer's Lane?

- Mieszka tam. Ja wyprowadziłem się dwa tygodnie temu. Po rozwodzie dom przypadł jej. Kiedy się rozstaliśmy, poleciała do Europy - żeby dojechać do siebie, tak to nazwała. Zostałem w domu aż do jej powrotu. Dzięki Bogu, że zapamiętałaś nazwisko Midge. Dzięki Bogu.

Zatrzymał się przed małym sklepem spożywczym „U Jake’a”. W pobliżu rozsiadło się nonszalancko z pół tuzina nastoletnich motocyklistów.

- Nie mają czym się zająć, więc krążą wokół sklepu. Boże, ale zimno!

Jake okazał się postacią nader malowniczą: zrędlwym, zupełnie łysym staruszkiem z gęstą białą brodą.

- Dawno pan do nas nie zaglądał, panie Harley.

- Tak, rzeczywiście. Przyjechaliśmy uzupełnić zaopatrzenie, Jake.

- Pierwszy raz przywiózł pan swoją panią. Jonathan uśmiechnął się do Elizabeth.

- Zgadza się, po raz pierwszy, ale z pewnością nie ostatni.

Kiedy zjechali wreszcie z błotnistej drogi i zatrzymali się przed jednopiętrową chatą z bali, dochodziła pierwsza w nocy.

- We wnętrzu zalatuje stęchlizną, ale to całkiem przyjemny zapach. Nawet latem jest tu na tyle chłodno, że trzeba rozpalać w kominku. Czujesz ten słony powiew?

- O, tak - odparła Elizabeth, wciągając głęboko powietrze. No i ten plusk fal, uderzających o skały zaledwie o kilka metrów od chaty... Była tak zmęczona, że wręcz padała z nóg, jednak musieli jeszcze zabezpieczyć żywność i przewietrzyć chatę. Spostrzegła stare siatkowe drzwi, szeroki, osłonięty ganek, grubo ciosaną sosnową boazerię i olbrzymi kamienny kominek w saloniku.

- Jak tu pięknie - powiedziała.

- Chodźmy spać. Jestem tak zmęczony, że zaraz padnę.

Elizabeth zatrzymała się.

- Możesz spać w pokoju gościnnym - powiedział. - Zgłosiłbym się na ochotnika, ale łóżko, które tam stoi, jest dla mnie za krótkie. No, rusz się, musimy posłać oba - to długie i to krótkie.

*

Obudził ją plusk rozbijających się o brzeg fal. Powietrze pachniało słono, a sypialnia zalana była słońcem. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie się znajduje. A potem sobie przypomniała. Jest w Maine. W Christmas Cove. Z Jonathanem. Uśmiechnęła się.

Przez chwilę nie myślała o niczym innym i dopiero po jakimś czasie znajomy strach ścisnął jej serce. Usiadła na łóżku i rozejrzała się. Lecz choć patrzyła, tak naprawdę nie widziała sypialni. Widziała eksplodujący w płomieniach samochód. Wiedziała, że Drake jest w środku. A potem zobaczyła Christiana Huntera, jak z troską w oczach pochyla się nad nią w szpitalu. Przypomniała sobie, że powiedział porucznikowi, iż akurat krążył po okolicy. Pewnie po to, aby podziwiać swoje dzieło.

- Dzień dobry.

Uniosła głowę. Jonathan stał w drzwiach, ubrany w spłowiałe džinsy, biały bawełniany sweter i mocno zniszczone sportowe buty.

- Jak się czujesz?

Nie odpowiedziała, więc podszedł do łóżka i usiadł.

- Chodź do mnie - powiedział i przyciągnął ją do siebie. - Wszystko będzie dobrze, Lizzie, przekonasz się.

Pocałował jej rozwichrzone włosy.

- Ładnie pachniesz - zauważyła, pocierając nosem o jego ramię.

- Dzięki. Poczekaj tylko, aż będziesz musiała stoczyć walkę z prysznicem, aby wydusić z niego coś więcej, niż tylko parę kropli rdzy.

- Zawsze byłam Elizabeth, nawet jako dziecko. Podoba mi się Lizzie. Dlaczego mnie tak nazywasz?

- Czy Timothy też nazywał cię Elizabeth?

- O, tak.

- Dlaczego w ogóle go poślubiłaś? Znieruchomiała w jego ramionach.

- Kto to może wiedzieć - odparła. Czekał, ale nie odezwała się więcej.

- Jeśli w ogóle chcesz wyjść z tego łóżka, lepiej zrób to natychmiast.

- Przepraszam - powiedziała i odsunęła się.

- Nie bądź niemądra. Nie możesz nic poradzić na to, że jesteś najponętniejszą sierotką, jaką kiedykolwiek znałem. Zacznę przygotowywać śniadanie - powiedział, uśmiechnął się i wyszedł.

Zapach smażonego bekonu, dobiegający z kuchni, sprawił, że zaburczało jej w żołądku.

- Naleśniki też będą? - spytała, wchodząc do staromodnie urządzonej kuchni.

- Jasne. Nakryj na ganku przed domem.

Jedli w milczeniu. Elizabeth pracowicie machała widelcem, wdychając niewiarygodne, pachnące solą i sosną powietrze. Było czyste, rześkie i uderzało do głowy niczym wino.

- Czy można tu pływać? - spytała.

- Nie, chyba że jesteś jaszczurką lub wężem. No, może w lecie. Teraz odmroziłabyś sobie... eee... palce u nóg.

Pozmywali, a potem wybrali się na spacer.

- Plaże pokrywa warstwa głazów i kamieni. Widzisz tę przystań wioślarską? - pokazał budowlę na palach, wdzierających się w morze na kilka metrów. - W środku znajduje się łódź. Dawniej na górze mieszkał przewoźnik. Później, jeśli będziesz chciała, możemy wziąć motorówkę i popłynąć do Newcastle, pobawić się w turystów. Słońce mocno świeci, więc jakoś przeżyjemy.

- Z przyjemnością. Nigdy nie płynęłam motorówką.

- Czy już ci mówiłem, że podobają mi się twoje dzinsy? Wyglądasz w nich na osiemnaście lat, co sprawia, że czuję się jak oblesny staruszek.

Pociągnął ją lekko za włosy, związane w koński ogon.

Uśmiechnęła się do niego.

- Mnie także podobają się twoje dzinsy. Wyglądasz w nich bardzo seksownie.

Stali pod sosną, a jedynymi dźwiękami, jakie do nich docierały, były krzyki krążących nad brzegiem mew.

- Tak uważasz? Pochylił się i pocałował ją.

Uświadomiła sobie, że czuje się bezpieczna, jakby nagle odnalazła dom. Zalała ją fala ciepłych uczuć. Nigdy dotąd tak się nie czuła.

- Musimy przestać, Lizzie - powiedział, unosząc głowę. - Nie chcę, abyśmy kochali się po raz pierwszy na posłaniu z igieł. Mogłoby to zrujnować nastrój, o twojej pupie nie wspominając.

Uświadomienie sobie, co kryło się za jego słowami sprawiło, że umilkła. Tak długo byli wrogami. Nagle zapytała:

- U ciebie wszystko w porządku? To znaczy z firmą? Dasz radę spłacić pożyczkę? I będziesz mógł rozwinąć spółkę tak, jak zamierzałeś?

- Pewnie. Kiedy spuściłaś mnie z haczyka, rzeczy wróciły na dawne tory. Prawdę mówiąc, gdy już postanowisz, którą spółkę chcesz wykupić, powiedz mi, a ja wykupię tę drugą.

Obdarzyła go poważnym spojrzeniem kobiety interesu.

- Weźmy motorówkę, a wkrótce poczujesz słoną wodę w ustach.

Popłynęli do Newcastle i wałęsali się po mieście. Nie było tu zbyt wielu turystów.

- Pewnie w pobliżu nie ma meksykańskiej restauracji?

Roześmiał się, słysząc tęsknotę w jej głosie.

- Nic o tym nie wiem, ale możemy kupić składniki i sami sobie coś ugotować.

- Nawet bym nie wiedziała, od czego zacząć.

- Więc powinniśmy kupić książkę kucharską. I tak zrobili.

Tacos, które przyrządzili, nie były znów takie złe, lecz narobili przy tym takiego bałaganu, że zanim posprzątała, nadszedł późny wieczór.

- A teraz zajmijmy się ogniem - powiedział Jonathan. - Zwiń się w kłębek, Lizzie, a ja się postaram, żeby zapanował tu domowy romantyczny nastrój.

Elizabeth wręczyła mu kieliszek *chablis*. Przysunęli sofę bliżej ognia.

- Powiedzieć ci coś? - zapytał, wpatrując się w płomień.

- Coś wstrząsającego?

- Chyba tak.

Wyjął jej z rąk kieliszek i postawił go obok swojego na stoliku. Odwrócił się do Elizabeth i ujął jej dłonie w swoje.

- Kocham cię i chcę, żebyś za mnie wyszła. Mówię o związku na całe życie, Lizzie.

- Chciałam ci powiedzieć, co do ciebie czuję. Ale bałam się właśnie tego, co czuję. Po prostu nie wiedziałam, co myśleć. Sądziłam, że każesz mi iść, a kiedy to zrobię, odetchniesz z ulgą.

- Nic z tych rzeczy. Przecież już dałaś mi do zrozumienia, że mnie kochasz. Po prostu musiałem skończyć z niedomówieniami.

Uniosła głowę, zdziwiona.

- Jeżeli mężczyzna znajduje na swoim progu kobietę, ma chyba prawo pomyśleć, że albo jest ona włóczęgą, albo jest w nim zakochana.

- Ja byłam włóczęgą.

- Wyjdiesz za mnie, włóczęgo? - Tak.

- Oczywiście, nie obejdzie się bez kłopotów, ale damy sobie z tym radę.

Wzdrygnęła się.

- Nie, nie myślałem o Hunterze. Myślałem o tych przeklętych pieniądzach, i o władzy, a także o odpowiedzialności, która się z nią wiąże.

- Nie ożeniłbyś się ze mną dla pieniędzy i władzy, prawda?

- Już raz to zrobiłem. No, może niezupełnie, lecz w końcu i tak wyszło na to samo. Miałem nadzieję, że spotkam jakąś miłą biedną dziewczynę, która pokocha mnie, a nie moje pieniądze. Ale ponieważ żadne z nas nie jest biedne, najwidoczniej w grę wchodzi stara poczciwa miłość.

- Tak sędzę - powiedziała.

Ujęła w dłonie twarz Jonathana i pocałowała go.

- Wspaniały z ciebie facet.

- Oczywiście, droga pani, więc proszę o tym pamiętać. I, Elizabeth, nie oszukuj się, problemy na pewno się pojawią. Lecz damy sobie z nimi radę, tego jestem pewny.

- Tak, myślę, że tak.

- Czy dobrze się domyślam, że pod tą okropną koszulą nienosisz stanika?

- Dlaczego sam tego nie sprawdzisz?

Dżinsy nie dawały się łatwo zdjąć, więc oboje zaśmiewali się, obserwując akrobacje, których wymagało oswobodzenie się z opornego ubrania. Elizabeth słyszała ochryple krzyki mew, czuła ciepło ognia na skórze. A potem poczuła na ciele jego dłonie i usta. Przesunął dłoń w dół jej żeber, i niżej, na brzuch. Uniósł się na łokciu.

- Jesteś piękna, Elizabeth. No i jesteś naturalną blondynką.

- A czego się spodziewałeś?

Poruszyła się niespokojnie pod jego dłonią.

- Spodziewam się - powiedział niskim, ciepłym głosem - że będziesz moją ostatnią kochanką i że pokochasz to, co mam zamiar z tobą robić każdej nocy przez następnych, powiedzmy, czterdzieści lat.

- A co ze mną?

Jej dłoń odnalazła go i zaczęła masować.

- Lepiej nie rób tego z takim entuzjazmem - wykrztusił.

Nie musiała czekać długo. Już po chwili poczuła go głęboko w sobie. Poczuła, że jego palce wślizgują się pomiędzy ich spocone ciała.

- Jonathan - szepnęła, czując, że jej ciało eksploduje rozkoszą. I nawet podczas tych kilku sekund wiedziała, że on bacznie obserwuje jej twarz, zachęcając ją czułymi słowami.

Następnego ranka pojechali do Damariscotty.

- Muszę zadzwonić do Adriana i Milly - powiedziała Elizabeth.

I do Catherine, dodała w myśli.

- W porządku. A potem pojedziemy do Newcastle, do jubilera. I zamówimy porządny pierścionek zaręczynowy.

Jonathan zaczekał, aż Elizabeth zniknie w budce telefonicznej, po czym wszedł do sklepu, gdzie kupił więcej naboju do swego automatycznego pistoletu kalibru dwadzieścia dwa.

*

- Catherine?

- Boże święty, Elizabeth! Mało nie oszaleliśmy ze zmartwienia! Gdzie jesteś?

- W bezpiecznym miejscu. Z Jonathanem Harleyem. Co się stało?

Catherine zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Poszłam wczoraj zobaczyć się z porucznikiem Draperem, bo wściekłam się, że tak cię potraktowali. I wiesz, czego się dowiedziałam? O tej kobiecie, która do ciebie dzwoniła? No wiesz, utrzymance Christiana Huntera?

- Co z nią?

Elizabeth poczuła, że ogarnia ją chłód.

- Ona nie żyje. Została potrącona przez samochód.

Elizabeth zamknęła oczy. Christian zamordował dziewczynę, ponieważ obawiał się, że będzie mówić.

- On jest szalony.

- To właśnie powiedziałam Draperowi, ale ten kretyn tylko się śmiał. Twierdził, że nie ma żadnych dowodów, żadnego świadka, który widziałby dokładnie przebieg wypadku. Policja dowiedziała się tylko, że w pobliżu był jakiś ciemny sedan. No i, oczywiście, Hunter ma alibi. Jego sekretarka zeznała, że kiedy to się stało, siedział w swoim biurze, zajmując się korespondencją. Draper powiedział, że rozmawiał z Hunterem, a ten mu opowiedział bajeczkę, że dziewczyna rzuciła go dla innego. Teraz szukają tego innego.

Elizabeth zamknęła oczy.

- Miała na imię Susan. Pamiętam. Nie znałam jej nazwiska.

- Liński. Nazywała się Susan Liński.

- Biedna dziewczyna. Nie zrobiła nic złego.

- Chcesz wiedzieć, co ja zrobiłam? Zadzwoiłam do gubernatora i do burmistrza. Powiedziałam im, co się dzieje. I że moja babcia jest bardzo niezadowolona, ponieważ policja traktuje całą sprawę jak żart. W końcu zginęły już dwie osoby, Drake i Susan. Zobaczmy, co będzie dalej.

- Dziękuję, Catherine. Jak tam twoja babka?

- Jakoś się trzyma. Nawet skrzyczała mnie za to, że zadzwoniłam do tych ważniaków. Powiedziałam jej, żeby dała sobie spokój. Elizabeth, gdzie jesteś, na wypadek gdybym cię potrzebowała?

- W Maine, wyobraź sobie. A dokładniej w Christmas Cove. Jonathan ma tu chatę.

Catherine uśmiechnęła się do telefonu.

- Wiedziałam, że w twoim życiu pojawił się mężczyzna. Ktoś szczególny. Kto to taki, Elizabeth?

- No cóż, facet, którego próbowałam zniszczyć. A teraz zamierzam za niego wyjść.

- Coś takiego!

- Tak, wiem, że to szaleństwo. Ale ciesz się razem ze mną, Catherine. Jestem go pewna. Po raz pierwszy w życiu jestem kogoś absolutnie pewna.

- Chyba jestem w szoku. To zabawne, że sprawy mogą toczyć się tak szybko. Uważaj na siebie, Elizabeth. Jak się domyślam, twój Jonathan wie o wszystkim?

- Tak. Polubisz go, Catherine. To bardzo miły facet. Serio.

- Skoro mu ufasz, musi być właśnie taki. Rozmawiały jeszcze przez kilka minut, a potem Elizabeth rozłączyła się. Zadzwoiła do Adriana i Milly, ale nie powiedziała im, gdzie jest.

- Gotowa wyruszyć do Newcastle? - zapytał Jonathan, kiedy odwiesiła słuchawkę. Zobaczył, że zbladła, więc ją objął. - Wszystko będzie dobrze. Chodź, opowiesz mi, co się wydarzyło, kiedy będziemy jechali.

Kiedy skończyła opowiadać, zapytał tylko:

- Ufasz Catherine?

- Gdybym nie mogła jej zaufać, równie dobrze mogłabym od razu się poddać.

- Wystarczy, przekonałaś mnie. Chodź, wybierzemy ten pierścionek. Możesz uważać go za pierwszy prezent gwiazdkowy.

Rozdział 25

Uwielbiał dotykać Elizabeth, czuć pod palcami gładkie ciało, czuć, jak mięśnie jej brzucha napinają się i drżą.

- Pobierzmy się. Tutaj, w Newcastle - poprosił.

- Podoba mi się twoja metoda rozwiązywania problemów - spojrzała na pierścionek z diamentami i szafirami na palcu lewej dłoni. - Jonathanie, jeśli chodzi o dzieci...

- Hmmmm?

Pieścił językiem ciało wokół jej pępka.

- Właśnie dlatego wyszłam za Timothy'ego. Podniósł raptownie głowę.

- Zrobił ci dziecko? - zapytał z niedowierzaniem. Wszystko wróciło, ból i upokorzenie, uczucie beznadziei, a potem bezgranicznej wdzięczności.

- Wiem, że ludzie podzielili się na dwa obozy. Większość sądziła, że poślubiłam Timothy'ego ze względu na jego pieniądze. Mniejszość była zdania, że wyszłam za niego, ponieważ chciałam mieć ojca. Tym razem takiego, który by mnie kochał. Tych, którzy tak uważali, było niewielu, bardzo niewielu. Tymczasem chodziło o coś innego.

- Co się wydarzyło?

- Umawiałam się wtedy z pewnym facetem, pianistą, Włochem. Pochodził z Mediolanu. Pewnego dnia mnie zgwałcił. Tak po prostu. Sprawilo mu to frajdę, ponieważ byłam dziewicą. Zagroziłam, że pójde na policję, ale on tylko się roześmiał. Twierdził, iż wszyscy wiedzą, że miałam na niego ochotę, że tylko się ośmieszę i zniszczę sobie karierę. A on mógłby się chwalić, że zaciągnął do łóżka oziębłą Elizabeth Xavier i że bardzo jej się to spodobało. Wściekałam się, ale uznałam, że ma rację. Więc w końcu podkuliłam pod siebie ogon i powiedziałam mu, że nigdy więcej nie chcę go widzieć. Wtedy właśnie poznałam Timothy'ego. Szczerze mówiąc, bardzo mi się spodobał. Był niczym wyrozumiaty ojciec, choć z drugiej strony był też wyrafinowany, czarujący i doskonale wiedział, czego chce. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie znałam. Pewnego razu przyszedł do mnie, kiedy akurat wypłakiwałam sobie oczy, ponieważ dowiedziałam się, że jestem w ciąży i nie wiedziałam, co robić. Wychowano mnie w poszanowaniu życia, więc aborcja nie wchodziła w grę. Powiedziałam mu o wszystkim.

Zobaczył w jej oczach ból i potrząsnął nią delikatnie.

- I dlatego za niego wyszłaś?

- Tak, lecz najpierw Timothy wynajął paru osiłków, którzy stłukli łajdaka na kwaśne jabłko. Wrócił do Włoch, gdy tylko wyszedł ze szpitala. A potem Timothy poprosił mnie, bym za niego wyszła. Zrobiłam to. I w dwa miesiące później straciłam dziecko. Oczywiście, wszyscy myśleli, że to było dziecko Timothy'ego. Twierdził, że go pragnie i że jeśli zajdzie taka potrzeba, wykorzeni z niego wszelką podłość, jaką mogłoby odziedziczyć po tatusiu. Spodziewał się jednak, że potomek dwojga uzdolnionych pianistów także będzie utalentowany. W tym okresie życia bardzo interesował

się muzyką i przeznaczając sporo pieniędzy na cele z nią związane.

Jonathan przytulił ją do siebie.

- Tak mi przykro, Elizabeth.

- To wszystko działo się tak dawno. Timothy dosłownie ocalił mi życie. I choć go nie kochałam, bardzo mi na nim zależało. Czułam się przy nim bezpieczna.

W końcu znalazłam swoje miejsce. Zrobiłabym wszystko, czego by ode mnie zażądał.

Tulił ją w milczeniu. Bał się, że jeśli otworzy usta, nie zdoła powstrzymać gniewu, a ona nie potrzebowała teraz niekontrolowanych wybuchów wściekłości.

Po chwili zaczęła mówić dalej:

- Lecz życie płynie swoim torem, wiesz o tym. Toteż pewnego dnia Timothy doszedł do wniosku, że go ograniczam. Nie chciał, bym dłużej występowała, choć tak naprawdę zafascynował go mój talent. Były inne kobiety, młodsze, które też miały talent, choć niekoniecznie muzyczny. W życiu Timothy'ego rozpoczął się nowy okres. Ostatnia jego kochanka, ta, której istnienie Samuelowi udało się utrzymać w tajemnicy, była malarką. To nie był zły człowiek, Jonathanie, wierz mi. Po prostu nie potrafił przyznać, że się starzeje, że jest śmiertelny. W końcu pragnęłam już tylko się od niego uwolnić. Nie chciałam jego pieniędzy, nie były mi potrzebne. Potrafiłam sama na siebie zarobić. Zamierzałam go opuścić i właśnie dlatego nie poszłam wówczas na tę imprezę. Zamiast tego krążyłam zamyślona po ulicach. Christian musiał jakoś się dowiedzieć, że wieczorem mam być na przyjęciu, gdzie będzie mnie widziało pięćset osób, gotowych zaświadczyć, że nie przebywałam w pobliżu domu, kiedy popełniono zbrodnię. A potem wbił ten elegancki szpikulec do lodu w pierś Timothy'ego.

- Zabił go dla ciebie.

- Nie dla mnie - zaprotestowała Elizabeth, marszcząc brwi. - Zrobił to dla kogoś, kogo stworzyła jego wyobraźnia. Tylko że to nie byłam ja.

- A jak mogłoby być inaczej? Nie znał cię, a ty nie znałaś jego. Zastanawiam się, dlaczego po prostu nie postarał się poznać cię osobiście. Gdybyś rozwiodła się z mężem, mógłby poprosić cię o rękę. Po co było popełniać morderstwo? Z pewnością nie zrobił tego dla pieniędzy, ma ich tyle, że nie musi żenić się z bogatą wdową.

- Jego umysł... ja też tego nie rozumiem. Jeśli zależy mu na mnie - to znaczy, zależało - jego uczucia nie były normalne.

- Tak, powiedziałabym, że miał na twoim punkcie obsesję. A teraz stanowisz dla niego zagrożenie.

Objęła go mocno i wtuliła twarz w jego pierś.

- Jesteś pierwszym mężczyzną, który pragnie mnie dla mnie samej. Mnie, a nie kobiety, za jaką mnie uważa.

- Myślisz, że mógłbym zakochać się w zwyczajnej kobiecie? Kocham twój talent, Lizzie.

*

Catherine spojrzała na Brada, stojącego po drugiej stronie biurka babki. To dziwne, jak wygodnie się tu siedzi, pomyślała. Czuła się silna. Opanowana.

- Kiedy zamierzasz zerwać z Jenny?

- Jej ojciec już się tym zajął. Zadzwoił do mnie. Powiedziałem mu, że po południu wybieram się do Waszyngtonu. Wieczorem chce wsadzić Jenny w samolot do Anglii. Zarezerwował już bilety.

- Bogu dzięki. A co potem, Brad?

- Kalifornia. Nowy początek. Spróbuję przekonać Trenta, aby tu wrócił, tak jak sugerowałam.

- Proszę, proszę, dzieci spiskują za plecami dorosłych.

W drzwiach stał Michael Carleton. Wygląda jak starzec z obwisłymi policzkami, pomyślała Catherine, nie jak władczy, przyzwyczajony do wydawania poleceń mężczyzna, który zawsze był prawą ręką babki. Wydawało się, że ma na sobie cudze ubranie, przynajmniej o rozmiar za duże.

- Nie, wuju - powiedziała z wolna, zdziwiona własnym opanowaniem i spokojem - my nie spiskujemy, my po prostu bierzemy życie w swoje ręce. Wiesz, ludzie powinni żyć własnym życiem, podejmować samodzielnie decyzje.

- Wasza samodzielność skończy się, gdy tylko babka stanie na nogi.

- Być może tak będzie w twoim przypadku - powiedziała Catherine - ale nie jeśli chodzi o nas.

- Brad ożeni się z Jennifer Henkle, tak jak tego chce babka - powiedział Michael, a jego żrenice zwały się.

- Nie ma mowy.

- Zdjęcia...

- Koniec z tym, wuju - powiedział Brad. - Jak pewnie podsłuchałeś, wyjeżdżam do Waszyngtonu, a stamtąd do Kalifornii.

- Babka w sekundę sprowadzi cię z powrotem.

- Znalazłam negatywy, wuju - wtrąciła Catherine. - Zniszczyliśmy je, a także fotografie, które babka trzymała w tym biurku.

Michael spojrzał na dziewczynę, a potem na jej brata. Niewdzięczne małe bękarty. Porozmawia z Laurette. Już ona sobie z tym poradzi.

- Jeszcze zobaczycie, oboje - powiedział i wymaszerował z pokoju.

- A co z tobą, Cathy? Co zamierzasz? Oczy Catherine pojaśniały.

- Pojadę do Bostonu, a potem... zobaczymy. Wyszła zza biurka, podeszła do brata i uściskała go serdecznie.

- Powodzenia, Brad. Zadzwoń do mnie, kiedy uporządkujesz swoje sprawy.

- Masz to jak w banku, skarbie.

- Kocham cię, Brad. I pamiętaj, że teraz my sprawujemy kontrolę. Nie pozwól, żeby ktokolwiek wmówił ci, że jest inaczej.

Patrzył, jak Catherine wychodzi z pokoju. Przyszłość, pomyślał, zapowiada się interesująco.

*

- Gdzie jest Elizabeth Carleton?

Porucznik Draper podniósł wzrok. W drzwiach stał Moretti.

- Tu mnie pan ma. Związała, i trudno ją za to winić. A czemu pan pyta? Kogo to obchodzi?

- Nie mogę przestać myśleć o tym cholernym zegarku, dlatego.

- To wszystko kłamstwo, przecież pan wie. Ona...

- Nie udało się obalić alibi Huntera? - przerwał mu Moretti.

Powoli dochodził do wniosku, że porucznik jest idiotą.

- Nie, pielęgniarzka upiera się przy swoim zeznaniu. To znaczy nie przyciskaliśmy jej zbyt mocno, jest wiarygodna...

- Taaa, zupełnie jak Christian Hunter w sądzie.

- Proszę posłuchać, tę dziewczynę potrącił jakiś pirat drogowy.

- Wiesz co, Draper? - powiedział Moretti, odwracając się, by wyrzeć przez brudne okno. - To bardzo nieprzyjemne uczucie, kiedy zaczynasz sobie uświadamiać, że mogłeś się mylić, zwłaszcza

jeśli do tej pory dałbyś sobie głowę uciąć, że wszystko jest w porządku. Poślij paru szperaczy tropem Elizabeth Carleton, chciałbym z nią porozmawiać.

Draper przyglądał się, jak Moretti, ten napuszony głupiec, wychodzi z jego biura. Prokurator najwidoczniej miękł.

*

- Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? - spytała nerwowo.

- Taaa. Co z tobą, Lizzie?

- To okropne zdrobnienie.

- Nie wydaje mi się.

- Jonathanie! Pobieramy się na całe życie!

- Boże, masz rację. A tak nawiasem mówiąc, gdzie będziemy mieszkać?

- Sędzia Columbus czeka na państwa.

Elizabeth pomyślała, że chyba zemdleje ze strachu. Małżeństwo! A tymczasem wszystko wokół pogrążało się w chaosie. No i wiedziała, była tego pewna, że Christian Hunter nie zniknie ot, tak sobie. O nie, on tam gdzieś był. I czekał.

- Jesteś gotowa, kochanie?

Spojrzała na Jonathana. Dostrzegła w jego oczach czułość i zrozumienie. Skinęła głową.

Pani Everett wprowadziła ich do gabinetu sędziego, który założył togę i wyglądał godnie niczym biskup.

Nagle Elizabeth chwyciła Jonathana za ramię.

- Posłuchaj - powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła. - Jeśli się pobierzemy, ty także staniesz się celem. Jak ja. Nie mogę na to pozwolić. To zbyt niebezpieczne. Christian Hunter o nas nie zapomni, jestem tego pewna!

Nie przerywał jej, a kiedy zamilkła, uściśnął jej wilgotne palce i spytał:

- Skończyłaś?

- Nie myślisz jasno, Jonathanie!

- Więc nie skończyłaś - powiedział, wzdychając. - Jeszcze chwileczkę - zwrócił się do sędziego.

- Moja narzeczona zastanawia się, jak powinna rozporządzić swoim majątkiem.

- Zaraz ci przyłożę! Przestań traktować mnie protekcyjnie.

- Pobierzmy się, Elizabeth. Natychmiast. Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion.

- Posłuchaj mnie. I tak już stałem się celem. Jeśli Hunter cię ściga, z pewnością o mnie wie. Ten facet jest szalony. Nie rozumiesz, że to, czy się pobierzemy, nie ma dla niego znaczenia? Nie możemy - powiedział, patrząc jej prosto w oczy - powtarzam, nie możemy pozwolić, by kontrolował nasze życie.

Poczuła, że pieką ją oczy. Pociągnęła nosem.

- Ja także się boję, kochanie. I nie chcę bać się samotnie.

- Och, do licha z tobą, niech będzie!

W piętnaście minut później Jonathan i Elizabeth Harleyowie wyszli z budynku sądu w Newcastle. Jonathan wzdrygnął się na myśl o dniu, w którym media dowiedzą się o ich ślubie.

Na razie czuł się wspaniale. Ulżyło mu. Podczas ceremonii nie myślał wcale o Christianie Hunterze. Bał się zapytać Elizabeth, czy ona też zapomniała o swym prześladowcy.

W godzinę później leżeli już przed kominkiem. Jonathan obsypywał szybkimi pocałunkami jej usta, szepcząc słowa miłości i pożądania.

Potem wszedł w nią głęboko, i jeszcze głębiej.

- Boże - powiedziała, gdy ześlizgiwał się z niej. - Jesteśmy spoceni jak świnie.

- Chrum, chrum - chrząknął, dotykając pieszczotliwie jej ucha.

- Nigdy nie przypuszczałam, że będę miała dwóch mężów - powiedziała spokojnie, sprawdzając, jak to brzmi.

Jonathan nie odezwał się, więc pomyślała, że pewnie zasnął.

- A ja nigdy nie przypuszczałem, że będę miał dwie żony - odparł po chwili milczenia. - Oboje jesteśmy szczęściarzami.

- Tak, to nasz miesiąc miodowy. Jak Francuzi nazywają orgazm? Mała śmierć? No więc to jest nasz mały miesiąc miodowy. Jak powiedziałaaby Scarlett, o prawdziwym świecie pomyślimy jutro.

Lecz on już teraz myślał o swoim automatycznym pistolecie i o Christianie Hunterze. Gdzieś w głębi serca pragnął, aby ten bękart ich odnalazł. Chciał go zniszczyć, zetrzeć z powierzchni ziemi, żeby Elizabeth już nigdy nie musiała się bać.

Następnego dnia ucieli sobie drzemkę na kocu, rozłożonym pomiędzy dwoma głazami nad samym brzegiem oceanu. Dzień był pogodny i bardzo ciepły jak na grudzień, a wino także zrobiło swoje.

Dłoń Jonathana spoczywała na pośladkach Elizabeth, która leżała z twarzą wtuloną w jego ramię.

Nagle słońce przesłonił cień. Jonathan mocniej przytulił Elizabeth. A potem otworzył oczy.

Patrzył prosto w wylot lufy czarnego pistoletu. Powędrował spojrzeniem wyżej, ku twarzy mężczyzny.

Tym mężczyzną był Christian Hunter.

Jonathan spróbował wyciągnąć przed siebie rękę.

- Nawet o tym nie myśl, Harley - usłyszał i znieruchomiał.

Elizabeth dała temu mężczyźnie to, czego odmówiła mu - myślał Hunter, ilekroć od paru dni przyglądał im się z ukrycia. - Odmówiła swojej miłości i lojalności. I swego ciała.

Uspokój się - nakazał sobie. - Teraz ty masz przewagę. Ty sprawujesz kontrolę.

Elizabeth słyszała jego głos, ale sądziła, że to początek sennego koszmaru. Był taki realny. Poczula, że ktoś zaciska dłoń na jej ramieniu.

To dziwne, we śnie nie zdarzają się takie rzeczy. Sen nigdy nie bywa aż tak realny.

- Jonathan... - wymamrotała.

- Obudź się, kochanie. To nie był Jonathan.

- O, nie! - krzyknęła i zamilkła.

- Witaj, Elizabeth. Czy śniłaś właśnie o mnie? A może o tym kretynie, którego poślubiłaś? Tak, zauważyłem, że nosisz obrączkę.

- Jak... jak nas znalazłeś?

Choć głos Harleya brzmiał spokojnie, ale nie zwiodło to Christiana. Facet był wystraszony jak diabli.

- Poczekaj, aż się ubierzecie, docień to. Wiedziała, że Christian ich znajdzie; w głębi duszy dobrze o tym wiedziała.

- Wszystko w porządku, Lizzie - szepnął Jonathan, pomagając jej się podnieść. Poczula, jak ściska ją za ramię. Z pewnością po to, by dodać jej otuchy. Tak jakby w ogóle było to możliwe.

- Lizzie? To nawet do ciebie pasuje.

- Christianie... Zaszło jej w ustach.

- Jak nas znalazłeś? - powtórzył Jonathan, starając się ocenić odległość pomiędzy sobą a

Hunterem. I jego pistoletem. Ten przeklęty pistolet. Jego dwudziestka dwójka została w domu, bezpiecznie ukryta w szufladzie biurka. Nie chciał, żeby Elizabeth się o niej dowiedziała.

- To wcale nie było trudne - powiedział Christian, uśmiechając się. Cofnął się o kilka kroków, po czym usiadł na głazie i założył nogę na nogę.

- Twoja próba, by uciec przede mną pociągiem, była raczej żalosna, Elizabeth. Oczywiście widziałem, jak wsiadasz do wagonu. A potem zadzwoniłem do znajomego detektywa w Filadelfii. Byliście śledzeni. Kiedy się dowiedziałem, jak brzmi nazwisko mężczyzny, musiałem tylko sprawdzić parę rzeczy. Nic łatwiejszego. Tytuły posiadania nieruchomości są dostępne dla wszystkich, nawet jeśli dotyczą Maine.

- Dlaczego czekałeś tak długo?

Czy to jej głos? Taki spokojny i obojętny?

- To przez nowojorską policję, Elizabeth. Badali sprawę śmierci Susan. Zadawali pytania, więc, oczywiście, postarałem się uszczęśliwić porucznika Drapera. Opuścił moje biuro z uśmiechem na tępej gębie. On cię naprawdę nienawidzi. Uważa, że jesteś zakłamaną dziwką. Zgodziłem się z nim, ale uznałem, że to nie będzie rozsądne. A moja pielęgniarka jest taka przekonująca... Ona mi ufa, nawet mnie podziwia. Wierzy w to, co jej powiedziałem.

Jak należy rozmawiać z szaleńcem? Jednak ten człowiek wcale nie wydawał się szalony. Jonathan po raz pierwszy naprawdę mu się przyjrzał. Ze swoją pociągłą twarzą, długimi wąskimi dłońmi, ubrany w tweedową marynarkę i spodnie ze sztruksu, Hunter wyglądał niczym angielski arystokrata. Dlaczego Elizabeth się w nim nie zakochała? Był przystojny, miły i bogaty.

- Cóż to za prymitywne miejsce, Harley. No, chociaż jeśli chcieliście się schować przed światem, żeby się pieprzyć na okrągło, to chyba odpowiednie. Dlaczego ożeniłeś się z tą podstępna dziwką? Dla jej pieniędzy?

- Na szczęście miała dość rozumu, by dać ci kopa. Zobaczył, jak smukłe palce Huntera zaciskają się na broni.

- Czego chcesz, Christianie?

Christian spojrzał na Elizabeth, a w jego spojrzeniu był tylko chłód.

- Chcę, żebyś cierpiała, moja droga. Chcę, żebyś umarła. Nie, Harley, nie ruszaj się - dodał, kierując lufę na Jonathana. - Nawet o tym nie myśl. Widzisz, jeśli będziesz grzeczny, może pozwolę ci umrzeć szybciej niż Elizabeth.

Jonathan objął żonę.

- Zastanawiałem się nad tym, to znaczy, jak was zabić. To powinno wyglądać na wypadek, bo inaczej będę musiał spędzić resztę życia w Ameryce Południowej. Draper i Moretti cię nienawidzą, Elizabeth, lecz nie są głupi. No i przysięgli wymierzać sprawiedliwość, cokolwiek by to znaczyło. Uff, chyba zachciało mi się pić. Pilnowanie was to zajęcie nudne i męczące. Pójdziemy do domu, Harley?

On zamierza się z nami bawić, uświadomił sobie Jonathan z ulgą. Będzie się puszył i przechwalał, udowadniając, jaki jest inteligentny. Doskonale. Może nadarzy się okazja, aby coś zrobić. Dwudziestka dwójka jest w domu. Jeszcze nie wszystko stracone. I Hunter będzie musiał upozorować wypadek. Tylko jak?

- Chodź, Lizzie - powiedział.

- Nie nazywaj jej tak!

Jonathan zamarł, słysząc przepełniony furją głos mężczyzny. I nagle zobaczył z całą jaskrawością,

że ten człowiek jest szalony.

- Dobrze, nie będę. Chce ci się pić, Hunter?

Christian zignorował go.

- Podejź tu, Elizabeth. Pójdiesz ze mną.

Zamarła. Czowała, jak Jonathan sztywnieje z napięcia. Zrobiła krok w przód, potem następny.

Zastanawiała się, czy gdyby rzuciła się na Christiana, Jonathanowi udałoby się uciec. To całkiem możliwe, pomyślała. Jest silny i szybki. Odległość dzieląca ją od Christiana wydawała się nieskończenie długa. Jeszcze jeden krok, a potem kolejny.

Zaczęły jej się przypominać różne urywki z przeszłości, jak filmowe stopklatki. Widziała siebie w szkole średniej, akompaniującą szkolnemu chórowi. A potem była w Paryżu, z Claude'em. Pierwszy raz zwiedzała Luwr, mała i nic nieznająca.

Jeszcze jeden krok. Ocali go. Jest przecież silna. I opanowana.

Rozdział 26

Elizabeth czuła się tak, jakby to inna kobieta zmierzała teraz ku Christianowi. Jeszcze krok. Jedna stopa przed drugą. Żadnych więcej wspomnień. Tylko chwila obecna. Zmusiła się, by patrzeć prosto w twarz Christiana, ignorując wymierzoną w siebie broń.

Kolejny krok.

Tuż nad ich głowami głośno zaskrzeczała mewa. Elizabeth uśmiechnęła się i spojrzała w górę. Na jedną króciutką chwilę Christian też podniósł wzrok.

Skoczyła przed siebie. Chwyciła mężczyznę za nadgarstki i rzuciła się na niego całym ciężarem. Christian upadł. Jonathan krzyknął.

Potem pistolet wypalił.

Przetaczała się wraz z Christianem po kamienistej plaży. Przeklinał ją, uderzając na oślep pięściami.

I nagle było po wszystkim.

- Nie ruszaj się, Harley, albo dziwka zginie!

Jonathan znieruchomiał. Hunter celował z pistoletu w skroń Elizabeth, przyciskając ją ciałem do skalistego podłoża.

Kiedy przekonał się, że Harley posłuchał, spojrzał na twarz Elizabeth i delikatnie przycisnął lufę do jej skroni.

Metal był zimny.

- Podoba ci się to, Elizabeth?

W milczeniu wpatrywała się w twarz Christiana.

- To było bardzo niemądre posunięcie - powiedział mężczyzna, wstając. - Chodź. I żadnych więcej prób ocalenia tego twojego głupiego mężulka, albo wpakuję ci kulkę w sam środek twarzy.

Uwierzyła mu.

Bolały ją zebra. Potrząsnęła głową, by odzyskać jasność myślenia, a potem wstała.

- Idziemy.

Christian szedł obok, celując pistoletem w jej gardło. Jonathan włókł się przed nimi. Jakiś czas temu ćwiczył karate i był w tym całkiem dobry, ale teraz nie mógł sobie przypomnieć ani jednego chwytu. Jakby jego ciało należało do kogoś innego. Zawsze uważał samoobronę za rodzaj gry, nic więcej.

- Wiejska chatka - powiedział Christian. - W sam raz dla nowożeńców. Mogą tu jęczeć i krzyczeć, kotłując się w pościeli, a i tak nikt nie usłyszy. Otwórz drzwi, Harley.

Jonathan wszedł do środka pierwszy. Jego spojrzenie pobiegło natychmiast ku małemu biurku w odległym kącie saloniku. Pistolet spoczywał w górnej szufladzie, pod kilkoma arkuszami papieru. Załadowany i gotowy.

- Nalej mi szkockiej, Harley. Czystej, bez wody. Droga Elizabeth i ja poczekamy tu na ciebie.

Myśl, kretynie, myśl!

- No cóż, Elizabeth, wszystko przez ten zegarek, prawda?

Jego głos brzmiał normalnie, dźwięczała w nim nawet nutka rozbawienia.

- Tak - przyznała. - Chodziło o zegarek. Timothy ani razu nie miał go na sobie przed dniem, kiedy został... kiedy go zamordowałeś.

- To było głupie z mojej strony - powiedział Christian, wyciągając się wygodnie na sofie, zrelaksowany i bardzo z siebie zadowolony. - Wiedziałem, że będziesz o tym myślała, że zaczniesz się zastanawiać. Nie miałem, niestety, pojęcia, że ten stary sukinsyn nigdy go nie nosił. Fatalny zbieg okoliczności. Ale zanim powiedziałem ci o zegarku, i tak było za późno, prawda, Elizabeth? Już cię straciłem.

- Nigdy mnie nie miałeś, Christianie.

- Mimo że ocaliłem cię przed Rowenem Chalmersem? Jesteś niewdzięczna, Elizabeth. Pragnąłem cię tak bardzo, że nawet mi nie przeszkadzało, że to on cię pieprzy.

- Nie, Christianie, to nie mnie pragnąłeś. Zabiłeś człowieka, który nie wyrządził ci nic złego, a wszystko z powodu wytworu twojej wyobraźni, który tak naprawdę nigdy nie istniał.

- Powiedzieć ci coś, Elizabeth?

Głos Christiana brzmiał normalnie, jakby sens tego, co powiedziała Elizabeth, w ogóle do niego nie dotarł. Może właśnie tak było.

Christian mówił dalej:

- Po wizycie u ciebie zwykle odwiedzałem Susan. Sądziłem, że jesteś zbyt przerażona, nadmiernie ostrożna i że za bardzo się boisz zranienia. A ty się po prostu ze mną bawiłaś. Bałaś się, że powiem Morettiemu, iż skłamałem dla ciebie w sądzie i że to ty zabiłaś męża.

- Nie - powiedziała Elizabeth. - Nie.

- No cóż, teraz to i tak bez znaczenia. O, jest moja szkocka. Siadaj, Harley, bądź dobrym kompanem. Elizabeth, ty pierwsza - dodał z uśmiechem, podając jej szklaneczkę.

Dzięki Bogu, nie udało mi się znaleźć trucizny - pomyślał Jonathan.

Hunter przyglądał się, jak Elizabeth pociąga jeden niewielki łyk trunku, a potem następny. Kiwnął głową, usatysfakcjonowany.

Jonathan przypomniał sobie, że w wielu filmach bohater stara się zyskać na czasie, skłaniając potencjalnego zabójcę do mówienia. Czy w prawdziwym życiu to także tak działa? Zaklinał Elizabeth w myślach, by nie prowokowała mordercy. Spojrzał na nią i zobaczył, że zacisnęła w pięści dłonie złożone na kolanach.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, Hunter - odezwała się - że nie ma szansy, abyś się z tego wywinął.

Wzrok Christiana powędrował ku niemu. Był lekceważący, pogardliwy.

- Posłuchaj, Christianie - wtrąciła Elizabeth. - To mnie nienawidzisz, to ja cię zraniłam, nie Jonathan. On nie ma z tym nic wspólnego. Pozwól mu odejść.

- Zamknij się!

- Pozwól jej błagać, Harley. Jej oddanie porusza czułą strunę w mojej duszy. Choć skierowane zostało ku niewłaściwej osobie, i tak robi wrażenie. Zastanawiam się, dlaczego go poślubiłaś? Ze strachu przede mną? Wiedziałaś, że zbliża się dzień zapłaty i chciałaś związać ze sobą jakiegoś frajera, żeby cię bronił?

- On jest mężczyzną - powiedziała spokojnie Elizabeth, patrząc Christianowi prosto w oczy. - Uczciwym i lojalnym. To, że go poznałam, jest najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła mi się w życiu.

Pozwól mu odejść.

- Nudzisz mnie, Elizabeth. - Christian odstawił szklaneczkę na stolik. - Powiedzieć ci coś? Wiedziałem, że się w nim zadurzyłaś, zanim jeszcze dowiedziałem się, kim jest. A ty skłamałaś, twierdząc, że to tylko służbowa znajomość. Ale ja wiedziałem, Elizabeth. Wiedziałem, że mnie zdradzasz.

- Niczego takiego nie robiłam.

- Teraz już za późno. Pora kończyć tę farsę. Jedziemy na przejażdżkę. Kluczyki do łodzi, Harley.

Jonathan przez chwilę wpatrywał się w mordercę. Przekłeta łódź. A zatem ich zwłoki zostaną znalezione w Atlantyku, w pobliżu Christmas Cove. Ruszył w kierunku biurka, lecz Hunter natychmiast go powstrzymał.

- Kluczyki wiszą na haku, Harley, tuż koło okna. Jonathan zdjął klucze i rzucił je Christianowi. Kiedy je złapał, ujął Elizabeth mocno za ramię.

- Ostrzegam cię, żebyś niczego nie próbowała. A teraz, Harley, daj mi porządny kawałek mocnego sznura.

- Nie.

Christian mocniej wykręcił rękę Elizabeth, która zagryzła wargi, lecz zachowała milczenie.

- No dalej, Harley, albo wyłamie jej ramię.

- Nie mam sznura, przynajmniej tu.

- A gdzie?

- W szopie na łódź.

- Chodźmy - powiedział, wymachując pistoletem. Elizabeth znieruchomiała.

- Nie, Christianie. Nigdzie nie pójde. Chcesz, żeby to wyglądało na wypadek? Nie dopuszczę do tego. Jeśli chcesz mnie zabić, to zastrzel mnie tutaj, od razu. Wtedy nawet Moretti będzie musiał cię ścigać.

Jonathan zaczerpnął gwałtownie powietrza. Hunter strzeli, czuł to. Ten facet jest szalony i tak pokręcony, że pewnie nawet perspektywa więzienia nie przeszkodzi mu w zrobieniu tego, na co akurat miał ochotę.

Christian spojrzał na Elizabeth. Uśmiechnął się.

- Chcesz, żeby to stało się tu i teraz, moja droga? Proszę bardzo.

*

- Posłuchaj, Peabody, mówi prokurator okręgowy. Sytuacja prawdopodobnie jest krytyczna. Proszę natychmiast jechać do chaty Jonathana Harleya w Christmas Cove. Mogę się założyć, że Harleyowi i pani Carleton grozi niebezpieczeństwo.

Homer Peabody spojrzał na stojący przed nim talerz wołowego gulaszu, gorącego i mocno przyprawionego musztardą. Jego żona uważała, że trzeba być wariatem, aby jeść gulasz z musztardą.

- W porządku, panie Morelli...

- Moretti! Anthony Moretti, przeklęty idioto!

- Taaa, panie Moretti. Pojadę tam, proszę się nie martwić.

- I niech pan weźmie z sobą paru ludzi. Hunter jest niebezpieczny. Zabił już trzy osoby!

- Taaa, zaraz wyruszam. Moretti zaklął i rzucił słuchawką.

Peabody ze smutkiem pokiwał głową nad tępotą tego faceta. Nic się nie stanie. Pełnił swą funkcję już od piętnastu lat i w tym czasie tylko raz zdarzyło się morderstwo. Prokurator okręgowy Nowego Jorku miałby do niego dzwonić! Akurat! Włożył do ust kolejną łyżkę gulaszu. Pojedzie do Christmas

Cove - tak, z pewnością. Włożył do ust kolejną porcję swej ulubionej potrawy i pogryzł starannie jedzenie. Tak, ta musztarda jest zdecydowanie najlepsza.

Moretti wybrał numer policji stanowej. Trzęsła mu się ręka. Ten przeklęty głupiec, Draper, zgubił Huntera, i teraz nie wiadomo, gdzie go szukać. Miał dość czasu. Przeczucie podpowiadało Morettiemu, że doktor ruszył w pościg za Elizabeth Carleton. A wszystko to była jego wina.

- Cholera - zaklął cicho.

- Słucham? - usłyszał kobiecy głos po drugiej stronie słuchawki.

- Przepraszam, to nie było do pani. Chciałbym rozmawiać z Markiem Cunninghamem.

- Jest teraz na lunchu.

Moretti z niedowierzaniem spojrział na telefon.

- Więc proszę połączyć mnie z jego zastępcą! To nagła sytuacja, do cholery!

- Nie musi pan krzyczeć - powiedziała kobieta. Moretti zacisnął zęby.

W słuchawce zapanowała głucha cisza. Kobieta się rozłączyła. Moretti zaklął i zaczął ponownie wybierać numer.

Elizabeth nawet nie zauważyła zbliżającej się pięści, która wylądowała na jej szczęce.

Jonathan rzucił się ku Hunterowi, lecz Christian złapał Elizabeth pod pachy i przyłożył jej pistolet do piersi.

- Stój spokojnie, Harley.

- Zabiję cię, Hunter.

- Jasne, chłopie. Na pewno. Ale póki co, weź dziwkę na plecy i marsz do szopy. Jeśli czegokolwiek spróbujesz, wpakuję jej kulkę.

Christian zdawał sobie sprawę, że Jonathan znajduje się na skraju wytrzymałości, dodał więc spokojnie:

- Nie dbam o to, co stanie się ze mną, Harley. Możliwe, że dopadniesz mnie, nim zdołam drugi raz wystrzelić. Lecz ona zginie. Na sto procent.

Puścił Elizabeth, która osunęła się na podłogę.

- Podnieś ją, no już.

Jonathan przerzucił sobie nieprzytomną żonę przez plecy. Miał nadzieję, że cios nie złamał jej kości. Krew po prostu wrzała mu w żyłach. Pragnął zabić Huntera, pragnął tego bardziej, niż czegokolwiek kiedykolwiek w życiu.

Wyszli z domu.

Po lewej, za sobą, widział cień Huntera.

W szopie ostrożnie położył Elizabeth i wyprostował się.

- Sznur, Harley - powiedział Christian, wymachując pistoletem.

Zamierzasz mnie związać, a potem zabrać Elizabeth i wrzucić ją do oceanu.

Na nieszczęście sznur, a raczej mocna nylonowa linka, służąca do uruchamiania silnika motorówki, znajdowała się w widocznym miejscu.

Jonathan sięgnął po nią, zastanawiając się gorączkowo, co robić.

Już wiedział.

Poczuł za sobą gwałtowny ruch powietrza i szybko się uchylił. Szybko, lecz nie dość szybko. Kolba pistoletu Huntera opadła prosto na jego skroń. Padł na drewnianą podłogę.

Elizabeth ostrożnie uniosła powieki. Najpierw dotarł do niej głośny warkot pracującego silnika, a potem dziwne wrażenie, że choć leży nieruchomo, to jednak się porusza. No i wspomnienie o

Christianie Hunterze. Nie potarła ręką bolącej szczęki, ani nie otworzyła szerzej oczu. Zerknęła spod uchylnych powiek. Christian stał za kołem, sterując łodzią tak, by wyprowadzić ją na pełne morze. Gdzie może być Jonathan? O mało nie krzyknęła, kiedy uświadomiła sobie, że nie ma go w łodzi. Co Christian z nim zrobił? Czy już go zabił? Poczwała, że coś rośnie jej w gardle, i doświadczyła uczucia porażającej bezsilności.

- Nie.

Christian odwrócił się natychmiast, by na nią spojrzeć.

- Witaj, Elizabeth. To już nie potrwa długo, moja droga.

Co powiedziawszy, wyłączył silnik.

- Co zrobiłeś Jonathanowi?

- Zabiłem go - powiedział Christian spokojnie. Łódź zakołysała się lekko na falach.

- Zabiłem przekłętego sukinsyna - powtórzył. Podniosła głowę i spojrzała na niego. Uśmiechał się. Z opadającym na czoło kosmykiem włosów wyglądał niczym szczęśliwy chłopiec. *Zabiłem go.*

Czuła na twarzy powiew słonej bryzy, czuła, jak jej włosy unoszą się, a potem opadają na ramiona.

Zabiłem przekłętego sukinsyna.

Elizabeth wstała raptownie, a łódź zakołysała się niebezpiecznie.

- Siadaj!

Lecz ona nie zamierzała go posłuchać. Nie widziała niczego i nic nie czuła. Pragnęła zabić. A potem umrzeć. Oba pragnienia były równie silne.

- Siadaj! - powtórzył, mierząc z pistoletu w jej brzuch.

Broń nic nie znaczy. To tylko kawałek pomalowanego na czarno metalu.

Źrenice Elizabeth zwęziły się, a cały świat sprowadził do pulsującej w niej nienawiści.

Skoczyła.

Christian próbował się odsunąć i uderzył mocno nogami o korpus silnika. Rzuciła się na niego jak rozwścieczone zwierzę. Pociągnął za spust. Wiedział, że ją trafił.

Poczwała kłujący ból w ramieniu. Nic więcej, zaledwie irytujące ukłucie. To tylko kawałek metalu. Nie może zrobić jej krzywdy.

Sięgnęła do jego twarzy i rozorała mu paznokciami policzki. Wrzasnął, a potem zaczął uderzać na oślep pięściami, celując w jej brzuch i klatkę piersiową.

Zdołał unieruchomić jej ramiona, więc uniosła kolano i z całej siły zdzieliła go między nogi. Znieruchomiał, a potem głośno jęknął.

- Zdechnij!

To było niczym wrzask szaleńca. Kopnęła go jeszcze raz, a potem, wyężdżając wszystkie siły, przerzuciła jego ciało przez burtę. Uchwycił się Elizabeth, próbując pociągnąć ją za sobą, więc zahaczyła nogą o silnik i mocno walnęła go pięścią w żołądek.

Poczwała, że mężczyzna rozluźnia uchwyt. Wyszarpnęła ramię, trafiając go łokciem prosto w gardło. Wydał dziwny gulgoczący dźwięk i zniknął pod wodą.

Po chwili wypłynął, młocąc rękami powierzchnię i krzyknął coś do niej. Obserwowała te bezowocne wysiłki nieporuszona.

Woda po raz drugi zamknęła się nad jego głową.

Zabiłam go.

- Elizabeth!

Głos kobiety... ale nie, to nie miało sensu. Odwróciła się powoli i zobaczyła, że w jej stronę płynie inna motorówka, a znajdująca się na niej kobieta wymachuje rozpaczliwie ramionami. Poznała Catherine. Za sterem stał Rowe Chalmers.

- Elizabeth!

Spojrzała na spienione fale, wzburzone przez zbliżającą się łódź. Nie zastanawiała się, skąd wzięła się tu Catherine, w dodatku z Rowenem. Po prostu wpatrywała się w wodę. Powoli, w pełni świadomie, zaczęła przesuwać się w kierunku burty.

- Elizabeth, na miłość boską, nie! Głos Rowe'a, przepełniony był lękiem.

A potem Rowe przybił do burty i wyłączył silnik. Catherine przedostała się na łódź i chwyciła Elizabeth w ramiona.

- O, Boże, widzieliśmy go, widzieliśmy, jak z nim walczyłaś. Już po wszystkim, Elizabeth. Co z tobą?

- On zabił Jonathana. Zabił mojego męża. Elizabeth próbowała odsunąć się od Catherine, lecz tym razem chwycił ją Rowe i po prostu przerzucił do drugiej łodzi.

- Pilnuj jej, Catherine - nakazał. Elizabeth skuliła się i zajęczała.

- Boże, on cię postrzelił!

Nagle poczuła dojmujący ból w ramieniu. Zawartość żołądka podeszła jej do gardła. Czym prędzej przechyliła się przez burtę i z wymiotowała.

Catherine podtrzymała ją, a potem położyła na dnie łodzi, umieściwszy sobie jej głowę na kolanach.

- Przyjechaliśmy najszybciej, jak tylko się dało. Rozmawiałam nawet z Midge, sekretarką Jonathana. Martwiła się. Chciała jechać z nami. Chciała...

- Christian zamordował mojego męża.

- Boże, Elizabeth, tak mi przykro!

Zaczęła kołysać ją w ramionach, wypowiadając słowa pocieszenia. A zatem wyszła za Jonathana Harleya, pomyślała. A teraz ponownie została wdową.

- Musimy zabrać ją do szpitala - powiedział Rowe, przybijając do pomostu. Był bardzo blady.

- Wszystko mi jedno - szepnęła Elizabeth.

- Przestań, oczywiście, że nie jest ci wszystko jedno! Uspokój się!

Catherine spojrzała na Rowe'a, ale on tylko potrząsnął głową. Wyskoczył na brzeg i zmarł.

Z szopy wytoczył się Jonathan Harley. Krew spływała mu po twarzy, a dłonie nadal miał związane za plecami.

- Elizabeth!

Nie podniosła głowy.

Rozdział 27

- Kula przeszła na wylot przez mięsień ramienia. Nic jej nie będzie, ale potrzebuje transfuzji. Pan Chalmers ma odpowiednią grupę i właśnie pobierają mu krew. Panie Harley, proszę, niech się pan uspokoi, muszę założyć panu kilka szwów.

Doktor Carruthers zaprzestał na chwilę tej jakże rozsądnej przemowy, przekonany, iż pan Harley także wykaże się rozsądkiem i będzie współpracował. Tymczasem Jonathan zapytał ostro:

- A jaką ona ma grupę krwi? Dlaczego nie poproszono mnie?

Doktor Carruthers westchnął.

- Pan potrzebuje swojej krwi, każdej kropli. Przecież odniósł pan ranę. Proszę, panie Harley.

Lecz Jonathan zignorował go i jeszcze raz spojrzął na Elizabeth. Leżała, podłączona do kroplówki. Jego przerażonym oczom wydała się blada niczym śmierć.

- Zastąpimy roztwór glukozy, który teraz dostaje, krwią. A potem znów powrócimy do glukozy - powiedział doktor Carruthers Skinął na pielęgniarkę, ale Jonathan powiedział:

- Jeszcze chwileczkę, doktorze.

Pochylił się nad żoną i powiedział łagodnie:

- Już po wszystkim, kochanie. On nie żyje. Uwierz mi, Elizabeth. Teraz jesteśmy tylko my, żadnych cieni, żadnych potworów ukrywających się w ciemności.

- Panie Harley, pańska głowa... Jonathan odwrócił się do lekarza.

- No dobrze - powiedział.

Lecz nie poruszył się, dopóki szpitalne łóżko na kółkach nie znikło mu z oczu.

Catherine Carleton i Rowe Chalmers czekali w szpitalnym korytarzu na wiadomości.

- Nic jej nie będzie, Cathy - powiedział Rowe, odwijając rękaw koszuli.

Catherine uśmiechnęła się leciutko. - Tak, wiem.

- Z Jonathanem też wszystko w porządku.

- Biedny facet. Boże, ależ jestem zmęczona. Odwróciła się i wtuliła twarz w ramiona Rowe'a.

- Gdybyśmy nie odnaleźli ich w porę, gdybyśmy nie dotarli na czas do łodzi albo...

- Już po wszystkim, Catherine. Teraz musimy zadzwonić na policję.

- To wy przyjechaliście tu z Jonathanem Harleym i Elizabeth Carleton?

Odwrócili się i zobaczyli przysadzistego starszego mężczyznę, którego łysą głowę okalał wianuszek rzadkich siwych włosów. Miał na sobie szary mundur. Koszula opinała mu się na wydatnym brzuchu.

- Jestem Homer Peabody, przedstawiciel prawa. Może zechcielibyście mi powiedzieć, co się tu dzieje?

Rowe zmarszczył brwi.

- Kto pana wezwał? Jesteśmy tu dopiero od paru minut.

Homerowi nie spodobało się to pytanie, więc wymamrotał pod nosem:

- Pan Morelli, facet z Nowego Jorku.

- On nazywa się Anthony Moretti i jest naczelnym prokuratorem okręgu Nowy Jork.

- O, cholera - zaklął Homer. - No cóż, zadzwonił do mnie. Wyruszyłem do chaty najszybciej, jak to było możliwe, i zobaczyłem tylne światła odjeżdżającej karetki. Pojechałem za wami. Catherine i Rowe wymienili spojrzenia.

- Doskonale, panie Peabody - odezwał się w końcu Rowe. - Powiemy panu wszystko, co wiemy. A potem będzie pan musiał porozmawiać z panem Harleyem.

Homer zapisał wszystko tak, jak nauczono go tego dawno, dawno temu. Istotne fakty i te pomniejsze. Wszystko mogło okazać się ważne. Kiedy usłyszał, że kobieta wypchnęła z motorówki mężczyznę, spojrzał na nich skonsternowany.

- ...sugerowałbym, by ktoś poszukał ciała Christiana Huntera - powiedział Rowe na koniec.

- Zostawmy go rybom.

Catherine uśmiechnęła się do Jonathana Harleya. Przystojniak z niego, oceniła, choć szczękę ma nieco zbyt kwadratową. A oceniając jeszcze bardziej bezstronnie, musiała przyznać, że Harley wygląda pociągająco jak diabli z tym opatrunkiem na twarzy i w poplamionej krwią koszuli.

- To pan jest Jonathan Harley?

Jonathan przez chwilę wpatrywał się w Peabody'ego, a potem skinął głową.

- Jestem Homer Peabody.

- Tak, wiem. Jest pan szeryfem, prawda?

- Zgadza się. Ci ludzie tutaj zeznali, że pańska żona zabiła faceta nazwiskiem Christian Hunter.

- Mam nadzieję, że tak się stało - powiedział Jonathan. Uśmiechnął się do Catherine, a potem, bardziej powściągliwie, do Rowena.

- Dobrze, że się pojawiliście - powtórzył po raz kolejny. Mówił to już wielokrotnie, od kiedy ich zobaczył. Lecz wcześniej, nieprzytomny z obawy, że Elizabeth umrze, po prostu paplał bez zastanowienia.

- Chciałbym zobaczyć ciało Huntera - powiedział, zwracając się do Peabody'ego. - Chcę się przekonać na własne oczy, że sukinsyn nie żyje.

- Widzi pan, panie Harley, tego faceta...

- ...szalony psycholog, a to ci dopiero - wtrąciła Catherine.

- Nigdy nic skończę raportu, jeżeli wszyscy będziecie mówić naraz - przerwał jej Homer, z irytacją liżąc koniec swego ołówka.

- Proszę posłuchać - powiedział Rowe. - Pan Harley jest wyczerpany. Potrzebuje odpoczynku. Hunter jego też zranił, przyłożył mu kolbą pistoletu. Pani Harley w ogóle nie będzie w stanie z panem rozmawiać. Ma pan nasze zeznania. Może dałby pan nam teraz spokój?

- Ale gdzie jest Elizabeth Carleton? - zapytał Homer. - Ten gość, Moretti, powiedział...

- Pobraliśmy się - wyjaśnił Jonathan. - Ona teraz nazywa się Elizabeth Harley.

- W porządku.

Homer starannie zapisał to w notatniku. Musi skontaktować się ze strażą przybrzeżną, dopilnować, by rozpoczęto poszukiwanie ciała. Starannie złożył notatnik. To jego pierwsza poważna sprawa, a tymczasem wygląda na to, że nawet nie doszło tu do morderstwa. Kobieta wypychająca faceta za burtę? To wyglądało po prostu dziwnie, nic więcej.

Cała trójka przyglądała się, jak Homer Peabody oddala się bez pośpiechu korytarzem. Rowe potrząsnął głową i powiedział:

- Wiesz, że Moretti do niego zadzwonił, a ten skurczybyk nic nie zrobił?

- Gdyby Moretti zadzwonił do mnie, pewnie też bym nie zareagował - powiedział Jonathan.

Wyciągnął rękę: - Dziękuję wam.

- Żałuję, że nie udało nam się dotrzeć wcześniej - westchnęła Catherine, potrząsając jego dłonią.

- Poprosiłam, by dano ci pokój obok pokoju Elizabeth. Założę się, że stary Peabody tu wróci. Gdybyś nas potrzebował, będziemy w gospodzie „Pod Białą Kaczką”.

- Moretti też pewnie się pokaże - dodał Rowe.

- Biedny Homer. Nie chciałbym być wtedy w jego skórze - powiedziała Catherine.

- Jak tam twoja babka, Catherine?

- Trzyma się, ale trudno powiedzieć coś konkretnego. Dziękuję, że zapytałeś.

- Panie Harley, pora, by pan odpoczął. Jonathan roześmiał się, słysząc przymilny głos pielęgniarki.

- Do zobaczenia później - powiedział.

*

Moretti pojawił się w szpitalu o dziesiątej wieczorem. Nie miał skrupułów, aby wejść do pokoju Jonathana i obudzić go. Jonathan zaś nie silił się wobec niego na grzeczność.

- Trochę późno odzyskał pan rozum, co, Moretti? Oj, późno.

Moretti był zmęczony i bardzo zdenerwowany, ponieważ w głębi duszy obwinił się za to, że Elizabeth Carleton o mało nie została zamordowana. I Jonathan Harley także, dodał w myśli, spoglądając na wysokiego postawnego mężczyznę, który wpatrywał się w niego z ledwie skrywaną pogardą.

- Taaa - powiedział. - Niech pan posłucha, Harley, naprawdę cholernie mi przykro. Nie znaleziono dotąd ciała Huntera, ale, jak zrozumiałem, w okolicy występują silne prądy. Z łatwością mogło znieść zwłoki na otwarty ocean. Czy przyznał się do zamordowania Timothy'ego Carletona?

- To znaczy, czy się tym chełpił? Pewnie. Zabił też kobietę imieniem Susan. Bał się, że ta Susan coś wygada. I rzeczywiście, zadzwoniła do Elizabeth, ale o tym pan wiedział, prawda?

- Taaa, wiedziałem - przyznał Moretti.

- I wysadził w powietrze Drake'a, kierowcę Elizabeth.

Moretti spuścił wzrok. Jonathan westchnął.

- Przynajmniej próbował pan zmusić Peabody'ego, by ruszył tyłek.

Bolała go głowa, lecz pragnął zobaczyć Elizabeth, przytulić ją, zapewnić, że jest bezpieczna.

- Policja stanowa też zaważyła sprawę - powiedział Moretti, potrząsając z niesmakiem głową.

Nie przyznał jednak, iż nie był w stanie powiedzieć im dokładnie, dokąd powinni się udać. Wiedział tylko, że Jonathan Harley ma chatę gdzieś w Christmas Cove. To powinno było wystarczyć! Nawet stary Peabody pobił stanowych na głowę.

- Wiedział pan też o zegarku - kontynuował bezlitośnie Jonathan, zastanawiając się, co by się stało, gdyby zdzielił prokuratora pięścią w twarz.

- Posłuchaj, Harley, myliłem się, w porządku? Zadowolony? Żyjecie, ty i twoja żona.

- Proszę odszukać ciało Huntera.

Moretti skinął głową, a potem podszedł do okna. Na zewnątrz było ciemno jak w piekle. Znajdowali się w niewielkim szpitalu komunalnym w Newcastle. Powiedział, bardziej do siebie niż do Harleya:

- A wie pan, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze? To, że Catherine Carleton pośpieszyła

pańskiej żonie na ratunek. Z Rowenem Chalmersem u boku. To wszystko przypomina mydlaną operę.

- Dzięki Bogu, ludzie się zmieniają - powiedział Jonathan, zdając sobie sprawę, iż zamierzona ironia tej wypowiedzi nie umknie uwadze prokuratora.

- Taaa. Pozwolę teraz panu trochę odpocząć. A z panią Harley porozmawiam rano.

Z wahaniem wyciągnął do Jonathana rękę.

- A, co tam - powiedział Jonathan i uściśnął podaną dłoń.

Gdy tylko Moretti zostawił go samego, Jonathan natychmiast wyszedł ze swego pokoju. Cicho otworzył drzwi izolatki Elizabeth i spojrzął na żonę. Nasłuchiwał, czy spokojnie oddycha. Potem ruszył w stronę jej łóżka. Czuł się jak głupiec. Nie powinien był zostawiać jej samej. Miała na sobie białą szpitalną koszulę. Ostrożnie uniósł przykrycie i wsunął się do łóżka obok niej, uważając, by nie uszkodzić kroplówki.

Po kilku godzinach do pokoju zajrzała pielęgniarka, Nancy Cooper. Zamrugwała, a potem uśmiechnęła się. W końcu nic złego się nie działo. Cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy kolba pistoletu spadła jej na głowę, nadal się uśmiechała. Krzyknęła cicho i osunęła się bez czucia na podłogę.

- Myślę, że postarzałam się o dwadzieścia lat - westchnęła Catherine.

- Ja także, co czyni ze mnie starego piernika - zgodził się z nią Rowe.

Wyciągnął ramiona, a Catherine ochoczo przytuliła się do niego. Nagle poczuła się bardzo ożywiona, a jej zmęczenie zniknęło bez śladu.

- Ożeń się ze mną, Rowe - powiedziała. Rowe nie odpowiedział.

- Tworzymy zgrany zespół.

- Jesteś dla mnie za młoda, Cathy.

- I za bogata, to chciałeś powiedzieć? A także zbyt zepsuta?

- Nie i nie. Po prostu za młoda.

- Nonsens.

- Dopiero zaczęłaś przejmować imperium babki. Jesteś do tego stworzona. Ja jestem tylko małą płotką. Małą bostońską płotką.

- To samo odnosi się do Elizabeth i Jonathana. Czy ich małżeństwo musi się rozpaść?

- Z rozmysłem uwiodłem Elizabeth. Wykorzystałem tę kobietę. A gdyby nazwać rzeczy po imieniu, po prostu ją zdradziłem. Potrzebowałem pieniędzy i byłem gotów zrobić wszystko, aby je zdobyć.

- Ale w końcu powiedziałaś babce, żeby się wypchała.

- Dopiero gdy Elizabeth przyznała, że wie o wszystkim. Byłem gotów ożenić się z Amandą dla jej pieniędzy. Czy to nie skłania do zastanowienia?

- Posłuchaj, Rowe, to ja proszę cię, abyś się ze mną ożenił. To o moje motywy chodzi. Wszystko inne należy już do przeszłości, nie liczy się. Jak zapewne pamiętasz, ja też nie byłam miłą osobą.

- To prawda.

- Czy fakt, że oboje wkroczyliśmy na drogę cnoty, nie liczy się?

- Uwiodłaś mnie z rozmysłem.

- To prawda.

- Masz dwadzieścia cztery lata, a ja trzydzieści sześć.

- Jesteś bardzo niedojrzały jak na swój wiek, a ja wręcz przeciwnie, przynajmniej od jakiegoś czasu.

- 1 to się równoważy, tak?
- Dokładnie, wielkoludzie. A może bym tak uwiodła cię jeszcze raz?
- Chyba nie mam teraz nic lepszego do roboty.
- Sukinsyn. Seksowny sukinsyn.
- To nie będzie proste, Catherine... Przestań, nie mogę myśleć, kiedy to robisz.
- Więc nie myśl przez następną godzinę. Albo dwie.

*

Jonathan uświadomił sobie, że coś kapie mu na twarz. Podniósł rękę, by zetrzeć tajemniczy płyn, lecz to nic nie dało. Kapanie nie ustawało.

Oprzytomniał i rozejrzał się wokół. W pokoju panował półmrok, a nad nim unosiła się twarz Christiana Huntera.

To z pewnością koszmar spowodowany urazem głowy, powiedział do siebie w myśli Jonathan. Przywidzenia na skutek wstrząsu.

- Obudź się, Harley.

Duch, przemawiający cichym, łagodnym głosem.

Kap, kap.

Nagle oprzytomniał. To zawartość kroplówki Elizabeth kapiała mu na twarz. Nie poruszył się, zmuszając umysł, by przyjął do wiadomości grozę sytuacji.

Kapanie ustało.

- Ty nie żyjesz.

Czy to naprawdę jego głos?

- Nie, sukinsynu, wręcz przeciwnie.

Teraz widział wyraźnie. Lewy policzek Huntera szpeciły głębokie szramy, ślady po paznokciach Elizabeth. Miał na sobie biały kitel, w którym wyglądał zupełnie naturalnie, wyjąwszy zadrapania. Na kitlu widać było przywieszkę z nazwiskiem doktora Carruthersa. Boże, czy Hunter zabił tego biednego udręzonego człowieka?

- Mam tutaj trochę ślicznego chlorku potasu, Harley. Wstrzyknę go do kroplówki Elizabeth. Widzisz, już umieściłem igłę w jej ramieniu. Tylko ta odrobina, więcej nie będzie potrzeba. Niestety, umrze bardzo szybko, nie tak, jak zaplanowałem, zupełnie nie tak. Wiesz pewnie, że w kroplówce znajduje się roztwór glukozy. Kiedy dodam do glukozy chlorku potasu, serce Elizabeth zacznie bić nieregularnie, a potem bardzo szybko. Pewnie obudzi się z bólem w piersi, a potem umrze. Nie potrwa to dłużej niż kilka sekund. Wielka szkoda. Chcesz się przyglądać, jak będę to robił?

Elizabeth poruszyła się i wymamrotała coś pod nosem.

- Nawet nie próbuj, Hunter.

- Chyba wepchnę ci lufę tego pistoletu między zęby i pociągnę za spust. Poznajesz go, Harley? To twoja dwudziestka dwójka. O tak, wiedziałem, gdzie trzymasz broń.

- Jonathan?

Na dźwięk głosu Elizabeth obaj mężczyźni zamarli. Był taki cichy, niewyraźny, dźwięczała w nim bezradność.

- Umrzesz ze szwami na swojej przeklętej twarzy.

- Jonathanie, gdzie ja jestem? Jonathanie.

- Cicho, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

- Jak cholera - powiedział Christian. - Obudź się, Elizabeth. Chcę, żebyś zdawała sobie sprawę,

że umieras. Obudź się, suko!

- O, Boże, nie. Ty nie możesz być tutaj. Jesteś martwy... Wypchnęłam cię za burtę. Widziałam, jak poszedłeś pod wodę.

- Zapewne zdążyłaś się już domyślić, że jestem znakomitym pływakiem. Nie, Harley, nie ruszaj się. Jestem znużony ciągłym powtarzaniem ci tego. Dlaczego nie przytulisz żony, gdy będę ją uśmiercał?

Jonathan poczuł, że Elizabeth zaczyna się trząść. Była przytomna, w pełni świadoma i przerażona. Nagle pokój wypełnił ostry brzęczący dźwięk. Christian wzdrygnął się.

- Do diabła z tobą, przeklęta dziwko! Wyszarpnął z dłoni Elizabeth przycisk umieszczony na przewodzie, obok łóżka.

- Za późno, Hunter, za późno.

Jonathan odwrócił raptownie głowę, by spojrzeć na drzwi, a kiedy Christian bezwiednie uczynił to samo, skoczył na niego.

Elizabeth krzyknęła głośno.

Wyrwała z ramienia igłę kroplówki i zsunęła się z łóżka. Obaj mężczyźni tarzali się po podłodze, zaplątani w koc.

Spostrzegła pistolet Christiana. Ciekawe, skąd go wziął, pomyślała. Przecież jego broń poszła na dno razem z nim. Zobaczyła, że Jonathan zaciska dłoń na nadgarstku dłoni Huntera, uzbrojonej w pistolet, a potem podrywa ją do góry i uderza nią o ścianę.

Christianowi udało się oswobodzić rękę. Natychmiast przyłożył Jonathanowi broń do gardła.

Elizabeth chwyciła Huntera za włosy i pociągnęła z całej siły. A kiedy wrzasnął i podniósł dłoń z pistoletem, uniosła stopę i przydepnęła mu rękę do podłogi. Wrzasnął ponownie i broń potoczyła się po wykładzinie.

Jonathan chwycił napastnika za gardło i zacisnął dłonie.

Rozległ się paskudny charkot. Elizabeth zobaczyła, że Christian unosi dłoń uzbrojoną w igłę. Najwidoczniej zamierzał wbić ją Jonathanowi w plecy.

- Uwaga! - wrzasnęła.

Dłoń Christiana opadła z impetem na dół. Przetoczyli się jeszcze raz po podłodze, a potem któryś z nich raptownie zaczerpnął powietrza.

Drzwi otworzyły się z hukiem i w przyćmionym świetle z korytarza zamajaczyła sylwetka szeryfa.

- Niech pan coś zrobi! - zawołała kobieta. Homer wyciągnął rewolwer i zamarł, wpatrując się w walczących.

Usłyszała zbliżający się tupot wielu stóp. A potem krzyk.

- Jonathan - szepnęła.

Opadła na kolana, próbując dosięgnąć twarzy Christiana.

Jonathan usiadł z podkurczonymi nogami. Oddychał ciężko. Elizabeth spojrzała w dół i zobaczyła, że z piersi Christiana wystaje strzykawka. Mężczyzna patrzył prosto na nią. Jego powieki zatrzepotały, a oczy wywróciły się białkami do góry. Wzdrygnął się gwałtownie i umarł.

Dopiero wtedy Homer Peabody odsunął Jonathana, wycelował w Huntera i krzyknął:

- Stój, bo strzelam!

- Dzwoniła Catherine - oznajmił Jonathan, odkładając słuchawkę. - Lurette Carleton nie żyje.

Elizabeth ostrożnie przesunęła umieszczone na temblaku ramię i wstała. Zobaczyła, że Kogi stoi w progu salonu, czekając, by poprosiła - o cokolwiek. Odesłała go machnięciem zdrowej ręki.

- Pogrzeb w piątek.
- Dziwne, chyba chciałabym pójść - powiedziała. - Biedna, zgorzkniała staruszka.
- Wycelowała broń w niewłaściwą osobę. Siadaj, kochanie, i odpoczywaj.
- Ty i Kogi... - westchnęła Elizabeth, ale wróciła na sofę.
- W sobotę, pani Harley, leci pani ze mną do Montego Bay. Uznałem, że chcę cię obejrzeć seksownie opaloną.

- Brzmi wspaniale - powiedziała Elizabeth. - Ale...

- Ale co?

- Moja firma, twoja firma, wszystko...

- Spotkaj się z Rodem, Adrianem, Coyem i resztą, a ja spotkam się ze swoimi współpracownikami. Musimy na trochę wyjechać. Media zupełnie oszalały. Jestem zmęczony tym, że flesze bez przerwy błyskają mi w twarz. To grozi przedwczesnym pojawieniem się zmarszczek.

Podszedł do sofy i usiadł obok żony.

- Kiedy znuży nas seks w Montego Bay, spokojnie zastanowimy się nad wszystkim, dobrze?

- To również brzmi cudownie, a ja nie mam w zanadrzu dalszych „ale”.

- Znakomicie. A teraz, droga pani, proszę się odprężyć.

Posłuchała go, lecz nim zamknęła oczy, spostrzegła gazetę, którą Kogi rzucił na stolik. Na pierwszej stronie znajdowało się jej zdjęcie, a tytuł głosił: ELIZABETH X OCZYSZCZONA Z ZARZUTÓW.

- Spójrz, Jonathanie.

Westchnął głęboko i spojrział na nią. Przez chwilę czytała, a potem odwróciła się do niego.

- Orzeczenie „uniewinniona” to nie to samo co „oczyszczona z zarzutów”. Być oczyszczonym to tak, jakby ktoś wyszorował cię do czysta i poinformował o tym wszystkich zainteresowanych. O, jest nawet oświadczenie Morettiego.

- Prawdopodobnie chce, abyś poparła go w następnych wyborach.

Roześmiała się. Po raz pierwszy od bardzo dawna głowę Elizabeth przepelniała wspaniała, rozweselająca muzyka. Dłonie same zagrały piosenkę, która rozbrzmiewała jej w duszy. Jonathan dopiero po chwili zorientował się, że palce Elizabeth wystukują rytm na jego łopatkę.

- Beethoven? Uśmiechnęła się do niego.

- Nic z tych rzeczy. To „Życie jest jak miska wiśni”.